

S.M. Borowiecky

Ani z adnej rzeczy



Szpalt

S. M. Borowiecky

ANI ŻADNEJ RZECZY

Szpaltā

Redakcja i korekta
Grzegorz Kołbuś

Projekt okładki
Studio Karandasz

Zdjęcia na okładce:
Studio Karandasz oraz zdjęcia z serwisu Fotolia.com
(autorzy zdjęć - fotomaximum, Anterovium, mizina, rueangrit, Sergii Figurnyi, igor, Maffy)

Redakcja techniczna, skład i łamanie
PAB-Font s.c.
ul. Krasnobrodzka 2/2
03-214 Warszawa
biuro@pabfont.pl

Copyright 2015 Sandra Borowiecky i Szpalta

Wydawca
Szpalta Sandra Borowiecka
ul. Jerzego Waszyngtona 34/36 lok. 216
81-342 Gdynia
www.szpalta.com
redakcja@szpalta.com

Wydanie I

ISBN 978-83-943061-4-4

Spis treści

Początek i koniec	5
Drogi się krzyżują	14
Ogień trawi	36
Mrok	59
W drodze ku prawdzie	64
Listy odnalezione	82
Hodegetria wskazuje drogę	95
Ta, która poczęła	107
Po jego śladach	110
Oto Człowiek	124
Napad na sejf	127
Ucieczka	142
I stało się wedle słowa	148
Wiedeński tort z fatalną niespodzianką	151
Najwyższy czas	168
Jerozolima utracona	179
Grób na skale	181
Królewski klasztor	192
Siostra porwana!	216
Fatalne spotkanie	220
Słowo	228
Od autorki	229

*W pięknym kraju Prowancji, wśród wyniosłej góry,
Góry granitowemi najeżonej skały,
Którą zieloną szatą sosny przyodziały,
A srebrnym baldachimem ocieniają chmury —*

*Bieleją się klasztoru opuszczone mury,
Gdzie pustelnik samotny, wiekiem posiwiały,
Wskazuje wiernym miejsca, co niegdyś widziały
Żal i łzy Magdaleny, wśród groty ponurej. —*

*O! córo Galilei, nadobna grzesznico:
Kobietę z czułym sercem — której nie łez zdroje,
Ale miłość otwarła do niebios podwoje!*

*Lubię widzieć twój obraz, piękna pokutnico,
Jak cię Tycjan malował — w głębi ciemnej groty,
Osłonią jak płaszczem, w jasnych włosów sploty!*

Konstanty Gaszyński, *Święta Grota*, 1834

Początek i koniec

Wschodzące słońce raziło oczy turystów, idących Placem Świętego Piotra w kierunku wrót bazyliki. Miarowy stukot podeszew o bruk, gruchanie gołębi, łapczywe siorbnięcia kawy z plastikowych kubków z logo Starbucks, kasznięcia, splunięcia i ciche szepty dzieci, płaczących się pod nogami rodziców, tworzyły ulotną melodię poranka.

Było bezchmurnie i pięknie, idealnie na zwiedzanie atrakcji Wiecznego Miasta. Lekkie podmuchy kwietniowego wiatru, niosące znad ulicy Citta del Vaticano zapach świeżo skoszonej trawy i subtelną woń pomarańczy kwitnących dziko w parkach, dawały znać o budzącej się do życia wiosnie. Gołębie, wylatujące z Ogrodów Watykańskich, wznosiły się skąpane w złotej poświacie, stając się częścią pejzażu, jakiego nie powstydziliby się sam Michał Anioł.

Przewodnik Dominic Dulli, trzydziestojednoletni Włoch, siedł na przedzie grupy. Miał na sobie skromną drelichową bluzę i pogniecione spodnie koloru khaki. Szare, znoszone mokasyny, które założył nad ranem wybiegając w pośpiechu z małego mieszkania na wschodzie Rzymu, szurały ciężko po kocich łbach. Rozdał przepustki i zaczął mówić po angielsku z wyraźnym włoskim akcentem:

– Idziemy szybko i tylko tam, gdzie wskazuję. Nie zostajemy w tyle i nie dotykamy eksponatów. I tak większości nie sposób dotknąć – wtrącił pod nosem i nerwowo zachichotał, po czym jego głos znów przybrał beznamiętny ton. – Ponieważ jesteśmy pierwszą grupą tego dnia, mamy przed sobą chwile wyjątkowe i niepowtarzalne, co należy docenić i wykorzystać, bez zbędnego marudzenia. Zaczniemy od tarasu widokowego na szczycie kopuły bazyliki. Widok zapierający dech wymaga pełnego skupienia, ale i ostrożności, bo wypadki i w Watykanie chodzą po ludziach, a roztargnienie to pierwszy stopień do złamania kar...

– Toaleta?! – przewał mu znienacka damski, piskliwy głos.

Dulli zazgrzytał zębami. Młoda Hiszpanka z twarzą jak łasiczka, ubrana w szaro-różowy dres z napisem Nike na piersi, stojąc kilka kroków za plecami swojego chłopaka i jego siostry, przestępowała z nogi na nogę. Dulli posłał jej wściekłe spojrzenie. Chwilę później bez słowa poprowadził całą grupę do oddalonego o kilkadziesiąt metrów budynku z napisem „Toilets”.

– Pięć minut – powiedział głośno, stukając palcem w cyferblat sportowego zegarka Casio. Coś podpowiadało mu, że to nie będzie dobry dzień. Wewnętrzny kompas drgał od pierwszej chwili. Coś było nie tak. Wiedział to.

Kiedy został sam, Dulli wyjął z plecaka listę uczestników i szybko przeleciał po niej wzrokiem. Dwie młode Hiszpanki i Hiszpan, kobieta z Polski z czteroletnią córką, małżeństwo ze Stanów z ośmioletnim synem Jonnym, Kanadyjczyk z dziesięcioletnim synem o dziwnym imieniu Kane. Razem dziesięć osób. Z nim jedenaście.

Jedenaście.

– Nie, to nie może być prawda – wyszeptał.

Poczuł jak ze strachu oblewa go zimny pot. Zrobił w powietrzu znak krzyża i nerwowo rozejrzał się wokół siebie, na koniec jeszcze raz zerkając na listę. Upewniwszy się, że nie ma mowy o pomyłce wsunął ją do plecaka, a zamiast niej wyjął z kieszeni maleńki dziennik zapisany po brzegi i zaczął nerwowo przerzucać kartki. W końcu palec wskazujący zatrzymał się na jednej z nich, zabazgranej notatkami i skomplikowanymi wzorami matematycznymi. Oczy Dullego zaczęły wędrować od lewa do prawa, a jego źrenice zaczęły się rozszerzać.

Symbole nie pozostawiały złudzeń. Wcześniejsze znaki znalazły dopełnienie.

Jedenaścioro apostołów po zdradzie Judasza. Jedenaście, jako biblijny symbol zaburzenia pełni i nieporządku.

Dulli wyjął z kieszeni stary model Nokii. Wstukał na klawiaturze numer, po czym trzęsącymi się palcami

zaczął pisać:

MIAŁEŚ RACJĘ. JEDENAŚCIE. IAM TEMPUS EST

– *Iam tempus est.* Już czas – wyszeptał Dulli, wysyłając wiadomość.

W ciągu kilku sekund pojawiło się potwierdzenie doręczenia. Dulli odetchnął z ulgą. Jeśli cokolwiek mogło go w tej chwili uspokoić, była to właśnie świadomość, że zdołał podzielić się tym co wie z kimś, komu zależy na tej wiedzy jeszcze bardziej niż jemu.

Od strony budynku toalety dało się słyszeć śmiechy. Po chwili przy Dullim pojawili się pierwsi turyści. Mrużąc oczy spoglądał na nich z niepewną miną.

Które z nich zostało wybrane?

Ruszyli w dalszą drogę. Nie tracąc ani chwili Dulli zaczął gorączkowo analizować. Jego wzrok wędrował od twarzy do twarzy, niczym skaner poszukujący kodów.

Dwie Hiszpanki i Hiszpan – nie. Polka z córką – nie. Małżeństwo ze Stanów – nie. Kanadyjczyk – nie. Jego syn... jak on ma na imię? Dulli drżącą ręką znów wyjął z plecaka listę, żeby sobie przypomnieć. Kane. Dziwne imię, bardzo dziwne. Spojrzał na chłopaka, a potem na tego drugiego, syna pary ze Stanów. Wyglądało na to, że chłopcy trzymają się razem. Jonny i Kane. Kane i Jonny. Dwaj bracia. Biblijna Księga Rodzaju. Koran. Pięcioksiąg Ashburnhama...

„Jak do diaska mogłem to przeoczyć!” – pomyślał Dulli i gwałtownie przystanął, wlepiając wzrok w plecy chłopców idących przed nim.

Otoczające ich aury nie pozostawiały wątpliwości. Dwa omeny. Dwa jako symbol dwóch Tablic Mojżeszowych i kary za wszystkie grzechy, odebranej w dwójnasób. Dwa jako nawiązanie do historii Kaina i Abla...

– Jonny i Kane... – powtórzył Dullii zdławionym szeptem.

Szli w kierunku wrót bazyliki. Jonny i Kane wyprzedzili pozostałych i podbiegli do gołębi pijących wodę z pobliskiej kałuży. Widząc jak kilka z nich podrywa się do lotu, mała Polka natychmiast wydała z siebie dziki pisk.

– W Watykanie nie krzyczymy!!! – natychmiast zwrócił jej uwagę Dulli.

Matka dziewczynki z oburzeniem zmierzyła go wzrokiem i przyciągnęła ją do siebie. Po chwili mała znów wyrwała się z ramion matki i pobiegła za Jonnym i Kanem, wskazując na kolorowych żołnierzy z halabardami.

– Ajajaj! Pomponiści!

– Guardia Svizzera Pontificia... – wysyczał coraz bardziej wściekły Dulli.

Przez grupę przebiegł szmer śmiechu. Dorośli powyjmowali aparaty i zaczęli pstrykać zdjęcia. Halabardy gwardzistów skrzyły się w słońcu, niczym włócznie świętego Piotra. Feeria barw żołnierskich mundurów, pomarańcz, granat, błękit, zieleń, a przy tym pióra i satyna, mieszały się stanowiąc wspaniałą ucztę dla oka. Dystyngowane, idealnie zsynchronizowane ruchy każdego z gwardzistów, wyglądały jakby sterował nimi zręczny kuglarz, który celowo ustawił na środku placu marionetki poruszane za pomocą niewidzialnych sznurków.

Dulli zerknął na zegarek, a potem z coraz większym niepokojem na telefon. Nie było żadnej odpowiedzi.

– Niech to cholera... – przeklął pod nosem.

Nagle usłyszał za plecami głos.

– Idziemy?

Dulli gwałtownie się odwrócił. Obok niego stał Kane. Chłopak miał tak bystre spojrzenie, że przeszły mu po plecach ciarki.

– Dokąd? – zapytał zakoczony Dulli.

Chłopak zrobił zdziwioną minę.

– Dobrze się pan czuje? – rzucił niepewnie – Przed chwilą mówił pan, że musimy się pośpieszyć...

– Ach, no tak, racja, *e necessario fare in fretta!* – odpowiedział zmieszany Dulli i czując na sobie badawcze spojrzenie chłopaka, zaczął zwoływać resztę grupy.

W tym samym czasie czterej gwardziści opuściwszy halabardy weszli do Bazyliki, a ci kończący wartę przecięli plac i zniknęli za rogiem uliczki, wśród gęsto rosnących drzew.

W końcu grupie udało się dotrzeć do wrót bazyliki. Stanęli w cieniu, czekając aż Dulli, stojący w cieniu masywnej ściany z kamienia, skończy rozmawiać z jednym z gwardzistów.

– Mamo... – wyjęczał podekscytowany Jonny.

– Co znowu?!

– Na dachu. Zobacz. Tam ktoś jest.

– Tak synku, posągi świętych. Pan przewodnik mówił o nich przed chwilą – odpowiedziała matka, ciągnąc go za ramię w stronę wejścia.

– Nie, to nie... maaaamo, no zobacz, musisz... no zoobacz!

Podekscytowany Jonny, podskakując z palcem w górze, zerkał to na matkę, to na dach bazyliki, w miejsce, gdzie znajdowały się posągi jedenastu apostołów i Chrystusa. W przeciwieństwie do niego, Kane stał nieco dalej na uboczu i jak zahipnotyzowany od dłuższej chwili nie odrywał wzroku od dachu świątyni.

Dwie minuty później prawie cała grupa weszła do chłodnego wnętrza bazyliki. Troje Hiszpanów i Polka z córką na ramieniu poszli jako pierwsi, kierując się boczną nawą w stronę schodów prowadzących na dach. Tuż za nimi szedł Kanadyjczyk, zajęty rozmową z kuzynem ze Stanów i jego żoną. Dwaj chłopcy zostali daleko z tyłu.

– Wąskie przesmyki, strome schodki, duszno, parno, klaustrofobicznie... – oznajmił głośno Dulli, a jego głos odbijał się echem od sufitu wąskiego korytarza, powodując że wszyscy zamilkli – kto by pomyślał, że takie wrażenia może przynieść wspinanie się na szczyt drugiej na świecie największej świątyni chrześcijańskiej, wybudowanej na grobie świętego Piotra. Państwa odczucia nie są teraz może zbyt miłe, jednak naprawdę warto się pomęczyć dla widoku rozpościerającego się z dachu – zapewnił i jakby na potwierdzenie tych słów zamachał ręką, wskazując na strome schody, których setki majaczyły w górze, znikając za niebezpiecznymi, wąskimi zakrętami.

Wszystkie głowy uniosły się w górę, a potem dał się słyszeć szmer niezadowolenia.

Nie zważając na marudzenie, Dulli przepuścił wszystkich, rozglądając się w poszukiwaniu chłopców. Szli od strony wejścia, nic sobie nie robiąc z tego, że ich woła.

– Pani, to była pani – szeptał nerwowo Jonny. – A widziałeś czerwone? Wdziałeś?

– Nie widziałem. Nie było czerwonego – odpowiedział Kane.

– Bo ja patrzyłem ostatni. I wtedy było.

– Bujasz. Powiem twojej mamie i zobaczysz.

– Nie kłamie! – zdenerwował się Jonny i kopnął Kane`a w kostkę. Pobiegł wzdłuż ukrytej w cieniu nawy bocznej i przepychając się obok przewodnika wbiegł na schody. Po chwili dołączył do niego Kane i natychmiast zaczęli się ścigać, zmuszając wspinających się przed nimi ludzi, żeby ustąpili im miejsca.

– Chłopcy! Chłopcy! – próbował przywołać ich do porządku Dulli. – To jest niebezpieczne!

Piętro wyżej dało się słyszeć, jak chłopcy parszczą śmiechem.

– Nie biegnij! – wydarła się matka Jonny`ego, wychylając się na schodach i wymachując groźnie zaciśniętą pięścią. – Jak cię dogonię, przyłożę ci w dupsko! Nie będę tu wysłuchiwała skarg!

Jonny i Kane dotarli już dwa piętra wyżej. Sapiąc i z trudem łapiąc oddech, wspinali się po stopniach masywnej kopuły z brunatnych cegieł, wyglądem przypominającej obronną wieżę.

– Sto dwadzieścia.. sto trzydzieści...trzydzieści jeden... – liczył kolejne stopnie Kane, oglądając się z uśmiechem na biegnącego za nim Jonny`ego.

Kilkadziesiąt stopni niżej trójka Hiszpanów, zziębnięta i zniechęcona, wspinająca się schodek po schodku,

wymyślając przewodnikowi od najgorszych, za to, że zmusił ich do wspinaczki. Chcieli jak najszybciej wejść, zejść i udać się do kawiarni po łyk zimnej Coca-Coli lub latte z lodem. Do tego śniadanie, duże, włoskie, z szynką parmeńską. Tak, szynka parmeńska i ser, dużo sera mozzarella, którym usłane są ulice Rzymu...

– Nie mogę. Nie dam rady – wyjęczała młodsza Hiszpanka, przystając na stopniu, podtrzymując się ramienia swojego chłopaka.

Jej koleżanka wspięła się wyżej, zostawiając ich samych.

– Nie marudź. To był twój pomysł. Mówiłem, żeby jechać do Toskanii.

– I co byś z tej Toskanii miał?

– A co będę miał z tego?! – odpowiedział chłopak i dopił ostatni łyk wody z butelki, po czym wcisnął plastik w szparę w zakratowanym oknie.

Dulli szedł za nimi. Przysłuchiwał się ich rozmowie, kiwając głową z rezygnacją.

„Kolejni parszywi turyści, których nie da się zadowolić” – pomyślał.

Wyjął butelkę ze szpary i schował ją do plecaka. Nagle jego telefon ukryty w kieszeni spodni zaczął wibrować. Podekscytowany wyjął go i nie patrząc na numer na wyświetlaczu, odebrał połączenie. Po drugiej stronie dał się słyszeć piskliwy, pretensjonalny głos.

– Tylko nie to – wyszeptał z rozpaczą Dulli.

Był to kolejny pilny telefon z biura, dotyczący jakiejś parszywej wycieczki. Tak, oczywiście że przyjmie dodatkową grupę, oczywiście, stawka jak zwykle. Rozłączył się i postanowił odsapnąć. Z niepokojem wyjrzał przez zakratowane okienko na dachy budynków widoczne w oddali. Gdy z nad Piazza Cita Leonina dało się słyszeć bicie dzwonów, kilka gołębi siedzących na parapecie zniecka poderwało się do lotu.

– Już czas... – wyszeptał Dulli, zerkając na Plac Świętego Piotra.

Tymczasem Jonny i Kane ścigali się już nie z sobą, lecz z czasem. Liczyła się każda sekunda, bo szczyt schodów był coraz bliżej. Kiedy Jonny pokonał ostatni stopień, jego oczy powędrowały w kierunku ciągnącego się przed nim korytarza otoczonego ścianami z hartowanego szkła.

– Zaczekaj! – rozkazał Kane, dysząc ze zmęczenia.

Po chwili pokonał ostatni stopień i zgięty w pół stanął obok Jonny`ego. Nagle dostrzegł w oddali niewyraźny ruch. Gwałtownie się wyprostował i spojrzał przed siebie, dziękując w duchu, że od rozległej przestrzeni tarasu widokowego dzielą ich drzwi i ściany. Chociaż z dołu dało się słyszeć głosy rodziców, byli jakieś dwa piętra niżej. Kane wiedział, że przynajmniej przez dwie, trzy minuty będą zdani sami na siebie.

Korytarz na którym się znaleźli, był wąski i panował w nim zaduch; gorące powietrze z wczorajszego dnia, mieszało się z tym nagrzanym od porannego słońca, wpadającym przez wąskie wywietrzniki zamontowane pod niskim sufitem. Ostrożnie stawiając każdy krok chłopcy podeszli do masywnych szklanych drzwi. Jonny złapał za srebrną klamkę i spróbował cicho przekręcić, ale materiał, z którego wykonano drzwi sprawił, że były o wiele cięższe niż sądzili. Nie tracąc czasu, zaparli się i zaczęli pchać najmocniej jak umieli. W końcu na korytarz z sykiem wdarł się powiew świeżego powietrza. Kane wyszedł na taras pierwszy i od razu oniemiał z przerażenia. Z oddali dochodziły mrozące krew w żyłach jęki i płacz. Tuż przed sobą zobaczył rozmazaną na ziemi krew, ciągnącą się długą wąską linią przez środek starych, drewnianych paneli, jakimi wyłożona była podłoga tarasu. Czując na plecach oddech Jonny`ego, odwrócił się i spojrzał mu w oczy. Natychmiast zrozumiał, że nie może narażać tego ośmiolatka na tak wielkie niebezpieczeństwo.

– Zaczekaj tu na rodziców – rozkazał stanowczo.

– Nie ma mowy! – upierał się Jonny.

Nie widząc innego wyjścia, Kane złapał go za ramiona i odepchnął w kierunku drzwi. Nieprzygotowany Jonny z hukiem wylądował na drewnianej podłodze. Poderwał się i ze łzami w oczach pobiegł w

kierunku schodów.

– Przepraszam Jonny – wyszeptał Kane, czując rosnącą gwałtownie gulę w gardle.

Odwrócił się i spojrział w kierunku szczytu tarasu. To tam powinny być posągi świętych, które wdział z dołu. Wspomnienie obrazu sprzed paru minut zmroziło mu krew w żyłach. Przeraził się jeszcze bardziej, gdy dotarło do niego, że na dachu zapanowała złowroga cisza.

– Jestem sam i muszę być dzielny – spróbował się pocieszyć.

Nabrał powietrza i przyłgął plecami do ściany. Wychylił się i wyjrzał za róg. Było pusto. Z nieco większą odwagą wyszedł na rozległą przestrzeń tarasu widokowego i ruszył przed siebie. Zatrzymał się na wprost linii posągów, zwróconych twarzami do Placu Świętego Piotra. Apostołowie i Święty Jan stali na swoich miejscach, dokładnie tak, jak widział to z dołu. Tak jak się spodziewał, pośród nich brakowało tylko jednej figury. Chrystus z krzyżem zniknął z postumentu i co najbardziej przerażające, miejsce po nim nie było puste. Makabryczny widok sprawił, że przed oczyma Kane`a zapadła na kilka sekund nieprzenikniona ciemność. Zamknął oczy i zagryzł wargę, żeby nie zacząć krzyczeć.

– Rany... – wyszeptał po chwili.

Podszedł kilka kroków i zatrzymał się. W nozdrzach poczuł zapach krwi i starego drewna. Słońce padające na dach oświetlało wiszące na ogromnym krzyżu ciało kobiety w średnim wieku. Wyglądała niczym anioł. Rozpostarte ręce rozłożone na boki, przybite ogromnymi gwoździemi do ramion drewnianego kolosa, upodabniały ją do Chrystusa. Piersi i tułów były okryte białym kirem, po którym w kilku miejscach spływała krew. Wolno skapując ze stóp kobiety, tworzyła kałużę. Kane podszedł bliżej i wyciągnął rękę, próbując dotknąć ciała ofiary. W tej samej chwili usłyszał za plecami przerażający huk silnika i warkot śmigieł. Oniemiały ze strachu odskoczył na bok i przeczołgał się pod kamienne barierki. Uniósł głowę i zobaczył, że nad dachem bazyliki unosi się helikopter. W tej samej chwili usłyszał niewyraźne wołanie, w którym zdołał rozróżnić swoje imię.

Dulli wbiegł na taras. Powietrze wirowało dookoła jak podczas huraganu. Nieznośny huk niemal rozrywał uszy. Zgięty w pół zdołał przebiec kilka metrów. Rzucił się na ziemię pod ścianą i zaczął wołać Kane`a ile sił w płucach. Zobaczył unoszący się nad dachem helikopter.

– Skąd do cholery... – wyszeptał, zakrywając głowę przed podmuchami pyłu.

Po chwili helikopter odleciał. Dulli poderwał się i pobiegł ile sił w nogach do leżącego niedaleko posągów chłopaka. Przez chwilę bał się, że jest martwy.

– Kane! Odezwij się!

Chłopak zamachał ręką. Cały się trząsł i był wymazany krwią, ale wyglądało na to, że nic mu nie jest. Na tarasie zjawił się jego ojciec. Z twarzą czerwoną jak byk biegł w ich stronę.

– Dlaczego pan zablokował wyjście! – wydzierając się zamachał pięścią przed twarzą przewodnika – Co pan wyprawia, złożę skargę! Gdzie mój... o Boże... – wyjęczał, spoglądając na wiszącą na krzyżu kobietę.

Dulli zmierzył go lodowatym spojrzeniem, po czym odszedł kilka kroków. Wyjął telefon i zastanawiając się jak najsensowniej ująć w słowa to co się stało, wstukał numer biura. Coraz bardziej przerażona kobieta po drugiej stronie słuchała chlipiąc do słuchawki. Wyglądało na to, że wpadła w histerię.

– Przestań płakać! – wydarł się do słuchawki. – Zawiadom służby i przyślij mi tu kogoś!

Dulli rozłączył się z wściekłą miną. Biorąc pod uwagę, że ma najwyżej minutę, zanim drzwi jadącej na górę windy otworzą się z hukiem i wypadną z nich uzbrojeni po zęby żandarmi, każda sekunda była na wagę złota. Nie zwracając uwagi na to czy ktoś patrzy, Dulli podszedł do drewnianego krzyża i korzystając z telefonu zrobił zdjęcie. Dodał je jako załącznik i znów wysłał pod ten sam numer co wtedy, gdy byli jeszcze na placu. Treść wiadomości brzmiała:

UKRZYŻOWALI KOBIECĘ NA DACHU BAZYLIKI. UCIEKAJCIE

Kiedy kilka sekund później stalowe drzwi wind otworzyły się z hukiem, wszystko zaczęło dziać się błyskawicznie. Wszystkie wyjścia z Bazyliki zostały obstawione patrolami, a cały teren Watykanu otoczyła gwardia szwajcarska i żandarmi. Dullego i przerażonych turystów słoczono na dachu, pod jedną ze szklanych ścian, obok schodów. Kane i Jonny siedzieli samotnie w najdalszym kącie. Dulli zdołał się do nich przecisnąć. Usiadł po turecku i wyszeptał:

– Musimy pogadać chłopaki.

Kane skulił się w sobie. Jonny nie przerywał nerwowego dłubania kawałkiem patyka w szparze w podłodze. Z jego kolana nadal ciekła krew.

– Boli? – zapytał Dulli.

– Nie tak bardzo – odpowiedział Jonny.

Dulli uśmiechnął się i poklepał go po plecach. Po chwili zwrócił się do Kane'a:

– Kane, muszę wiedzieć co widziałeś. Muszę to wiedzieć zanim oni – wskazał na prokuratora i policjantów kręcących się wokół krzyża – przyjdą, żeby cię zapytać.

– W helikopterze była dziewczynka.

Dulli drgnął.

– Wcześniej była na dachu. Słyszałem jak płakała.

– To bardzo ważna informacja – powiedział Dulli łamiącym się głosem. – Powiedz mi wszystko.

Wszystko, dobrze?

Jonny schował głowę między kolana i zaczął płakać. Kane objął go ramieniem i oblizując spierzchnięte wargi ze strachem spojrzął na Dullego.

– Kim pan jest?

Dulli przez kilka sekund zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Przyjacielem – odpowiedział w końcu, patrząc chłopakowi w oczy.

Kane pokiwał głową. Wziął oddech i zaczął mówić. Jego głos nie brzmiał już jak głos dziecka. Był matowy i bezbarwny, jakby z duszy chłopca wyparowała cała radość.

Dwóch funkcjonariuszy z wydziału kryminalnego zagrodziło taśmą dostęp do miejsca na tarasie widokowym, gdzie patomorfolog i prokurator czekali, żeby zabrać się do pierwszych oględzin. Krzyż zdjęto z postumentu i położono na ziemi, a nad nim rozłożono biały baldachim, osłonięty prowizorycznymi ścianami z brezentu.

– Żyje.

– Co? – zapytał prokurator, wlepiając wzrok w patomorfologa nachylającego się nad kobietą.

– Żyje. Została odurzona jakimiś silnymi środkami. Wygląda na to, że zaczyna się wybudzać.

– Powiedziała coś?

– Yhm... tak jakby – zmieszał się patomorfolog. Wstał i zaczął zdejmować białe rękawiczki. Spojrzął na prokuratora i poklepał go po ramieniu. – Niech ją zapakują do karetki i zawiozą do szpitala. Rany są powierzchowne, ścięgnięta w dłoniach i stopach nie zostały zerwane. Wygląda na to, że świr, który zorganizował całe to przedstawienie zna się na rzeczy. Zadbaj o to, żebyśmy zdążyli tu dotrzeć, zanim straci za dużo krwi.

– Na pewno nie zrobił tego sam, ale mniejsza z tym. Czyli będzie mogła zeznawać? – dopytywał się prokurator.

– Z całą pewnością.

– To dobra informacja – ucieszył się. Widząc, że patomorfolog wychodzi, zagrodził mu drogę. – Co takiego powiedziała, że nie chcesz powtórzyć?

Patomorfolog nachylił się nad jego głową i wyszeptał mu do ucha konspiracyjnym tonem:

– Heil Hitler.

Prokurator zbladł.

– Że co?!

– No mówię ci. Otworzyła oczy i powiedziała Heil Hitler.

Drogi się krzyżują

Siedem dni wcześniej.

Słońce wisiało na niebie wyznaczając środek słonecznego dnia, jednego z pierwszych po długiej i srogiej zimie, którą mieszkańcy okolic zapamiętają jako zimę stulecia. Mimo że był już początek kwietnia, mróz nie odpuszczał, a wysokie na pół metra zaspy śniegu, usypane wzdłuż pełnych śmieci przydrożnych rowów i popękanych asfaltowych jezdni, wcale nie topniały.

Drogi w okolicy były liche, bo nikt nie dbał o to by zmienić ich stan. Od lat nie było specjalnej potrzeby, by dojeżdżać czy wyjeżdżać. Życie mieszkańców, garstki starców, zapomnianych przez świat, toczyło się spokojnie w rytmie wyznaczanym przez pory roku. Było ich tu może czterdziestu. Od czasów przybycia nowego proboszcza nikt do nich nie zaglądał. Aż nagle, zupełnie niespodziewanie, zaszła zmiana. Pozornie nic nieznacząca, jednak ogromna dla tych, którzy stali przed wiejskim sklepem, opierając wątłe ciała o ramy zdezelowanych rowerów.

Na wyłożony betonowymi płytami parking zajechało czarne BMW X6 E71. Sześciocyldrowy silnik kolosa zawył, a potem ucichł, dając ludziom chwilę, by mogli nacieszyć się widokiem limuzyny i kobiety wyglądającej przez uchyloną szybę.

– Do plebanii to tędy? – zapytała kobieta.

Była młoda, ładna i miała wyraźny obcy akcent. Pytając wpatrywała się w twarz starca stojącego najbliżej.

– Tak, tędy, prosto i w lewo leśną drogą! – odpowiedział tamten, wsuwając zmarznięte ręce do kieszeni kurtki. Kilku młodych mężczyzn zaczęło rechotać, kręcąc się koło drzwi sklepu, z wiszącym nad nimi neonem „Super Sam Albert”.

Plebania parafii św. Mateusza Apostoła i Ewangelisty znajdowała się pięć kilometrów dalej. Bogiem a prawdą nikt z tutejszych nie śmiał nazywać plebanią tego przybytku bożej łaski. Była to raczej zapomniana zabudowa, składająca się z walącego się kościoła z czerwonej cegły z dzwonnica, która dwa lata temu wpadła do środka, przewracając się na ołtarz, niczym znak czasów. Był tam też budynek dwupiętrowy, lichy, prząsny, niegdyś jednak piękny, w którym wedle legendy zakonnice kościoła mariawickiego ukrywały dzieci i starców przed zakusami wojennych rozrób, dobiegającymi echem od miasta Łodzi. Najstarsi mieszkańcy Sobótki Nowej pamiętali jak w lecie 1944 roku, nocami, gdy chmury nie były zbyt gęste, a księżyc świecił w pełni, z tamtejszego cmentarza było widać brunatną łunę z dymu i popiołu, unoszącą się nad płonącym gettem.

Kobieta nawet nie podziękowała. Zamknęła okno, silnik zawył – i tyle ją widzieli. Tyle w zupełności wystarczyło, by w ciągu kilku minut wieść o przybyciu obcej do Sobótki Nowej rozniosła się po okolicy lotem orła.

Kilka minut później, gdy ludzie zaczęli gadać, a pod sklepem zaroilo się od kum, kilka kilometrów dalej BMW zajechało pod bramę plebanii. Dookoła panowała cisza, przerywana od czasu do czasu jedynie złowrogim krakaniem wron. Kobieta wysiadła z auta, nałożyła na nos okulary przeciwsłoneczne i zdecydowanym krokiem ruszyła ścieżką w kierunku budynku z czerwonej cegły. Miała na sobie karmelowy płaszcz od Chloe, dzinsy z metką Armani i ledwie widoczną pod połami płaszcza białą koszulę od Valentino. Jej czarne włosy spięte w kucyk, rozsypały się smagane wiatrem. Nie poprawiła ich, zamiast tego otuliła się szczelniej płaszczem i postawiła kołnierz.

Nagle usłyszała za plecami męski głos:

– Pietrowna?

Kobieta gwałtownie się odwróciła. Młody mężczyzna, wysoki i postawny, szedł w jej stronę. Z jego

twarzy nie schodził serdeczny uśmiech.

– Zoja Pietrowna, zgadza się – odpowiedziała, mierząc go wzrokiem.

– Miło, naprawdę miło panią poznać! – ucieszył się mężczyzna. W jego głosie pobrzmiwał silny niemiecki akcent. – Czekaliśmy tu na panią.

Podszedł bliżej i wyciągnął rękę na powitanie. Jego dłoń okazała się być chłodna, a uścisk silny i zdecydowany; dokładnie taki, jakiego oczekiwała za każdym razem, gdy w grę wchodziły duże pieniądze lub szybkie załatwienie spraw.

– Piotr Gruner. Jestem proboszczem tej parafii. To ze mną rozmawiała pani przez telefon kilka dni temu.

– Ach... no tak – zdziwiła się Zoja.

Poczuła się nieswojo. Nie tak wyobrażała sobie proboszcza parafii w zapadłej dziurze na końcu świata. Miał w sobie delikatny, chłopięcy urok, połączony z męską stanowczością. Jego ciemne oczy były przenikliwe i bystre. Mimo paskudnego stroju, jaki miał na sobie, dało się zauważyć dobrze zarysowane barki i mięśnie, wypracowane zapewne dzięki systematycznemu uprawianiu sportu. Był wysoki, co Zoja bardzo lubiła w mężczyznach.

– Bałem się, że pani nie dojedzie. Jeszcze w nocy sypał śnieg. To niespotykane jak na początek kwietnia, tym bardziej, że zima była długa i wyjątkowo ciężka. W wielu miejscach w okolicy nadal leżą wysokie zasy. Nocą temperatura potrafi spaść do zera. Ciężkie warunki, jak dla kogoś, kto na co dzień żyje w największej metropolii świata – powiedział zatroskanym tonem.

Zoja przyznała mu rację. Kiedy nad ranem wysiadła z samolotu, na płycie lotniska uderzył ją niemal arktyczny chłód. Przy wynajmowaniu samochodu z wypożyczalni trzęsa się z zimna, a kiedy wyjeżdżała z Warszawy, po zewnętrznej stronie szyb widać było szron. W Nowym Jorku zima nie była tak sroga, a wiosna przychodziła na czas. W Nowym Jorku w kwietniu nie było mowy o śniegu czy mroźnych nocach. W Nowym Jorku...

– Zapraszam do środka – zaproponował ksiądz i wskazał ręką na budynek. – Specjalnie na pani przyjazd upiekłem ciasto. Zaparzę herbaty, rozgrzeje się pani.

Ciasto? Facet upiekł ciasto? Zoja wzdrygnęła się na samą myśl, że będzie musiała cokolwiek przełknąć, choćby miała to być najzwyczajniejsza herbata.

Ukryła ręce w przepastnych kieszeniach wełnianego płaszcza i ruszyła za księdzem. Szli ścieżką, kiedy Zoja usłyszała przeraźliwe krakanie. Przestraszona, podniosła głowę. Ogromna wrona przysiadła na gałęzi sosny, tuż obok niej. W parę sekund zleciało się jeszcze kilka i także zaczęły krakać. Zoji wydało się to idiotyczne, absolutnie niemożliwe, jednak przeleciało jej przez myśl, że wielkie ptaszyska obserwują każdy jej krok.

„Jak to było?” – pomyślała Zoja. „Melanie spotyka przystojnego prawnika, Mitcha. Kupuje dla niego papużki nierozłączki, jedzie z nimi na wieś, a tam, na plaży atakuje ją mewa...”

– Oglądał ksiądz Ptaki, Hitchcocka? – zapytała kilka minut później Zoja, siedząc na krześle przy okrągłym stole nakrytym białym obrusem.

Ksiądz wyjrzał z kuchni.

– Oglądałem. Ale szczerze przyznam, nie lubię Hitchcocka.

Zoja westchnęła i zaczęła się bawić, gniotąc w palcach serwetkę. Nie spodziewała się innej odpowiedzi. Ksiądz, żyjący na końcu świata, niemający nawet telewizora, nie może znać żadnych dobrych filmów. Nawet, jeśli ukończył wybitną uczelnię w Genewie i nawet jeśli – tak jak mówi – zwiedził wiele miejsc na świecie. Będąc księdzem od dziesięciu lat, miał na pewno wąskie pole zainteresowań. Tylko czekała, aż zacznie kadzić o demoralizacji albo czymś podobnym, co ma związek z rolą kina w życiu przeciętnych ludzi.

– Skomplikowane zachowania ludzkie i złożoność sytuacji za bardzo mnie przytłaczają – kontynuował ksiądz.

Tak, tak, typowy marudny klecha...

– Wolę komedie. Albo coś w stylu Felliniego.

Zoja drgnęła. Z zaciekawieniem spojrzała na księdza i powiedziała dokładnie to, co myśli o różnicy między filmami Felliniego a Hitchcocka.

– Też wolę Felliniego, *La Dolce Vita* to mój ulubiony film. I te czarno-białe ujęcia, idealne na chłodne wieczory w domu... – rozmarzyła się Zoja, ale szybko wróciła do tematu. – Ale tam dopiero mamy skomplikowane sytuacje i trudnych bohaterów.

Ksiądz przyglądał jej się z coraz większym rozbawieniem. Zupełnie jakby odgadł, że z początku Zoja wzięła go za niezbyt obeznanego w kwestii kina i nie tylko.

– Tak, ale Fellini dotyka tego, co tkwi w zewnętrznych warstwach człowieka, tego jak postrzega życie, a nie, jak je sobie rujnuje popełniając zbrodnię – zmierzył Zoję nieoczekiwanie chłodnym spojrzeniem. – Chociaż może zbrodnią samą w sobie jest zbyt łatwe postrzeganie życia...

Poczuła się lekko dotknięta tą uwagą.

– Co ksiądz chce przez to...

W pokoju rozległ się odgłos pukania w szybę. Zoja prawie krzyknęła ze strachu. Jakiś mężczyzna stał pod oknem, próbując zajrzeć do środka. Ksiądz pomachał do niego, a potem szybko poszedł otworzyć drzwi.

– To pan Kraśko z zakładu pogrzebowego – przedstawił mężczyznę, wprowadzając go do pokoju.

– Miło panią poznać – powiedział tamten i uklonił się zsuwając z głowy puchową czapkę z daszkiem. Zoja uśmiechnęła się chłodno. Dziękowała w duchu, że nowoprzybyły nie zdecydował się uścisnąć jej ręki. Miał ogromne, zgrabiące dłonie i brud pod paznokciami, jakby używał ich do pracy zamiast łopaty.

– Wracam z prosekatorium – powiedział. Jego głos był niski i donośny. Cokolwiek mówił, brzmiało to tak, jakby wygłaszał ostatnie pożegnanie. – Pojechalibyśmy na jedenastą, tak jak było ustalone. Miało być na dziewiątą, ale przez mgłę wolałem przesunąć na później, bo drogi zmarznięte i trudno się jedzie – spojrzął na Zoję, przyglądającą mu się ze zniecierpliwieniem. – Zresztą to bez znaczenia, czy dziewiąta czy jedenasta, bo i tak musieliśmy czekać, a i z czekania nic nie wyszło – bezradnie rozłożył ręce.

Podszedł do stołu i położył czapkę obok szklanek i imbryka z herbatą, które naszykował ksiądz. Wziął z talerza spory kawałek ciasta i wcisnął go sobie do ust. Mlaszcząc, zaczął mówić dalej:

– Ciała nie chcieli wydać. Powiedzieli, że dokumentów nikt nie podpisał, ot co. Jakiś człowiek, z którym się umawiali, nie przyjechał. Dali nam do niego numer, ale od kilku godzin nikt nie podnosi słuchawki. Powiedzieli, że jak ktoś z rodziny nie przyjedzie i nie podpisze kwitów, nie wydadzą. Cały problem w tym, że nie ma za dużo czasu. Jeśli pogrzeb ma być jutro w południe, musimy dziś odebrać ciało. Trzeba zmarłą przygotować. Ubrać. Umalować. Do trumny złożyć, no i do kaplicy przewieźć, żeby już na ostatnią drogę czekać mogła.

Zoja przyglądała się Kraśce z oburzoną miną. Zapewne nie załatwił sprawy jak trzeba, niezbyt się postarał i teraz szuka wymówki. To częste, niezależnie od tego czy mowa o ludziach z Nowego Jorku, czy jakiejś tam wsi pod Łodzią.

– Może w takim razie trzeba pojechać – rzuciła zaczepnym tonem.

Kraśko wybałuszył oczy.

– Niby gdzie?

– No do tego kogoś, kto miał odebrać ciało – powiedziała Zoja, kręcąc głową z dezaprobatą.

Kraśko szykował się, żeby wziąć kolejny kawałek ciasta, ale cofnął rękę i zaczął się drapać po brodzie.

– No... To ja właśnie po to przyjechałem.

Zoja zamarła. Nie spodziewała się, że tak szybko będzie zmuszona stawić czoła największemu problemowi. Żeby przeciągnąć czas, wyjęła papierosy i zapalniczkę z torebki, i podeszła do okna. Uchyliła lufcik i odpaliła jednego, nie pytając czy ksiądz lub jego gość mają coś naprzeciwno. Strzepnęła popiół do doniczki z fikusem i odsunęła firanek, żeby wyjrzeć na dwór. Tak jak się obawiała, żaden nowy samochód nie pojawił się na parkingu.

– Czy ten mężczyzna, który miał odebrać ciało, to jedyna osoba z rodziny? – zapytała.

Nagły powiew wiatru wdarł się do pokoju. Lufcik uderzył o framugę. Żółtawa firanka zafalowała i uniosła się w powietrzu, niczym żałobny kir. Ksiądz i Kraśko jednocześnie wlepili w nią oczy. Wyglądali tak, jakby ktoś jednocześnie zdzielił ich łopata po głowach.

– Nie bardzo rozumiem – wydukał Kraśko, wybałuszając oczy.

– Ja też nie – dodał ksiądz.

Zoja westchnęła ciężko. W jej oczach nagle pojawiły się łzy. Widać było, że mówienie przychodzi jej z trudem.

– Nazywam się Zoja. Zoja Pietrowna – westchnęła znowu. – Ta kobieta, której pogrzeb ma się odbyć, podobno jest moją babką. Nie mogę tego potwierdzić, bo o tym, że tak jest, dowiedziałam się zaledwie dwa tygodnie temu, a ktoś kto obiecał mi to wszystko wyjaśnić, miał tu być na pierwszą – spojrzała na zegar wiszący na ścianie i ukryła twarz w dłoniach.

W pokoju zapadła grobowa cisza. Ksiądz zerknął na zegar i zaczął pod nosem liczyć czas. Kraśko opadł na krzesło i kręcąc głową wepchnął sobie do ust kolejny kawałek ciasta. Jadł na tyle łapczywie, że w pewnym momencie zakrztusił się. Momentalnie zbladł i próbował nabrać powietrza, jednocześnie pokazując ręką na plecy. Ksiądz natychmiast podbiegł i rąbnął go w nie z całej siły.

– Dzięk... oj... dziękuję... – wysapał Kraśko, biorąc głęboki wdech. Jego twarz zaczęła nabierać kolorów – Byłbym... – zakasłał – ...byłbym zszedł.

– Nie daj Boże, panie Kraśko, nie daj Boże! – powiedział ksiądz i zrobił w powietrzu znak krzyża.

Zoja nie wiedząc co robić, zaśmiała się nerwowo.

– Pani się śmieje, a to nic śmiesznego. Nic śmiesznego taka śmierć! – oburzył się Kraśko.

– No już, już. Trochę śmiechu nie zaszkodzi panie Kraśko – odpowiedział mu ksiądz, po czym nachylił się nad stołem i ściszył głos do szeptu. – Niech się pani nie martwi. Moim zdaniem pół godziny to właściwie żadne spóźnienie. Ja wierzę, że jest pani wnuczką zmarłej i nie widzę powodu, dla którego ktokolwiek miałby to podważać.

– Ale dokumentów w prosektorium nie podpisze... – zachnął się Kraśko.

Widać było, że interesuje go wyłącznie doprowadzenie sprawy pogrzebu do końca.

– Cicho panie Kraśko, cicho... – skarcił go ksiądz i znowu odwrócił się do Zoi. – Do niczego pani nie zmuszam, ale pan Kraśko ma trochę racji. Trzeba odebrać ciało.

Choć Zoja czuła się tak, jakby żar rozczarowania palił jej wnętrze, a złość rozsadzała umysł, musiała przyznać, że to co mówił ksiądz, miało sens. Pomoże jemu i Kraśce, a do tego czasu ten, na kogo czeka, na pewno zdąży się pojawić.

Tak, na pewno zdąży.

Przecież obiecał.

Kiedy kilkadziesiąt minut później zajechali pod Uniwersytecki Szpital Kliniczny imienia Norberta Barlickiego, ciemne chmury przesłoniły słońce, a z nieba lunął deszcz. Wycieraczki szurające rytmicznie po przedniej szybie, rozgarniały gęste krople na boki.

Zoja przekręciła kluczyk w stacyjce tylko o pół obrotu, chcąc jak najdłużej cieszyć się miłym ciepłem z nawiewu. Wyjrzała na parking.

– No i gdzie ten Kraśko?

– Może przyjechał przed nami i jest już w środku – powiedział spokojnie ksiądz. Siedział na fotelu pasażera i z na wpół przymkniętymi oczami przekładał w palcach paciorki różańca.

– Nie widzę nigdzie karawanu – nie dawała za wygraną Zoja.

– Pewnie zaparkował pod wejściem do prosektorium. Szczęściar z niego, w taką ulewę też wolałbym nie obchodzić całego szpitala dookoła.

Zoja pokręciła głową. Wcale nie była tego taka pewna. Kraśko od początku wydawał się jej podejrzany i za nic nie zmienił zdania – no chyba, że wyskoczy zza rogu i dołączy do nich w drodze do prosektorium.

Ale na to nic nie wskazywało.

Wyłączyła silnik, spięła włosy w kucyk i wzięła płaszcz z tylnego siedzenia. Ksiądz schował różaniec do kieszeni, poprawił koloratkę i zasunął bluzę, zarzucając na głowę kaptur.

– Idziemy? – rzucił otwierając drzwi, jakby nadal bał się, że kiedy wysiądzie, Zoja może odjechać.

– Nie mamy innego wyjścia.

Wyobraźnia podpowiadała jej inne rozwiązanie. Wciąż może wyciągnąć nogę z kałuży, wsadzić ją do samochodu, zatrzaskać drzwi i przekręcić kluczyk. Może odjechać. Docisnąć pedał gazu i opuścić parking, i stojącego w strugach deszczu księdza, który wpatrywałby się w niknące w oddali reflektory jej auta. Może się wycofać, jak wiele razy w życiu, kiedy uznawała, że transakcja, do której ma dojść nie przyniesie jej korzyści, na jakie liczyła. Może się wycofać, jak kilka lat temu, kiedy życie zaczęło ją przerastać...

Ksiądz zapukał w szybę. Stał na zewnątrz i przyglądał się Zoi, skąpany w strugach deszczu. Wciąż jeszcze zatopiona w niespokojnych myślach, spojrzała na jego twarz. Ukryta pod kapturem, wyglądała upiornie, niczym maska. Wzdrygnęła się i przymknęła oczy.

Tak, maska.

„A może to właśnie ja noszę maskę, którą boję się zdjąć?” – pomyślała.

– Dosyć tego – wyszeptła Zoja i energicznie wysiadła, stając z kluczykami w dłoni obok księdza. Wielkie krople zimnego deszczu spadały z góry, przeciekając przez kołnierz w płaszczu Zoi. W przeciwieństwie do księdza nie miała kaptura i bardzo tego żałowała.

Lawirując pomiędzy zaparkowanymi samochodami, próbowali przedostać się na chodnik. W pewnej chwili Zoja o mały włos nie wpadła pod wyjeżdżające audi. Kierowca docisnął hamulec, koła zawyły na śliskiej nawierzchni, auto zatrzymało się dosłownie przed jej nogami. Przeciągły dźwięk klaksonu prawie przyprawił Zoję o zawał. Gdyby nie natychmiastowa reakcja księdza, który odciągnął ją na chodnik, przewróciłaby się na maskę. Idąc w kierunku szpitala, jeszcze przez dłuższą chwilę słyszeli, jak wściekły kierowca wydziera się, wygrażając Zoi pięścią przez szybę.

Na wysokości głównego wejścia do szpitala skręcili w lewo i poszli na przełaj rozmokniętym trawnikiem, do niewielkiego budynku ukrytego pośród gęsto rosnących sosen i jodeł. Na chwilę przystanęli pod wiatą.

– Tak jak myślałam, nie ma karawanu – powiedziała Zoja, rozglądając się po niewielkim parkingu wyłożonym betonowymi płytami, które pod wpływem deszczu zamieniły się w ogromną kałużę.

– Faktycznie – odpowiedział ksiądz, chowając telefon do kieszeni. W jego głosie dał się słyszeć cień zawodu. – Kraśko nie odbiera telefonu.

– Czułam że tak będzie.

Ksiądz bezradnie zamachał rękoma. Wszedł po schodach i nacisnął na sfatygowany przycisk dzwonka. Po chwili system zabrzączał jednostajnym niskim dźwiękiem i drzwi się otworzyły. Ksiądz wszedł do środka pierwszy, Zoja z niepewną miną tuż za nim.

Znaleźli się w słabo oświetlonym korytarzu bez okien. Zoja zdjęła przemoczony płaszcz i rzuciła na jedno z krzeseł stojących w długim rzędzie pod ścianą. Przyśpieszyła kroku, chcąc dogonić księdza idącego w stronę stanowiska, które miało chyba służyć interesantom jako namiastka szpitalnej rejestracji.

– Śmierdzi tu lizolem... – skrzywiła się Zoja, kiedy już go dogoniła.

– Jak to w szpitalu – wzruszył ramionami ksiądz.

Ich kroki odbijały się echem od wysokiego sufitu. Blade światło rzucało cienie na podłogę wyłożoną prostokątnymi kaflami w stylu przedwojennych angielskich szpitali. Długi rząd krzeseł, ciągnący się wzdłuż ściany od wejścia, zastąpiły teraz metalowe sarkofagi na kółkach, ustawione po obu stronach korytarza.

„Klaustrofobiczna trupiarnia” – pomyślała Zoja, ze wstrętem spoglądając przed siebie. Siedząca za szybą rejestracji otyła pielęgniarka w białym kitlu, obserwowała każdy ich krok. Od pierwszej chwili zrobiła

na Zoi fatalne wrażenie.

– Pani po kogo?

Zoja położyła na blacie paszport.

– Trocińska.

– Zofia – dodał ksiądz.

Pielęgniarka nieprzytomnie zatrzepotała rzęsami. Niespokojnie poderwała się z obrotowego krzesła, otworzyła jakiś zeszyt i przeleciała po nim wzrokiem. Znalazszy to czego szukała, porwała z biurka telefon i zniknęła za przeszklonymi drzwiami, jakby nie chciała, żeby słyszeli jej rozmowę. Po krótkiej chwili wróciła, odłożyła telefon na miejsce i bez słowa zaczęła nerwowo spoglądać w stronę korytarza po lewej stronie.

W oddali zaskrzypiały drzwi. Z początku ciche, potem głośniejsze szuranie chodakami potwierdziło przypuszczenia Zoi, że ktoś został pilnie poproszony do recepcji.

Na horyzoncie pojawił się niski mężczyzna w wygniecionym białym kitlu. Sprawiał ponure wrażenie, a do tego bił od niego silny zapach chloru i innych środków do dezynfekcji. Przywitał się z księdzem, jakby z rozmysłem ignorując obecność Zoi. Jego obcesowość i bezosobowy sposób zwracania się były tak samo koszmarne, jak kolejny korytarz, jakim poprowadził ich chwilę później, kierując się w kierunku sali A32. Z przeciwległego końca korytarza wyłoniło się dwóch pielęgniarzy pchających wózek z ciałem.

Na ich widok Zoja gwałtownie przystanęła. Błada jak ściana za jej plecami, złapała księdza za rękę.

– Nie dam rady... – wyjęczała, próbując złapać oddech.

– Pani Zoju... – spróbował ją uspokoić ksiądz. – Wszystko będzie dobrze.

Zasłoniła usta dłonią i pokiwała głową.

– Nie będzie. Zaraz się zrzygam – wyjęczała.

Pielęgniarz odwrócił się i powiedział:

– Toaleta jest na końcu korytarza. Drzwi powinny być otwarte... – zamachał ręką i zrobił krok w tył, żeby Zoja mogła go ominąć.

Przez chwilę dało się słyszeć jedynie stukanie obcasów o podłogę. Potem zapanowała cisza, przerywana jedynie głośnymi westchnieniami księdza, spoglądającego z lękiem w stronę drzwi łazienki. Po chwili dało się słyszeć ciche skrzypnięcie drzwi i coraz głośniejszy odgłos kroków.

– Już lepiej? – zapytał ksiądz, kiedy Zoja podeszła bliżej.

Pokiwała głową i zmieniła chusteczkę, którą przyciskała do mokrego czoła.

– Jak bardzo pani nie chce, może pani nie wchodzić – zaproponował pielęgniarz.

Zoja spojrzała z nadzieją na księdza.

– Zrobi to ksiądz dla mnie?

Spojrzał na nią ze zdziwioną miną, kiwnął na pielęgniarza, po czym obaj zniknęli za półotwartymi, masywnymi drzwiami ze stali.

Zoja wzięła głębszy wdech i usiadła na podłodze, opierając głowę o ścianę. Chłód kafelków był przyjemniejszy niż się spodziewała, a zapach lizolu nie tak ostry jak jeszcze chwilę temu.

„Uspokoję się i wszystko będzie dobrze” – pomyślała Zoja.

Zamknęła oczy i podparła głowę rękoma. Miała gdzieś to, co pomyśli ktoś, kto będzie przechodził korytarzem. Na razie dookoła panowała cisza, a ostre światło, padające przez wąską szparę w niedomkniętych drzwiach sali, rzucało na podłogę tuż przy jej nogach trójkątny snop żółcienia. Wyglądało na to, że ksiądz i pielęgniarz świetnie sobie radzą bez niej. Słyszała ich cichą rozmowę, z której wynikało, że wszystko idzie zgodnie z planem. Tak jak mówił za drzwiami ksiądz, podpisze dokumenty, a wtedy ludzie z zakładu będą mogli odebrać ciało.

– Kraśko... – wyszeptała nagle Zoja, czując tępe ukłucie w środku głowy. Nagle pod na wpół przymkniętymi powiekami błysnęło światło. Obrazy pojawiły się znienacka, przesuając się jak taśma w nadpalonej kliszy. Postać mężczyzny w habicie, grożącego Zoi palcem była tak wyraźna, że oblał ją

lodowaty pot. Poczwała nagły przyptyw winy. Co by powiedział, gdyby nagle się tu zjawił i zobaczył ją siedzącą na podłodze pod drzwiami sali, w której leży ciało jej babki, czekające na ostatnią drogę? Co ona sobie w ogóle wyobraża, zrzucając na innych odpowiedzialność...

Zoja poderwała się na równe nogi jak rażona piorunem. Podbiegła do drzwi i rozsunęła je na całą szerokość, wchodząc do środka.

Mrużąc oczy spojrzała na stojącego tyłem do niej księdza, który na jej widok gwałtownie się odwrócił. Pielęgniarski, nachylający się nad zawieszoną nisko szeroką stalową półką, którą miał zamiar wsunąć do ogromnej chłodni, stanął na baczność.

Zoja wzięła głęboki wdech, próbując opanować przerażenie. Zrobiwszy kilka niepewnych kroków, podeszła bliżej i stanęła obok księdza. Jej wzrok powoli powędrował w kierunku ciała. Martwa kobieta była niewielkiego wzrostu. Miała długie białe włosy, opadające wzdłuż ramion. Jej twarz wyglądała na spokojną, a im dłużej Zoja się w nią wpatrywała, tym bardziej czuła, że nie ma w niej żadnych wspomnień, które – jak liczyła – mogłyby nagle odżyć w jej umyśle, pozwalając poczuć choć cień żalu po stracie. Zoja przeniosła wzrok na ciało i dopiero teraz przyszło jej do głowy, że coś tu nie pasuje.

Spojrzała na księdza i nie mogąc się zdecydować, czy jej słowa go nie urażą, rzuciła najogólniej jak umiała:

– Wydaje mi się, że kiedy wsadzają trupa do lodówki, jest nagi.

Ksiądz najpierw spojrzał na nią, jakby powiedziała, że potrzebuje egzorcysty, a dopiero po chwili nieznacznie skinął głową, jakby przyznawał jej rację.

– Nie, niech pan nie wychodzi, proszę tu zostać i wyjaśnić mi o co chodzi! – krzyknęła Zoja do pielęgniarskiego, który jedną nogą stał już na korytarzu.

Odwrócił się i rzucił przestraszonym tonem, po czym czmychnął jak mysz:

– Ja nic nie wiem, proszę pytać lekarza!

– No pięknie. Po prostu cudownie – powiedziała Zoja z wściekłością. Spięła ciasno włosy i poprawiła koszulę. – Naprawdę uważa ksiądz, że zapytałam o coś niewłaściwego? Nigdy nie widziałam, żeby ciało w chłodni było okryte prześcieradłem. W żadnym filmie.

Ksiądz zastanowił się przez chwilę, po czym dodał niepewnie:

– Nie wydało mi się to dziwne do czasu, aż nie zwróciła pani na to mojej uwagi. Faktycznie, niezbyt to częste. No chyba, że chcą coś przed nami ukryć.

Zoja spojrzała na księdza wskazując głową na ciało.

– Zrobi to ksiądz?

– Znowu ja?! – oburzył się, ale podszedł do ciała.

Zoja zasłoniła oczy i zacisnęła usta. Gdy je znowu otworzyła, wydała z siebie krzyk przerażenia.

– Co oni... – wyjęczała słabym głosem, wskazując ręką na linię grubych szwów, idących od klatki piersiowej aż po łono kobiety. Nie było wątpliwości, że została rozplątana na pół i za pomocą grubych chirurgicznych nici poskładana w całość. Nawet laik taki jak ona mógł ocenić, że zostało to zrobione dość niezręcznie, jakby ktoś bardzo się spieszył.

Dosłownie w tej samej chwili w drzwiach pojawiła się sylwetka mężczyzny w zielonym uniformie. Miał na rękach pokryte krwią rękawiczki, a z szyi zwisała mu maseczka. Wyglądało na to, że został oderwany od pracy.

– Pani jest wnuczką zmarłej, tak?

Zoja przytaknęła.

– A ten pan?

– Ten pan... ten pan to też rodzina – skłamała Zoja, siląc się na spokojny ton.

Lekarz splótł ręce na piersi i wszedł do sali, wyraźnie oburzony.

– Nazywam się Witold Grądziela i to ja wykonywałem sekcję zwłok – jego ton nie pozostawiał złudzeń, że traktuje Zoję i księdza jak intruzów. – Rozumiem, że nie zostaliście państwo poinformowani o

jej wynikach?

– Nie. Co gorsza, nikt nie pytał nas o zgodę przed jej wykonaniem – rzuciła groźnie Zoja.

Lekarz wydawał się niewzruszony. Oparł się plecami o skraj wysuniętej szuflady, tuż obok ciała, po czym spojrzął na Zoję pełnym niechęci wzrokiem.

– W sytuacji, gdy nie możemy ustalić przyczyny zgonu w sposób jednoznaczny, mamy prawo przeprowadzić sekcję zwłok bez pytania rodziny o zgodę.

– Co właściwie chce pan przez to powiedzieć? – zapytała Zoja.

– To co powiedziałem – odparł ze złością lekarz.

Nagle w drzwiach pojawiła się kolejna postać. Był to mężczyzna w podobnym, lekarskim uniformie. W przeciwieństwie do patologa miał uśmiech na twarzy i nie wyglądał na przytłoczonego obowiązками, chociaż i on przyglądał się Zoi i księdzu z podejrzliwą miną.

– Przepraszam, nie mogłem szybciej – rzucił przeprasząco.

– Nie szkodzi, nie zaszliśmy zbyt daleko – odpowiedział oschle patolog i zabrał się do zdejmowania rękawiczek. Ostentacyjnie uściśnął jego dłoń, ewidentnie chcąc pokazać Zoi, że tylko wybrani zasługują na takie względy.

– Krzysztof Jaros, jestem zastępcą ordynatora oddziału onkologicznego – przedstawił się nowoprzybyły i zaraz uściśnął rękę Zoi, a potem księdza. – Byłem lekarzem prowadzącym pani... – przerwał, spoglądając pytająco na Zoję.

– Była moją babką – powiedziała z trudem Zoja.

Otworzył teczkę, którą trzymał pod pachą i wyjął z niej kilka dokumentów. Zerknął na nie, kiwając głową, jakby chciał się upewnić, że pamięta historię choroby, po czym zaczął mówić:

– Pacjentka została przyjęta na oddział onkologiczny w stanie ogólnym dobrym, szóstego kwietnia w godzinach porannych. Chorowała na nowotwór złośliwy lewej nerki, z przerzutami do wątroby. Tego dnia miała przyjąć kolejną dawkę chemii. Hospitalizacja miała trwać planowo do dziesiątego kwietnia, ale...

– Nastąpił zgon... – wtrąciła Zoja.

Lekarz pokręcił głową. Patolog zakasłał, dając znak, że teraz jego kolej.

– Niezupełnie – powiedział nieco spokojniejszym tonem niż wcześniej. – Choroba nowotworowa nie była aż tak zaawansowana, by doprowadzić do śmierci. Narządy były znacznie powiększone, obszar przerzutów rozległy, ale nie to było bezpośrednią przyczyną śmierci.

Zoja spojrzała na jednego i drugiego, jakby nie rozumiała co mówią.

– Panowie, to chyba jakiś absurd... – zaśmiała się nerwowo.

Na kilka sekund w sali zapadła mroząca krew w żyłach cisza. Lekarz z patologiem spoglądali na siebie pełnym obaw wzrokiem. W końcu ten drugi odważył się zabrać głos.

– W badaniu toksykologicznym wykryte zostały bardzo duże ilości substancji będącej pochodną fenantrenu.

– Może pan mówić jaśniej?

– Pan doktor ma na myśli substancję roślinną znaną jako opium.

– Szprycowała się opium?! – wrzasnęła Zoja.

– Nie do końca. Substancja została wstrzyknięta tylko raz. Nie mamy wątpliwości, że dawka i sposób podania zostały precyzyjnie dopasowane do celu, jaki ktoś chciał osiągnąć – wyjaśnił patolog.

– Pani Zoju – zaproponował łagodnym tonem lekarz prowadzący. – Proponuję kontynuować rozmowę w moim gabinecie. Tak będzie lepiej i – zerknął konspiracyjnie na patologa – bezpieczniej dla nas wszystkich.

Kilkadziesiąt minut później Zoja wybiegła na dwór. Powoli zapadał zmrok. Usiadła na brzegu mokrej ławki, strzepując ręką wodę ze szczebli.

– Już dobrze – powiedział ksiądz widząc, że nadal cała się trzęsie.

Nie, wcale nie było dobrze. Spojrzała na niego i poprosiła, żeby podał jej torebkę, w której miała papierosy.

– Zapali ksiądz? – zaproponowała Zoja.

– Nie, nie palę, ale dym mi nie przeszkadza – odpowiedział i usiadł na ławce.

Foliowa torba, którą od dłuższej chwili trzymał w dłoni zaszeleściła złowrogo, przypominając Zoi o straszliwej rozmowie z lekarzami.

– Jak policja mogła odmówić wszczęcia śledztwa?!

– Nie wiem pani Zoju. Też nie mieści mi się to w głowie.

– I dlaczego zabronili lekarzom przeprowadzić sekcję zwłok?!

Ksiądz spuścił głowę i wzdychając powiedział, że bądź co bądź i tak dobrze, że wykazali się odwagą i przeprowadzili ją na własną rękę.

– Dobrze że nie pada – zmieniała temat Zoja.

– O tak – odrzekł ksiądz i uniosł głowę, głośno wciągając nosem chłodne powietrze przesycone wilgocią.

Zoja zrobiła to samo. Uniosła głowę i przymykając oczy zaczęła powoli wciągać nosem powietrze, które po chwili wydychała ustami. Proste ćwiczenie relaksacyjne, jakiego nauczyła się pracując po kilkanaście godzin na dobę, zawsze skutkowało, choć wiedziała, że nie na długo. Wdech. Moją babkę, Zofię Trocińską, zamordowano. Wydech. Lekarze przeprowadzili sekcję zwłok, żeby potwierdzić, że została otruta. Wdech. Policja odmówiła wszczęcia śledztwa, a prokurator zagroził lekarzom odebraniem prawa do wykonywania zawodu. Wydech. Człowiek, który nakłonił ją do przyjazdu do Polski, zaginął, choć przecież zaledwie przed kilkoma dniami zapewniał ją, że dotrze na czas. Wdech. Została wmieszana w śmierć kobiety, której nawet nie pamięta. Wydech. Co do cholery powinnam teraz zrobić?

Zoja otworzyła oczy. Kręciło jej się w głowie i czuła jak mroźne powietrze przeszywa ją do szpiku kości. Wilgotny płaszcz narzucony na plecy wcale nie dodawał ciepła. Wzdrygnęła się i spojrzała na księdza – on także trząsł się z zimna.

– Co do cholery powinnam zrobić? – rzuciła, przerywając ciszę i zaczęła chuchać w dłonie, żeby się rozgrzać.

– To co powiedzieli tamci dwaj lekarze.

Zoja zamarła. Nie mogła pojąć, co ksiądz ma na myśli.

– Dali mi to, kiedy wyszła pani do łazienki – wyjaśnił, wyjmując z kieszeni bluzy niewielki notes i pęk zardzewiałych kluczy.

– Co to takiego? – zdziwiła się Zoja.

– Ten młodszy lekarz powiedział, że udało mu się to zabrać z sali, w której leżała, chwilę przed tym, zanim przyjechał prokurator.

Zoja wzięła od niego notes i przyświecając sobie zapalniczką, przekartkowała go.

– Nic tam nie ma – oceniła po chwili, oddając notes księdzu.

Klucze upadły na ziemię. Rozległ się cichy brzęk metalu.

– A jednak... – powiedział ksiądz i jeszcze raz otworzył notes, śliniąc palec powoli przekładał kartka po kartce, jakby wiedział czego szuka.

– O, to tu – powiedział i podał Zoi.

Schylił się i podniósł klucze. W tym czasie Zoja niezbyt pewnie składała litery, tłumacząc, że mówi po polsku lepiej niż czyta. Kiedy skończyła wymawiać ostatnią sylabę, spojrzała na księdza ze zdziwieniem.

– Myśli ksiądz, że...

Ksiądz pomachał jej przed nosem kluczami. Chytrze się uśmiechając, powiedział:

– To całkiem możliwe. Myślę, że jeżeli chcemy dowiedzieć się czegoś więcej, powinniśmy zaryzykować.

BMW sunęło po kocich łbach, zagłębiając się w ciemność, rozświetlaną jedynie dwiema ulicznymi latarniami, rozstawionymi w odległości stu metrów od siebie. Gdzieś z podwórza dało się słyszeć ciche skomlenie psa. Niskie, dwupiętrowe kamienice stały w rzędzie wzdłuż chodnika. W najdłuższej, pokrytej szarą, łuszczącą się farbą, z dużych plastikowych okien wyzierała ciemność. Tylko w dwóch oknach znajdujących się na piętrze na lewo od bramy, zza zasłon wydostawał się pomarańczowy snop ciepłego światła. Nie trwało to długo; gdy silnik samochodu zgasł, zasłona w oknie się poruszyła, mignął cień postaci, a kilka sekund później wszystkie światła pogasły.

W samochodzie dało się słyszeć skrzypienie skóry, którą obite były fotele. Obdrapana tabliczka wisząca na fasadzie budynku tuż pod latarnią potwierdzała, że dotarli na miejsce.

– Przemysłowa 34 – odczytał ksiądz i schował głowę do samochodu.

Zoja położyła palec wskazujący na niewielkim przycisku w drzwiach. Szyba od strony księdza zaczęła się powoli zamykać. Wnętrze auta znów zaczęło wypełniać ciepło.

– A co, jeśli ktoś tam będzie? – rzuciła niepewnie, spoglądając w stronę bramy, a potem na okna, w których zgasły światła.

– Tym lepiej. Szybciej uda nam się czegoś dowiedzieć – odpowiedział ksiądz tonem nieznoszącym sprzeciwu i energicznie wysiadł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Zoja zamknęła samochód i drżąc z zimna ruszyła za nim w kierunku ciemnej bramy, coraz bardziej żałując, że zgodziła się na to całe szaleństwo.

Obchodzili budynek dookoła, gdy nagle ksiądz zrobił minę, jakby zobaczył ducha i przystanął pod ścianą. Zawołał Zoję, wskazując ręką na wmurowaną kamienną tablicę, znajdującą się na wysokości jego oczu.

– Tu było wejście do Obozu dla młodych Polaków Policji Bezpieczeństwa w Łodzi. *Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei in Litzmannstadt* – głośno przełknął ślinę i pełnym bólu wzrokiem spojrzął na Zoję. – W czasie drugiej wojny był tu obóz dla sierot. W miejscu gdzie stoi ten budynek było wejście do kompleksu, w który zgładzono tysiące dzieci tylko dlatego, że były polskiej narodowości.

Zoja poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Moja babka mieszkała na terenie byłego obozu zagłady?! W czasie, gdy próbowała otrząsnąć się z szoku, ksiądz przyklęknął na jedno kolano i uderzył się w pierś.

– Moja wina, moja bardzo wielka wina... – wyszeptał łamiącym się głosem. – Chociaż nikt nie rodzi się nazistą...

Zoi zrobiło się go szkoda. Chciała położyć mu dłoń na ramieniu i wyjaśnić, że jej zdaniem kolejne pokolenia Niemców nie mogą wciąż kajać się za winy swoich przodków, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, ksiądz zniknął w ciemnej bramie. Zabrzączał klucz i dało się słyszeć skrzypienie ciężkich drzwi.

– Pani Zoju, szybciej, proszę za mną! – ponaglił ksiądz. Jego pewność siebie wróciła. Stał bokiem, trzymając na wpół otwarte drzwi prowadzące na klatkę schodową.

Zoja przyśpieszyła kroku i prześlizgnęła się przez uchylone drzwi. Obydwoje z księdzem znaleźli się w ciemnym korytarzu, w którym śmierdziało wilgocią i uryną.

– Światło?! – zapytała niepewnie Zoja, wyciągając wzrok. Jej głos brzmiał nienaturalnie i obco, podobnie jak głos księdza. Jakby znaleźli się w studni albo więziennej celi.

– Wygląda na to, że nie ma – odpowiedział ksiądz i używając telefonu jako latarki ruszył w kierunku schodów.

Zoja przeklęła pod nosem i poszła za nim. Zaczęli się wspinać po stromych drewnianych schodach prowadzących na piętro. Za ich plecami brama zatrzasnęła się z głośnym hukem, sprawiając że Zoja gwałtownie się obejrzała, wydając z siebie zduszony krzyk; spodziewała się widoku bandyty celującego do nich z broni albo lepiej strzykawki pełnej śmiertelnej dawki opium. Nic takiego jednak się nie stało. Poczuli się idiotycznie, po raz kolejny tego dnia łapiąc się na tym, że pozwala, by zawładnął nią strach. Przebiegła jej przez głowę myśl, że wystarczająco wiele razy skompromitowała się przed młodym

księdzem. Uznała, że skoro już udało jej się dotrzeć na miejsce i – chcąc nie chcąc – znajduje się tuż pod mieszkaniem swojej babki, powinna wykazać się odwagą i przejąć stery.

„Teraz ja tu jestem szefem” – pomyślała i posłała księdzu pełne pewności siebie spojrzenie, po czym przyśpieszyła kroku.

Przestępując po dwa spróchniałe stopnie na raz wdrapała się na górę i stanęła pod drzwiami z wiszącą na nich tabliczką z numerem pięć.

Niemal natychmiast przekonała się, jak wielki błąd popełniła.

Zastukała trzy razy, a kiedy nikt po drugiej stronie się nie odezwał, nacisnęła klamkę. Drewniane drzwi ustąpiły bez oporu, a z ciemnego korytarza buchnął smród zgnilizny. Zoja wydała z siebie zduszony krzyk i cofnęła się o krok. Jej noga utknęła w dziurze w podłodze i w tej samej sekundzie, machając rękoma, z impetem poleciała do tyłu. Ksiądz zdołał ją złapać w ostatniej chwili. Posadził ją na schodach i wyszeptał:

– Niech już pani lepiej nie zgrywa bohaterki! Proszę tu zostać i czekać na mój znak – rozkazał oschle i zniknął w ciemnościach za uchylonymi drzwiami.

Zoja jęknęła żałośnie. W głowie czuła zamęt, serce waliło jej jak oszalałe, a na samą myśl, że przed chwilą przyszło jej do głowy, że mogłaby poradzić sobie sama, miała ochotę krzyczeć. Wytężając słuch, czekała na znak księdza. Przez ponad minutę z mieszkania dochodziły jedynie stłumione odgłosy kroków. Zniecierpliwiona Zoja już miała wstać, kiedy usłyszała niewyraźne szmery za drzwiami sąsiedniego lokalu.

To tam ktoś pogasił lampy zaraz po tym jak podjechaliśmy pod budynek – oceniła, przypominając sobie układ budynku widziany od strony chodnika.

Wstrzymując oddech przyłgnęła do ściany i zaczęła nasłuchiwać.

Z początku dał się słyszeć cichy szmer klucza wsuwanego do zamka. Klucz szczęknął, a drzwi lekko się uchylily. Ze środka wydobył się duszący zapach dymu z tanich papierosów, a po kilku sekundach z ciemności wyłoniła się czyjaś rozczochrana głowa. Czerwone oczy czujnie omiotły korytarz, zatrzymując się na uchylonych drzwiach mieszkania numer pięć. W końcu postać szybko zniknęła, klucz w drzwiach szczęknął, a na korytarzu zapanowała cisza.

Zoja poderwała się na równe nogi i zatykając nos, najciszej jak umiała, wślizgnęła się przez uchylone drzwi do mieszkania babki.

Znalazła księdza stojącego pod zamkniętymi drzwiami w głębi korytarza. Trzymał w dłoni pęk kluczy i wyglądał na zmartwionego.

– Proszę przytrzymać telefon i poświecić – rozkazał podając Zoi starą Nokię. – Nie mogę dopasować żadnego z kluczy. Te jedne drzwi są zamknięte.

– A co tak śmierdzi?

– Zdechły kot w sypialni.

Zoja zbladła. Oczyma wyobraźni zobaczyła leżące na łóżku martwe zwierzę, gnijące, pozostawione w mieszkaniu przez chorą właścicielkę, cholera wie jak dawno temu.

– Jak tak można! – rzuciła z wściekłością.

Ksiądz pociągnął nosem i wzruszył ramionami.

– W całym mieszkaniu nie ma światła. Nie ma też wody i gazu. Wygląda na to, że od dawna nikt tu nie mieszka. No co z tym zamkiem... – zdenerwował się, próbując przekręcić masywny klucz, który za nic nie chciał drgnąć.

– Wypróbowałem już wszystkie – wzruszył ramionami. – Wygląda na to, że trzeba będzie wyważyć.

– Może lepiej nie... – rzuciła z obawą Zoja i powiedziała księdzu o tym, co stało się przed chwilą na korytarzu.

– Nie sądzę, żeby ktoś chciał ściągać sobie na głowę policję... – podsumował ksiądz i nieoczekiwanie rozkazał Zoi, żeby się odsunęła.

Ze zdziwioną miną zrobiła kilka kroków w tył. Ksiądz z całej siły rąbnął barkiem w drzwi, ale nie ustąpiły. Odsunął się i raz jeszcze wymierzył kopniaka, tym razem celując w rząd zbutwiałych desek na dole. Kawałki drewna wypadły na korytarz.

– Voila! – uklonił się Zoi i pchnął podziurawione drzwi, które wpadły do wnętrza pokoju. Ostrożnie weszli do środka. Zoja natychmiast poczuła jak lodowate powietrze oblepia jej ciało. Szczelnie otuliła się płaszczem i wyjęła z kieszeni telefon, żeby podobnie jak ksiądz użyć go zamiast latarki.

Słabe światło odkryło straszną tajemnicę. Nie wierząc własnym oczom, z rosącym przerażeniem Zoja przyglądała się ścianom, w całości pokrytym nieociosanymi kamiennymi granitowymi płytami, schodzącymi w łuk tuż ponad granicą sufitu. Jakiś szalony architekt zamienił pokój w skalną grootę.

Okno wychodzące na dwór, także zostało zasłonięte kamienną ścianą. Dookoła panowała ciemność, rozświetlana zapalonymi kolejno przez księdza świecami.

W słabym świetle świec Zoja odkryła, że część ścian pokrywają zdjęcia dzieci. Czarno-białe fotografie ukazywały wychudzone postaci, ubrane w poszarpane koszule, rodem z koszmarnych filmów o holocaustcie. Każde zdjęcie opatrzone pięciocyfrowym numerem, podpisane było imieniem.

Nagle ksiądz podszedł do stojącego w rogu magnetofonu i nacisnął przycisk „play”. Pomieszczenie wypełniło się słabymi głosami dzieci, śpiewających nierówno kołysankę, której słowa brzmiały:

*„Już księżyc zgasł i gwiazdki lśnią,
sen zmorzył twą laleczkę,
więc rączki złoż i oczka zmrz,
opowiem ci bajeczkę.
Był sobie król, był sobie paż
i była też królowna,
żyli wśród róż, nie znali burz –
rzecz najzupełniej pewna.
Na skraju miasta zamek stał,
mur go od świata dzieli,
a że się tak kochali, więc
mieszkali cela przy celi.
Lecz żebyś ty pojęła sens
tej mojej piosnki nowej:
z WiN-u był „Król”, „Paż” z NSZ,
„Królowna” z Armii Krajowej.”¹*

– „Z WiN-u był „Król”, „Paż” z NSZ, „Królowna” z Armii Krajowej.”... – powtórzył ksiądz i spojrzał na Zoję. – Nie znam zbyt dobrze historii Polski, ale zdaje mi się, że to jakaś żołnierska piosenka...

Zoja otarła z oczu łzy.

– I śpiewają ją dzieci? Nie, nie wydaje mi się. To raczej jakaś kołysanka z zaszyfowaną wiadomością... Całkiem możliwe że śpiewały to te dzieci, które tu uwięziono.

– Całkiem możliwe – zgodził się ksiądz. – Całkiem możliwe... – powtórzył łamiącym się głosem. Zoja podeszła do jednej ze ścian i zaczęła odczytywać na głos imiona dzieci na zdjęciach.

– Jan, Władysław, Jerzy, Włodzimierz, Józef, Halina, Zdzisław, Mieczysław... – wzięła oddech, wypuszczając z ust obłoczki pary. – Wygląda na to, że zdjęcia ułożone są chronologicznie, od 11 grudnia 1942 roku...

Ksiądz zdawał się nie słuchać co mówi. Przeszedł na środek pokoju i stanął, wpatrując się w oparty o krzesło krzyż i stojącą obok kamienną płytę z wymalowaną na niej postacią kobiety.

– Święta Anna – wyjaśnił ksiądz, kiedy zobaczył, że Zoja mu się przygląda. – Jedno z najstarszych malowideł chrześcijańskich na świecie. Święta Anna była matką Maryi. Jej palec wskazujący, przyłożony do ust oznacza... – zawahał się. – Właściwie nie wiadomo, co ma symbolizować.

Im dłużej Zoja przyglądała się malowidłu, tym większy strach w niej wzbudzało. Zdawało jej się, że kobieta patrzy w jej oczy i jest w nich coś, co powinna odgadnąć, co powinna wiedzieć...

– Nie rozumiem, po co zadała sobie aż tyle trudu. Samo wydrukowanie tych zdjęć, powieszenie ich, musiało zająć jej mnóstwo czasu. A do tego jeszcze te kamienne ściany, malowidło, jakby chciała stworzyć tu kaplicę...

– O kim mówisz? – zdziwił się ksiądz.

– Jak to? – Zoja oderwała wzrok od oczu świętej Anny i spojrzała na księdza. – O niej. O mojej babce Zofii.

Ksiądz pokręcił głową.

– To wcale nie musi być jej dzieło. Równie dobrze mógł to zrobić ktoś z nich... – powiedział, wskazując ręką na zdjęcia dzieci.

Zoja zaśmiała się nerwowo.

– A może moja babka była jedną z nich? Może zapamiętała coś, co nie powinno wyjść na światło dzienne i dlatego ktoś ją zamordował?

Ksiądz nie odpowiedział. Powoli opuścił głowę, zamknął oczy i w skupieniu oddał się modlitwie za zmarłych.

Zoja, nie chcąc mu przeszkadzać, po cichu przeszła przez pokój, do miejsca, w którym jej zdaniem powinno znajdować się okno wychodzące na chodnik, gdzie zaparkowali samochód. Tylko tam na ścianach nie było zdjęć. Może dlatego na podłodze wałały się nadpalone skrawki kartek. Zoja nachyliła się i zobaczyła, że zostały powyrywane ze starych zeszytów. Kilka okładek znalazło się pod ścianą. Spalone kawałki papieru, miejscami poukładane w kupki, pachniały jeszcze dymem. Zoja nachyliła się i podniosła kartkę, która jako jedyna nie zdążyła się spalić. A może ktoś nie spalił jej celowo? Co zaskoczyło Zoję, bez trudu dało się odczytać imiona i nazwiska, wypisane niebieskim atramentem, jedno pod drugim. Kilka z nich pasowało do imion dzieci na fotografiach. Na samym dole pojawiły się dwa, które przykuły jej uwagę i sprawiły, że natychmiast zawołała księdza.

– O, tu – pokazała na skrawek papieru. – Widzi ksiądz? Te dwa imiona: Sara i Zofia. To nie może być przypadek!

Podbiegła do ściany i zaczęła szukać zdjęć.

– Muszą gdzieś tu być... – upierała się, wędrując wzrokiem od fotografii do fotografii, nie zważając na to, że ksiądz nie podziela jej euforii.

Nagle zamarła. To co zobaczyła, nie mogło być zbiegiem okoliczności.

– Nie ma ich – wyszeptwała. – Są tylko dwa puste miejsca obok siebie. Ktoś je ukradł. Dlaczego akurat te dwa... – powiedziała z niedowierzaniem i zerknęła na księdza. – Nie sądzi ksiądz, że to dziwne?

– Tak samo jak wszystko inne – odrzekł lakonicznie ksiądz.

Zoja nie dawała za wygraną.

– Zofia to imię mojej babki. A Sara? Kim była Sara?

Ksiądz zrobił bezradną minę. Wyglądał tak, jakby cała ta sprawa zaczęła go przytłaczać. Ewidentnie zamienili się rolami. Teraz to on stał się ofiarą, a Zoja detektywem.

– Nie mam zielonego pojęcia.

Zoja poczuła się zawiedziona. Jeśli cokolwiek mogło ich przybliżyć do odkrycia prawdy, to właśnie to imię wydało jej się kluczem. To nie mógł być przypadek, czuła to. „Dlaczego teraz, kiedy jesteśmy tak blisko, ksiądz nie chce mi pomóc?” – pomyślała, zerkając na niego ze złością. Kiedy po chwili odezwał się znowu, z radości niemal rzuciła się mu na szyję.

– Właściwie to jest cień szansy. Jeśli stare księgi parafialne nie rozpadły się całkiem od czasu, gdy

ostatni raz miałem je w rękach, możemy poszukać odpowiedzi w spisie parafian Sobótki Nowej. Stare, zakurzone księgi wyniesione z piwnicy nie mogły kłamać. Z danych zapisanych w aktach wynikało, że babka Zoi, Zofia Trocińska, miała siostrę bliźniaczkę, Sarę. Obie trafiły do ochronki w Sobótce Nowej w 1938 roku. W dokumentach nie pojawiała się żadna informacja o ich rodzicach. W rubryce matka widniał skrót NN, podobnie przy danych ojca. Z akt wynikało, że dziewczynki zostały ochrzczone w parafii w 1941 roku. Potem, dokładnie w 1942 roku, ślad po obu ginie, zupełnie jakby z dnia na dzień rozplynęły się w powietrzu.

– I tu mamy ślad... – wtrąciła Zoja, podrywając się z krzesła. – Imiona wypisane na kartce pasują idealnie.

Ksiądz zaczął masować zdrętwiałą szyję.

– Czyli zgadzamy się co do tego, że obie musiały trafić do obozu dla sierot w Łodzi.

– Tak! – zawołała Zoja. – To by się zgadzało.

Ksiądz ostudził jej zapał.

– Ale to i tak nie wyjaśnia zbyt wiele. Nie wiemy co stało się z nimi po wojnie, czy obie przeżyły, czy udało się tylko pani babce...

– Tak czy inaczej, to nie może być przypadek! – nie dawała za wygraną Zoja.

Zaczęła krążyć po pokoju, przecierając zaczerwienione ze zmęczenia oczy. Mimo, że organizm dawał jej coraz wyraźniejsze sygnały, że potrzebuje snu, nie zamierzała się położyć. Wciąż liczyła na to, że ten na kogo czeka, lada moment zapuka do drzwi.

Kiedy ksiądz wyszedł do łazienki, podniosła wzrok na zegar wiszący na ścianie.

„Jedenaście godzin to nie trzydzieści minut, to fakt. Ale skoro obiecał, na pewno dotrzyma słowa” – pomyślała i westchnęła.

Ksiądz wrócił z łazienki i stwierdził, że musi się przespać.

– Nawet kilka godzin snu jest lepsze niż nic – oznajmił i zaczął się układać na skrzypiącej kanapie. –

Przygotowałem dla pani łóżko u mnie w sypialni.

Zoja podziękowała, chociaż wcale nie zamierzała się położyć. Po cichu wyszła z pokoju i przemknęła korytarzem w kierunku drzwi wyjściowych. Uchyliła je i narzuciwszy na plecy bluzę księdza wiszącą na haczyku, wyszła na dwór. Orzeźwiający, mroźny powietrze owiało jej twarz.

Ruszyła ścieżką w kierunku kościoła. Zmarznięta ziemia chrzęściła jej pod stopami. Kałuże w kilku miejscach pozamieniały się w skute lodem tafle. Próbuąc je ominąć zeszła ze ścieżki na trawę pokrytą szronem. Po lewej stronie, całkiem niedaleko, zobaczyła furtkę prowadzącą na cmentarz. Była uchylona i lekko drgała, zupełnie jakby...

– Ojcie Bruno?! – zawołała Zoja, ruszając w tamtą stronę.

Choć nie usłyszała żadnej odpowiedzi, była pewna, że nie może się mylić. Ojciec Bruno musiał dopiero co przyjechać i postanowił sprawdzić czy wszystko jest dopięte na ostatni guzik. Obejrzała się w kierunku parkingu. W ciemnościach nie mogła dostrzec samochodów, ale była pewna, że ten, którym przyjechał, na pewno gdzieś tam jest.

– Ojcie Bruno! – zawołała znowu, rozglądając się pomiędzy grobami.

Niewyraźny szelest liści, jaki usłyszała za plecami, z początku nie wydał jej się niepokojący. Dopiero kiedy usłyszała go jeszcze raz, odwróciła głowę, próbując dostrzec coś w ciemności.

– Kto tam jest? – zawołała pełnym napięcia głosem.

Zawróciła w kierunku furtki i przyśpieszyła kroku. Lodowaty wiatr podwiewał jej płaszcz, sprawiając, że zaczęła szczełakać zębami. Gdzieś w oddali zaczęła pohukiwać sowa. Przerażona Zoja zerknęła w ciemność za plecami i zaczęła biec w stronę plebanii.

Postać mężczyzny wyrosła przed nią jak spod ziemi. Cofnęła się o krok, próbując dostrzec jego twarz. Kiedy uniósł dłoń ukrytą pod czarną rękawiczką i powoli przysunął palec wskazujący do ust, Zoja zamarła z przerażenia.

– Nie krzycz – rozkazała postać. Jej głos był zniekształcony i pobrzmiwał w nim dziwny akcent. Zoja pokiwała głową potakująco. Wiedziała, że jedyne co może zrobić, to czekać na jego kolejny ruch. Postać zbliżyła się o krok. Zoja drgnęła. Zza chmur wyłonił się fragment księżyca, oświetlając twarz napastnika. Zoja zobaczyła, że jego twarz jest ukryta za maską.

– Kim jesteś? – wyszeptała, z trudem wydobywając z siebie głos.

Wydało jej się, że postać nieznacznie się uśmiecha.

– *Eloi, Eloi, lama sabachthani!* – wyszczała mrozącym krew w żyłach głosem postać, a potem jakby nigdy nic minęła Zoję i odeszła, znikając pośród drzewami na końcu cmentarza.

Zoja przez chwilę nie mogła złapać tchu. Zgięła się w pół i na kilka sekund przysiadła na kamiennej płycie nagrobkowej, podtrzymując się masywnego krzyża. Chwilę potem pognała pędem w kierunku budynku plebanii i po cichu weszła do środka. Nie budząc księdza zabrała ze stołu laptopa i wyszła do kuchni, zamykając za sobą szklane drzwi. Ze strachem spojrzała w okno wychodzące na podwórze. Widząc, że nikogo tam nie ma, nieco się uspokoiła, chociaż wiedziała, że paralizujący strach nie opuści jej jeszcze długo.

Przeszłość wróciła.

Zoja wiedziała, że tym razem nie będzie szansy na ucieczkę.

Otworzyła laptopa i włączyła uśpiony system. Jej srebrny Mac Pro jak zwykle okazał się niezawodny. Przeglądarka internetowa zaczęła pracować w kilka sekund. Nie chcąc tracić ani chwili, Zoja wpisała słowa, dokładnie w takim ciągu, w jakim udało jej się je zapamiętać:

– *Eloi, Eloi, lama sabachtani...*

Chociaż знаła to zdanie, wołała się upewnić. Mało kto mówił „Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił”, woryginalnie przekładu z ewangelii Świętego Marka. Ostatnie słowa, które wypowiedział Jezus przed śmiercią na krzyżu, stały się symbolem cierpienia za grzechy. W święta Wielkiej Nocy, kiedy mnisi zbierali się na czuwanie, wiele razy Opat Bruno wybierał ten fragment Nowego Testamentu i kazał jej czytać na głos.

„A około dziewiątej godziny Jezus zawołał donośnym głosem: „Eli, Eli, lama sabachthani?”, to jest: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?”

Przytłoczona wspomnieniami Zoja wysunęła stołek z pod stołu i przysiadła na nim, kładąc głowę na kolanach. Wizja śmierci, zadanej przez zamaskowanego mężczyznę na cmentarzu, nagle wydała się jej nie mniej przerażająca, niż wszystko co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilkunastu godzin. Musiała przyznać, że nigdy, nawet w najgorszych koszmarach, nie mogłaby wyobrazić sobie bardziej potwornego miejsca, od tego, w którym byli dziś z księdzem. Historia obozu przy Przemysłowej, była tak przerażająca, że aż trudna do uwierzenia.

Może ten, który pojawił się przed mną niczym zjawa, jest strażnikiem pamięci tego miejsca i wszystkich jego potworności?

Oficjalnie obóz dla sierot. A w rzeczywistości miejsce, gdzie naziści zamordowali dziesiątki tysięcy dzieci. Kiedy Himmler podjął decyzje, nie było odwrotu. Obóz przy Przemysłowej wygospodarowano z terenu żydowskiego getta. Było to tym łatwiejsze, że dodatkowe wydzielenie przestrzeni nie wymagało niczyjej zgody w obliczu zagłady, wszechobecnej w tej części miasta. Od 11 grudnia 1942 roku zaczęły się masowe transporty polskich dzieci, które wyłapywano w najróżniejszych rejonach Polski. Pod byle pretekstem skazywano je na śmierć w najstraszliwszych możliwych warunkach. Tysiące z nich umierało każdego dnia leżąc w skrzyniach, na podłogach lub na placu. Epidemie i głód zwały z nóg nawet najsilniejsze jednostki. Do 1945 roku w łódzkim obozie przy Przemysłowej wymordowano tysiące polskich dzieci, czyniąc to pod pretekstem izolacji chorej tkanki narodu od tej zdrowej, aryjskiej. Czym zawiniły dzieci? Nie wiadomo. Czym zawinili ich rodzice także trudno stwierdzić. Bo o tym, że nie były to sieroty, wiedzieli wszyscy. Tak samo jak o tym, że po wojnie te dzieci nie doczekały się należytego upamiętnienia. Z archiwów historycznych wynikało, że dopiero kilkanaście lat temu cześć ich pamięci

została przywrócona. W Łodzi postawiono pomnik, a ludzie zaczęli więcej o sprawie mówić – mimo to wszystkie dokumenty, dane, statystyki, zostały ukryte lub zniszczone. A na Przemysłowej, w budynku gdzie kiedyś mieszkali szefowie obozu, jest tablica. I mieszkanie, w którym kamienne ściany oblepione są zdjęciami dzieci.

– Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił... – wyszeptwała Zoja, drętwiejąc na myśl, że słowa, które usłyszała od nieznanego mężczyzny, mogłoby wypowiedzieć każde z nich.

¹ „Kołysanka 1947” Piosenka z więzienia mołotowskiego z 1947 roku.

Ogień trawi

Krople, które zakropiła rano na suche i szczypiące oczy, okazały się równie nieskuteczne, jak próba zebrania w sobie odwagi, by porozmawiać o nocnym incydencie z księdzem.

– Taka szkoda – lamentowała jakaś kobieta w wyszywanej złotą nicią chustce, zawiązanej sztywno wokół podbródka. – Taka szkoda... – powtórzyła, cmokając Zoję w policzek i zalewając się łzami odeszła w kierunku furtki.

– Tak... szkoda... – odburknęła Zoja, bardziej do siebie niż do niej, z obrzydzeniem ocierając policzek wierzchem dłoni.

Na widok księdza idącego w jej kierunku, nieznacznie się rozchmurzyła. On jeden był w stanie ją zrozumieć. Nie udawał współczucia, bo doskonale wiedział, że nie żywi do zmarłej babki żadnych uczuć. Pragnęła tylko dowiedzieć się, dlaczego ktoś zamordował ją w szpitalu, podając dożylnie najsilniejszą dawkę odurzającej substancji, jaką można sobie wyobrazić. Choć łączyła ich coraz silniejsza chęć rozwikłania tajemnicy, Zoja coraz bardziej zdawała sobie sprawę, że pakowanie księdza w całe to zamieszanie jest z jej strony sporym nadużyciem i prędzej czy później będzie musiała podjąć decyzję, co z tym dalej zrobić. Właściwie była coraz bardziej pewna, że ta chwila właśnie nadeszła.

„Może tak będzie lepiej” – pomyślała, widząc że jest o krok od niej.

– No i co? – zapytał ksiądz, stając obok Zoi z rękoma zaplecionymi na plecach. Jego wzrok wędrował gdzieś ponad drzewami, jakby właśnie w tej chwili starał się odgadnąć sens lotu jaskółek, przecinających niebo na skos w kierunku północnym. Jaskółki zapikowały nisko, by po chwili zataczając koło zniknąć za oddalonym o kilkaset metrów budynkiem plebanii.

Zoja otrząsnęła się z ponurych myśli i przybrała najbardziej neutralną minę na jaką było ją stać.

– Nic. Wygląda na to, że obawy księdza się potwierdziły. Nie miała rodziny ani przyjaciół. Albo żadne z nich nie zechciało przyjechać na pogrzeb.

Ksiądz zamyślił się na chwilę, po czym powiedział:

– Najbardziej zastanawia mnie to, co stało się z człowiekiem, który miał odebrać ciało z kostnicy. Przecież nie mógł się rozpuścić w powietrzu.

– Ale mógł się rozmyślić – westchnęła Zoja. – Po tym wszystkim jestem gotowa uwierzyć nawet w najbardziej absurdalne wytłumaczenie...

– A ja nie – rzucił stanowczo ksiądz. – Właśnie dlatego, że tyle się wydarzyło, zniknięcie kolejnego człowieka nie może być przypadkowe.

– Czyli uważa ksiądz, że mamy kolejnego trupa?!

Ksiądz nachylił się nad grobem i zaczął poprawiać wstęgi w wieńcach. W pierwszej kolejności zabrał się za ten, który kupiła Zoja rano w pobliskiej kwiaciarni. Wstęga z wypisaną na niej sentencją „Na zawsze w moim sercu” wykręciła się w drugą stronę i za nic nie dawała się wyprostować.

– To co mamy – odezwał się nagle ksiądz, trzymając w rękach płatek róży – to tajemnicza śmierć pani babki, zaginięcie kogoś, kto miał odebrać jej ciało, no i – zerknął na Zoję – ten ktoś, kto obiecał pani swoją obecność...

– Ma ksiądz rację, nie dotrzymał obietnicy – odpowiedziała Zoja, nerwowo pokaszując.

Ksiądz wstał, rzucił płatek róży na ziemię i rozglądając się podszedł bliżej.

– A może... – zaczął ścisząc głos, jakby bał się, że ktoś może podsłuchać – ...a może zrobił to, bo wiedział, że inaczej nie zechce pani przyjechać? Może... on wcale... no... nie miał zamiaru się tu zjawić.

Zoja poczuła, jak jej ciało sztywnieje, a serce zaczyna walić jak szalone. Spojrzała na księdza z wyrzutem, ale po chwili uznała, że przecież kilka godzin temu i jej przebiegły przez głowę podobne myśli.

– Też się nad tym zastanawiałam i podobnie jak ksiądz, doszłam do tych samych wniosków. To przykra diagnoza...

– Wniosek pani Zoju, wniosek... – poprawił ją ksiądz z uśmiechem.

– Tak, wniosek. Kiedy się denerwuję, zapominam niektóre polskie słowa.

– Zapewniam, że i tak radzi sobie pani wyśmienicie. Pomimo kilku drobnych pomyłek od czasu do czasu i tak mówi pani o niebo lepiej niż ja. Chociaż jestem tu od ponad dwóch lat, wciąż nie mogę się pozbyć tej ostrej wymowy... Tutejsi często żartują, że mówię po polsku tak, jakbym rąbał drewno – zaśmiał się ksiądz.

Jedna jaskółka oderwała się od pozostałych i zapikowała nisko nad grobami, po czym poderwała się do lotu i poszybowała wysoko między chmurami. Dzień był wyjątkowo paskudny i chłodny, a do tego od wschodu zaczynało się zbierać na deszcz. Wiatr poruszył gałęziami drzew, z których spadło kilka zwiędłych liści. Zoja postawiła kołnierz płaszcza.

– Zimno – powiedziała i zaczęła dreptać w miejscu.

Ksiądz odpowiedział, że owszem, na termometrach ledwo widać sześć stopni powyżej zera.

– Na szczęście chyba możemy już wracać na plebanie – dodał, widząc że ostatni żałobnicy odchodzą w kierunku furki.

Zoja obejrzała się i zaczęła się nerwowo kręcić. Faktycznie, ostatni ludzie zniknęli za niskim murem. Z oddali dały się słyszeć trzaśnięcia drzwi i głośne wycie odpalanych silników.

– Pani Zoju – ksiądz zniecierpliwiony złapał ją za rękę. – Gdyby było coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć, powiedziała mi pani, prawda?

Zoja z trudem przełknęła ślinę. Pełnym strachu wzrokiem spojrzała na księdza. Nie mogąc się zdecydować co powiedzieć, wybrała kłamstwo.

– Oczywiście – zapewniła go. – Oczywiście, że zaraz bym księdzu powiedziała. Po prostu... – zawahała się. – Jestem tym wszystkim przytłoczona i...

„Teraz, zrób to” – pomyślała, oglądając się w kierunku samochodu. Włożyła rękę do kieszeni i wymacała kluczyki.

– Muszę pomyśleć... – wydukała niepewnie i cofnęła się o krok.

Ksiądz obserwował ją czujnie, nie wypuszczając jej dłoni z uścisku. Nagle poczuła falę strachu zalewającą jej umysł, odbierającą jakąkolwiek zdolność racjonalnego myślenia. Zrobiła to, co czuła. To był impuls.

Z całej siły wyszarpała dłoń z jego dłoni i pobiegła ile sił w nogach w stronę samochodu. Zalewając się łzami z trudem wcelowała kluczykiem do zamka w drzwiach i otworzyła je, po czym wskoczyła do środka, odpaliła silnik i na pełnym gazie wyjechała z podwórza wprost na leśną drogę.

Minuty mijały. Las i ustawiona przy drodze tablica z nazwą wsi robiły się coraz mniejsze, a kiedy po chwili spojrzała w lusterko, stały się ledwie widocznymi cieniami. Zmarznięte pola otaczające drogę z dwóch stron i rosnące wzdłuż poboczy topole, nagle przywołały falę wspomnień.

Poczuła się tak, jakby znów tam była. I on, jej opiekun, też.

Była małą dziewczynką, kiedy w Montsegur, wczesną wiosną pomagała mnichom w pracach w ogrodzie. Codziennie spoglądała tęsknie na szczyty wysokich wzgórz, których zbocza pokrywały rosnące bujnie kwiaty i drzewa. Natura. Zapach jodeł i kwitnących kwiatów. Skwierczenie drewna w kominku, gdy zimą wyglądała przez okna na śniegi pokrywające okoliczne pola i sople zwisające z gałęzi drzew rosnących pod wysokim murem. Zapach gorącego mleka z miodem i starych ksiąg, które ukradkiem wyjmowała z szaf pod nieobecność opata. Nawet kiedy był na nią zły, nigdy nie podnosił głosu. Trzymał ją krótko, rygor i dyscyplina były warunkiem jej pobytu z klasztorze. Chociaż w tamtych dniach trudno jej było to znieść, teraz oddałaby wszystko, by znów się tam znaleźć. Oddałaby wszystko, by znów przytulić głowę do jego ramienia, jak wtedy słuchając razem z nim śpiewanej przez chór pieśni Stabat Mater, w gabinecie

pełnym ksiąg.

– Jak do cholery mogłeś mi to zrobić! – wykrzyczała na całe gardło, waląc pięścią w kierownicę. To głównie z jego powodu zdecydowała się przyjechać do Polski. Sądziła, że on także się tu zjawi. Opat był jedyną osobą, która mogła jej wyjaśnić, dlaczego jej babka nigdy wcześniej nie próbowała się z nią skontaktować. Rozmawiała z nim telefonicznie na dzień przed wylotem; później, przez całą noc była tak podekscytowana, że nie zmrużyła oka. Czekala na tę rozmowę latami. Choć okoliczności nie były takie, jak chciała, kiedy w końcu usłyszała jego głos, zaczęła płakać jak dziecko. Nie widziała opata przez tak wiele lat, że zdążyła już zapomnieć zapach jego skóry na policzkach czy szorstkość sutanny, w którą wtulała głowę, ale jego głos wciąż brzmiał identycznie, jak w jej wspomnieniach, które pielęgnowała przez długie lata.

Próbując się otrząsnąć ze wspomnień, uchyliła okno. Po kilkunastu sekundach, kiedy jej palce zaciśnięte na kierownicy zaczęły drętwieć z zimna, zmieniła decyzję. Uświadomiła sobie, że zapomniała włączyć ogrzewanie i postanowiła szybko to nadrobić, przekręcając pokrętko gorącego nawiewu do maksymalnej wskazówki. W ułamkach sekund wewnątrz auta zaczęło wypełniać ciepłe powietrze. Żeby się uspokoić, włączyła radio. Trafiła akurat na końcówkę piosenki „I will always love you”, Whitney Houston i uznawszy, że nie mogła chyba trafić lepiej, powoli zaczęła zdejmować nogę z gazu. Poczula, że emocje zaczynają powoli opadać.

– Spokojnie, tylko spokojnie, teraz już nic mi nie grozi – powiedziała i patrząc przez szybę na drogę przed sobą zaczęła wykonywać powolne wdechy i wydechy. Ćwiczenia relaksacyjne zawsze pomagały. Im większy spokój czuła, tym bardziej świadome myśli zalewały jej umysł niedającą się odepchnąć falą. Z niechęcią musiała przyznać, że ksiądz Piotr był do niego podobny. Miał w sobie identyczne ciepło, połączone z nieznoszącą sprzeciwu stanowczością. I tam, na cmentarzu, zmierzył ją dokładnie takim samym spojrzeniem, jak opat Bruno tego dnia, w którym instynktownie wyczuł, że za jego plecami planuje coś strasznego.

Wszedł do maleńkiej celi i zatykając kciuki za sznurem zawiązanym ciasno w pasie wokół sutanny, stanął przed nią.

– Zoju... – zagaił łagodnym tonem, w którym natychmiast wyczuła cień podejrzliwości. Przyszedł, bo zaczął coś podejrzewać – przestraszyła się.

– ...Zoju, gdyby działo się coś złego, powiedziała byś mi, prawda?
Bez zastanowienia zapewniła go, że jest z nim szczerą jak zawsze, choć czuła, że pokuta za kłamstwo może być boleśnie sroga. Opat uśmiechnął się i objął ją ramieniem. Tego dnia, nie pytał jej już o nic więcej. Ucałował ją w czoło i wyszedł, zostawiając ją sam na sam z poczuciem winy, które doprowadziło do serii katastrof, następujących w jej życiu jedna po drugiej, aż do dziś.

Zrobiła głośny wydech i wciągnęła nosem sporą ilość powietrza. Obrzydliwy zapach, z początku ledwie wyczuwalny, rozchodził się po wnętrzu samochodu z coraz większym natężeniem.

– Co to za... – wyszeptała, zakrywając nos.

Obejrzała się do tyłu i natychmiast poczuła, że ze strachu zaczyna jej brakować tchu.

Na samym środku tylnego siedzenia leżał ogromny plastikowy worek, szczelnie oblepiony taśmą. Był identyczny jak ten, który odebrali z księdzem przy wyjściu ze szpitalnego prosektorium. Zoja była pewna, że ksiądz wyrzucił go do zsypu na tyłach budynku, zanim ruszyli ścieżką w kierunku samochodu. Oczywiście, istniała możliwość, że ksiądz ją oszukał, i jednak zdołał zabrać worek, i ukryć go w bagażniku, by dziś rano przerzucić go na siedzenie. Pozostawało jednak pytanie, po co miałyby to robić?

– Co tak strasznie śmierdzi?! – zastanawiała się głośno, raz za razem zerkając z coraz większym przerażeniem we wsteczne lustro.

Nagle zza zakrętu wyłonił się kombajn. Wyjechawszy z pola, skręcił w lewo i jechał za Zoją z coraz większą prędkością. Boczne światła z lewej strony migały, jak gdyby kierowca miał zamiar podjąć

szaleńczy manewr wymijania, pozbawiając Zoję szans na zjechać na pobocze. Akurat w tym miejscu i przez najbliższe kilkaset metrów, prosta droga biegła zwężeniem, wzdłuż niej ciągnęły się głębokie na kilka metrów rowy, porośnięte krzakami i drzewami, których gałęzie zwisały niebezpiecznie tuż nad jezdnią.

– Co do cholery próbujesz zrobić?! – wykrzyczała Zoja, zerkając w boczne lusterko. Dławiący smród zatykał jej gardło. Był coraz bardziej podobny do odoru padliny, który wypełniał powietrze mieszkania przy Przemysłowej...

Zoja ze strachem w oczach zerknęła we wsteczne lusterko. Przyszła jej do głowy myśl, którą natychmiast uznała za absurdalną. Ale gdyby się głębiej zastanowić... Czyżby ksiądz naprawdę zapakował do worka martwego kota i podrzucił do samochodu?!

Zoja przeklęła pod nosem. Kombajn nagle przyśpieszył. Silnik kolosa zawył, a klakson wydał dźwięk trąbienia tak donośny, że Zoi zaczęło dzwonić w uszach. Wyglądało na to, że kierowca naprawdę planuje ją wyprzedzić, nie zważając na to, że zmusi ją tym, żeby zjechała do rowu.

Poczuła silne uderzenie w drzwi i towarzyszący mu odgłos miażdżonego metalu. Chociaż próbowała utrzymać kierownicę, w parę sekund straciła panowanie nad samochodem. Koła z prawej strony zjechały z betonowej nawierzchni, a cała powierzchnia samochodu zaczęła się trząść. Zanim Zoja zdołała zebrać myśli, nastąpiło kolejne uderzenie. Przestała mieć jakiegokolwiek wątpliwości, że kombajn zamierza ją jedynie wyprzedzić. Wiedziała, że walka toczy się o jej życie. Zsunęła się niżej na fotelu i nie puszczając kierownicy, wyjrzała przez szybę w drzwiach, podnosząc wzrok, żeby zobaczyć twarz kierowcy. Była zasłonięta kominiarką.

– Boże mój Boże, czemuś mnie opuścił... – wyszeptowała, a przed oczyma mignęła jej zamaskowana twarz, widziana w ciemnościach nocy na cmentarzu.

„Mój boże, to ten człowiek z cmentarza” – pomyślała w nagłym ataku paniki.

W ostatniej chwili udało jej się zobaczyć, jak kierowca zmienia bieg i zaczyna kręcić kierownicą. W mgnieniu oka podjęła decyzję. Kiedy on gwałtownie skręcił w prawo, Zoja docisnęła pedał hamulca. Koła zawyły, a czarne BMW zaczęło wytracać prędkość, kręcąc się wokół własnej osi niczym pokraczna łyżwiarka, próbująca utrzymać równowagę po nieudanym piruecie.

Zoja puściła kierownicę i zasłaniając twarz rękoma zaczęła krzyczeć. Choć uderzenia gałęzi i pisk opon trwały kilka sekund, miała wrażenie, że koszmar trwa całą wieczność. Samochód przekoziółkował i wpadł do rowu. Po tym nastąpiła całkowita cisza. Wyglądało na to, że kombajn odjechał.

Odpięła pas bezpieczeństwa i przeczołgała się na tył samochodu, mając nadzieję, że chociaż tam drzwi nie blokuje potężna ułamana gałąź, która zasłaniała niemal całą przednią szybę i drzwi od strony kierowcy. Czując w ustach krew, otarła brzegiem dłoni policzek. Ciepła ciecz spływała po jej palcach i brodzie. Pulsujący ból z przodu głowy był niczym, w porównaniu ze smrodem wydobywającym się z torby, nad którą próbowała się przedostać, żeby nacisnąć na klamkę.

Przeciskając się nad otwartą poduszką bezpieczeństwa napała na drzwi i zdołała je uchylić. Powiew świeżego powietrza natychmiast ją otrzeźwił.

Odwróciła się i złapała leżącą pod jej nogami foliową torbę.

– Po resztę rzeczy wrócę za chwilę – postanowiła, ostrożnie przeczołgując się po kawałkach zbitego szkła, leżących na ziemi obok samochodu.

Próbując opanować atak paniki usiadła na zmarzniętej ziemi pod drzewem. Uznała, że jest w bezpiecznej odległości od samochodu, przysunęła więc do siebie worek i rozerwała kawałek folii. Ze środka wyleciała mucha, a razem z nią nieznośny smród gnijącego mięsa. Zoja wstrzymała oddech i odwracając głowę z obrzydzeniem, podniosła worek, wysypując zawartość na ziemię.

Rozległo się obrzydliwie plaśnięcie. Zoja zbladła, widząc że pośród zgniecionych źdźbeł siana zbitych w kupę leży dłoń, wokół której lata mucha. Odcięta od reszty ciała na wysokości nadgarstka, sprawiała makabryczne wrażenie. Zewnętrzna strona nosiła ślady daleko posuniętego rozkładu. Zoja nachyliła się,

żeby przyrzeć się jej z bliska. Wychudzone i nienaturalnie powyginane palce tworzyły coś na kształt koszyka, w środku którego znajdowały się wytatuowany znak i podpis:



IN HOC SIGNO VINCES

– *In Hoc Signo Vinces...* – odczytała na głos Zoja, przyglądając się precyzyjnie wykonanemu tatuażowi. Przeniosła wzrok nieco dalej, na ziemię naznaczoną odciskami jej butów. Pomiędzy grudami zbitego piachu leżał wciśnięty kawałek metalu. Jego zagadkowe błyszczenie sprawiło, że Zoja pochyliła się i go podniosła. Wytarła palcami powierzchnię, wyczuwając pod opuszkami nierówności, podobne do monety albo...

– Medalik... – wyszeptła, przyglądając się badawczo liniom układającym się wewnątrz okręgu w przecinające się litery X i P, otoczone laurowym wieńcem.

Im dłużej mu się przyglądała, tym bardziej nabierała pewności, że skądś zna ten medalik.

– Jezu...! – krzyknęła, z przerażenia osuwając się na ziemię. Nagły nieznośny ból głowy zaczął rozsadać jej czaszkę. Zaciśnięta palce na medaliku i zgięta w pół próbowała przeczołgać się jak najbliższej drogi. Rażące światło pojawiło się pod jej powiekami, z taką intensywnością, że musiała zmrzyć oczy. Chociaż chciała krzyknąć z bólu, głos uwiązł jej w gardle. Poczła, że zaczyna tracić świadomość. Nie mając innego wyjścia, pozwoliła by przed jej oczami zaczęły przesuwać się niechciane obrazy z dzieciństwa.

Ojciec. Łąka. Znikający za wzgórzem helikopter.... I ona, biegnącą w stronę domu po pomoc... Twarz jej babki, wykrzywiona w grymasie przerażenia ... Ubranie całe we krwi...

– Niiieeee! – krzyknęła Zoja, zaciskając mocniej powieki, spod których zaczęły płynąć łzy.

– Proszę pani! – męski głos rozległ się tuż nad jej głową. Po chwili dołączyło do niego szarpanie za ramię. – Proszę pani, czy pani żyje?!

Zoja nieznacznie poruszyła ręką, próbując dać mu znak. Powoli zaczęła jej wracać świadomość. Słowa mężczyzny docierały do niej z nieznacznym opóźnieniem, ale była w stanie wyłowić z nich ogólny sens.

– Na plebanii wybuchł pożar, jakieś dziesięć minut, ja tam jadę, bo mieszkam zaraz obok, straż jedzie, ale ja szybciej, to znaczy chciałem szybciej, żeby księdza ratować, ale po drodze zobaczyłem panią, trzeba do szpitala, zawiozę...

Zoja poderwała się na równe nogi. Nagły ból głowy sprawił, że zatoczyła się w tył.

– Oj, ostrożnie, nie tak raptownie, lepiej może, żeby pani nie wstawała...

Zoi wirowały w głowie tylko dwa słowa. Pożar i ksiądz.

– Proszę mnie tam zaraz zawieźć! – rozkazała, wskazując ręką w niewiadomym kierunku.

Mężczyzna spoglądał na Zoję z rosnącym przerażeniem, miętosząc w rękach czapkę.

Nagle kolejna fala bólu powaliła Zoję na kolana. Czuła jak cała głowa pulsuje jej rytmicznie, jakby przebiegało po niej stado galopujących koni. Wspomnienia z przed paru chwil wróciły na swoje miejsce. Medalik. Odcięta dłoń. Poprzedzający makabryczne odkrycie wypadek... Zamaskowany kierowca kombajnu, który zajechał jej drogę.

W ciągu paru sekund dotarło do niej, że jeśli ktoś chciał zabić ją, na pewno nie zamierza oszczędzić księdza, który mógłby stać się niewygodnym świadkiem. Jeśli ktoś próbował zepchnąć z drogi jej auto, to znaczy, że pożar na plebanii też nie wybuchł przypadkowo...

Zebrała w sobie resztki sił i wstała trzymając się drzewa. Podeszła do mężczyzny i zaczęła nim szarpać. Słowa wypadały z jej ust niczym pociski z karabinu maszynowego, chwilami zatracając jakikolwiek sens.

– Proszę pana! – krzyczała na całe gardło – Pan musi... musi pan, natychmiast... – spróbowała złapać oddech. – Ja muszę się dostać na plebanię, zanim...

Nie dokończyła. Mężczyzna pognał w kierunku samochodu stojącego tuż przy poboczu i machając do niej ręką dał znak, że ma wsiadać.

– Niech mnie diabli, ale pani zdenerwowana! – zerknął na Zoję, która zajęła miejsce na tylnym siedzeniu i odpalił silnik, po czym nacisnął na gaz. Stary polonez wyrwał do przodu, zostawiając za sobą smugę brunatnego dymu.

Gęsta łuna unosząca się nad lasem wkrótce zamieniła się w zwartą ścianę czarnego dymu. Ogień zdążył już pochłonąć sporą część dachu plebanii, a jego czerwone jęzory lizały ściany i okna na piętrze, ześlizgując się niczym węże, coraz niżej, aż do ganku i drzwi wejściowych, które zwęglone na popiół, leżały teraz w odległości kilkudziesięciu metrów od budynku.

Zanim auto zdążyło się na dobre zatrzymać, Zoja otworzyła drzwi i dała susa wprost w obłoki dymu wypełnione gryzącym w gardło pyłem. Nie zważając na rozpaczliwe wołanie mężczyzny, który za wszelką cenę starał się ją zatrzymać, wyrwała się i przebiegła przez otwartą bramę, wpadając na podwórze.

– Księżu Piotrze! – zaczęła wołać, przykładając złożone ręce do ust, żeby jej głos stał się donośniejszy. Natychmiast dotarło do niej, że to na nic; jej wątki głos w starciu z siłami natury okazał się niewystarczający.

Nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy, że pożar może być tak głośny. Spadające z sufitów belki i kawałki papy z dachu wydawały z siebie odgłosy podobne do wycia psa, chwilami przeradzając się w głośnie dudnienie, jakgdyby ktoś z całej siły walił na raz w sto bębnow. Skwierczenie metalu, skręcającego się pod wpływem ogromnej temperatury, przypominało odgłosy topienia słoniny, które dobrze pamiętała z dzieciństwa. Musiała przyznać, że tym co odróżniało obie sytuacje, był zapach; pożar nie pachniał słodko, nie miał też aromatu masła ani oleju. Był cierpki i gorzki, chwilami ostry, jakby Zoja nabrała na język i rozgryzła kilka ziaren pieprzu. Im dłużej stała w zasięgu ognia, tym bardziej czuła, że zaczyna brakować jej tchu.

Oniemiała z przerażenia, na wpół przytomna, osłaniając twarz przed ogniem i dymem, omijając palące się belki leżące na ziemi, zrobiła kilka kroków do przodu. Straszliwy żar omiół jej twarz, sprawiając, że musiała się wycofać. Nie przestając nawoływać księdza, z każdą kolejną sekundą zaczynała tracić nadzieję, że zdoła odnaleźć go żywego. Stając kilkanaście metrów od ogniska pożaru, spojrzała w wypalone okno dużego pokoju, dostrzegając w głębi spalony do cna abażur lampy stojącej obok zwęglonego stołu, na którym jeszcze kilka godzin temu leżały porozkładane tomy ksiąg parafialnych.

– Gdybym go do tego nie zmusiła, nic by się nie stało – przebiegło jej przez głowę i natychmiast poczucie winy uderzyło z siłą tornada. Nie poddała się mu, lecz na przekór splotowi złych wypadków powstrzymując łzy zawróciła i zaczęła biec w kierunku kościoła, jeszcze szybciej niż przed chwilą. Na tyle na ile była w stanie go poznać, wiedziała, że nosił w sobie ogromną wolę walki. Niezależnie od tego, co wydarzyło się na plebanii po tym jak odjechała, na pewno do ostatniej chwili walczył o to, by przeżyć...

– Księżu Piotrze! – zawołała znowu, zginając się w pół, z trudem łapiąc oddech. Przeraziła się słysząc, jak świszczy jej w płucach.

Podniosła głowę i omiotła wzrokiem plac przed sobą. Zapadający w oddali zmierzch utrudniał widoczność.

Zobaczyła go leżącego na wznak tuż przy zewnętrznych schodach świątyni. Miał twarz pokrytą krwią i cały był w sadzy. Z oddali dało się słyszeć wycie syren wozów strażackich i policyjnych radiowozów.

Słyszając dźwięk tych drugich, Zoja wykrzywiła twarz w grymasie przerażenia. Po tym wszystkim co się stało, instynkt podpowiadał jej, że nie powinna liczyć na ich pomoc. Od strony plebanii dało się słyszeć coraz głośniejsze odgłosy wołania. Przerażona tym, że nie zdążą się ukryć, nabrała powietrza i energiczniej złapała księdza pod rękę, po czym zaczęła go ciągnąć w stronę lasu.

– Tylko tam będziemy bezpieczni – wyszeptała, kierując się ze ścieżki na trawnik ciągnący się wzdłuż muru kościoła. Nadgryziona zębem czasu masywna kamienna konstrukcja kończyła się na skraju linii drzew. W ogrodzeniu znajdowała się spora dziura. Zoja zamierzała ją wykorzystać, żeby czym prędzej znaleźć się jak najdalej od terenu należącego do kościoła.

– Dojdziemy tam i będziemy wolni. Będziemy wolni, zobaczysz – odezwała się do nieprzytomnego księdza, zerkając z niepokojem na krwawiącą ranę na jego czole. – Wyjdiesz z tego... Obydwoje wyjdziemy... Wszystko się ułoży...

Wycieńczenie zaczynało jej odbierać siły. Zaciskając zęby przeciągnęła bezwładne ciało księdza przez dziurę w ogrodzeniu. Rozejrzała się i znalazła miejsce za gęsto rosnącymi drzewami.

– Tutaj będzie dobrze – podjęła decyzję i ułożyła nieprzytomnego na stercie liści. Nadal nie dawał znaku życia. Coraz bardziej przestraszona tym, że może jednak jest martwy, nachyliła się i sprawdziła mu tętno.

Krew przepływała przez tętnicę szyjną powoli, ale miarowo.

Po chwili ksiądz zaczął kasłać. Na wpeł przymknięte powieki zaczęły drgać.

– Wody... – wyszeptał słabym głosem.

Zoja rozejrzała się bezradnie, zdając sobie sprawę, że w środku lasu nie ma szans na ani jedną kroplę. Od strony kościoła dało się słyszeć wołanie. Ostre światło policyjnych latarek omiatało teren plebanii, zahaczając o skraj lasu. Zoja położyła się na ziemi i odwróciła głowę w tamtą stronę. Tak jak się obawiała, w oddali za drzewami majaczyły niewyraźne sylwetki policjantów w niebieskich mundurach.

„Oby tylko nie przyszło im do głowy przeszukiwać las” – pomyślała z niepokojem.

– Pić... – powtórzył ksiądz.

Zoja nachyliła się nad nim i spróbowała go uciszyć.

– Ciiii... – wyszeptała. – Musimy uciekać. Są tuż, tuż – wskazała głową w kierunku kościoła.

Ksiądz zdawał się odzyskiwać przytomność. Otworzył oczy i oddychając ciężko, próbował coś powiedzieć.

– Dobrze, już dobrze... – powtarzała Zoja, głaszcząc go po twarzy.

Nagle poprosił, żeby pomogła mu usiąść.

– Trzech – zaczął mówić wyraźniej, oblizując spierzchnięte usta – Trzech... wysiadło z czarnego opla, jakieś piętnaście minut po tym, kiedy pani odjechała – otworzył oczy i ze śmiertelną powagą spojrzał na Zoję. – Bałem się o panią. Wszedłem do nich i zapytałem, czy mogę w czymś pomóc, a oni na to, że szukają Trocińskiej Zofii. Skoro tak, odpowiedziałem, to musicie się panowie wybrać na cmentarz.

Zoja wydała z siebie zduszony jęk.

– No właśnie... – ciągnął ksiądz. – Sam nie wiem, jak mogłem powiedzieć coś tak głupiego. Oni też zrozumieli to tak, jakbym im groził. Jeden powalił mnie na ziemię, a w tym czasie dwóch weszło na plebanie i zaczęli przetrząsać każdy kąt. Porozbijali wszystko w drobny mak – zrobił pauzę, a potem dodał z goryczą. – Na koniec podłożyli ogień i odjechali.

Ktoś bardzo dobrze to wszystko zaplanował – oceniła Zoja, przypominając sobie, jak w tym samym czasie co ksiądz, ona też musiała walczyć o życie. Wyjęła z kieszeni spodni medalik i podała księdzu.

Mrużąc oczy spojrzał na niewielkich rozmiarów przedmiot, badawczo przesuwając palcami po brzegach i liniach, układających się w prastary symbol wiary. Po chwili spojrzał na Zoję i powiedział:

– To chryzmon. Monogram Chrystusa.

Zamarła, czując jak fala wspomnień ponownie zalewa jej umysł. Zza kurtyny jaskrawego światła wyłoniły się poszarpane obrazy tych paru chwil z dzieciństwa, które jej umysł usunął w cień na długie

lata. Im bardziej próbowała się skupić, tym wyraźniejsza stawała się twarz babki, wpatrującej się w jej poryte krwią dłoń i w medalik, który trzymała w palcach. Ten medalik.

– Babka Zofia.... – wyszeptała Zoja, nie zdając sobie sprawy, że ksiądz bacznie ją obserwuje.

– Pani Zoju, jeśli nagle pojawiły się jakieś wspomnienia, mogą się okazać bardzo cenne. Proszę spróbować nie usuwać ich w cień, choćby nawet wywoływały w pani ból...

Zoja drgnęła. Skąd ksiądz mógł wiedzieć, co czuje?

– Kiedy zobaczyłam ten medalik, przypomniałam sobie... – zawahała się. – Chodzi o to, że być może zawdzięczam jej życie.

Ksiądz pokiwał głową i ostrożnie przyłożył dłoń do czoła. Dotykając brzegów rany, zasyczał z bólu.

Było pewne, że niezależnie od wszystkiego, jak najszybciej musi zobaczyć go lekarz. Bez samochodu mogło się to okazać szalenie trudne. Zoja postanowiła, że ukryje księdza w kościele i pójdzie do wsi, poszukać jakiegoś środka transportu.

– A co z pani autem? – zdziwił się ksiądz.

– Mnie też przytrafił się drobny wypadek – wyjaśniła wymijająco.

– Drobny? Jak drobny?

– Mój samochód leży w rowie kilka kilometrów stąd.

Ksiądz spojrział na nią pytająco.

– To nie wszystko – westchnęła Zoja. – Zanim wielki kombajn zepchnął mnie z drogi, ktoś podrzucił na tylne siedzenie worek, niemal identyczny jak ten, który odebraliśmy w prosektorium. W środku znalazłam odciętą dłoń, w której ktoś wytatuował chryzmon i opatrzył go łacińską inskrypcją. In hoc coś tam...

– ... *signo vinces?!* – dokończył ksiądz.

– Tak, chyba tak.

– To po łacinie. Można to przetłumaczyć jako „w tym znaku zwyciężysz”.

– Czyli powoli wszystko zaczyna do siebie pasować – powiedziała Zoja i zaczęła się podnosić z ziemi, nasłuchując wycia syren radiowozów. – Zaprowadzę księdza do kościoła i spróbuję ukryć w bezpiecznym miejscu.

Ksiądz złapał Zoję za rękę.

– Nie ma mowy. Odtąd nigdzie nie pójdzie pani sama.

Poczuła się skrępowana, ale i wdzięczna.

– Dobrze – odpowiedziała. – W takim razie zacznijmy jeszcze raz. Zoja.

– Piotr – odpowiedział ksiądz i mocno uściskał jej dłoń.

Zoja podstawiła księdza pod samo wejście szpitala. Zaciągając hamulec ręczny starego poloneza, przekreśliła kluczyk i schowała do torebki. Zatarasowała podjazd dla karettek, ale nie miało to żadnego znaczenia. Ksiądz co chwila zasypiał, wyglądało to tak, jakby tracił przytomność. Liczyła się każda minuta, ba, sekunda, nawet jeśli – czego obawiała się coraz bardziej – od domu sołtysa, który pożyczył im auto teściowej, ciągnęli za sobą ogon w postaci policjantów drogówki.

– Zaraz wracam – rzuciła, popychając z całej siły zardzewiałe drzwi.

Ksiądz otworzył jedno oko, to mniej zakrwawione.

– Nie ma mowy – złapał Zoję za rękę. – Sama nigdzie nie pójdziesz. Obiecałaś, pamiętasz?

Zoja zazgrzytała zębami i przyprowadziła wózek z izby przyjęć. Zapakowała na niego księdza i stękając ruszyła w kierunku rozsuwanych, przeszlonych drzwi, za którymi panowało spore zamieszanie.

– Musimy wjechać windą na pierwsze piętro, a potem skręcić w lewo... – wydawał kolejne komendy ksiądz, rozglądając się po zatłoczonej od pacjentów poczekalni.

– Tak, wiem, pamiętam – odrzekła Zoja, nerwowo się rozglądając. – Zawiozę cię na górę, a potem wrócę, żeby przeparkować tego przekłętą grata.

– O tak. I koniecznie zabierz z niego rzeczy. Na wszelki wypadek musimy je mieć przy sobie.

Kiedy wjechali na piętro, znajomy ordynator oddziału onkologii już na nich czekał. Nerwowo kręcił się po korytarzu, a kiedy zobaczył Zoję pchającą wózek, jego twarz pokryła się rumieńcem.

– Dobrze, że jesteście. Doktor Grądziela już czeka.

Ksiądz posłał Zoi pełne wściekłości spojrzenie.

– O tym nie wspomniałaś! Nie dam się szyć lekarzowi od trupów!

– Obawiam się, że nie ma ksiądz innego wyjścia – wtrącił onkolog, zaskoczony tak gwałtowną i nieuprzejmą reakcją. – Chyba, że chcecie mieć na głowie kilku funkcjonariuszy z dochodzeniówki.

– Byli tu? – zapytała Zoja.

Lekarz przytaknął.

– Opuścili szpital dosłownie kilka minut przed wami. Próbowali ustalić, czy kontaktowaliście się ze mną albo doktorem Grądzielą.

– Obaj jesteście nieocenieni. Bez was nie dalibyśmy rady – podziękowała Zoja i oddała lekarzowi wózek z księdzem.

– A pani? Nic pani nie jest?!

– Nie doktorze, nic – zapewniła go, uśmiechając się kokieteryjnie, zdając sobie sprawę, że jej wygląd wywiera na lekarzu dobre wrażenie.

W rzeczywistości czuła się fatalnie i gdyby tylko miała czas, skorzystałaby z kilku zastrzyków przeciwbólowych na raz. Westchnęła, rozmasowując skronie, a kiedy dzwonek windy zabrzączał, wsiadła i zjechała na parter, skąd korytarzem udała się w kierunku poczekalni Szpitalnego Oddziału Ratunkowego. Chcąc dostać się do drzwi, musiała przepychać się przez tłum pacjentów, stojących w kolejce do okienka rejestracji. Nagle zobaczyła, że za szybą siedzi ta sama pielęgniarka, która wczoraj wydawała jej ciało babki. Chociaż natychmiast odwróciła głowę, była pewna, że tamta zdążyła ją zauważyć.

– Niech to szlag! – przeklęła pod nosem Zoja i przyspieszyła kroku, chcąc jak najszybciej znaleźć się jak najdalej od tego miejsca.

Wyszła na podjazd. Polonez nadal stał w tym samym miejscu, tarasując niemal cały podjazd. Poobijana i zardzewiała karoseria wyglądała tak żałośnie, że Zoja wzdrygnęła się na myśl, że musi podejść bliżej. Otworzyła drzwi, wsiadła do auta i wsunęła kluczyk do stacyjki, przekręcając kilka razy – jak nauczył ją sołtys – żeby silnik miał czas na rozruch. Czując rozchodzący się po wnętrzu smród spalin, zatęskniła za wynajętym BMW, które nadal leżało w przydrożnym rowie, czekając aż policyjna laweta zaholuje je na parking, skąd odbiorą je ludzie z wypożyczalni lotniska Chopina. Wycofując, Zoja zbyt gwałtownie docisnęła pedał gazu, nieomal taranując karetkę, wjeżdżającą na sygnale na podjazd. Słyszając za sobą przeciągłe wycie klaksonu, skręciła w lewo i pojechała dalej prosto, aż na parking zatłoczony samochodami lekarzy, którzy zjechali już na nocną zmianę. Wyjęła przepustkę, którą dał jej onkolog i wsunęła do czytnika maszyny znajdującej się przy szlabanie. Po chwili zielone światło zamigało, zaporą drgnęła i uniosła się wysoko, Zoja mogła swobodnie zdjąć nogę z pedału hamulca i przełożyć na gaz.

Telefon w kieszeni jej płaszcza zaczął wibrować. Na przemian niebieskie i zielone światło migąło przez dziurki w wełnianym splocie, rzucając światło na nogi Zoi. Znalazłszy miejsce do parkowania, ostrożnie wjechała pomiędzy dwa sąsiadujące z nim samochody i nie gasząc silnika podniosła telefon.

Zerkając na wyświetlacz natychmiast poczuła, że robi jej się gorąco. Doskonale znała ten numer. Kierunkowy +43. Austria. Z dokładnością do niemal stu procent była w stanie stwierdzić, że telefonowano do niej z recepcji wiedeńskiego hotelu Sacher.

– Cholera, nie teraz – powiedziała do siebie i odrzuciła połączenie.

Podniosła z podłogi torebkę i wygrzebała papierosy i zapalniczkę. Trzymając tłącego się papierosa w jednej, drugą ręką obniżyła lusterko przyczepione do przedniej szyby i spojrzała na swoje odbicie, rozświetlane co chwila światłami przednich reflektorów samochodów przejeżdżających ulicą.

Wyglądała fatalnie. Rozwichrzony włosy, ubłocony i podarty na piersi płaszcz, a pod nim usmolona

koszula. Rozmazany makijaż. Mętne spojrzenie. Strach wypisany na twarzy. I brak jakiegokolwiek szansy na to, by szybko udało się to zmienić.

– Przepraszam panią bardzo!

Na widok kobiety zaglądnącej do samochodu, Zoja krzyknęła ze strachu.

– Czego pani chce do cholery?! – rzuciła ze złością, na wszelki wypadek kładąc dłoń na korbce służącej do zamykania okna.

– Miałaby pani poczęstować papierosem?

Zoja wyjęła z torby paczkę i nie spuszczać bezdomnej z oczu ostrożnie wystawiła rękę przez szybę.

– Proszę. Jest pani – powiedziała i zamknęła okno.

Kobieta nawet nie podziękowała. Zarzuciła torbę na ramię i odeszła szybko, okrążając samochód z lewej strony. Zoja śledziła wzrokiem każdy jej ruch. Kiedy tamta zniknęła za rogiem, głośno odetchnęła z ulgą.

Nagle za jej plecami rozległ się głośny trzask pękającej szyby. Obejrzała się i widząc, że całe tylne siedzenie pokryte jest odłamkami szkła, uchyliła drzwi i wydostała się z auta. Nie mając pojęcia co robić, położyła się płasko na ziemi i wczołgała pod zaparkowaną obok mazdę. Przez kilka sekund nie słyszała niczego, poza nieprawdopodobnym łomotaniem własnego serca. Po chwili usłyszała odgłos kroków. Czyjeś sportowe buty zatrzymały się tuż przy samochodzie, na wysokości jej twarzy. Zamarła, słysząc szcęk odbezpieczanej broni, a potem widząc jak ktoś nachyla się nad podwoziem i zagłada pod auto, celując lufę pistoletu prosto w jej twarz.

– No już, proszę wyjść – usłyszała męski głos.

– Dała się pani sprowokować jak małe dziecko – dodał z zadowoleniem drugi, dochodzący z góry. Jego właściciel nosił czarne lakierki z wąskimi czubami. Stał nieco dalej, dokładnie na wysokości bagażnika poloneza. Po tym jak się wyczołgała, Zoja podniosła głowę i zobaczyła dwóch postawnych mężczyzn w czarnych kurtkach; jeden celował do niej z pistoletu, a drugi z odznaki.

Ten z bronią złapał ją za ramię i rzucił na maskę poloneza, wykręcając jej do tyłu obie ręce.

– Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego – zaczął mówić, jakby już samo to miało sprawić, że Zoja umrze ze strachu. – Departament Kontrwywiadu, major Wirewski, kapitan Rakowski. Jest pani zatrzymana pod zarzutem podwójnego zabójstwa.

Zoja stała bez ruchu. Nie mogła uwierzyć w to co słyszy.

– To jakiś absurd! Ja nie zabiłam! Nikogo nie zabiłam! – próbowała się bronić.

Usłyszała szcęk kajdanek.

– Nie zabiłam! – powtórzyła, czując jak krew uderza jej do głowy.

Rakowski zacisnął ciasno kajdanki na jej lewej dłoni. Zoja próbowała wyrwać mu drugą rękę, ale kopniakiem rozszerzył jej nogi sprawiając, że prawie upadła na ziemię. W tym samym czasie major przeszedł do formułowania zarzutów:

– Jest pani zatrzymana za zabójstwo Zofii Trocińskiej, dwudziestego dziewiątego marca tego roku, a także księdza Piotra Grunera, proboszcza parafii Świętego Mateusza Apostoła i Ewangelisty, w Sobótce Nowej siedem dni później. Ma pani prawo zachować milczenie. Wszystko co pani powie od tej pory może zostać wykorzystane przeciwko pani – wzięł oddech, jakby nie mógł się zdecydować, czy powinien mówić dalej. – Zgodnie z polskim prawem ma pani prawo do obrońcy i tłumacza. Ambasada Stanów Zjednoczonych została już poinformowana o pani zatrzymaniu i wyraziła zgodę na aresztowanie na terenie Polski.

– Nie przyznaję się! Nikogo nie zabiłam! Mnie tu wtedy nie było, przyleciałam dwa dni temu, możecie to sprawdzić. Nie wyrażam zgody. Ałć! Nie tak mocno! – krzyknęła Zoja, czując silne uderzenie pięścią w łopatkę.

Bezwzględność majora i kapitana przeraziła Zoję bardziej, niż absurdalne zarzuty pod jakimi próbowali ją zatrzymać. Kiedy Rakowski naparł na nią całym ciałem, przyciskając ją do szyby samochodu jakby była nalepką z zielonym liściem, poczuła rozrywający ból w klatce piersiowej. W kilka sekund dotarło

do niej, że coś jest nie tak. Lepka maź zalała jej szyję. Odchyliła się i zobaczyła że kapitan pluje krwią. Krzyknęła z przerażenia, próbując się wydostać ze śmiertelnego uścisku. W ciągu kilku sekund kapitan osunął się na ziemię. Zoja spojrzała w dół. Był martwy. Ktoś przestrzelił mu gardło na wylot.

W tej samej chwili oniemiały z przerażenia major Wirewski wyciągnął radioodbiornik i podniósł do twarzy, próbując wezwać posiłki. Głos uwiązał mu w gardle. Przewrócił oczami, zatoczył się w przód, a po kilku sekundach leżał martwy obok niższego stopniem kolegi.

Zoja zamknęła oczy. Słuchając przerażającego dudnienia własnego serca, czekała na kolejny strzał. Zamiast tego, usłyszała za plecami znajomy, zniekształcony głos:

– Uratowałem ci życie, a teraz ty uratuj moje. Zabierz to, czego ci trzeba i odejdz.

Gwałtownie odwróciła głowę, ale w tej samej sekundzie wokół niej zapadła nieprzebrana ciemność. Wszystkie latarnie na parkingu pogasły. Zupełnie jakby ten, którego głos usłyszała, robił wszystko, by pomóc jej w ucieczce...

W parę sekund podjęła decyzję. Jeśli nawet ma to być jej ostatni ruch, postanowiła zaryzykować. Z dyndającymi z lewego nadgarstka kajdankami, porwała z siedzenia pasażera ciężką torebkę z laptopem i zasilaczem, i przerzucając ją przez ramię przeskoczyła nad ciałami agentów. Schyliła się i wyjęła z martwej dłoni majora szumiący radioodbiornik, po czym rzuciła daleko przed siebie. Urządzenie przecięło pustą alejkę wyjazdową i wylądowało między autami kilka metrów dalej, rozpryskując się w drobny mak.

Zoi przeleciały przez głowę słowa nieznajomego:

„Uratowałem ci życie, a teraz ty uratuj moje. Zabierz to, czego ci trzeba i odejdz.”

Otworzyła klapę bagażnika i wstrzymując oddech wyciągnęła ze środka walizkę. Rozsunęła zamek i wysypała ubrania, buty i kosmetyczkę na ziemię. Zapakowała do środka jedynie foliową torbę z odciętą dłonią i zamknęła. Smród wydobywający się z środka nieco zmałał, co dawało cień szansy, że uda jej się przemknąć przez szpitalne korytarze. Bo była pewna, że jedyne co może teraz zrobić, to spróbować odnaleźć księdza i uciec z nim jak najdalej od tego miejsca, w którym dwa leżące na ziemi trupy, na pewno ściągną niebawem tłum policjantów i agentów żądnych zemsty.

Nie było wątpliwości, że ani kapral, ani major, nie żartowali. Została oskarżona o podwójne morderstwo i nawet jeśli zarzuty były całkowicie absurdalne, nikt nie uwierzy bez dowodów w jej wersję zdarzeń. A żeby je zdobyć, potrzebuje pomocy księdza i chwili spokoju, żeby się zastanowić, co dalej.

Przynajmniej nie musiała się skradać pomiędzy samochodami. Jeśli ten, kto pozwolił jej odejść, nagle zmieni zdanie, w parę sekund padnie z kulą w głowie, jak tamci dwaj, którzy leżą za jej plecami w kałuży krwi...

Nie myśląc więcej, zaczęła biec. Lawirując pomiędzy samochodami dotarła na ścieżkę prowadzącą do oświetlonych drzwi szpitala. Korzystając z tego, że trzech pacjentów wychodziło na papierosa, przemknęła przez drzwi i nie zatrzymując się pognała w kierunku łącznika i windy, znajdującej się na końcu korytarza. Nerwowo odliczając sekundy, czekała aż jej środek transportu zjedzie z góry i na chwilę będzie mogła ukryć się za zasłoną ze stali i metalu.

Drzwi zaczęły się otwierać, a ze środka wyłoniła się znajoma postać. Zoja zrobiła wielkie oczy. Zrobiwszy dwa kroki w przód, stanął przed nią ksiądz Piotr. Miał na sobie czyjeś ubrania, a pół jego czoła zasłaniał opatrunek. Sprawiał wrażenie gotowego do wyjścia.

– Już? – zdziwiła się Zoja.

Ksiądz złapał ją za ramię i zaczął iść w kierunku schodów ewakuacyjnych. Walizka, którą za sobą ciągnęła Zoja, turkotała na wyłożonej beżowymi kafelkami podłodze, niczym wagony pociągu po torach.

– Musiałem ich obezwładnić – oznajmił ksiądz Zoi, oglądając się w kierunku korytarza.

– Kogo?

– Tamtych dwóch lekarzy.

Zoja była zszokowana.

– Jak to?! Przecież chcieli nam pomóc! Co takiego próbowali ci zrobić? Założyć szwy bez znieczulenia czy przemyć ranę wodą utlenioną?

– To wcale nie jest śmieszne! Zaraz po tym, jak do niego zadzwoniłaś, ten onkolog zawiadomił policję. Sprawdziłem jego telefon. Ściągnął tu pół komendy wojewódzkiej, a ciebie okłamał, mówiąc że wyszli zaraz przed naszym przyjazdem. Ty zesłałaś na dół, a on zamknął mnie w gabinecie zabiegowym i pobiegł, żeby ich zaalarmować. Dwóch czekało na piętrze, trzech na schodach, a jeszcze dwaj pobiegli za tobą...

– To nie byli policjanci, tylko ludzie z kontrwywiadu. Przedstawili się jako kapitan i major z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Ksiądz nerwowo zamrugał.

– Jak to przedstawili się? Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że jakby nigdy nic poszłaś z nimi na papierosa?!

– Nie, nie poszłam. Próbowali mnie zatrzymać. Ich zdaniem, jesteś martwy. Zabiłam cię z zimną krwią, kilka dni po tym, jak zamordowałam także ją.

– Kogo?

– Moją babkę, Zofię Trocińską.

– I gdzie są teraz? – zapytał ksiądz, nerwowo zerkając w stronę schodów prowadzących na górę, jakby bał się, że agenci mogą się zjawić lada chwila.

– Leżą martwi przy polonezie.

– Zabiłaś dwóch agentów???? – wysyczał przez zęby ksiądz, a jego twarz przybrała nagle odcień purpury.

– Nie ja.

– To kto?

– Nie wiem. Nie widziałam. Wpakował im po jednej kuli i zaraz potem na parkingu pogasły wszystkie światła. Słyszałam tylko jego głos. Powiedział dokładnie „uratowałem ci życie, a teraz ty uratuj moje. Zabierz to, czego ci trzeba i odejdz.”

Ksiądz zrobił minę, jakby ktoś zrzucił mu na głowę cegłę. Przyglądał się Zoi, nerwowo kręcąc się wokół barierki przy schodach. Powtórzył kilka razy, że musi pomyśleć, po czym przysiadł na schodach i zaczął mamrotać coś pod nosem.

W tym czasie Zoja wyjrzała na korytarz. Zobaczyła salową, pchającą w stronę windy ogromnych rozmiarów wózek z brudną bielizną. Salowa nacisnęła guzik jazdy w górę i kiedy drzwi windy zaczęły się otwierać, wepchnęła do środka wózek i odeszła.

Zoja natychmiast zrozumiała, że to może być ich jedyna szansa. Postawiła walizkę pod ścianą i poszła w stronę windy.

– Masz – powiedziała minutę później, wpychając księdzu do ręki wymięty fartuch lekarski.

– Zwariowałaś...

– Jeszcze się okaże – odpowiedziała pewnym siebie tonem Zoja i także założyła lekarski uniform.

Ksiądz włożył drugie ramię do rękawa i pokręcił głową.

– To jest na mnie za małe. Rękawy są za krótkie, wyglądam w tym jak...

– Dobrze wyglądasz. Idziemy – ucięła Zoja, dając księdzu znak, że ma wziąć walizkę i pójść za nią.

Dwie minuty później stali pod drzwiami oddziału.

– Wewnętrzny – odczytał na głos ksiądz, zerkając na tablicę nad drzwiami.

– Zgadza się – potwierdziła Zoja i nacisnęła na kłamkę. Ścisząc głos do szeptu wytłumaczyła księdzu, jaki jest plan.

– A co to doktorze?! – odezwał się jeden z pacjentów, gdy drzwi się otworzyły, a ksiądz w kitlu zajrzał do sali.

– Jak to co? – odpowiedział ksiądz, nerwowo pokaszując. – Obchód.

Zoja wepchnęła go do środka.

– O tej porze? – zdziwił się pacjent leżący na łóżku najbliżej okna i z niedowierzaniem zaczął się przyglądać Zoi, trzymającej za plecami walizkę. Szemrząc pod nosem coś o konieczności codziennego wietrzenia sal, przeszła przez salę i otworzyła okno.

– Nie jest wysoko – oceniła, zerkając na pacjenta, pod którego łóżkiem stała turystyczna lodówka.

– Potrzebna panu ta lodówka?

– Skoro jest, to znaczy, że potrzebna – odpowiedział groźnie pacjent.

– Chyba mimo to jestem zmuszona stanowczo jej zażądać – powiedziała Zoja i podniosła z talerza stojącego na parapecie nóż do masła.

– Zoja – krzyknął ksiądz.

Pacjent wyciągnął lodówkę spod łóżka i natychmiast podał ją Zoi.

– Dziękuję – odpowiedziała, wyrzucając na łóżko całą jej zawartość. Obok rzuciła nóż. Wystawiła za okno walizkę i lodówkę, i wspięła się na parapet. Po chwili była już po drugiej stronie.

Ksiądz otarł spocone dłonie o kitel i podszedł do drugiego z pacjentów. Spojrzał na jego kartę wiszącą w nogach łóżka, a potem kazał mu pokazać język.

Zniecierpliwiona Zoja zajrzała do środka.

– Co ty wyprawiasz?!

Ksiądz wzruszył ramionami.

– No kazałaś, żebym starał się być autentyczny!

Zoja jęknęła poirytowana.

– Dużo witaminy C i dwa litry płynów, co najmniej! – powiedział do pacjenta ksiądz.

W biegu zdjął kitel, po czym wskoczył na parapet i dał susa przez okno.

Pobiegł za Zoją przez park.

– To była najgłupsza rzecz, jaką mogliśmy zrobić – stwierdził.

– Jak chcesz, możesz tam wrócić i ich przeprosić – odpowiedziała Zoja, przerzucając foliowy worek z walizki do turystycznej lodówki. – Dzięki temu przynajmniej nie musimy jej już za sobą ciągnąć.

– Jesteśmy teraz złodziejami.

– Nie marudź i tak oficjalnie jesteś trupem. Mnie do tego co już mam, jedna kradzież więcej nie zaszkodzi.

– To tylko poszlaki...

– Tak? To powiedz to kolegom tamtych dwóch, którzy leżą na parkingu. Powiedz, że twoim zdaniem nic na mnie nie mają, a majora i kapitana zamordował człowiek widmo, zapewne ten sam, który zabił wcześniej ciebie i moją babkę. Jak ci uwierzą, osobiście wrócę do szpitala i oddam pacjentowi jego lodówkę, przepraszając go za to, że groziłam mu nożem.

Dwadzieścia osiem minut później wysiedli z taksówki na rogu Piotrkowskiej. Kiedy Zoja płaciła za kurs, ksiądz z niepokojem obserwował wzmożony ruch na głównej ulicy prowadzącej do deptaka.

– Tylko mi nie mów, że tu też coś się wydarzyło – powiedziała załamany głosem Zoja, stając obok niego.

Jakby na potwierdzenie jej obaw, ulicą obok przejechało kilka radiowozów i dwie karetki, wszystkie na sygnale.

– Mam nadzieję, że nic – odpowiedział bez przekonania i wziął od Zoi turystyczną lodówkę.

Odetchnęła z ulgą.

– Nie wiedziałam, że odcięta ręka może być taka ciężka.

Ruszyli Piotrkowską, zagłębiając się w coraz gęstszy tłum ludzi. Rozglądając się Zoja oceniła, że na tle kobiet w płaszczach, mężczyzn w zimowych kurtach, par trzymających się za ręce, matek z wózkami czy nawet staruszków w beretach, sunących o lasce, ona i ksiądz prezentowali się fatalnie, nie mając żadnych

szans, by wtopić się w otoczenie. Wyglądali jak para zagubionych turystów, którzy specjalnie poprzebierali się jak na odpustowy jarmark, żeby w razie zbłądzenia, mogli się nawzajem łatwo odnaleźć. Ksiądz przynajmniej miał na sobie czyste ubranie. Ona sama była ubrana w ten sam strój, który założyła rano. Brudna koszula, pokryta plamami zaschniętej krwi, które próbowała ukradkiem zetrzeć w taksówce, podarte dżinsy i trampki, nie dość że prezentowały się fatalnie, to jeszcze nie chroniły przed chłodem. Chuchając w zmarznięte dłonie, dreptała za księdzem, marząc o tym, by wreszcie dotrzeć na miejsce i odpocząć.

– Jestem tak zmęczona, że położę się nawet na podłodze w kuchni – powiedziała do księdza.

– Obawiam się, że nic z tego... – odpowiedział, pokazując ręką przed siebie, na grupę wystraszonych ludzi stojących na chodniku przy skrzyżowaniu Brackiej, Emilii Plater, Górniczej i Zagajnikowej. Część z nich zamiast butów, miała na nogach kapcie. Kilkoro dzieci owiniętych kocami kręciło się blisko nóg matek.

Zoja przyśpieszyła kroku, wyprzedziwszy księdza jako pierwsza minęła wysoką kamienicę i dostrzegła unoszące się wysoko kłęby czarnego jak smoła dymu. Grupa gapiów, stojących pod uliczną latarnią przy przejściu dla pieszych, rozprawiała zawzięcie.

– Pięć wozów, a ciągle się pali – powiedział niski mężczyzna w pikowanej kurtce.

– Jak to bomba, to się będzie jeszcze długo paliło – dodała kobieta stojąca obok niego.

– No Maciejewski mówi, że bomba jak nic – odpowiedział tamten i z oddaniem graniczącym z uwielbieniem, spojrzał na sąsiada.

Zoja podeszła bliżej.

– Przepraszam pana, gdzie dokładnie był ten wybuch? – zapytała.

Nie patrząc kto pyta, mężczyzna wskazał ręką na ulicę za rogiem.

– Tam gdzie obóz był. Na Przemysłowej 34.

Ksiądz stanął za plecami Zoi.

– Jak dawno?

Mężczyzna spojrzał na zegarek w telefonie.

– Jakieś pół godziny.

Czyli zaraz po tym, jak uciekliśmy ze szpitala – obliczyła szybko Zoja.

– Skąd pan wie, że to była bomba?

Mężczyzna wydał się zaskoczony pytaniem księdza.

– No też pytanie! Jak skąd... Od trzydziestu lat mieszkam w kamienicy obok. Okna z kuchni mam na wspólne podwórze. Robiłem herbatę, jak weszło czterech ze skrzynkami i wyszli bez. A potem bum! – krzyknął i zamachał rękoma, próbując jak najlepiej oddać skalę wybuchu.

Zoja odeszła na bok. Była całkowicie załamana. Oparła się plecami o ścianę kamienicy i bezradnie opuściła głowę, wlepiając nieruchome spojrzenie w kawałek chodnika. Ksiądz stanął obok, zasłaniając plecami światło latarni. Cień jego sylwetki padł na ścianę, wyglądając jak olbrzymia powykrzywiana postać z obrazu Francisa Bacona.

– Nie mogliśmy tego przewidzieć. Nawet gdyby udało nam się dotrzeć tu wcześniej...

– Tak, wiem – przytaknęła Zoja, chociaż ton jej głosu wskazywał, że myśli inaczej.

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej nabierała pewności, że jak dotąd popełnili z księdzem same błędy. Logiczne myślenie nigdy nie było jej mocną stroną, podobnie jak chłódna, pozbawiona emocji analiza. Jedyne w czym była naprawdę dobra, to wyliczanie procentu od wartości nieruchomości i podbijanie cen domów za pomocą drobnych sztuczek i zabiegów, do których wynajmowała najlepszych speców od wystroju w całym Nowym Jorku. Potrafiła wynająć ich na kilka tygodni, opłacając przeloty i pobyt w najdroższych hotelach w Europie, po to, żeby zadbać o zadowolenie klientów. Mogła nie spać tygodniami, osobiście nadzorując pracę ekip remontowych i szwaczek, obszywających ręcznie haftowane złotą nicią zasłony do siedmiu sypialni irlandzkiej posiadłości lorda Nielsena. Odkąd siedem lat temu

przyleciała do Nowego Jorku, trzymając w rękach list polecający od wpływowego rosyjskiego biznesmena, każdego dnia pracowała na to, by móc wreszcie samodzielnie osiągnąć sukces. Chociaż korzystała z jego pieniędzy, by poszerzać swoje wpływy w nowojorskim świecie najlepszych agencji nieruchomości, zarządzających tak kluczowymi lokalizacjami, jak wieżowce przy Wall Street, wiedziała, że wkrótce będzie mogła raz na zawsze odciąć łączące ich więzy. A wszystko dzięki bezgranicznemu oddaniu klientom. Potrafiła czytać w ich myślach, spełniając każde ich żądanie, jeszcze zanim zdążyli je złożyć w formie pisemnego zapytania do agencji...

Zoja drgnęła. Zerkając na migające koguty policyjnych radiowozów, odgradzających pasem niebieskawego światła dostęp do miejsca wybuchu, nagle zrozumiała, że teraz robi dokładnie to samo. Jej umysł pracuje na tych samych obrotach, co jeszcze kilka dni temu, kiedy w podskokach i z uśmiechem spełniała zachcianki klientów, dla których pracowała...

– Do tej pory robiliśmy wszystko, czego chcieli! – odezwała się do księdza, a w jej oczach pojawił się błysk.

– Co takiego?

– Depczą nam po piętach, bo idziemy dokładnie tą ścieżką, jaką chcą, żebyśmy szli. Wykorzystują nasze błędy, bo wiedzą, że nie czujemy się winni i nie mamy nic do ukrycia. Wiedzieli, że zaufamy tym, którzy jako jedyni wyciągnęli do nas pomocną dłoń i pójdziemy dokładnie tam, dokąd nas pokierują, rozumiesz Piotr? Lekarze byli podstawieni! A to znaczy, że nie tylko wiedzieli, że pojawimy się w jej mieszkaniu, ale i że prędzej czy później zechcemy tam wrócić – ciągnęła podekscytowana Zoja, pozwalając by ksiądz wziął ją pod rękę i poprowadził ulicą w kierunku oświetlonego deptaka, jak najdalej od miejsca wybuchu. – Bawią się z nami, odkrywając kolejne elementy układanki, a potem je zakrywając...

– O czymś zapomniałaś.

Zoja zatrzymała się w pół kroku, pod witryną sklepu z zabawkami. Tuż za szybą potężny miś, napędzany elektroniką, walił plastikowym młotkiem w zielony bębenek, a jego głowa drgała rytmicznie w takt jakiejś niesłyszalnej melodii.

– O czym?

– O tym człowieku, który pomaga ci z ukrycia. Nie sądzę, żeby torba z odciętą dłonią i medalikiem znalazły się w twoim samochodzie na skutek gry, jaką toczą z nami agenci. Nie sądzę też, że mają na tyle wiedzy, by biegle poruszać się w tematyce symboli religijnych i ich powiązań z historią... Przypomnij sobie zdjęcia dzieci i malowidło świętej Anny. Przypomnij sobie kołysankę i wypisane na kartce imiona... Nie Zoju – ksiądz pokręcił głową. – Mamy do czynienia z czymś więcej, ale oczywiście muszę przyznać, że masz rację co do tego, że dość niefrasobliwie dajemy się wodzić za nos, postępując tak, jak chcą tego agenci...

Skręcili z Piotrkowskiej w jakąś boczną uliczkę, której nazwy nie dało się odczytać ze zżartej rdzą tablicy. W głębi podwórza, na tyłach starego trzypiętrowego budynku, znajdował się słabo oświetlony bar, z wiszącym nad drzwiami szyldem z napisem „Bar u Piotrusia”.

– Tutaj? – zapytała Zoja, nie kryjąc uśmiechu.

– Piotruś, jak Piotruś – ocenił ksiądz i poprowadził ją w stronę drzwi, z wiszącą na nich reklamą automatów do gry, nazywanych jednorękami bandytami.

Weszli do środka i zajęli wolny stolik pod oknem. Poza nimi nie było zbyt wielu klientów. Przy stoliku w drugim końcu sali siedzieli dwaj starsi mężczyźni, popijając piwo. „Bar u Piotrusia” był to mały, lichy lokalik, pamiętający czasy odległe o dwadzieścia, może trzydzieści lat wstecz. Ze względu na wystrój i unoszący się w powietrzu zapach piwa, miał swoich stałych bywalców, którzy czuli się tu tak, jakby trwały czasy jego świetności. Za całe wyposażenie służyły białe okrągłe stoliki przykryte żółtymi serwetami, automaty do gry ustawione w rzędzie przy drzwiach i bar długi na dwa i trzy dziesiąte metra, nie bez powodu nazywany przez bywalców „longiem”. PRL-owski styl wystroju, uzupełniały paprotki i

sztuczny bluszcz, utkane gęsto na półkach ściennych, a także cztery czarno-białe grafiki wiszące na ścianie, przedstawiające ulicę Piotrkowską.

– Co podać?

– Dwie herbaty z prądem i co tam macie do jedzenia – odpowiedział ksiądz, unikając taksujących go oczu kelnerki, która co chwila nachylała się nad stołem, poprawiając białą serwetę.

– Hamburger albo flaki wołowe – rzekła beznamiętnie.

Zoja spojrzała na księdza, wykrzywiając twarz w grymasie obrzydzenia. Pod naporem jego karcącego spojrzenia wybrała hamburgera.

– A ja jedno i drugie – zdecydował ksiądz, dostrzegając w oczach kelnerki błysk zadowolenia.

Kelnerka raz jeszcze zamasyżowała wygładziła serwetę, po czym wepchnęła notes do kieszonki w zapasce i odeszła w stronę baru. Nalała wódki do kieliszków, napełniła szklanki herbatą i przyniosła, oznajmiając, że czas oczekiwania na posiłek to dziesięć do piętnastu minut. Przyglądając się jej plecom, Zoja złapała za kieliszek i prawie wlała sobie całą zawartość do gardła.

– Nie, nie tak! – zatrzymał ją w ostatniej chwili ksiądz.

Spojrzała na niego z oburzeniem.

– A jak?

– Wlej ją do herbaty. Inaczej zamiast się rozgrzać, będziesz pijana. Wódka jest mocna – rzucił protekcyjnie.

Zoja wzruszyła ramionami i zrobiła co kazał. Wlała wódkę do szklanki, zamieszała łyżeczką, podmuchała i siorbiąc upiła spory łyk. Potem kolejny i jeszcze jeden.

– Dobrze? – zapytał ksiądz uśmiechając się.

Zoja przytaknęła. Poza błogim ciepłem rozchodzącym się po całym ciele, zaczynała czuć, jak napięcie z całego dnia powoli opada.

– Myślisz, że mogą nas tu dopaść? – zapytała spokojnie, wyglądając przez okno.

– Tutaj? – ksiądz rozejrzał się po sali. – Tutaj raczej nie. Ale jeśli za bardzo zaczniemy kręcić się po mieście, to całkiem prawdopodobne.

Po chwili kelnerka przyniosła jedzenie, które pochłonęli bez entuzjazmu, w całkowitej ciszy. Beznadziejna ciemność otaczała ich z każdej strony, coraz bardziej zawężając śmiertelny uścisk.

Mrok

Niezasłana kołdra zwisała z lewej strony łóżka, opadając na pluszowy dywan w kolorze palonej kawy. Bordowe, grube zasłony z płótna, którymi zasłonięte było okno, tworzyły coś na kształt pofalowanej kurtyny, oddzielającej pokój numer 215 od reszty świata.

Odgłosy kroków, dochodzące z korytarza, stawały się coraz głośniejsze. Na wysokości drzwi ucichły i zastąpił je odgłos wsuwania karty do czytnika, a potem szczęknięcie klamki. Ksiądz poderwał się z łóżka i wskoczył za zasłonę. Wstrzymując oddech zaczął nasłuchiwać.

– To ja! – zawołała Zoja. Zerknęła w stronę łóżka, po którym walało się mnóstwo pokrytych bazgrołami kartek. Otaczały laptopa, z widocznym na ekranie powiększonym do maksimum zdjęciem odciętej dłoni. Podeszła do komputera. Natychmiast rzuciła jej się w oczy łacińska inskrypcja, wytatuowana pod znakiem Chrystusa.

„W tym znaku zwyciężysz” – odczytała bezgłośnie po raz setny tego ranka, wciąż nie mając bladego pojęcia, o jakie zwycięstwo chodzi.

Twarcz księdza z podkrążonymi od niewyspania oczami, wychyliła się zza zasłony.

– Miałaś pukać trzy razy w dwóch seriach, pamiętasz? – rzucił z wyrzutem. – Masz gazety?

Zoja nie próbowała nawet ukryć, że rozbawił ją widok jego przestraszonych oczu, podkrążonych ze zmęczenia.

– Daj już spokój, to nic złego, że się przestraszyłeś – roześmiała się i zrzuciła przemoczony płaszcz, który ciężko opadł na podłogę.

– Nie przestraszyłem się, po prostu jestem czujny – próbował się bronić ksiądz. – Masz te gazety czy nie?!

Zoja po raz kolejny zignorowała jego pytanie.

– Zrobiłeś pranie? Mam nadzieję, że zanim będziemy musieli opuścić pokój, moja koszula zdąży wyschnąć.

Ksiądz przewrócił oczami, po czym wyszedł i pokazał ręką na otwartą szafę i porozwieszane na wieszakach na wpół mokre ubrania. Tuż obok leżała podłączona do gniazdka suszarka.

– No ekspres! – ucieszyła się Zoja i podeszła do stolika znajdującego się w głębi pokoju, żeby włączyć czajnik.

Ksiądz robił się coraz bardziej niespokojny.

– Zoju, słuchaj, możesz mi odpowiedzieć, czy masz te cholerne gazety??? – zakończył krzykiem, wiedząc, że inaczej nie zdoła jej zmusić do odpowiedzi.

Spojrzała na niego z urazą, jak kobieta, którą wini się za to, że zamiast butów kupiła kolejną parę spodni.

– Zostaliśmy bez grosza – oświadczyła po chwili i włożyła do białej filizanki torebkę Liptona, zalewając ją wrzątkiem. Ostrożnie złapała brzeg spodka, ominęła księdza stojącego na środku pokoju, po czym przysiadła na brzegu łóżka i odstawiając herbatę na nocny stolik, zaczęła mówić:

– Poszłam do kiosku po gazety. Udało mi się zapłacić kartą tylko za jedną z nich. Pomyślałam, że to błąd terminala albo jakaś chwilowa blokada – odcisnęła torebkę łyżeczką i odłożyła na spodek. – Dopiero potem, w innym kiosku, kiedy znowu spróbowałam zapłacić i znów włożyłam kartę do terminala, pojawił się komunikat, że karta American Express została zastrzeżona. Uznałam, że może przekroczyłam limit, wyjęłam Master Card i znowu to samo. Z Visą też podobnie.

– Niedobrze – skwitował ksiądz. – Bardzo, bardzo niedobrze.

– Za to „Express Łódzki”, za który udało mi się zapłacić, jest w wewnętrznej kieszeni płaszcza – wyjaśniła Zoja, odsuwając kołdrę i kładąc się na wznak na łóżku, ciężko wdychając.

Ksiądz podniósł płaszcz z podłogi, wyjął pomiętą gazetę zwiniętą w rulon, po czym rozłożył i szybko zabrał się do przegłędania.

– Piszą coś o wczorajszym wybuchu? – zapytała Zoja, przewracając się na bok i z zaciekawieniem spoglądając na księdza.

– Owszem – ksiądz rozłożył gazetę na trzeciej stronie i zaczął czytać na głos, omijając mniej ważne części tekstu: „Wybuch butli z gazem w jednym z mieszkań lokatorów, na pierwszym piętrze. W wyniku eksplozji zginęło sześć osób, a dwanaście, w tym kilku przechodniów, zostało ciężko rannych.”

– Bzdura – skwitowała Zoja.

– Zgadzam się. Tym bardziej, że w budynku od lat było zainstalowane centralne ogrzewanie.

– Skąd wiesz?

– Kiedy wyszłaś do kiosku, zadzwoniłem do wydziału lokalowego urzędu miasta. Dosyć łatwo poszło ustalenie szczegółów własności mieszkania twojej babki. Wymówiłem się sprawami ubezpieczenia i od razu uzyskałem niezbędne informacje. To dziwne, ale wygląda na to, że mieszkanie przy Przemysłowej nie było jej własnością.

– A czyją?

– Należało do człowieka o nazwisku Mognowid.

Zoja poderwała się na równe nogi.

– To może być on! Może to on jest tym, kto w niedzielę miał odebrać ciało z kostnicy!

– To możliwe – zgodził się ksiądz.

– W takim razie, skoro mamy jego nazwisko, możemy spróbować go odnaleźć! – kontynuowała Zoja z coraz większą nadzieją. – To może być przełom w naszej sprawie. Jeśli on żyje, możemy zdobyć od niego cenne informacje, dzięki którym uda nam się zrozumieć dlaczego urządziła w mieszkaniu kaplicę, co stało się z jej siostrą i kto ją... Dlaczego nagle tak posmutniałaś?

– Bo to wszystko o czym mówisz, co na pewno ma sens i bardzo by nam pomogło... t-tylko jest całkowicie niemożliwe.... – zaczął się jąkać. – Mognowid zginął. Był w mieszkaniu, kiedy doszło do wybuchu.

Zoja złapała za filiżankę z herbatą i z całej siły rzuciła nią o ścianę. Na tapecie zrobiła się brązowa mokra plama. Kawalki zastawy rozprysły po całym pokoju.

Widząc jak Zoja nachyla się nad łóżkiem, żeby złapać ze stolika nocną lampkę, podbiegł i złapał ją za rękę.

– Już wystarczy! – powiedział stanowczo.

Zoja przez chwilę próbowała mu się wyrwać, ale w końcu dała za wygraną.

– To nie fair! Zawsze kiedy mamy już jakiś ślad, jakiś trop, coś, co może nam pomóc, okazuje się, że się spóźniliśmy – lamentowała, cicho pochlipując.

Ksiądz poszedł po gazetę i wrócił, pokazując Zoi coś ważnego.

– Na końcu podali adres hotelu robotniczego, w którym ulokowano mieszkańców. Podobno zbierają dary i jedzenie. Trzeba tam pojechać i spróbować wypytać ludzi co wiedzą o twojej babce i tym Mognowidzie. Może ktoś ich znał.

Zoja opuściła rękę. Dysząc ciężko, spojrzała na księdza. Bezradna złość ustąpiła i znowu zobaczyła światelko w tunelu.

– Owszem, to dobry plan. Ale ryzykowny.

– W naszej sytuacji wszystko jest ryzykowne. Nawet siedzenie w tym pokoju.

W ciągu paru minut ksiądz zebrał z łóżka notatki i laptopa, chowając je do torebki Zoi. Ze wstrętem spojrzał na turystyczną lodówkę spoczywającą pod ścianą obok drzwi. Byli gotowi do opuszczenia pokoju. Prawie, bo nagle Zoja przypomniała sobie, że zapomniała zabrać z nocnego stolika ładowarkę do telefonu.

– Weź ją i chodź – rzucił ksiądz, trzymając nogą na wpół przymknięte drzwi.

Zoja wyjęła ładowarkę z gniazdka. Niechcący, zahaczyła ramieniem o zasłonę. Kiedy podniosła głowę i wyjrzała przez okno na ulicę, zamarała z przerażenia.

– Piotr! – zawołała zduszonym głosem.

Ksiądz wyrzwał na ulicę. Szczelnie zasłonił zasłony i wniósł rzeczy z korytarza do pokoju, zamykając drzwi na kartę i zastawiając je szafką.

Nagle rozległ się dzwonek telefonu. Zoja i ksiądz w tej samej chwili spojrzeli na aparat stojący na stoliku obok łóżka. Był to model stylizowany na antyczny. Lampka obok słuchawki zawieszona na haczyku, migiała na czerwono.

– Nie odbieraj – rozkazał ksiądz.

Zoja mimo to podeszła bliżej, zawieszając dłoń tuż nad słuchawką.

– A jeśli...

– Co?

– A jeśli dzwoni, bo ktoś chce nas ostrzec? – rzuciła, sama nie do końca wierząc w to, co mówi.

Ksiądz podszedł do okna i wyrzwał na zewnątrz.

– Nadal tam stoją?

– Tak – odpowiedział, a jego słowa zabrzmiały jak wyrok. – Dwaj mężczyźni. Jeden pod wejściem rozmawia z portierem, drugi czeka po przeciwnej stronie ulicy.

Telefon nadal dzwonił.

– W takim razie...

– Neeee! – krzyknął ksiądz i rzucił się na łóżko, żeby wyrwać Zoi z ręki słuchawkę.

Nie zdążył. Zwinnym ruchem odskoczyła na bok, przyciskając ją do ucha, jakby od tego miało zależeć ich życie. Po kilku sekundach ciszy usłyszała po drugiej stronie znajomy głos.

– Niech pani nie odkłada słuchawki.... Cokolwiek mówi Piotr, proszę go nie słuchać i wykonywać wyłącznie moje rozkazy. Macie dwie minuty na opuszczenie hotelu. Po przeciwnej stronie korytarza znajduje się apartament. Jest połączony z kolejnym, znajdującym się za drzwiami ukrytymi w szafie garderoby.

Zoja z przerażeniem spojrzała na księdza, nie odrywając słuchawki od ucha.

– Przejdźcie tam i natychmiast udacie się na taras. Szklane drzwi są otwarte. Z barierki tarasu z łatwością dostaniecie się na drabinę przeciwpożarową. Zejdźcie bezpiecznie na tyły budynku i udacie się do kamienicy znajdującej się tuż obok. Drzwi wejściowe będą otwarte – w słuchawce zaszumiało, a głos mężczyzny zaczął się urywać – ...szkanie...mer dwa...ścia jeden.

Zoja usłyszała sygnał przerwane połączenia. Trzęsąc się ze strachu, odłożyła słuchawkę i spojrzała na księdza.

– Musimy iść.

– Czyś ty...

– Ale już! – wydarła się na cały głos, łapiąc lodówkę stojącą pod drzwiami i zarzucając sobie torebkę na ramię.

Mieszkanie numer dwadzieścia jeden okazało się podłą norą, wyglądającą gorzej od śmierdzącego padliny lokum babki Zoi, w którym urządziła potworną kaplicę pełną zdjęć dzieci z obozu dla sierot. Mimo zatechłego smrodu i walących się ścian, byli bezpieczni. Po tym, jak dwóch agentów próbując ich dopaść, wybiegło na taras i zaczęło strzelać, wreszcie mogli odetchnąć z ulgą – udało się, przynajmniej tym razem, znowu zdołali uciec w ostatniej chwili.

– Nie chcą nas zabić – rzuciła Zoja, wyjmując ubrania z torby leżącej na środku pokoju, do którego weszli zamykając na głucho drzwi wejściowe i zastawiając je potężną szafą stojącą w sieni.

– Nie? – zapytał ksiądz i rozpiął sportową kurtkę, pod którą Zoja zobaczyła zakrwawiony kawałek koszuli. Przestraszona, zakryła usta dłonią. Ksiądz zdjął kurtkę i odsłonił lewe ramię. Był ranny. Na szczęście kula jedynie otarła się o ciało.

– Nadal jesteś tego pewna?

Zoja nie odpowiedziała. W pewnej chwili wydało jej się, że słyszy kroki na korytarzu.

– Biegnij do kuchni – rozkazał ksiądz, a sam wyszedł na korytarz i przykładając ucho do ściany obok drzwi zaczął nasłuchiwać. – Skacz przez okno. Tuż pod nim stoi kontener na śmieci – wyszeptał, ponaglając Zoję.

Słaniając się ze zmęczenia wbiegła do kuchni i wypchnęła przymknięte okno, ledwie trzymające się zawiasów. Tak jak powiedział ksiądz, tuż pod nim znajdował się kontener pełen worków i kartonów. Zoja wyszła na parapet i skoczyła. Zdażyła wygramolić się na zewnątrz i stanąć na nogach, kiedy zobaczyła wylatującą przez okno lodówkę. Chwilę potem wyskoczył także ksiądz. Wylądował w kontenerze i podobnie jak ona wyszedł z niego wyraźnie zadowolony, że miał miękkie lądowanie. Otoczeni odgłosami normalnego życia – szczekających psów, płaczących dzieci – wybiegli z podwórza na Piotrkowską, wciąż czując na plecach oddechy ścigających ich agentów.

– To dopiero początek – rzucił ksiądz, oglądając się czy Zoja jest za nim.

– Nie strasz mnie.

Pociągnął ją w stronę przystanku autobusowego i przystanął za zakrytą wiatą reklamą wódki Wyborowej. Złapał ją za rękę i powiedział:

– Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękne, bo ty jesteś ze mną...

Zoja spojrzała na niego i wypowiedziała ciąg dalszy

– ...Twój kij i Twoja łaska, są tym, co mnie pociesza. Stół dla mnie zastawiasz wobec mych przeciwników; namaszczasz mi głowę olejkami; mój kielich jest przeobfity. Tak, dobroć i łaska pójdą w ślad za mną przez wszystkie dni mego życia i zamieszkać w domu Pańskim po najdłuższe czasy – wzięła oddech. – Psalm Dawidowy.

– Tak jest – powiedział ksiądz z uznaniem.

– Czemu wybrałaś akurat to?

– Bo musisz być przygotowana... Ciemność jest coraz bliżej.

W drodze ku prawdzie

Zoja z łatwością odnalazła hotel robotniczy przy ulicy Ruskiej 3. Przywitały ją obdrapane ściany i poodrywane dachówki spadające z dachu, mogące w każdej chwili rozplątać czaszki przechodniów. Położyła dłoń na klamce i wzdrygnęła się na myśl o wejściu do środka.

Niepewnie uchyliła drzwi z dykty i weszła na korytarz. Nie chcąc tracić ani chwili, zapukała do pierwszego z pokoi, spoglądając na obrazek Jezusa miłosiernego wetknięty tuż pod nieczynny przycisk dzwonka. Przypomnił jej się ksiądz i natychmiast zaczęła mieć wątpliwości, czy decyzja o tym, by się rozdzielić, była słuszna.

Kilka minut wcześniej zostawiła go w podłej spelunie dwie przecznice dalej. Miał stamtąd dobry widok na całą ulicę, więc w razie czego mógł ją w miarę szybko zawiadomić o zagrożeniu. W razie gdyby nie przyszła na umówiony czas, przynajmniej on jeden wiedziałby, że stało się coś złego.

Ktoś po drugiej stronie drzwi podszedł i nie racząc otworzyć, zapytał ochrypłym głosem:

– O co chodzi?

Zoja natychmiast zrozumiała, że nie będzie łatwo.

– Ja...eee... Szukam mieszkańców spalonego budynku przy Przemysłowej. Możemy porozmawiać?

Cisza za drzwiami mogła sugerować, że mężczyzna się zastanawia czy otworzyć. W końcu zakasłał i bez słowa odszedł od drzwi.

Zdesperowana Zoja nie zamierzała dać za wygraną. Ze złością jeszcze raz zapukała do drzwi. Wyglądało na to, że mężczyzna wcale nie odszedł daleko.

– I będzie tak dupę zawracać! – rzucił pod adresem Zoi i dodał, jakby chciał jak najszybciej odzyskać święty spokój. – Pod dwadzieścia pięć. Schodami na górę.

Zoja podziękowała i pędem pognęła w kierunku antresoli prowadzącej na piętro. Ocierając z czoła krople potu, stanęła pod kolejnymi drzwiami, ciesząc się, że tym razem może skorzystać z dzwonka.

– Kto tam?!

Kobieta w średnim wieku odsunęła zasuwę i wystawiła głowę przez wąską szparę między drzwiami a framugą. Miała na sobie wymięty szary dres i różowe kapcie. Jej podkrążone oczy i włosy starannie zawinięte w czerwone papiloty świadczyły o tym, że na wszelkie sposoby próbuje zabić czas.

– Czy pani mieszkała w tej kamienicy, która...

Kobieta zrobiła minę, jakby słyszała to już zbyt wiele razy tego dnia. Przerwała Zoi i skrzeczącym głosem zapytała:

– Tak, a o co chodzi?

– Szuk... – zaczęła Zoja i w pół słowa zamilkła, uświadamiając sobie, że powiedzenie prawdy może ją zbyt wiele kosztować. Szybko wymyśliła kłamstwo i zaczęła od nowa:

– Jestem z opieki społecznej. Chciałabym wypytać o pani potrzeby.

– A, jak tak, to proszę.

Kobieta otworzyła drzwi i zaprosiła Zoję do środka. Usiadły naprzeciw siebie na prowizorycznych siedziskach, stworzonych z desek i kartonów ustawionych u podstawy łóżka. W pokoju panował zaduch, a dym z papierosów, odpalanych przez kobietę jeden za drugim, utrudniał Zoi oddychanie.

– A więc pościel, cieplejsze ubranie i jakiś telewizor... to wszystko czego teraz pani trzeba, tak?

Kobieta przymknęła oczy i ze znużeniem potarła powieki.

– Powiedzmy, że tak.

Zoja poczuła, że za chwilę rozmowa będzie musiała dobiec końca. Nie chcąc tracić szansy, ostrożnie dobierając słowa, zapytała kobietę, czy wie coś na temat mieszkańców lokalu spod numeru pięć.

– A co miałabym wiedzieć?

– No... czy są w tym hotelu – skłamała Zoja.

Kobieta zagasiła niedopałek kolejnego papierosa w prawie pełnej popielniczce. Machając w powietrzu tłustą dłonią, rozgoniła dym gęstniejący wokół jej głowy.

– Jej to już ze trzy miesiące na oczy nie widziałam, a on, on to wczoraj zszedł w tym wybuchu. Dziwne to, bo wcześniej rzadko bywali w mieszkaniu. Częściej ona niż on. A po tym jak zachorowała, właściwie przestali przychodzić. Ona chyba niedawno umarła, a on zjawiał się w mieszkaniu akurat wtedy, kiedy wszystko poszło z dymem. Podobno zbierali go po całym mieszkaniu, ot co. Na samą myśl Zoi zrobiło się niedobrze. Poprosiła o otwarcie okna. Kobieta zgodziła się, przy okazji prosząc ją o kilka papierosów.

– Nie mam, nie palę. Ale... powiedzmy, że mogę dać pani pieniądze.

– Dziwne to... – powiedziała kobieta, pożerając czekoladkę z prawie pustej bombonierki Wedla leżącej na łóżku – ci z opieki nigdy wcześniej nie proponowali żadnych pieniędzy.

– Mamy specjalny budżet – odpowiedziała Zoja, sięgając do kieszeni, żeby sprawdzić, czy zmięta dziesięciozłotówka nadal tam jest. – Tylko proszę mi jeszcze powiedzieć, bo nie bardzo rozumiem. Skoro niezbyt często bywali w mieszkaniu, musieli mieszkać gdzieś indziej. Nie wie pani gdzie?

– Ale kto?

– No ci spod piątki.

Okno zaskrzypiało. Kobieta otworzyła jedno skrzydło, sprawiając, że pokój wypełnił powiew chłodnego, rześkiego powietrza pachnącego deszczem. Zażółcona firanka zafalowała niczym żagiel w czasie sztormu.

– Nie wiem. Ale sąsiad będzie wiedział.

Zoja drgnęła. To mogła być informacja, na którą czekała.

– Sąsiad? On też mieszka w tym hotelu, tak?

– A tak – odpowiedziała kobieta i nagle jej głos się zmienił, jakby szykowała się do zejścia pod wodę. – To nie hotel, to grajdoł. Ulokowali nas tu jak jakichś uchodźców, jakby na nic lepszego miasto nie miało. A mają pieniądze, bo wiem że mają. Ta łajza, prezydent Orlak, wszystko zgarnia do kieszeni. Dla ludzi to w tym kraju nic nie ma. Nic. – zmierzyła Zoję lodowatym spojrzeniem. – I jeszcze zatrudniają takich jak pani, jakby swoich nie mogli.

Zoja poczuła, że to już lekka przesada.

– A ja nie jestem swoja?! – rzuciła ze złością.

– Akcent ma pani jakiś dziwny. Z Juesa czy z Brytanii taki.

– Niedawno wróciłam do kraju, przez kilka lat mieszkałam w Stanach – spróbowała się usprawiedliwić, choć po minie kobiety zobaczyła, że to na nic.

Nerwową rozmowę przerwało dudnienie, dochodzące z rur ukrytych w jednej ze ścian. W pokoju za ścianą ktoś odkręcił prysznic. Chwilę potem z wywietrznika pod sufitem buchnęła para wodna, a pokój wypełnił jednostajny szum wody, jakby hotel nagle zamienił się w łaźnię.

– O, o, widzi pani?! – kobieta ze złością wskazała na ścianę za sobą. – To o tym mówiłam. Czy ja muszę słyszeć jak prykają? Albo jak wodę spuszczaają? Albo jak się kąpią i dzieciaki do drzwi zaczynają walić?

Zdenerwowana podeszła do stolika i wyjęła z paczki kolejnego papierosa. Zaczęła go ugniatać w palcach, a potem przygryzła wargami, wyraźnie delektując się smakiem ustnika.

– A z tego Juesa, to ja proszę pani bym na pani miejscu za nic nie wróciła. Za nic. W tym kraju to się nie da żyć.

Zoja poczuła, że na nią już czas. Zawiedziona, wyjęła z kieszeni wymiętą dziesięciozłotówkę i położyła na stoliku obok popielniczki.

Zdążyła dojsć do drzwi, kiedy usłyszała za plecami głos kobiety:

– Ten sąsiad to piętro wyżej, pod dwadzieścia dziewięć.

Poczuła przypływ nadziei. Nie chciała jednak, żeby jej rozmówczyni widziała dokąd idzie. Chociaż nogi same rwały się do biegu, powoli zamknęła za sobą drzwi i udała, że schodzi po schodach na dół. Dopiero

kiedy upewniła się, że kobieta nie stoi pod drzwiami, zawróciła i wspięła na ostatnie piętro budynku. Dwadzieścia sześć, osiem, siedem po przeciwnej stronie korytarza i znowu osiem.... Numery pokoi zdawały się być pomieszane bez ładu i składu i co gorsza wyglądało na to, że kobieta celowo wprowadziła ją w błąd. Chociaż Zoja dwa razy obeszła korytarz, na żadnych drzwiach nie było numeru dwadzieścia dziewięć.

Z dławiającym poczuciem rozczarowania, Zoja ruszyła w kierunku schodów. Zdażyła postawić nogę na pierwszym stopniu i złapać ręką barierkę, kiedy usłyszała za plecami kobiecy głos:

– O co chodzi?

Odwróciła się, pewna, że i tym razem jej nadzieje spełzną na niczym.

– Szukam pokoju numer dwadzieścia dziewięć.

Kobieta wychyliła głowę i spojrzała na numery wiszące na drzwiach jej pokoju.

– Znowu to samo – pokręciła głową i wyszła na korytarz, jednym ruchem ręki podnosząc cyfrę sześć, i zamieniając ją w dziewięć.

– Teraz lepiej – oceniła i spojrzała na Zoję. – O co chodzi? W czym mogę pomóc?

Pomóc. Pomoc. Zoja zdrętwiała, słysząc, że ktoś w ogóle mówi coś takiego, uśmiechając się przy tym serdecznie. Poczła nagłą sympatię do kobiety i podeszła wyciągając rękę na powitanie.

– Nazywam się Zoja Pietrowna i szukam kogoś, kto znał Zofię Trocińską.

Kobieta drgnęła. Z jej twarzy zniknął uśmiech.

– Czy coś się stało? Czy przytrafiło się jej coś złego?

– Zofia Trocińska nie żyje – wyjaśniła Zoja, nagle zdając sobie sprawę z potęgi tych słów.

Opuściła rękę i cofnęła się o krok. Światła lamp podwieszonych nisko nad sufitem zaczęły mrugać. Nagle żarówka pyknęła i na korytarzu zapadł zmrok, rozświetlany jedynie mdłym światłem zachodzącego słońca wpadającym przez okna.

Kobieta zatoczyła się i ciężko dysząc opadła na ścianę. Wyglądała tak, jakby nagle zaczęło jej brakować tchu. Zoja złapała ją pod rękę i zaprowadziła do pokoju, sadzając na łóżku.

– Czy coś pani... czy coś... może w-wody albo...

– Nie, nie trzeba... – odpowiedziała kobieta, łapiąc Zoję za rękę. – Niech mi pani powie. Niech mi pani... – spojrzała na Zoję oczami pełnymi łez. Jej palce zacisnęły się wokół przegubu Zoi. – Czy bardzo cierpiała?

Zoja wyrwała rękę z uścisku kobiety i odskoczyła w tył, uderzając plecami o ścianę. W pokoju panował półmrok, przez przysłonięte zasłony wpadały ostatnie promienie dziennego światła.

„Piotr mnie zabije” – pomyślała, zerkając na zegar stojący w kącie przy łóżku. Czuła jednak, że nie może tak po prostu zostawić kobiety samej. Wyglądało na to, że mężczyzny, o którym wspomniała sąsiadka z dołu, nie było i nic nie wskazywało, że miałby się pojawić. Zoja już miała zapytać, czy z kobietą mieszka jakiś „on”, kiedy tamta poderwała się z łóżka i odsłaniając rękaw koszuli podeszła, pokazując Zoi wytatuowany na wewnętrznej stronie przedramienia numer 6874. Wyblakły, czarny tusz odcinał się od bieli jej pomarszczonej ręki, sprawiając makabryczne wrażenie.

Zoja odwróciła głowę, nie mogąc znieść presji. Ręka kobiety pachniała mydłem i krochmałem.

– Gołda Nowak, numer obozowy 2731 melduje się do apelu! – krzyknęła kobieta stając na baczność i nagle zaczęła się modlić. – Wierzę w Boga, Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, i w Syna Jego, i w Matkę, i w świętych Trójcę...

– Niech pani przestanie!!! – krzyknęła Zoja głosem pełnym przerażenia. – Niech już pani przestanie, błagam... – prosiła, kuląc się na podłodze pod ścianą.

Kobieta jednak wydawała się być jak w transie. Omijając łóżko stojące pośrodku pokoju, podeszła do wiekowej skrzyni i otworzyła ją, po czym wyrzucając rzeczy zaczęła szukać czegoś w środku.

– Dwa... siedem... trzy... jeden... – ciągnęła, nie odrywając wzroku od zawartości skrzyni. – Dwa... siedem... trzy... jeden... Numer po mamusi.... po mame dostałam... Zaraz jak nas wyładowali z

pociągu, pobiegłam na plac apelowy i zaczęłam głośno wołać: mame!, mame! mame!, mame Chaja! Złapała mnie jakaś niemiecka funkcjonariuszka i mówi z uśmiechem: „jak nazwisko tej twojej mame...”, a ja na to, że Chaja Nowak, z domu Ajchenbaum... Miałam wtedy z osiem lat, osiem lat, dziecko... I ona podeszła do gestapowca, a on tak na mnie spojrzął, uśmiechnął się i zaprowadził nas do budynku z czerwonej cegły, kazał czekać... I jak wyszedł, to się tak dziwnie uśmiechnął, tak jakby wiedział, że mame mojej... mame mojej... – wzięła oddech. – I poprowadził mnie między barakami, ścieżką do bramy, a stamtąd do budynku z czerwonej cegły... Dym z komina... dym... wszędzie dym... Kazał mi wejść i zawołać mame...; wołać najgłośniej jak umiem... Weszłam i zaczęłam krzyczeć ile sił „mame, mame Chaja!” A on się śmiał, śmiał się tak, że aż mi przeszły po plecach ciarki i zaczęłam płakać. Wtedy on podszedł, pogłaskał mnie po głowie i powiedział: „o tam, tam twoja mame” i wskazał ręką na wielki piec. Podbiegłam tam i jakiś Polak w pasiaku, z numerem 9375, wysunął szufladę z pieca, a tam... a tam głowa mojej mame, tylko głowa, z pięknym warkoczem, który plotła co rano, zanim tate zdążył wstać. Mame! – wołałam – mame Chaja, ty wstań! Mame! Mame! Wstań i chodź, wołałam, ale ten Niemiec zaraz zaczął krzyczeć i kazał Polakowi mnie zabrać. Zdążyłam tylko złapać głowę mame i pędem pognałam w kierunku drzwi. Złapali mnie na placu. Niemiecka funkcjonariuszka wyrwała mi tę głowę z rąk i zaczęła mnie nią okładać, trzymając za warkocz jak tłuczek do mięsa. „Masz, masz swoją mame!” – wołała, co raz biorąc zamach i waląc mnie na oślep po głowie i plecach. Zasłoniłam twarz i zaczęłam się modlić, najzarliwiej, najgoręcej jak potrafiłam. Co ja... co ja mogłam wiedzieć... Chciałam tylko, żeby mame, żeby tate, żeby hitlerowcy znowu nie zabrali mnie do Łodzi, do więzienia dla sierot...

– Była pani w obozie przy Przemysłowej? – zapytała Zoja.

Kobieta odwróciła się i pokiwała głową.

– A, tak, byłam. Ale krótko, ledwie pięć miesięcy. Po tym jak zastrzelili tate w łódzkim getcie, a mame zabrali do Birkenau... przyszli po mnie. Z początku nie wiedzieli, że jestem Żydówką. Nie wiedzieli... Dopiero sąsiedzi, dopiero oni donieśli. I wtedy zabrali mnie z Przemysłowej i zapakowali razem z innymi dziećmi do bydłowych wagonów. Żebyśmy nie płakali, wrzucili do środka kilka bochenków chleba... – pokiwała palcem i nerwowo zaczęła się śmiać. – Ale ja już... Ja już nie taka głupia, o nie. Ja widziałam, co się robi z dziećmi, które z głodu rzucą się, żeby łapać chleb. Na Przemysłowej był taki Witek. I pewnego dnia przerzucili przez mur bochenek chleba. Witek był zwinny i sprytny, jak mało kto. Pierwszy zobaczył jak ten bochenek przelatuje nad murem i pobiegł na podwórko, żeby go złapać. Jak on go trzymał... jak on go jadł.... Wygryzał kęsy i wypychał sobie nimi policzki – powiedziała, palcami rozciągając sobie skórę na policzkach. – O tak, tak, że aż mu się kieszonki porobiły po bokach.... Pierwsze co odgryzł, to piętękę, bo najlepsza. A potem ze środka, ile szło, ile tylko palcami zdołał wygrzebać z miękkiego. I naraz reszta dzieci wyleciała i widząc, że Witek na środku placu z tym chlebem siedzi, zaraz się na niego rzuciły, i ten chleb mu z rąk wyrwały. A że nie chciał oddać, że się bił i wrywał, gołymi piąstkami go na śmierć... na śmierć... – powtórzyła, ze łzami w oczach, zaciskając pięści. – I jak już nie żył, to kilku chłopców, co się dotąd z boku trzymało, podbiegło i z ust mu, z ust resztki chleba wyjęło, te, co je sobie w policzki powpychał, żeby na potem... – zamilkła i wyjęła ze skrzyni niewielkie drewniane pudełko, z wyrzeźbioną na wierzchu Gwiazdą Dawida. Z trudem podniosła się z dywanu, utykając na prawe kolano podeszła do Zoi.

– Masz – prychnęła ze złością, podając Zoi przedmiot ledwie widoczny w ciemnościach wypełniających pokój. – Uratowała mi życie, a teraz ja uratuję twoje. Zabierz to, czego ci trzeba i odejdz...

Dłoń Zoi na kilka sekund zawisła w powietrzu. Przypomniała sobie, że prawie identyczne słowa, wypowiedział mężczyzna na cmentarzu:

„Uratowałem ci życie, a teraz ty uratuj moje. Zabierz to, czego ci trzeba i odejdz.”

– Co pani chce... – spróbowała zapytać, wyrывая pudełko z dłoni kobiety.

– Wynoś się! – wrzasnęła tamta, nie pozwalając Zoi dokończyć pytania. – Wynoś się! Wypełniłam złożoną obietnicę. Wynoś się z mego pokoju i niech cię wszyscy diabli!

Widząc, że kobieta znów wpada w szal, Zoja poderwała się na równe nogi i pobiegła w stronę drzwi, po drodze podciągając torbę spadającą jej z ramienia i wrzucając do środka niewielkie pudełko, które jej dała.

Za plecami usłyszała przerażający krzyk:

– Niech cię piekło pochłonie! Przeklinam ciebie i twoje dzieci, i wnuki! Oddajcie... – kobieta złapała oddech – ...oddajcie nam to co nasze! Złodzieje! Bandyci! Mordercy! Hitler won! Woon! – darła się, z wściekłością rzucając się na drzwi, które z łoskotem uderzyły o framugę, zatraskując się na głucho.

Zoja zbiegła po schodach. Nie zatrzymując się ani na sekundę, wybiegła na podwórze i próbując złapać oddech przystanąła w bramie. Po chwili ku jej przerażeniu, z pokoju na trzecim piętrze zaczęły wybrzmiewać dźwięki muzyki. Zoja spojrzała w górę i płacząc osunęła się po ścianie.

Gołda Nowak wygrzebała z kartonu starą płytę i oczyszczając gramofon z kurzu, ostrożnie położyła ją na płycie i nałożyła igłę. Po tym, jak orkiestra zagrała wstęp, pokój wypełnił głos Harry'ego Belafonte. Gołda wydała z siebie pomruk zadowolenia. Rytmicznie machając ręką, przysiadła na łóżku i zabrała się do rozczesywania włosów. Zdjęła spinkę i pozwoliła długim siwym lokom swobodnie opaść na plecy. Wyjęła z kosmetyczki lusterko i spojrzała na swoje odbicie.

– Już czas, Gołda – wyszeptała, po czym wstała i podeszła do otwartego kufra, z którego chwilę temu wygrzebała pudełko dla dziewczyny.

Rozpoznała ją po rysach twarzy. Była tak podobna do babki, że z początku na jej widok zachciało jej się krzyżeć. Utrzymała jednak emocje na wodzy, wiedząc, że czas zemsty nadejdzie niebawem.

– Odpokutujesz ich grzechy – powiedziała Gołda i uśmiechając się pod nosem wyjęła z kufra starannie złożony czarno-biały pasiak, z wyszytą na piersi Gwiazdą Dawida.

Zrzuciła koszulę nocną i szlafrok, i powoli zaczęła się ubierać. Harry Belafonte śpiewał właśnie drugą zwrotkę „Hava Nagila”.

Drgając rytmicznie w rytm melodii, Gołda podzieliła włosy na trzy i zaplotła warkocz. Układając go na lewym ramieniu, tak, jak nosiła go mama Chaja, podciągnęła rękaw pasiaka i raz jeszcze spojrzała z bliska na wytatuowany numer. Po chwili przeniosła spojrzenie na ślubny portret rodziców, który do tej chwili leżał ukryty pod pościelą.

Orkiestra zagrała skocznie. Cymbały, skrzypce i wiolonczela, a także fortepian i trąbka ryknęły jednocześnie. Belafonte zaczął śpiewać z nową energią. Radość, radość popłynęła wraz z jego głosem, wypełniając nie tylko pokój, ale i serce Gołdy.

Poderwała się na równe nogi i zaczęła tańczyć klezmerski taniec, dygając z rękoma uniesionymi w górę, trzymając wysoko nad głową portret oprawiony w brązową ramę. Uniosła głowę i widząc radość na twarzach rodziców, wirowała wokół łóżka, stawiając bosc stopy w rytm tanecznych kroków, jedna obok drugiej, jedna obok drugiej, ręce w górę, obrót, dygniecie, ręce w dół, ręce w górę, obrót...

– Hava ne-ran-ena, hava ne-ran-ena... Hava ne-ran-ena v'ni smea-ch...Hava ne-rane-na, hava neranena... Hava neranena v'ni- sme-ach! – śpiewała Gołda radośnie, w rytm muzyki płynącej z gramofonu. – U-ru - uru achim, uru achim belev same'ach... – kręciła się w kółko niczym dziecko. – Uru achim b'lev same'ach, Uru achim b'lev same'ach Uru achim! Uru achim! B-lev sameeeeeaaach....

Belafonte wziął wdech, zrobił pauzę i zakończył, śpiewając przeciągłe „aaaaa....”.

W tej samej chwili Gołda weszła na parapet i rozpościerając ręce niczym ptak skrzydła, spojrzała ostatni raz na portret rodziców leżący na łóżku. Krzyknęła „Hava nagila!” i wyskoczyła.

– Jak mogłaś to zrobić! – wyszeptał z furią ksiądz.

Po tym, jak jej spóźnienie przeciągnęło się ponad czterdzieści minut, coraz bardziej zaniepokojony opuścił podłg spelunę dwie ulice dalej i obserwując bacznie, czy nikt go nie śledzi, przyszedł tu, pod bramę, za którą znajdował się hotel robotniczy. Odnalazł Zoję ledwie żywą, na wpół leżącą pod jedną ze ścian budynku. Dziękując Bogu, że nikt akurat tędy nie przechodził, złapał ją pod rękę i spróbował podnieść.

– Zoja! – zawołał, klepiąc ją po twarzy.

Wyglądało na to, że reaguje. Przez parę sekund chciała coś powiedzieć, ale nie mogąc wydusić z siebie głosu, dała za wygraną. Kiedy ksiądz złapał ją za ramiona i podciągnął do góry, obejrzała się w kierunku hotelu, jakby bała się, że zobaczy tam ducha i trzęsącymi się rękoma oplotła szyję Piotra. Z oznakami obłędu w oczach zdołała wydusić z siebie trzy słowa „zabierz mnie stąd”.

Nie zwracając uwagi na promieniujący, ostry ból rozchodzący się od postrzelonego lewego ramienia aż do nogi, ksiądz sztywno objął Zoję ramieniem i przeprowadził przez ulicę na chodnik po drugiej stronie. Gdzieś za jego plecami dało się słyszeć przeciągłe wycie syreny policyjnego radiowozu.

– Mało brakowało... – rzucił z ulgą, spoglądając na Zoję, której głowa spoczywała na jego ramieniu. Odkąd opuścili ulicę, na której znajdował się hotel, musiał ją prowadzić, prawie niosąc na rękach. Z jakiegoś powodu, którego nie chciała mu wyjawić, nadal była śmiertelnie przerażona. Jej ciałem co chwila wstrząsały drgawki i jakby tego było mało, dyszała, jakby nie mogła złapać tchu.

– Zoja – odezwał się ksiądz błagalnym tonem – błagam, ocknij się! Nie możemy dać się złapać... Cokolwiek się wydarzyło, musisz się z tego otrząsnąć!

Zoja zaczęła się osuwać na ziemię.

– Nie, tylko nie tutaj... – przeraził się ksiądz. W ostatniej chwili złapał Zoję w pól i wziął jej bezwładne ciało na rękę.

Kilka metrów dalej znajdował się antykwariat. Ksiądz popchnął drzwi i wniósł Zoję do środka, nie zwracając uwagi na przerażone miny dwóch mężczyzn, z których jeden, stojący za ladą, ubrany w niebieski sweter i beżowe spodnie w angielskim stylu, natychmiast zareagował wściekłością. Wyglądało to tak, jakby nie mógł znieść, że ktokolwiek śmie przeszkadzać mu w sprzedaży mapy Łodzi z 1834 roku.

– Co pan wyprawia, to nie jest izba wytrzeźwień! – wrzasnął na widok księdza i leżącej w jego ramionach kobiety, wskazując ręką drzwi. – Proszę wyjść! Bo wezwę policję!

Jego klient wykazał więcej zrozumienia.

– Co jest tej pani? – zapytał, podchodząc do Zoi, którą ksiądz posadził na krześle pod wysokim regałem z literaturą naukową.

– Nie wiem – ksiądz zaczął kłamać jak zawodowiec. – Jestem księdzem. Zobaczyłem jak się zatacza, a potem mdleje... Nie mogłem jej tak zostawić.

Klientowi to wystarczyło. Wyglądało na to, że ksiądz zdobył jego bezgraniczne zaufanie. Po chwili w jego oczach pojawił się nawet cień sympatii.

– Tak, to bardzo słusznie, bardzo słusznie – odrzekł z uznaniem i zwrócił się do tego stojącego za ladą. – Prędko, dzwoń po pogotowie!

– Proszę tego nie robić! – rozkazał stanowczo ksiądz, czując że sytuacja zaczyna się wymykać spod kontroli. – Z-znam się trochę na medycynie... i... Myślę, że to chwilowe omdlenie na skutek stresu lub przemęczenia, a może i jednego, i drugiego – spojrzał na Zoję ze współczuciem. – Młodzi ludzie przechodzą dziś ciężkie próby.

Mrużąc oczy posłał stanowcze spojrzenie mężczyźnie za ladą. W końcu tamten odłożył telefon. Pobiegnął na zaplecze i przyniósł szklanek wody.

– Może to pomoże – powiedział, ostrożnie podając ją księdzu.

Ksiądz przystawił szklanek do ust Zoi. Powoli zaczęła pić.

– Zimny okład na czoło! – wydał kolejny rozkaz, a mężczyzna wykonał go bez szemrania.

Kiedy ksiądz położył Zoi na twarzy zmoczoną wodą białą apaszek, jej policzki zaczęły odzyskiwać

rumieńce. Po chwili otworzyła oczy, bezradnie rozglądając się po antykwariacie, jakby nie miała pojęcia, gdzie właściwie jest.

– Miał ksiądz rację, dochodzi do siebie! – ucieszył się klient, nagle wychodząc z cienia pod wysokim regałem zawalonym zniszczonymi woluminami.

Ksiądz nachylił się nad twarzą Zoi i szeptem zapytał, czy wystarczy jej siły, żeby iść.

Pokręciła głową. Spojrzała w stronę okna, a jej twarz znów zrobiła się biała jak kreda. Ksiądz przeraził się, że może znów zemdleć.

– Spokojnie, oddychaj, zostaniemy tu tak długo, jak będzie...

Zoja objęła jego twarz lodowatymi dłońmi. Oczy zaszyły jej łzami. Przysunęła jego twarz do swojej i patrząc mu w oczy wyszeptała łamiącym się głosem:

– Ona wyskoczyła z okna...

– O kim ty mówisz? – zapytał ksiądz, ukradkiem zerkając na dwóch mężczyzn, którzy stali przy ladzie, wyglądając na zajętych swoimi sprawami.

Zoja znów zaczęła się trząść. Ksiądz położył jej na czole dłoń, coraz bardziej przekonany, że ma wysoką gorączkę.

– O Gołdzie Nowak. Żydówce, która mieszkała w budynku na Przemysłowej i znała moją babkę – wyjaśniła Zoja, będąc już bliska płaczu. – Z początku była miła, zaprosiła mnie do pokoju, a kiedy tylko weszłam do środka, pokazała mi numer wytatuowany na ramieniu, który nadali jej w obozie koncentracyjnym. Opowiadała tyle strasznych rzeczy... Nie byłam w stanie tego słuchać, prosiłam żeby przestała... ale ona za nic nie chciała, jakby z jakiegoś powodu musiała mi o tym wszystkim powiedzieć... Zachowywała się przy tym, jakby wpadła w amok... Na koniec dała mi pudełko z Gwiazdą Dawida i kazała się wynosić.

– Jakie pudełko? – dopytywał ksiądz.

– Podaj mi torebkę.

– Jest strasznie ciężka.

– Nie szkodzi, podaj – nalegała Zoja.

W tym czasie dwaj mężczyźni wrócili do lady i głośno rozprawiali o cenie mapy.

– Pięćset to jest żadna cena! To jest prawie tak, jakbym dawał ci ją za darmo!

– Za darmo, tyle że za pieniądze, tak. Ja ciebie znam Andrzeju, ty jesteś zawsze nastawiony przyjacielsko, chyba, że ktoś chce dać mniej niż ty byś chciał mieć w kasie!

Zoja podała księdzu pudełko i zaczęła się przysłuchiwać ich rozmowie. Po chwili nachyliła się nad uchem księdza i powiedziała, że jej zdaniem to Żydzi.

– Po czym wnioskujeś?

– Po tym jak rozmawiają. W Nowym Jorku, na Wall Street, jest mnóstwo Żydów. Niezależnie od języka, wszędzie targują się w taki sam sposób. Słuchasz mnie?! – zdenerwowała się Zoja, widząc że ksiądz jest zajęty czymś zupełnie innym.

Jego uwagę pochłoniął symbol wyryty na pokrywce pudełka.

– Mamy tu szczególny przypadek – stwierdził. – To Gwiazda Dawida, znana jako heksagram albo pieczęć Salomona. Ceniona ze względu na kabalistyczne połączenie pierwiastka męskiego i żeńskiego, co widać w dwóch zachodzących na siebie trójkątach równoramiennych. W rzeczywistości mało kto wie, że mimo to Gwiazda Dawida nie jest dla Żydów symbolem religijnym, ale ma dla nich wymiar narodowościowy. Zaczęli jej używać jako swojego godła dopiero w 1897 roku.

– Skąd ty to wiesz?

– W seminarium w Genewie byłem pilnym uczniem – skwitował wymijająco ksiądz.

– A jakie to ma dla nas znaczenie?!

– Właściwie to... no... żadnego – odpowiedział dziwnym tonem, w którym kryła się zdawkowość i nuta tajemnicy, po czym spojrzał na dwóch mężczyzn. Wyglądał tak, jakby na coś czekał.

Andrzej, właściciel antykwariatu, pakował mapę do specjalnej tuby. Jego klient niecierpliwie spoglądał w kierunku drzwi – wyglądało na to, że dokąś się spieszy. W końcu wziął do ręki pakunek. Kłaniając się nisko Zoi i życząc jej zdrowia, wyszedł w chłód nocy, by po chwili zniknąć za rogiem.

Nagle wydarzyło się coś, co wprawilo Zoję w osłupienie.

– Witaj Piotrze – odezwał się właściciel antykwariatu.

– Witaj, przyjacielu! – odpowiedział ksiądz i podszedł żeby się przywitać.

Obaj zastygli w przyjacielskim uścisku.

– To wy się znacie?! – rzuciła Zoja, natychmiast zdając sobie sprawę, że to idiotyczne pytanie, z oczywistą odpowiedzią.

– To jest Andrzej Szmulke – wyjaśnił ksiądz, widząc zdziwioną minę Zoi. – Andrzeju, to jest Zoja, Zoja Pietrowna, moja dobra znajoma z Nowego Jorku. To o niej opowiadałem ci kilka minut temu.

Zoja drgnęła. Poczowała się jak kot uwięziony w zamkniętej piwnicy. Czy ksiądz naprawdę powiedział, że był tu kilka minut temu? Jakim sposobem? I dlaczego nie powiedział jej o tym, że ma tu znajomego?! Zoja zmierzyła go lodowatym spojrzeniem. Kiedy ona przeżywała najstraszliwsze chwile swojego życia, on rozprawiał w najlepsze ze starym przyjacielem...

– Ach! Z Nowego Jorku! – ucieszył się pan Andrzej i ucałował Zoję w rękę, zanim zdążyła mu ją wyrwać. – Czy już lepiej? Lepiej się pani czuje? Przepraszam, mam nadzieję, że nie uznała pani mojego zachowania na początku za zbyt ordynarne... po prostu... – spojrzał z lekkim wyrzutem na księdza – starałem się odegrać swoją rolę jak najlepiej.

– Ona nie udawała... naprawdę zemdląca. Znalazłem ją pod bramą hotelu...

Pan Andrzej pokręcił z z troskaniem głową.

– Pan jest Żydem, prawda? – rzuciła nagle Zoja, mając serdecznie dosyć niedomówień i półprawd, jakimi od kilku chwil próbował ją uciszyć ksiądz.

W sklepie zapadła niezręczna cisza. Pan Andrzej zeszytniał, a uśmiech zszedł z jego twarzy.

– Taaaak... – zaczął wypowiadać słowa tak leniwie, że każda spółgłoska zdążyła oblecieć sklep i znów wpaść do jego ust – a nawet... powiedzmy, że gdybym nie był... lub też był częściowo albo...

– Andrzej – przerwał mu ksiądz kładąc mu dłoń na ramieniu. – Ona pyta, bo przed chwilą przydarzyło się jej coś...

– Tak, wiem, wiem! – uciszył go pan Andrzej – słyszałem coś niecoś, niechący ma się rozumieć. Niepotrzebnie wspominała pani o tym przed wyjściem mego klienta. Obawiam się, że w trosce o wasze bezpieczeństwo, będziemy musieli czym prędzej opuścić sklep.

Po tym jak to powiedział, szybkim krokiem minął kilka regałów z książkami i podszedł do drzwi. Wyjął z kieszeni klucz i przekręcając dwa razy zamknął drzwi. Potem przewrócił tabliczkę na szybie z „Otwarte” na „Zamknięte” i zaczął zasuwać rolety.

– Chwileczkę! – powiedziała Zoja, chwiejnie wstając z krzesła. – Chciałabym... jeśli to oczywiście możliwe – poprawiła się, zdając sobie sprawę, że rozmowa z Żydem wymaga sporego taktu – zanim stąd wyjdziemy chciałabym zobaczyć co jest w tym pudełku, które dała mi Gołda Nowak.

– Gołda... – pokręcił głową pan Adam – poczciwa, stara Gołda. Nie mam pojęcia co się z nią stało. Nigdy wcześniej nic podobnego nie miało miejsca.

Zoja zbladła.

– Znał pan Gołdę Nowak? – zapytała, przypominając sobie wykrzywioną w grymasie wściekłości twarz starej kobiety i jej przerażający krzyk, kiedy próbowała ją dopaść pod drzwiami...

– Czy znałem? – zamyślił się. – Można powiedzieć, że widywałem. Z Gołdą nie łączyły mnie jakiegoś szczególnie bliskie relacje. To raczej los splótł nasze historie... – zrobił pauzę i niezdarnie podciągnął rękaw swetra, a potem koszuli.

Na wewnętrznej stronie przedramienia znajdował się tatuaż. Zoja natychmiast rozpoznała podobieństwo do tego, który pokazała jej Gołda Nowak.

– Byłem więźniem Auschwitz-Birkenau. Numer jeden osiem dwa cztery.

– Spotkaliście się tam?

– Nie, nie proszę pani. Spotkaliśmy się tu, całkiem niedawno. Żydowskie środowisko jest, jakby to powiedzieć... dość hermetyczne. Czy to Łódź, Warszawa, Kraków czy Nowy Jork, zazwyczaj staramy się trzymać razem. Łączą nas rocznice, pogrzeby, wieczory wspomnień poświęcone tym, którzy nie mieli tyle szczęścia....

Podczas gdy ona była zajęta rozmową z panem Adamem, ksiądz męczył się z pudełkiem, próbując je otworzyć. Zewnętrzne ściany, pokryte lakierem, były gładkie i równe. Z którejkolwiek strony nie spojrzeć, brak było kłódki, zamka, zaczepu albo jakiegokolwiek zawiasu, który mógłby wskazywać miejsce, gdzie należy nacisnąć lub włożyć klucz, żeby dostać się do środka.

– W Łodzi jest wielu Żydów? – drążyła temat Zoja.

– Zechciałaby pani uściślić? Ma pani na myśli Żydów jako takich czy tylko tych, którym udało się przeżyć zagładę...?

Zoja pojęła niezręczność swojego pytania. Właściwie chodziło jej jedynie o Gołdę Nowak, i jej powiązania z Zofią Trocińską, ale nie była pewna, czy powiedzenie mu o tej drugiej, nie będzie zbyt dużym ryzykiem. Po tym, jak zachowała się Gołda Nowak, nie mogła wykluczyć, że sytuacja może się powtórzyć. Nienawisć, z jaką spotkała się u tamtej kobiety, musiała mieć głębokie i straszliwe korzenie. Zoi wciąż nie dawały spokoju jej słowa: „uratowała mi życie, a teraz ja uratuję twoje. Zabierz to, czego ci trzeba i odejdz”, tak łudzaco podobne do tych, które wypowiedział zamaskowany człowiek, który z zimną krwią zastrzelił agentów; „Uratowałem ci życie, a teraz ty uratuj moje. Zabierz to, czego ci trzeba i odejdz”. Różnica tkwiła w tym, że on zwracał się do Zoi, a Gołda miała na myśli jej babkę. Czy Zofia Trocińska naprawdę uratowała życie tej Żydówki? Ale skoro tak, dlaczego tamta tak bardzo jej nienawidziła? I dlaczego, nie mając pojęcia kim jest Zoja, zdecydowała się być z nią aż tak szczerą... O jaką obietnicę mogło jej chodzić...

Ciszę w antykwariacie przerwał nagle głos księdza.

– Nie umiem tego otworzyć – wstał i zamachał pudełkiem przed oczami Zoi. – Nie potrafię. Nie ma zawiasu, kłódki, żadnej szparki na choćby najmniejszy klucz, niczego.

– Mogę? – zapytał spokojnie pan Andrzej, wyciągając rękę do księdza. Wziął pudełko i zaczął mu się przyglądać. W końcu uśmiechnął się z zadowoleniem i delikatnie kładąc palce na pokrywce, zaczął przesuwać nimi po liniach Gwiazdy Dawida. – To nie jest zwykłe pudełko. To taka mała, żydowska kaseta, przydatna szczególnie w podróży. Niewiele waży i wygląda całkiem niepozornie, ale kiedy się przyjrzeć z bliska, okazuje się, że to nader sprytnie pomyślana rzecz – podniósł pudełko wysoko do światła i zaczął nim obracać. – Pod drewnem, są dwie warstwy ze stali nierdzewnej, a pod nimi magnetyczna powłoka, której zadaniem jest sprawić, żeby ktoś, kto nie wie co jest w środku, odniósł wrażenie, że jest pusta – potrząsnął pudełkiem. – Przykładam do ucha i nic, żadnego dźwięku. A skoro tak, nie mam po co się głowić i daję sobie spokój. A tymczasem w środku może znajdować się coś bardzo ważnego – podszedł do Zoi, a ton jego głosu nagle stał się śmiertelnie poważny. – Proszę. Te żydowskie pudełeczka mają jeszcze jedną cechę. Zawsze wracają w ręce właścicieli.

Zoja z niepokojem spojrzała na pudełko leżące w jej otwartej dłoni. Ksiądz i pan Andrzej wpatrywali się w nią z napięciem. Co do cholery miała z tym zrobić? Skąd panu Andrzejowi przyszło do głowy, że to pudełko może być jej własnością, skoro była pewna, że nigdy wcześniej nie widziała go na oczy. Położyła pudełko na kolanach i przytrzymując je jedną ręką, drugą wsunęła do kieszeni spodni, zaciskając palce na medaliku z chryzmonem. Przymknęła powieki. Z początku widziała jedynie ciemność. Odgłosy z otoczenia nie pozwalały jej przebić się przez granicę podświadomości. W końcu zobaczyła rozbłysk światła, tak silny, że spadła z krzesła. Poczła rozrywający ból w klatce piersiowej i strach, podobny do tego, który czuła leżąc na ziemi obok samochodu, przypominając sobie, jak zginął jej ojciec.

Ksiądz chciał podbiec i pomóc jej wstać, ale pan Andrzej go zatrzymał.

– Zostaw ją. Da sobie radę – rozkazał.

Z początku słyszała co mówią. Potem, zaledwie kilka sekund po tym, jak światło wypełniło przestrzeń pod jej powiekami i jak okropny ból powalił ją na ziemię, poczuła jak jej dusza odrywa się od ciała, a wspomnienia zaczynają wędrować własną ścieżką, prowadząc ją do maleńkiej celi i dziewczynki w bordowej sukience, siedzącej na brzegu łóżka.

– A więc Zoju... – rozległ się głos ojca Bruno. – Powtórzmy jeszcze raz. Jeden?

– Odpowiedź pozytywna.

– Dwa?

– Nie. Nie wydarzy się.

– Trzy?

– Tak, z całą pewnością tak.

– Cztery?

– N-nie... chyba nie, ale nie wiadomo na pewno – odpowiedziała niezbyt pewnie, zerkając w stronę brązowej księgi, leżącej na biurku, obok Pisma Świętego.

Ojciec Bruno zmierzył ją groźnym spojrzeniem, po czym wrócił do przepytывania:

– Pięć?

– Podróż przyniesie odpowiedź.

– Sześć?

– Satysfakcja. Radość.

– Siedem?

– Żeby osiągnąć cel, trzeba będzie powtórzyć jakąś życiową lekcję....

– Dokładniej! – krzyknął uderzając linijką o brzeg biurka, z satysfakcją spoglądając w oczy przerażonej Zoi, która szykowała w myślach poprawioną wersję odpowiedzi:

– Należy zmienić pytanie i poszukać odpowiedzi w przeszłości.

– Dobrze. Osiem?

– Koniec. Niepowodzenie.

– Dziewięć?

– Należy spodziewać się przeszkód w postaci konfliktów.

– Wspaniale... – pogłaskał ją po głowie. – Jesteś zdolna Zoju, bardzo zdolna. Nosisz w sobie wielki dar i musisz nauczyć się jak z niego korzystać. Wiedza, którą ci przekazałem, należała do twoich przodków. Dzięki numerologii wiele kobiet z twojego rodu zdołało na czas przewidzieć przyszłość i uciec przed śmiercią. Ty także musisz wiedzieć, jak zrobić z tej wiedzy użytek. Przyjdą w twoim życiu chwile, kiedy będziesz musiała szybko znaleźć odpowiedź na nurtujące cię pytanie. Do tego czasu musisz się nauczyć biegle posługiwać się liczbami i odczytywać ich znaczenie... – nachylił się nad biurkiem, wziął zeszyt i ołówek, i podał Zoi.

– A teraz pokaż mi, co już potrafisz.

Zoja wlepiła wzrok w pustą kartkę. W głowie wirowało jej mnóstwo pytań o przyszłość, ale tak naprawdę, chciała poznać odpowiedź tylko na jedno z nich. Pomyślała je, przeliczyła na palcach ilość liter w każdym słowie, po czym zapisała na kartce:

3 6 4 4 8

– Najpierw zapisz pytanie – poprawił ją ojciec Bruno.

Zoja poczuła, jak żołądek kurczy się jej ze strachu. Zacisnęła palce na ołówku, ale nie zaczęła pisać. Wpatrywała się w cyfry, czekając, co będzie dalej. Słyszac jak ojciec Bruno zaczyna krzyczeć, skuliła się ze strachu.

– Zapisz pytanie! Zrób to tak, jak cię uczyłem!

Schyliła się pod łóżko, żeby podnieść ołówek, który wypadł jej z dłoni. Kątem oka dostrzegła małe pudełko wciśnięte pod ścianę. Jego widok jak zawsze dodał jej odwagi. Usiadła na łóżku i przytknęła idealnie zatemperowane ostrze do kartki. Wiedziała, że oczy ojca Bruno, wpatrujące się w jej dłoń, wyrażają jak podczas każdej lekcji jedynie oczekiwanie bezwzględnego posłuszeństwa. Przyłożyła więc ołówek do kartki i zapisała drukowanymi literami:

CZY BABCIA MNIE STĄD ZABIERZE

Zdażyła jedynie usłyszeć jak ojciec Bruno z wściekłością wciąga powietrze przez zaciśnięte usta i jak jego dłoń bierze zamach, ze świstem przecinając powietrze, po czym nieprzytomna upadła na podłogę. Nie pierwszy i nie ostatni raz jego ręka wymierzająca sprawiedliwość, okazała się nieznośnie ciężka.

– Zoja... już... już dobrze... – usłyszała głos księdza. Powoli otworzyła oczy. Bolesne wspomnienia prysły jak mydlana bańka, ustępując miejsca rzeczywistości. Zoja usiadła, dysząc ciężko i poczuła, że cała jest złana potem. Pan Andrzej zniknął gdzieś na zapleczu, a ksiądz klęczał obok niej, wpatrując się w jej twarz z wyrazem ulgi. Drewniane pudełko musiało wypaść jej z rąk, bo leżało na podłodze za krzesłem. Zoja się schyliła i wzięła je do ręki. Położyła palce na Gwieździe Dawida i ostrożnie przekreśliła w prawo, wykonując trzy obroty, jeden po drugim.

– Jak do tego doszłaś? – zdziwił się ksiądz, patrząc jak idealnie równy symbol odskakuje od reszty pokrywki i jak Zoja sprawnie go wyciąga, i wkłada palce do środka.

– Liczby dały odpowiedź. Trzy. Z całą pewnością, tak – powiedziała, widząc że ksiądz nic z tego nie rozumie. – Czekałam na nią każdego dnia i każdej nocy. Nie było chwili, żebym przestała wierzyć, że wreszcie po mnie przyjdzie i zabierze mnie do domu, gdziekolwiek by nie był – wyszeptła Zoja, uśmiechając się przez łzy. – Ale nie przyszła.

Nagle z zaplecza dał się słyszeć odgłos tłuczonego szkła. Pan Andrzej wypadł stamtąd, jakby się paliło.

– No i jak, udało się? – zapytał Zoję. Słowa wypadały z jego ust błyskawicznie.

Zoja przytaknęła.

– To świetnie, bo tak się składa, że musimy się zbierać. Policja otoczyła budynek. Zbierajcie manatki! Pan Andrzej uklęknął na podłodze i odrzucając na bok niewielki dywan z kwiatowym wzorem, odsłonił włącz do piwnicy.

– Pociągnij no, masz chyba więcej siły! – zwrócił się do księdza.

Zoja nagle uświadomiła sobie, że od dobrych kilku chwil nie widziała lodówki turystycznej.

– Piotr, gdzie do cholery ją zostawiłeś?

– Nigdzie jej nie zostawiłem. Jest tutaj – wskazał głową w kierunku lady. – Stoi na kartonach z książkami. Stoi tam od chwili, kiedy poszedłem cię szukać.

– Nie wiem co macie w tej lodówce, ale z całą pewnością mogę powiedzieć, że na nic wam się nie przyda, jeśli wpadniecie w ich ręce. Pośpieszcie się! Zoja schodź na dół, Piotr, ty tak samo! – rozkazał, machając ręką.

Zoja weszła na drabinę i po chwili zniknęła w ciemnym lochu. Ksiądz zabrał lodówkę i także ruszył na dół. Na samym końcu dołączył do nich pan Andrzej, który zdażył jeszcze pociągnąć wajchę blokującą włącz, sprawiając, że masywna płyta z drewna z łoskotem zatrzasnęła się tuż nad ich głowami.

Przez chwilę stali w ciemnościach, słysząc dobiegające z niedaleka popiskiwanie szczurów. W końcu pan Andrzej wyjął z plecaka latarkę, oświetlając wąski korytarz prowadzący na wschód.

– Głęboko tu – oceniła Zoja, patrząc w górę na włącz i drabinę zwisającą ze ściany.

– Cztery metry – wyjaśnił pan Andrzej. – Akurat tym kanałem nie można dojść zbyt daleko, ale są takie, którymi można obejść całe miasto, aż po teren dawnego getta.

– I obozu przy Przemysłowej – dodała Zoja.

– Tak, obozu też – przytaknął pan Andrzej i powoli zaczął iść korytarzem. Ksiądz przepuścił Zoję; niosąc pod pachą lodówkę, zamykał grupę.

Z każdym krokiem korytarz robił się coraz węższy. Półkolisty sufit w całości wyłożony cegłami i belkami podtrzymującymi stropy, schodził coraz niżej, aż w końcu ksiądz, jako że był najwyższy, musiał schylić głowę, żeby nie zahaczyć nią o którąś z cegieł. W pewnej chwili Zoi zaczęło się wydawać, że korytarz schodzi w dół, a wilgotne dotąd powietrze, zaczynają wypełniać obłoki gorącej pary.

– Rury kanalizacyjne – wyjaśnił zwięźle pan Andrzej. – To stare korytarze, ale użyteczne. Z wielu z nich korzystają pracownicy Zakładu Wodociągów i Kanalizacji – obejrzał się, jakby chciał sprawdzić, jak daleko za nimi jest ksiądz, a potem ściszym głosem zapytał. – Zdradzi mi pani, co było ukryte w środku?

– Klucz. I zwinięta w rulon karteczka z wypisanym adresem.

– A ten adres to... – ciągnął ją za język pan Andrzej.

– Kopcińskiego 34, tu, w Łodzi.

– Wiem gdzie to jest. Willowa dzielnica. Jedna z lepszych, jeśli nie najlepsza.

Zoja wzruszyła ramionami.

– Nie wiem czy to ma jakiegokolwiek znaczenie.

– A ja sądzę, że ma. Wie pani, jak niewiele takich pudełek jak to pani, zostało zrobionych? Zapewniam, że bardzo mało. To ręczna robota. Większość z tych, jakie widziałem dotychczas, pochodzi jeszcze sprzed drugiej wojny. To, które dała pani Gołda, też wygląda na bardzo stare. Mniemam, że dostało się pani jako coś w rodzaju spadku, po kimś z pani rodziny. Wiele rodzin dopiero dziś odzyskuje rzeczy tych, którzy padli ofiarami nazistów...

– Moja babka nie była Żydówką. I nie była w żadnym obozie, poza tym dla sierot, który znajdował się przy Przemysłowej.

– A, skoro tak, to przepraszam... – spojrzał na Zoję, a w jego oczach pojawił się jakiś tajemniczy błysk. – Jeśli miałbym być szczerzy, powiedziałbym, że słyszałem coś zupełnie innego... – dodał i zaraz przyspieszył kroku, zostawiając Zoję ze zdziwioną miną na środku korytarza.

– Idziemy, idziemy! – jego głos odbił się echem od ścian. – Do wyjścia już całkiem blisko! Kiedy wydostali się na powierzchnię, pierwszym co rzuciło się Zoi w oczy były lśniące maski samochodów, ustawionych w równych rzędach jeden obok drugiego. Ople, skody, mazdy, a obok nich potężne volvo, BMW i jeden mercedes, wyglądający jak limuzyna korpusu dyplomatycznego.

– Komis jak komis – wzruszył ramionami pan Andrzej, widząc zdziwienie na twarzy Zoi. Podeszedł do Volvo XC90 i jakby nigdy nic otworzył drzwi. Zanurkował pod przednim siedzeniem i wyszedł, trzymając w dłoni kluczyki.

– Tak nie wolno! – skarciła go Zoja. – Poza tym, jeśli chce pan nam pomóc, powinien pan wiedzieć, że pakowanie nas do kradzionego samochodu to najgłupsza rzecz...

– Zoja... – ksiądz szarpał ją za rękaw płaszcza.

– Kto jak kto, ale pan powinien wiedzieć, że kradzież to...

– Zoja! – powtórzył ksiądz

– I niech się pan tak nie uśmiecha, bo to, że wyprowadził nas pan z antykwariatu i pomógł uciec przed policją, wcale nie....

– Zoja! Andrzej jest właścicielem tego komisju – w końcu księdzu udało się wyjaśnić.

– Mogłeś mi powiedzieć... – odpowiedziała z wyrzutem.

Ksiądz przewrócił oczami. Podeszedł do auta i otworzył tylne drzwi.

– Wsiadaj, bo naprawdę szkoda czasu.

Sam poszedł na tył i otwierając bagażnik, wstawił do środka lodówkę.

– Pokażesz mi co jest w środku? – zapytał pan Andrzej, stając z nim ramię w ramię.

– Jesteś pewien, że chcesz?

– Tak.

Ksiądz zasłonił nos ręką i uchylił pokrywę. Dokonawszy makabrycznego odkrycia, pan Andrzej wydał z siebie zduszony jęk.

– Ożeż ty!...

– A nie mówiłem...

Kłapa bagażnika trzasnęła. Ksiądz i pan Andrzej wsiedli do samochodu. Po chwili, kiedy volvo powoli wytoczyło się z parkingu i podjechało pod bramę, pan Andrzej pomachał do pracownika i wystawiając rękę przez szybę nacisnął na przycisk pilota, który uruchomił mechanizm otwierający bramę. Zielone światelko zamigało, a on wrzucił bieg, nacisnął na gaz, włączył kierunkowskaz i po chwili pomknął zakorkowanymi ulicami miasta Łodzi.

W pewnym momencie spojrzął we wsteczne lusterko i napotykając wzrok Zoi powiedział:

– Rano trafiłem na artykuł w *The New York Times International* o dziwnej zbrodni popełnionej trzy dni temu w klasztorze Marienhaus w Waldeitbachu w niemieckiej Nadrenii. To słynny zakon franciszkanek, które prowadzą własny biznes. I wiecie co? Siostra przełożona na pewno bardzo by się ucieszyła, gdyby wiedziała, że macie jej dłoń.

Listy odnalezione

Na dwustumetrowej działce oddzielonej od ulicy wysokim ogrodzeniem znajdowała się dwupiętrowa rezydencja. Białe elewacje, podświetlone od góry i dołu zewnętrznymi lampami, sprawiały wrażenie nieskazitelnych. W dużych oknach przedzielonych na sześć części, wychodzących na podjazd otoczony równo przyszyżonym trawnikiem, zapaliło się światło.

– Ktoś tam jest – rzuciła Zoja, wyglądając przez szybę samochodu.

– Na pewno. Zdziwiłbym się jedynie, gdyby okazało się, że taka rezydencja stoi pusta – odpowiedział pan Andrzej.

Ksiądz milczał, wyraźnie skupiony na obserwacji domu.

– No i co myślisz? – zapytała go w końcu Zoja.

Westchnął, po czym odpowiedział, że jego zdaniem dom jest pusty.

– Możemy zaryzykować – stwierdził po chwili namysłu. – Jedno z nas może tam pójść i spróbować dostać się do środka. Uważam, że na pewno to nie powinnaś być ty, Zoja.

Słyszając to Zoja natychmiast się obruszyła. Dlaczego niby nie ja? A kto? Ja mam klucz, ja otworzyłam pudełko, ja rozmawiałam z Gołdą Nowak i to o moją babkę chodzi.... – wyliczała w myślach powody, dla których to właśnie ona, a nie ksiądz czy pan Andrzej, powinna pójść i spróbować dostać się do środka.

– A jeśli coś ci się stanie? Nie możemy wykluczyć, że to pułapka. Gołda Nowak mogła być podstawiona.

– Co za bzdura! Podstawiona? Myślisz Piotrze, że zadaliby sobie tyle trudu, żeby przekonać starą kobietę, która przeżyła holocaust, żeby kłamała? Gołda Nowak mówiła prawdę. I nie bez powodu dała mi pudełko – upierała się Zoja, ściskając w dłoni masywny klucz z płaskim zakończeniem, z sześcioma zębami z lewej i czterema z prawej, zakończony szpicem.

Ulicą przejechał samochód. Czarny fiat minął ich auto, zaparkowane na chodniku i po chwili skręcił w lewo, w boczną uliczkę prowadzącą od Kopcińskiego w kierunku głównej arterii prowadzącej do centrum. Kiedy zniknął, wszyscy troje odetchnęli z ulgą.

– Mogą obserwować dom! – kontynuował ksiądz, nie dając za wygraną.

– Hmm... To całkiem możliwe pani Zoju, naprawdę, to wszystko nie wygląda na... Pani Zoju! – krzyknął pan Andrzej, słysząc głośnie uderzenie zamykanych drzwi. Zanim zdążyli się z księdzem zorientować, Zoja była już po drugiej stronie ulicy.

Minęła bramę i stanęła pod furtką. Niewielka latarnia zapaliła się, oświetlając od góry jej postać i system wmontowany w filar ogrodzenia, będący zaawansowaną formą powszechnie znanego domofonu. Zamiast przycisku dzwonka, w gładkiej powierzchni filaru znajdował się niewielki otwór, w którym migały czerwone światła laserowego czytnika służącego do odczytu układu naczyń krwionośnych palca w technologii Finger Vein. Nieco wyżej znajdował się sporych rozmiarów ekran, służący do skanowania kształtu twarzy i skanowania siatkówki oka. Kiedy Zoja podeszła bliżej, urządzenie weszło w stan czuwania.

Niezbyt pewna, czy postępuje słusznie, wsunęła palec w otwór i przysunęła twarz do ekranu, pozwalając, by system zeskanował cechy anatomiczne jej twarzy. Nie miała pojęcia, jaki będzie wynik tego wszystkiego, ale czuła, że powinna zaryzykować. Po kilkunastu sekundach kolory diod nad ekranem zmieniły się ze złowieszczonego czerwono-pomarańczowego, na odcień radosnej zieleni.

„Access free” – pojawiła się informacja na ekranie.

Zoja położyła dłoń na klamce i delikatnie popchnęła furtkę. Ustąpiła bez najmniejszego oporu.

Zupełnie, jakby to miejsce na mnie czekało – oceniła szepcząc pod nosem, starając się mimo wszystko nie stracić czujności; jej głowa obracała się z szybkością radaru. Wiedziała, że zagrożenie może pojawić

się w każdej chwili i z każdej strony.

Ksiądz i pan Andrzej obserwowali Zoję z samochodu. Kiedy dostała się na teren posesji, ksiądz uchylił drzwi i zaczął wysiadać.

– Zaczekaj – zatrzymał go pan Andrzej. – Daj jej jeszcze chwilę. Zobaczymy czy z drzwiami wejściowymi pójdzie tak samo łatwo.

Podekscytowany ksiądz niechętnie wsiadł z powrotem do samochodu. Na wszelki wypadek zostawił uchylone drzwi.

Zoja weszła na schody, otoczone z dwóch stron kolumnami. Górne oświetlenie sprawiało, że była widoczna jak na dłoni, a każdy jej ruch, nawet poprawienie włosów czy otarcie dłonią czoła, były widoczne z oddali. System zabezpieczający dostęp do domu był identyczny jak ten przy furtce. Znowu widzieli, jak odwrócona do nich plecami Zoja wsuwa palec do czytnika i przystawia twarz do ekranu. Nie musieli czekać długo, by okazało się, że i ta operacja zakończyła się pełnym sukcesem.

– Teraz? – ksiądz z napięciem spojrzał na pana Andrzeja.

– Tak – odpowiedział tamten i wyjął ze schowka niewielki pistolet Glock, z potrójnym systemem zabezpieczenia i powiększonym zwalniczem magazynka.

Ostrożnie podał broń księdzu.

– Jesteś pewien, że dasz sobie radę sam?

– Tak – uspokoił go ksiądz. – Musimy działać zgodnie z planem. Wymyślę jakąś wymówkę, dlaczego nie mogłeś zostać i spróbuję ją przekonać, że tak będzie lepiej.

– Nie powiedziałem jej niczego na temat jej babki, tak jak chciałeś.

– To dobrze. Wszystkiego dowie się w swoim czasie. Z Bogiem bracie.

– Z Bogiem – odpowiedział tamten i gdy drzwi się zatrzasnęły, zaraz odjechał.

Ulica była pusta. Dookoła panowała cisza, przerywana jedynie odgłosami dochodzącymi przez uchylone okna sąsiednich domów, w których toczyło się normalne, popołudniowe życie.

Ksiądz ruszył w stronę uchylonej furtki. Po drodze upewnił się, że broń ukryta w kaburze pod prawym ramieniem jest dobrze ukryta. Rana na lewym ramieniu szczypała, przypominając mu o konieczności pilnej zmiany opatrunku. Mijając wejście na teren rezydencji, z uznaniem spojrzał na biometryczny system najnowszej generacji, strzegący dostępu przed niepowołanymi osobami.

„Mistrz miał rację. Jedyne Zoja miała szansę bez trudu dostać się do środka” – pomyślał z uznaniem. Tak jak przewidział, system został zaprogramowany tak, by był w stanie bezbłędnie odczytać cechy anatomiczne i układ krwionośny w palcu członka rodziny. Poza tym od początku wiedzieli, że Zofia Trocińska była nie tylko sprytna, ale i bardzo zależało jej na tym, by w razie jej śmierci, jak najbardziej ułatwić Zoi dostęp do tego, co pilnie strzeżone od kilkudziesięciu lat.

Ksiądz spojrzał na wypielęgnowany ogród, podświetlone kasetony i kamienne cherubiny, zwisające z gzymsów tuż pod dachem. Przepych tego miejsca zapierał dech.

Choć nigdy nie lubiłaś zbytku, tym razem się postarałaś Zofio... – wyszeptał. Przepych domu, jaki przed śmiercią przygotowała dla wnuczki, przeszedł jego najśmielsze oczekiwania.

Widząc że Zoja zdążyła już wejść do środka, przyśpieszył kroku. Energicznie wbiegł po kamiennych schodach, pchnął lekko drzwi wejściowe i podążył jej śladem, z początku gubiąc się wśród panującego w rezydencji luksusu. Mimo niezręcznego zagubienia, poczuł się wyjątkowo wiedząc, że jest pierwszym z braci, który poświęcając swoje życie, w imię całkowitego oddania potomkom świętego rodu, dostąpił zaszczytu nie tylko towarzyszenia jednemu z nich, ale też, że może wejść do jego domu.

– Zoja? – zawołał. Jego głos, podobnie jak kroki, odbijał się echem od wysokich ścian i podwieszanych sufitów, z których zwisały kryształowe żyrandole.

Zaniepokojony brakiem odpowiedzi przeszedł przez hall i skręcił w lewo, udając się korytarzem w stronę na wprost przymkniętych drzwi, zza których sączyło się żółtawe światło lampy. Zajrzał do środka i

zobaczył Zoję klęczącą przy najniższej szufladzie masywnego antycznego biurka.

– Nie będę ci przeszkadzał – wyszeptał i zaczął się wycofywać na korytarz. – Sprawdzę resztę domu, a potem spróbuję nieco zakonserwować dłoń siostry Hummel.

– Zaczekaj Piotr...

Zoja podniosła wzrok. Wciąż nie mogła uwierzyć w to, że odcięta dłoń należała do osiemdziesięciosześcioletniej zakonnicy Gretl Hummel, o której pisano, że w młodości była powiązana z Hitlerjugend. Niezależnie od jej przeszłości, Zoja nie miała pojęcia jak to możliwe, że w biały dzień doszło do makabrycznego napadu na terenie ogromnego klasztoru pełnego ludzi i nikt niczego nie usłyszał. Zakonnicę napadnięto w jej własnej celi. Została związana, zakneblowano jej usta, a potem odcięto jej rękę, używając do tego celu... sekatora!

– Ciągłe nie mogę w to uwierzyć – wypowiedziała na głos własne myśli Zoja. – Nie wiem dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu, by najpierw odciąć jej dłoń, a potem przetransportować ją tysiące kilometrów, aż do Sobótki Nowej.

– Może to znak... – zasugerował ksiądz.

– Ale jaki? Czego? Nie wyobrażam sobie, jaką bestią trzeba być, żeby podrzucać ludziom chrześcijańskie symbole ukryte w odciętych częściach ciała... – Zoja spojrzała na księdza z odrazą i nagle zrobiła minę, jakby sobie coś przypominała. – A pan Andrzej? Przyprowadziłeś go, czy czeka w samochodzie?

Ksiądz zrobił zbolaną minę.

– No cóż... wygląda na to, że sytuacja go przerosła – westchnął – Ledwo zdążyłem wysiąść, kiedy nacisnął na gaz i odjechał. Nawet się nie pożegnał.

– Żałosne... – powiedziała Zoja, kręcąc głową. – Po prostu żalosne. Po tym co już dla nas zrobił, sądziłam, że można na nim polegać. I co my teraz zrobimy? Nie mamy gdzie spać, nie mamy pieniędzy... – rozejrzała się – tu nie możemy zostać. Na pewno za parę chwil zjawią się tu agenci.

Ksiądz zdecydował się jednak wejść do pokoju.

– Zoja, wiesz, Andrzej zasugerował coś istotnego. Jego zdaniem twój telefon może być na podsłuchu. Nawet nie wiesz jak łatwo dziś namierzyć smartfona za pomocą satelity... dosłownie parę sekund i mają cię jak na dłoni. Dlatego właśnie nie powinniśmy ryzykować. – ruszył w stronę Zoi wyciągając rękę po telefon. – Daj mi go. Teraz.

Zoja zmierzyła księdza pełnym złości spojrzeniem. Co też wygaduje! Co ją obchodzi opinia pana Andrzeja, który zwiął gdzie pieprz rośnie, nie zważając na to, jaki spotka ich los! Poza tym, zwłaszcza teraz, najnowocześniejszy model Iphone`a był im niezbędny. Tylko dzięki niemu zdołali do tej pory jakoś przetrwać, mogąc sprawdzać adresy, mieć dostęp do serwisów informacyjnych i, co najważniejsze, mogąc dzwonić. Tak, zdecydowanie nie może oddać księdzu telefonu. Nie może stracić swojego numeru. Czeka na ważny telefon z Wiednia. Odrzucała połączenie tak wiele razy, że gdy znowu zadzwonią z recepcji hotelu Sacher, będzie musiała odebrać...

– Piotr, nie zrozum mnie źle, ale moim zdaniem, bez telefonu nie mamy żadnych szans.

– Mylisz się – pokręcił głową ksiądz. – Oddaj mi go.

– Nie mogę. Przykro mi – powiedziała Zoja i odwróciła się, żeby pozbierać dokumenty, które już przejrzała.

Nagle dostrzegła w szybie regału z książkami błysk wypolerowanej broni. Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła, że ksiądz wycelował lufę prosto w jej pierś. Przerazona, zrobiła krok do tyłu. Potykając się o wysuniętą szufladę, wpadła na biurko.

– Oddaj – poprosił raz jeszcze ksiądz. – Albo...

– Albo co? – zapytała Zoja, czując jak ze strachu zapiera jej dech.

Nie widząc innego wyjścia, wyjęła telefon z kieszeni. Nie mogła uwierzyć, kiedy zobaczyła na twarzy księdza szeroki uśmiech.

– Albo... – zrobił pauzę – ...nie nauczę cię, jak strzelać – powiedział i opuścił rękę z bronią. Wyjął telefon z ręki Zoi i głośno się śmiejąc, objął ją ramieniem i poklepał po plecach.

– No już, już... - spróbował ją uspokoić. – Chyba nie sądzisz, że byłbym w stanie do ciebie strzelić! Zoja nie była tego taka pewna. Nagle poczuła, że traci resztki gruntu pod nogami. Przypomniała sobie odgłosy strażaków na parkingu przed szpitalem. Przestrzelone gardło jednego z agentów i kula w sercu drugiego, wcale nie były zabawne. Podobnie jak Gołda Nowak, przeklinająca ją i jej dzieci, a także mężczyzna spotkany nocą na cmentarzu w Sobótce, i w końcu odcięta dłoń w worku. To wszystko nie było zabawne.

– Jak na księdza, masz przedziwne poczucie humoru – oceniła Zoja.

– Ale strzelać i tak musisz się nauczyć – odpowiedział i odwracając się na pięcie dodał, jakby na usprawiedliwienie, że on strzelać nauczył się jeszcze zanim trafił do seminarium.

– Czyżbyś uważał, że umiejętność posługiwania się bronią jest nieodłączną cechą dobrego księdza? Ksiądz pogroził Zoji palcem.

– Nie bądź złośliwa. I nigdy nie mówiłem, że jestem taki jak wszyscy.

– Mam zacząć się bać?

Nie odpowiedział. Wzruszył tylko ramionami i po cichu zamykając drzwi, opuścił pokój.

Zoja odczekała aż odgłosy jego kroków na korytarzu całkiem ucichną, a kiedy tak się stało, ciężko opadła na skórzany fotel.

– Niech to szlag! – krzyknęła, ze złości strącając z biurka kilka kartek i ciężarek do papieru.

Coraz bardziej czuła, że jeśli chce wyjść z tego wszystkiego cało i zrozumieć o co chodzi w historii z jej babką, może liczyć jedynie na siebie. Sytuacja sprzed paru chwil jeszcze ją w tym upewniła. Odkąd pamięta, nigdy nie chciała być od nikogo zależna. Oczywiście, nie mowa tu o kwestiach finansowych, bo te, jak wiadomo, podlegają innym prawom. Nie chciała czuć, że musi na kimś polegać, że musi ofiarować bezgraniczne zaufanie, oczekując tego samego w zamian. Dlatego kiedy kilka lat temu nadarzyła się okazja, by zakończyć coś, co ograniczało jej wolność, zdecydowała się bez wahania. Wyjechała do Nowego Jorku, zostawiając w Europie kotwicę. Wracała raz, czasem dwa razy do roku. I to wystarczało, by mogła utwierdzić się w przekonaniu, że podjęła dobrą decyzję. Teraz jednak, sytuacja była dużo mniej oczywista. Odkąd przyleciała do Polski, zawisło nad nią palące widmo przeszłości, którą ukryła w cieniu dawno, dawno temu. Co gorsza, z jakiegoś powodu została oskarżona o podwójne morderstwo, a jedna z osób, które rzekomo zamordowała, przed chwilą – w formie zabawy czy też nie – próbowała grozić jej bronią. Do tego kolejni napotkani ludzie, jak Gołda Nowak czy pan Adam, wydawali się pojawiać na jej drodze nie całkiem przypadkiem...

Zoja poderwała się z fotela i zaczęła chodzić po pokoju. Nagle stanęła, a jej wzrok zatrzymał się na fragmencie ściany za biurkiem. Miejsce było nieoczywiste i na pierwszy rzut oka, doskonale wtapiało się w tło, jakim były regały z książkami, otaczające tę i pozostałe ściany.

„Nic dziwnego, że to przeoczyłam” – pomyślała Zoja i podeszła bliżej, dotykając palcami do brzegów kamiennej płyty wiszącej na ścianie, wpasowanej w nią z godną podziwu precyzją.

Na wysokości jej oczu znajdowało się malowidło Świętej Anny. Identyczne jak to w mieszkaniu przy Przemysłowej. Im dłużej Zoja wpatrywała się w twarz świętej, tym bardziej nabierała pewności, że jej obecność – tak tam jak i tu – nie może być przypadkowa.

Podbiegła do drzwi i przekreśliła klucz. Złapała lampę stojącą na biurku i skierowała strumień światła na ścianę w taki sposób, by jak najlepiej widzieć brzegi malowidła.

Po chwili jej palce wędrowały wzdłuż krawędzi obrazu, reagując na każdą rysę i każde wgłębienie. Chropowaty kamień kontrastował z gładką, pomalowaną nieskazitelnie białą farbą ścianą, jeszcze bardziej wyculając zmysł dotyku. Choć pierwsze chwile nie przyniosły oczekiwanego rezultatu, Zoja wiedziała, że to czego szuka, musi być właśnie w tym miejscu. Żeby ułatwić sobie zadanie, przymknęła powieki. Przyłgnęła twarzą do ściany i raz jeszcze, bardzo powoli, zaczęła sunąć palcami wzdłuż

kamiennej płyty, zaczynając od górnej krawędzi i wędrując wzdłuż lewej. Nagle, gdzieś w połowie, opuszki jej palców napotkały nieznaczne wgłębienie, które im bardziej naciskała, tym bardziej zdawało się pogłębiać. Delikatnie, jakby uciskała punkt na czyimś ciele, wsuwała palce coraz głębiej w powstającą szczelinę. Najpierw jeden, potem drugi, a na końcu wszystkie pięć, łącznie z kciukiem. Delikatnie pociągnęła za płytę, czując, że kamienny kolos delikatnie odskakuje od ściany, aż zawiasy znajdujące się gdzieś w środku, postanowiły ustąpić.

– Mam cię... – wyszeptwała Zoja, z radosnym uśmiechem odsuwając płytę od ściany, mogąc zajrzeć do ciemnego wnętrza skrytki, w której znajdował się sejf, z dobrze widocznym z daleka logo austriackiej firmy Wertheim.

Zoja wsunęła klucz i przekręciła dokładnie tyle samo razy, ile przy otwarciu pudełka w antykwariacie. Poskutkowało. Odetchnęła i szybko zajrzała do środka. Wiedziała, że ma mało czasu, zanim ksiądz znów zechce zajrzeć do pokoju.

Powymowała wszystko z sejfu i ułożyła na biurku. Nie było tego dużo. Trzy koperty, z czego jedna dosyć ciężka, wyglądała jakby w środku znajdowała się...

– Broń... – wyszeptwała Zoja, ze wstrętem przyglądając się niewielkiemu pistoletowi. Był to mały, tytanowy model Double Tap, ważący niespełna czterysta gramów, uznany w USA za idealną broń do damskiej torebki. Jego zaletą było to, że nie był większy od Iphone'a, wadą, że w lufie mieściły się jedynie dwa pociski. Dla Zoi, niemającej nigdy dotąd pistoletu nawet na wyciągnięcie dłoni, nie miało to większego znaczenia. Czuła się pacyfistką i nie wyobrażała sobie, by była w stanie wziąć do ręki pistolet, nie mówiąc już o tym, by strzelić...

Odłożyła broń na bok i wysypała na biurko zawartość kolejnej koperty. Były to paszporty. Dwa. Zoja otworzyła pierwszy, pochodzący ze Stanów Zjednoczonych. Na pierwszej stronie znajdowało się zdjęcie jej babki, dużo młodszej i piękniejszej niż ta, którą zapamiętała z mglistych wspomnień z dzieciństwa, a potem z prosektorium. Pod zdjęciem znajdowały się dane, z których wynikało, że od 1945 roku miała obywatelstwo Stanów Zjednoczonych, i – co najbardziej zaskoczyło Zoję – nie nazywała się Zofia Trocińska, tylko Braun. Zoja szybko odłożyła amerykański paszport i otworzyła drugi, niemiecki. Tam też znajdowało się identyczne zdjęcie, a pod nim, obok imienia Zofia, nazwisko Guseva.

– Kim ty do cholery byłaś? – powiedziała do siebie Zoja, spoglądając na czarno-białą fotografię kobiety w rosyjskim paszporcie. Czując, że żadna mądra odpowiedź nie przyjdzie jej do głowy, odłożyła oba dokumenty w czarnych oprawkach na bok.

Do otwarcia została jej już tylko trzecia koperta. Duża, brązowa, zaklejona, na pierwszy rzut oka wyglądała równie niepozornie, co poprzednia. Trzęsącą się dłonią Zoja rozerwała brzeg i wyjęła znajdujące się w środku dokumenty. Były to listy. Granatowy atrament stracił ostrość, a biały niegdyś papier nabrał przydymionej, miejscami żółtej barwy. Zoja przysunęła bliżej lampę i z niepokojem nasłuchując kroków na korytarzu, zaczęła czytać...

12. 01.1960 r.

Najdroższa Zosiu!

Tak się cieszę, że wreszcie mogę do Ciebie napisać. Tu u nas zima, 12 stopni i wilgoć taka, że ubrania zdają się cały czas mokre. Wiesz doskonale jak okropne jest uczucie, gdy kładąc się do łóżka, pościel cała jakby nasiąknięta wilgocią i chłodna, i taka okropnie nieprzyjemna. Jak tęsknię w takie wieczory, nawet sobie nie wyobrażasz. I dziś także brakuje mi Ciebie, Zosieńko, jak nikogo na świecie.

Pan Assendrich z banku przyjechał tu do nas osobiście, żeby załatwić jakieś pilne sprawy z pappim, i osobiście przywiózł list od Ciebie. Jak bardzo ucieszyła mnie wiadomość, że jesteś cała i zdrowa! Pan Assendrich mówi, że wypiękniałaś i bardzo wyrosłaś. Nie to co ja. Bo ja nadal jak świerszczyk,

maleńka i krucha, i nic nie wskazuje, żeby to się miało szybko zmienić. Pan Assendrich dał Twój list pappiemu i podobno z początku bardzo był zły, ale zaraz mu przeszło. On pierwszy czytał i widziałam, naprawdę widziałam, że bardzo był szczęśliwy, że nic złego ci się nie stało. Źle zrobiłaś Zosieńko, że uciekłaś, ale wiesz, słyszałam jak pappi powiedział do pana Assendricha, że gdybyś tylko, tylko zapragnęła wrócić, przyjąłby Cię zaraz i zapomniał o wszystkim. Mutti bardzo tęskni, teraz nawet bardziej niż wiosną i latem, bo mniej jest do roboty. Ostatnio podejrzałam, jak przekładała Twoje wstążki, które trzyma w tajemnicy w pudełku na biżuterię. Pamiętasz jak je nam wiązała, jak byliśmy małe? Ty miałaś zawsze czerwoną, a ja niebieską. Ja swoją mam, nawet teraz trzymam ją przy sobie i tulę mocno, jakbyś to była Ty. Jak wrócisz, mutti na pewno da Ci Twoją, i wszystko się ułoży.

Zosiu najkochańsza, czy wiesz coś może o naszej drogiej Gołdzie? Zniknęła zaraz po tym, jak Ty wyjechałaś i od tamtej pory nie mam od niej żadnych wieści. Tak się martwię. Gdybyś miała od niej jakieś wieści, napisz proszę w kolejnym liście. Pisz często!

Twoja Sara

26.07.1961 r.

Najdroższa Zosiu!

Odezwij się proszę. Wiem od pana Assendricha, że regularnie przychodzisz do banku, żeby pobierać środki i odbierać moje listy. Dlaczego nie odpowiadasz? Pappi zachorował na zapalenie płuc. Jest bardzo słaby. Boimy się bardzo, czy jego organizm zdoła zwalczyć chorobę. Napisz proszę!

Twoja Sara

30.08.1961 r.

Najdroższa Zosiu!

Nie przekazałam pappiemu, że się za niego modlisz, ale szczerze Ci dziękuję. Jego poglądy na temat kościoła się nie zmieniły, a denerwować go to jak dolewać oliwy do ognia. Zapalenie płuc minęło, ale wciąż jeszcze jest bardzo słaby. Pan Assendrich tym razem nie mógł przyjechać, ale list dał mi bliski przyjaciel pana Josefa, który przyjechał, żeby odwiedzić pappiego i złożyć mu w imieniu pana Josefa życzenia powrotu do zdrowia. Pan Josef nie był już u nas dość długo, ale jego przyjaciel powiedział, że ma w planach odwiedziny, może nawet jeszcze w tym roku.

Zosiu najkochańsza, co u Ciebie? Czy masz chłopaka? Wiem od pana Assendricha, że studiujesz w Paryżu... Jak Ci zazdroszczę tego miasta, ach!

Twoja Sara

30. 08. 1964 r.

Najdroższa Zosiu!

Kiedy pan Assendrich przekazał nam nowinę o tym, że przyjedziesz, prawie zemdlałam ze szczęścia. Tak się cieszę że zobaczę Twoją córeczkę i będę mogła osobiście złożyć jej życzenia z okazji pierwszych urodzin! Na pewno jest piękna, tak samo jak ty. Nie możemy się Was tu doczekać. Wiem od pana Assendricha, że lecicie samolotem z Francji do Stanów, a dopiero potem tu do nas. Pappi mówi, że bezpieczeństwa nigdy za mało i muszę przyznać, że ma sporo racji. Najważniejsze, żebyście dotarły całe i zdrowe. Nie mogę się doczekać! Mutti też! I pappi także, choć on jak wiesz, nie mówi zbyt wiele o uczuciach. Do zobaczenia za trzy tygodnie!

Twoja Sara

21.11.1969 r.

Droga Zofio!

Strasznie przelewa się na papier takie informacje. Nasz pappi zmarł dziś nad ranem. Nie zdołaliśmy wygrać z jego chorobą. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile starań włożyliśmy z mutti, żeby mógł wrócić do zdrowia. Wszystko o czym pisałam w ostatnich listach, przez ostatnie tygodnie spotęgowało się dwu, a nawet trzykrotnie. W ciągu ostatnich kilku dni, właściwie nie odstępowałyśmy go na krok... Skoro mimo moich próśb, nie znalazłaś czasu, żeby choć raz odwiedzić go gdy był chory, liczę na to, że zdołasz okazać choć tyle serca, by przyjechać na pogrzeb i wesprzeć nas w tych ciężkich chwilach. Pan Assendrich choruje. Nie bywa w banku, dlatego nie mam żadnych informacji o tym, co u Ciebie. Ogromnie liczę na to, że przyjedziesz. List wysyłam kurierem, bezpośrednio do Rzymu, żeby zyskać na czasie. Mam nadzieję, że ksiądz Giovanni dostarczy Ci go do rąk własnych, tak jak obiecał.

Pogrążona w bólu Sara

13.06. 1983 r.

Droga Zofio!

Nie pojmuję jak mogłaś dojść do wniosków, że ktokolwiek z naszych przyjaciół przekazał Annie wyniki badań doktora Josefa. Postąpiłam zgodnie z Twoją prośbą i rozpytałam wśród znajomych z najbliższego otoczenia pappiego, czy wiedzą cokolwiek na ten temat. Wszyscy zgodnie twierdzą, że taka możliwość nie istnieje. Ciągle uważam, że dobrze zrobiłaś, mówiąc jej prawdę. Twoja córka ma już dwadzieścia lat i ma prawo samodzielnie decydować o swoim życiu. Ani ja, ani mutti, nie możemy zabronić jej, żeby przyjechała na grób pappiego. Nie zamierzamy też zabraniać panu Josefowi odwiedzin w tym samym terminie.

Sara

26.12.1983 r.

Droga Zofio!

Najszczęśliwsze życzenia Bożonarodzeniowe! Anna jest u nas i ma się bardzo dobrze. Spędza mnóstwo czasu z mutti. Gdybyś mogła je widzieć, jak rozprawiają o historii... Właśnie wyszły na spacer, mam trochę spokoju. Anna wypełnia dom takim ogromem energii, jak Ty, kiedy byłaś z nami. To cudowne uczucie, mieć tu cząstkę Ciebie.

P.S. Nie martw się. Pilnujemy z mutti, żeby nie stała jej się krzywda.

Sara

01.08.1984 r.

Droga Zofio!

Zaskoczyłaś nas informacją o tym, że Anna wstąpiła do zakonu. To dość nagła zmiana, biorąc pod uwagę plany, jakie miała będąc u nas. Mimo wszystko prześlij jej od nas moc uścisków.

Sara

Ostatni list był ukryty w kopercie, zaadresowanej na nazwisko Anna Braun, z adresem do doręczenia Mariahilfberg 3, 94032 Passau, Niemcy. Z jakiegoś powodu nie został wysłany. Zoja wyjęła z koperty złożoną na pół kartkę, na której wypisane było Dziesięć Przykazań:

Ja jestem Pan, twój Bóg, który cię wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli.

I Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną.

II Nie będziesz brał imienia Pana, Boga swego, nadaremnie.

III Pamiętaj, abyś dzień święty święcił.

IV Czcij ojca swego i matkę swoją.

V Nie zabijaj.

VI Nie cudzołóż.

VII Nie kradnij.

VIII Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu.

IX Nie pożądaj żony bliźniego swego.

X Ani żadnej rzeczy, która jego jest.

Pod przykazaniami, znajdowało się jeszcze jedno zdanie i podpis:

Słyszac kroki w korytarzu, Zoja zlozyła kartke i wsunela do koperty. Razem z pozostałymi listami wrzucila ja do torebki. Zawahala sie, ale w koncu wcisnela na dno takze pistolet. Zostawila na biurku jedynie paszporty i upewnila sie, ze w sejfie nic nie zostalo, po czym pobiegla do drzwi, zeby je otworzyc.

Zdazyła przekrecić klucz dosłownie kilka sekund przed tym, jak ksiadz nacisnal na klamke.

– Dobrze sie czujesz? – zapytal wchodzac do srodka, przygladzajac sie Zoi z niepewna mina. Skinela glową.

– Chodz do kuchni, musze ci cos pokazac.

– Zaczekaj – zatrzymala go i podeszla do biurka. – Znalazlam sejf, a w nim to – podala mu dwa paszporty. – Poza tym, nie uwierzysz, ale jest tu nasza dobra znajoma.

Wzrok ksiedza powedrowal za Zoja. Podeszla do sciany z sejfem i wolnym ruchem reki popchnela kamienna plyte w strone sciany, odslaniajac wpatrujaca sie w nich, niezmiennie tajemnicza twarz Swietej Anny.

– To nie moze byc przypadek – orzekl ksiazdz i przeniosl spojrzecie na trzymane w dloni paszporty. – A to?

– Wyglada na to, ze poslugiwala sie kilkoma tozsamościami – odpowiedziala zwiniele Zoja.

– To by do siebie pasowalo... – rzucil pod nosem ksiazdz, wyraźnie sie nad czyms zastanawiajac.

– O czym mowisz?

– Chodz – wskazal glową na drzwi – pokaże Ci.

Prowadzac ja korytarzem wyjasnil, ze w salonie znalazl laptopa, a w nim kilka ciekawych dokumentow, swiadczacych o tym, ze Zofia Trocinska zarzadzala sporym majatkiem.

– Tu na przyklad – ksiazdz wskazal na widniejacy na ekranie laptopa skan dokumentu – jest jedno ze starszych potwierdzen przelewow. Zostalo wystawione recznie, ale ktos je zeskanowal i wrzucil na dysk. We wszystkich pozniejszych dokumentach pojawia sie ten sam bank Begelin&Co, z adresem w szwajcarskiej miejscowosci St.Gallen. Operacje byly dokonywane jednostronnie, z rachunku w Instytucie Dzieł Religijnych, na prywatny rachunek kogos ukrywajacego sie za niemieckim haslem GEHEIMNIS, czyli scisle tajne, wlasnie w Begelin&Co. Stamtad czesc trafiała do depozytu, a reszta na normalny rachunek rozliczeniowy, z ktorego srodki wypłacano jednorazowo, zawsze w tej samej placowce banku. Z dokumentow jakie znalazlem wynika, ze transakcje powtarzaly sie rowno co rok od dwudziestu czterech lat. Ostatni wpływ na rachunek byl w tym roku, dokladnie miesiac temu. Wyglada na to, ze pieniadze nie zostaly rozdysponowane i nadal czekaja az ktos sie nimi zajmie.

– O jakich kwotach mowimy?

– Pol miliona euro.

Zoja zrobila wielkie oczy.

– Masz na mysli wszystkie wpływy razem?

Ksiazdz pokrecil glową.

– Nie Zoju. Pol miliona euro wpływalo na rachunek kazdego roku, włącznie z tym. Wypłacane z tego byly naprawde niewielkie kwoty, reszta przez te wszystkie lata trafiała do depozytu – ksiazdz odszedl od laptopa, zostawiajac Zoje sam na sam z wynikami jego poszukiwan. Wyszedl do kuchni i wrócił, niosac dwa kubki z kawą. Z jednego upil łyk, a drugi postawil na szklanym stoliku, przy ktorym siedziala Zoja.

– Co to jest ten Instytut Dzieł Religijnych? – zapytala po chwili, odrywajac wzrok od komputera i z zaciekawieniem spogladzajac na ksiedza.

– Dziwi mnie że tego nie wiesz. Instytut Dziej Religijnych, w skrócie IOR, to oficjalna nazwa Banku Watykańskiego.

Hodegetria wskazuje drogę

Serge Magdi zaparkował nowiuteńką Toyotę Rav4 na parkingu pod bramą Muzeum Narodowego i ruszył w kierunku biura przepustek, znajdującego się za szlabanem. Jako honorowy kurator nowej galerii z ramienia UNESCO, nie musiał nawet okazywać służbowej legitymacji, jednak z szacunku do pozostałych pracowników muzeum, robił to za każdym razem. Teraz także jego dłoń niemal bezwiednie powędrowała do kieszeni sportowej kurtki, ale w połowie poczuł, jak czyjeś palce zaciskają się wokół jego nadgarstka. Drgnął gwałtownie i odwrócił głowę, zaciskając wolną pięść, by wymierzyć napastnikowi cios. Jak zwykle, wycelował bezbłędnie. Mężczyzna zajęczał z bólu, puścił jego rękę i zatoczył się do tyłu, trzymając się za krwawiący nos.

Zoja podbiegła do zamroczonego księdza i posadziła go na chodniku pod drzewem. Nie zwracając uwagi na gapiących się ludzi, rozkazała mu odchylić głowę, wyjęła z torebki paczkę chusteczek i spróbowała zatamować krwotok, kątem oka obserwując biegnącego w ich stronę ochroniarza.

– Panie kuratorze, czy nic się panu nie stało? Co za łobuz, bandzior jeden! – ochroniarz złapał za telefon. – Zaraz dzwonię po policję!

– Nie trzeba – odpowiedział kurator i podszedł do księdza.

– Piotr! W imię Ojca... nie miałem pojęcia, że to ty!

Ksiądz zdołał wydusić z siebie „nic się nie stało”. Po chwili obaj stali na ulicy, ściskając sobie dłonie w powitalnym geście.

– Naprawdę, nie spodziewałem się, że przyjedziesz...

– Ja też się nie spodziewałem – odpowiedział ksiądz i wyrzucił do kosza zakrwawione chusteczki.

Trzydzieści minut później siedzieli wspólnie w niewielkiej kawiarni „Cafe Lorentz”, znajdującej się kilkadziesiąt metrów od głównego wejścia do muzeum. Chociaż lokal był jeszcze zamknięty, manager zgodził się ich wpuścić pod warunkiem, że dostanie od kuratora wejściówkę na wieczorne otwarcie galerii, o której od tygodni aż huczało w warszawskim świątku artystycznym. Odkąd zajęli miejsce przy okrągłym stoliku z widokiem na drzwi, zamówiona kawa zdążyła już wystygnąć. Zoja wzięła do ręki łyżeczkę i zaczęła się nią bawić, zerkając to na księdza, to na Serga.

Serge... Serge Magdi... Im dłużej mu się przyglądała, tym trudniej było jej uwierzyć, że ze swoją młodzieńczą energią i pasją do archeologii, i prawosławnych ikon, ten półkrwi Sudańczyk urodzony we Francji, ma na karku pięćdziesiątkę. Z punktu widzenia genetyki, stanowił nie lada zagadkę – mając matkę Sudanekę, wyglądem wdał się w dziewięćdziesięciu procentach w ojca Europejczyka. Zresztą nie tylko wyglądem. Sposób w jaki co chwila odgarniał z oczu krótkie, ciemne loki, zerkając przy tym na Zoję, jednoznacznie potwierdzał jego zamiłowanie do kobiecych wdzięków. Nawet teraz, kiedy się odezwała, wsłuchiwał się w każde słowo, w przeciwieństwie do księdza nie przerywając, by udowodnić, że jest od niej mądrzejszy. Może dlatego, nie zastanawiając się, wyjawiała prawdę o tajemniczej postaci, która za nią chodziła.

– Jest jeszcze coś... – Zoja spojrzała niepewnie na księdza. – Ten mężczyzna, który zastrzelił dwóch agentów na parkingu pod szpitalem... Wydaje mi się, że śledził mnie na cmentarzu w Sobótce Nowej. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem pewna, że właśnie wtedy wszystko się zaczęło. Zanim zniknął, zwrócił się do mnie słowami „Boże mój, Boże czemuś mnie opuścił...”. Dzięki temu wtedy, pod szpitalem, rozpoznałam jego głos.

Ksiądz zrobił minę, jakby ktoś drugi raz wymierzył mu cios w twarz. Wolno złapał oddech i lodowatym tonem zapytał Zoję, dlaczego nie powiedziała mu o tym wcześniej.

Natychmiast pomyślała o listach, które spoczywały bezpiecznie w jej torebce i o niewielkim pistolecie. Ksiądz zadał dobre pytanie. Właściwie sama nie wiedziała, dlaczego od początku nie była w stanie

całkowicie mu zaufać. Coś, jakaś cecha jego wyglądu, sposób w jaki chwilami na nią patrzył, sprawiało, że nie była w stanie bezgranicznie się przed nim otworzyć. I teraz, kiedy na niego patrzyła, czując że go zawiodła, a jej obawy mogą być całkiem bezpodstawne, uznała że może, może i był to błąd, i dobrze byłoby go naprawić...

– Moi drodzy... – odezwał się nagle Serge, mówiąc bardziej do księdza niż do Zoi. – Tak naprawdę to bez znaczenia, kiedy pierwszy raz spotkałaś tego człowieka. Jego słowa faktycznie są zagadkowe, ale nie sądzę, żeby to że dowiadujesz się o tym teraz a nie wcześniej, mogło cokolwiek zmienić – wstał i ruszył w stronę drzwi. – Zostańcie tu. Zapraszam was na śniadanie – uśmiechnął się i gestem zawołał kelnera. – Pan Marek serwuje najlepszą jajecznicę na świecie, zapewniam. Ja w tym czasie pójdę do muzeum i zastanowię się, w jaki sposób wprowadzić was do środka.

Otworzył drzwi i wyszedł, wpuszczając do środka ożywczy powiew porannego powietrza. Na dworze było ciepło i świeciło słońce. Zoja z radością spostrzegła, że po porannej mgle nie zostało już ani śladu.

– Będzie ładny dzień – rzuciła mimochodem, przystawiając do ust filiżankę z zimną kawą.

– Tak – odpowiedział ksiądz i skinął głową w kierunku filiżanki. – Nie pij tego. Nabawisz się wrzodów żołądka.

Zoja odstawiła zimną kawę i zamówiła następną. Nie mogąc dłużej znieść gryzących ją myśli, postanowiła wyartykułować swoje obawy na głos:

– Myślisz Piotr, że możemy mu ufać?

Ksiądz zamilkł, jakby nie był pewien, co odpowiedzieć. Czekala i czekała, aż w końcu zdecydował się podzielić z nią tym, co czuje.

– Znam Serge`a od ponad dwudziestu lat. Wiele razem przeszliśmy – westchnął, a w jego głosie pojawiła się niepewność. – I obawiam się, że na tę chwilę, to musi nam wystarczyć.

Zaskoczyła ją ta niepewność, ale po części rozumiała, co miał na myśli. Chociaż nadszedł ranek, a słońce wyjrzało zza chmur, to ich sytuacja nie uległa znaczącej zmianie, no może poza tym, że dotarli do Warszawy, korzystając ze sportowego mercedesa, należącego do jej babki, i – tak jak liczył na to ksiądz – zdołali odnaleźć Serge`a, i wstępnie przekonać go, by udzielił im pomocy.

– Zoja... musisz mi coś obiecać – poprosił ksiądz, przerywając niezręczną ciszę, która trwała od chwili, gdy kelner przyniósł śniadanie.

Zoja odłożyła widelec i podniosła wzrok, czując jak ksiądz powoli nakrywa swoją dłońią jej dłoń leżącą na stole.

– Obiecuj mi, że nigdy więcej niczego przede mną nie zataisz.

Czując się, jakby nagle znalazła się w potrzasku, Zoja poruszyła palcami, próbując zabrać rękę ze stołu. Ksiądz wpatrywał się w nią z coraz większym napięciem. Nie miała odwagi znowu skłamać. Biła się z myślami, kiedy nagle drzwi kawiarni się otworzyły, a do środka wszedł Serge.

– Chodźcie. Udało mi się załatwić przepustki.

Zoja i ksiądz poderwali się z krzeseł i ruszyli za nim w kierunku wyjścia.

– Ty Zoju jesteś dziennikarką z *The Archaeology Review Magazine*, a ty Piotr maklerem, inwestującym pieniądze klientów w dzieła sztuki – wyjaśnił ścisłym głosem Serge, kiedy mijali szlaban.

– Ty Zoju masz swoją, a Piotr swoją. Pilnujcie ich jak oka w głowie! – powiedział, podając im dwie przepustki, podobne do tej, którą wyjął z kieszeni.

Otworzył drzwi portierni i przeszedł obok ochroniarza, machając mu przepustką przed nosem. Zoja zrobiła to samo i ksiądz także. Po chwili stali na niewielkim placu, po lewej stronie mając schody i drewniane drzwi prowadzące do jednego z najstarszych muzeów w Polsce, w którym znajdowało się ponad 830 tysięcy dzieł sztuki. Dzięki przepustkom mieli do nich niemal nieograniczony dostęp.

– Zaniosę tę waszą przeklętą lodówkę na górę do pracowni i zaraz wracam. Poczekajcie na mnie przy recepcji.

– Dlaczego nie możemy iść z panem? – zdziwiła się Zoja.

Serge zmierzył ją pobłażliwym spojrzeniem i będąc już prawie za drzwiami odpowiedział, że chce pokazać im coś, co znajduje się w głównej części muzeum.

– Galeria Faras to jedna z najnowocześniejszych galerii w Europie – głos Serge`a rozbrzmiał znowu piętnaście minut później, gdy znaleźli się w otoczeniu świątynnych ścian i malowideł z których zerkali na nich pustelnik Amone i nubijscy biskupi Petros i Marianos.

Im głębiej wchodzili, tym głośniejsze stawały się płynące z głośników koptyjskie śpiewy liturgiczne. W ich akompaniamencie głos Serge`a brzmiał niczym z zaświatów.

– Teraz możecie sobie wyobrazić, jak wyglądała prawdziwa nubijska świątynia. Kilkanaście wieków temu – zamachał ręką wskazując na ściany – te malowidła pokrywały nawy i kaplice, w których modlili się wyznawcy chrześcijaństwa w Dolinie Nilu. A tu – zwrócił się do stojącej kilka kroków dalej Zoi – jest coś, co może cię zainteresować.

Zoja podeszła bliżej i spojrzała na ścianę. Tuż nad jej głową, na ścianie z lewej strony, w przedsionku ołtarza, wisiało malowidło ze świętą Anną, identyczne, jak to, które widziała już dwa razy w Łodzi.

– Niemożliwe! – krzyknęła Zoja – Zobacz Piotr. Czy to nie jest niesamowite?

Serge odsunął się na bok, robiąc księdzu miejsce obok Zoi. Dał im chwilę, by mogli dokładnie przyjrzeć się malowidłu, po czym powiedział:

– Portret Świętej Anny znajdował się w nawie północnej kościoła. To najstarsze znane malowidło na świecie, na którym Święta Anna występuje samodzielnie i to w tak wymownej pozycji, z palcem przytkniętym do ust – spojrzał na Zoję. – Pewnie zastanawiacie się, cóż to za napisy znajdują się nad jej głową i po prawej stronie – wskazał na litery ANNA HMHTHPTHOΘEOTOK. – Otóż są to napisane po grecku słowa, Anna, matka Bogurodzic... – przeciągnął c, na koniec robiąc pauzę – tak, nie przesłyszeliście się. C, to ostatnia litera. Niektórzy toczą spór, o to czy, powinno się tam znaleźć i igrek, ale moim zdaniem szkoda ich czasu.

– Anna, matka Bogurodzic... – powtórzyła Zoja, zastanawiając się nad sensem, jaki może mieć to zdanie. – Można wytłumaczyć to tak, że Anna była matką wszystkich matek, które poczęły następców Boga.

– Słuszna koncepcja pani Zoju, brawo za odwagę! – pochwalił Serge, w dziwny sposób zerkając na księdza. – Piotrze, mam nadzieję, że wkrótce pomożesz mi rozwinąć ten wątek.

Ksiądz natychmiast spróbował się wymigać, mówiąc że jego wiedza jest mocno okrojona, bo dotyczy jedynie odłamku chrześcijańskiego. Piotr posłał mu pobłażliwy uśmiech.

– Nigdy nie mogłam zrozumieć, czym tak naprawdę różni się chrześcijaństwo od prawosławia – powiedziała Zoja do Serge`a.

Serge spojrzał na zegarek.

– Opowiem pani o tym z największą przyjemnością, ale po drodze. Mamy coraz mniej czasu – oznajmił, wychodząc z sali w kierunku wyjścia i czekających za drzwiami pracowników galerii, których wyprosił, zanim weszli do środka. – Koniecznie zajrzyjcie do sali, w której odbywa się projekcja filmu w 3D. Macie jedyną w swoim rodzaju okazję, by zobaczyć na żywo jak wyglądała świątynia! – rzucił zachęcająco i podszedł do Zoi, konspiracyjnym szeptem wyjaśniając, że w niektórych ujęciach doskonale widać szczegółowe detale malowidła świętej Anny.

– Z całą pewnością nie zobaczysz na końcu słowa litery igrek. Nigdy jej tam nie było – puścił oko do Zoi, jakby cieszyło go, że może wprowadzić do jej umysłu odrobinę zamętu dotyczącego historii kościoła.

Opuściwszy galerię Faras, idąc przez główny hall, dostali się na schody prowadzące do dwóch ogromnych sal wystawowych znajdujących się po ich prawej i lewej stronie. Zoja szła za Sergem i księdzem, coraz bardziej urzeczona minimalistycznym wystrojem i klasą, z jaką urządzone było wnętrze muzeum. Musiała przyznać, że galeria Faras została odnowiona z niesamowitym rozmachem, a multimedialne prezentacje i odtworzenie układu świątyni, zrobiły na niej piorunujące wrażenie.

Gdy znaleźli się w korytarzu prowadzącym do części muzeum zamkniętej dla zwiedzających, Serge podjął wcześniejszy wątek rozdziału kościoła.

– Pytała pani w czym kryje się różnica... – idąc przodem, odwrócił głowę i spojrzał na Zoję. – W słowie Filioque, które po łacinie znaczy „od syna”. Formuła teologiczna wyznawców Prawosławia głosi, że Duch Święty w Trójcy nie jest jedyny; pochodzi bowiem na równi od Syna i Ojca. Wyznawcy Kościoła rzymskokatolickiego widzą w tym podstawę sporu, który doprowadził do rozłamu nazwanego schizmą wschodnią. Bo zdaniem rzymskokatolickich chrześcijan, Duch pochodzi jedynie od Ojca. I jest jedyny w Trójcy. Poza tym istotą wyznania prawosławnego jest inna hierarchia Kościoła, u nich bowiem wszyscy zwierzchnicy są sobie równi, a Kościoły na całym świecie mają prawo samostanowienia, oczywiście pod warunkiem, że trzymają się zasad wyznania...

– Czyli ich zdaniem Chrystus i Maryja nie zasługują na to, by ich czcić? – zapytała Zoja, idąc kilka kroków za Sergem.

– W bardzo, bardzo dużym uproszczeniu, można to tak ująć. Ale jestem daleki od stwierdzenia, że ich zdaniem nie zasługują na uwagę czy uznanie ich istnienia. Zdaniem wyznawców prawosławia pani Zoju, Chrystus był przede wszystkim człowiekiem, tak samo, jak jego matka – odpowiedział i nagle zmienił temat, wskazując głową na plakat wiszący na ścianie korytarza, na którym znajdowała się kopia malowidła Świętej Anny. – Dzisiejsze otwarcie to wielkie wydarzenie i po części mój powód do dumy – zatrzymał się pod drzwiami, na których wisiała tabliczka z napisem „laboratorium”, i wyjął z kieszeni klucz.

– Wejdźcie i rozgośćcie się tu wszyscy, albowiem to jest miejsce moje, które za was i za waszą tajemnicę będzie wydane! – zażartował.

Widząc że ktoś idzie korytarzem, Serge szybko wprowadził ich do sporych rozmiarów sali. Zoja natychmiast dostrzegła poustawiane wzdłuż ścian sztalugi, na których znajdowały się pozakrywane płótnem mniejsze i większe obrazy. Pośrodku znajdował się masywny blat, a wokół niego kilka mniejszych, na których stał sprzęt, służący do badania stanu obrazów i innych dzieł sztuki. Serge zapalił punktowe oświetlenie podwieszane nad jednym ze stołów i wtedy Zoja zobaczyła turystyczną lodówkę, stojącą na podłodze obok jego nogi. Była otwarta, co mogło oznaczać tylko jedno – Serge wyjął dłoń i ukrył ją w bezpiecznym miejscu. Spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Zapomnij o niej na chwilę – poprosił Serge, jakby wiedział o czym myśli, i zamknął drzwi na klucz, wskazując im dwa stołki stojące pod ścianą. – Usiądźcie moi drodzy, ta rozmowa może zająć nam chwilę – przysiadł na brzeg stołu, splatając ręce na piersi. – Żeby zrozumieć wszystko co się wydarzyło, trzeba zagłębić się w symbole chrystianizmu. Zarówno odłam prawosławny, o którym rozmawialiśmy przed chwilą, jak i rzymskokatolicki, pomimo różnic, mają z sobą wiele wspólnego. Po pierwsze wyznają wiarę w tego samego Boga. Po drugie, uznają istnienie proroka zwanego Jezusem Chrystusem. Po trzecie, wyznają prawdy wiary i poczęcie z Maryi Dziewicy. Te fakty, mimo podziałów uwidocznionych wydarzeniem nazwanym ogólnikowo schizmą wschodnią, stanowią część wspólną dla wierzących w jednego Boga i jego Syna Odkupiciela – schylił się i wyjął z szuflady laptopa. – Idąc dalej, warto zagłębić się w pełni symboliki, zapożyczoną często od pogan. Na potrzeby nawracanych innowierców robiono kiedyś wszystko co niezbędne, by zachęcić ich do wiary w jedynego Boga. Masowo przenoszono do Nowego Testamentu symbole drzew, słońca, wiatru czy mistycznej Bogini Izis, byle tylko zostały uznane za prawdziwe. Nie zmienia to podstawowych założeń, które w pewnym sensie mówią same za siebie; od Ewy i Adama, następowały pokolenia ich potomków, naznaczone piętnem Boga Ojca. Stąd wniosek, że cierpienie, grzech, odkupienie, strach i ofiara, od wieków są nierozłącznym elementem wiary, nakazującym jej wyznawcom bezwzględne posłuszeństwo.

Serge wstał i podszedł do ściany, na której znajdował się ekran rzutnika. Wrócił, włączył laptop i podłączył do kabla projektora. Po chwili pomieszczenie zalało światło, padające z ogromnego obrazu, na którym Zoja rozpoznała postaci znane z Biblii, ustawione według schematu, nawiązującego do rysunków

drzew genealogicznych.

– Jest jeden Bóg, jeden Syn Boży i jeden Duch Święty – Serge wskazał na postaci znajdujące się na szczycie rysunku. – Poza nimi są też Apostołowie, Święci, Jan Chrzciciel i wielu innych. Są także, wciąż pomijane kobiety, a wśród nich Maria Magdalena, Salome, Marta, Maria, Anna jej matka, i wiele, wiele innych, o których Kościół rzymskokatolicki woli milczeć. Prawosławie, ze względu na swój pozornie bardziej liberalny stosunek do Matki Boskiej i pozostałych kobiet, może pozwolić sobie na dyskusję na temat ich roli w życiu Kościoła. Tu także symbolika ich istnienia i udziału w życiu Kościoła wymaga wprowadzenia w historię – w tym miejscu Serge zrobił przerwę, spoglądając na Zoję, jakby nie był pewien, czy wszystko jest dla niej jasne i czy może mówić dalej. Widząc że Zoja o nic nie pyta, uśmiechnął się i kontynuował.

– W symbolice Kościoła istotną rolę odgrywały liczby. Jedyńka od zawsze była uznawana za liczbę boską; jest jeden Bóg i Bóg ten jest panem wszystkiego. Dwójka oznaczała proporcję i dualizm wszystkiego co zostało stworzone – boska para istnienia, dopasowanie, początek istnienia w którym początek i koniec stanowią zwartą jedność, a także stworzenie nieba i ziemi i ich opozycję względem siebie. Trójka to symbol Trójcy Świętej, zwartej i tożsamej w Bogu, Duchu Świętym i Synu Boskim – w ich przypadku nie można zapomnieć jednak o istocie ludzkiej, uznanej za dobrą i naznaczoną przez Boga w układzie mężczyzna-kobieta-dziecko. Niemal od zawsze za symbol trójki uznawano figurę geometryczną, trójkąt. Kolejna jest czwórka, nie mniej ważna – cztery pory roku, cztery żywioły, cztery cykle życia, narodzenie, dzieciństwo, dojrzewanie i starość. Nie można pominąć także tego, że czwórka w układzie liter YHWE, oznaczała Boga. Piątka to pentagram, stanowiący symbol ochrony zsyłanej przez Boga. Szóstka odpowiada sześciu dniom pracy, po których następował dzień siódmy, symbolizujący doskonałość stworzenia, a także znaki zodiaku, pory roku i istotę boskiego wpływu na istnienie świata. Dwanaście, jak nietrudno zauważyć, odnosi się także do liczby apostołów, na których przekazie opiera się Nowy Testament. Trzynastce na Bliskim Wschodzie i w Babilonie przypisywano diabelskie moce; stąd uznanie jej za pechową, nieszczęśliwą i niosącą złe powiązania energetyczne.

Zoja zobaczyła przed oczami twarz ojca Bruno. Przypomniała sobie jego lekcje i sposób, w jaki będąc małą dziewczynką, korzystała z liczb, by dzięki nim przewidzieć przyszłość. W przeciwieństwie do symboliki biblijnej, technika numerologiczna którą znała, korzystała jedynie z jedyńki, dwójki, trójki i tak dalej, ale aż do dziewiątki. Gdy wypadało dziesięć, należało odjąć zero. A gdy wychodził dwucyfrowy wynik, należało dodać sąsiednie cyfry, by uzyskać z nich jedną liczbę. Zaczynając od postawienia pytania, należy policzyć ilość liter w każdym słowie, a potem zliczyć także ilość słów i wpisać na samym początku. I dodawać, dodawać, dodawać, aż wyjdzie wynik, który da odpowiedź...

Nagle wspomnienia wróciły i Zoja zobaczyła wypisane na kartce pytanie.

CZY BABCIA MNIE STĄD ZABIERZE

Po tym jak ojciec Bruno wyszedł z jej celi, masując obolałą głowę, podniosła z podłogi kartkę i ołówek, i dokończyła zadanie.

Ból, jaki przyniosła odpowiedź, sprawił że przepłakała całą noc.

Trzy.

Tak, numery odpowiedziały tak.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Ksiądz poderwał się na równe nogi i z niepokojem zaczął obserwować Seerge'a, czekając na to, co zrobi. Zoja nie ruszyła się z miejsca uznając, że nawet jeśli agenci trafili na ich ślad, jest już za późno na ucieczkę.

Serge dał im znak, żeby siedzieli cicho. Uchylił drzwi i wyszedł na korytarz. Po chwili wrócił, i jakby nigdy nic kontynuował przerwany wątek rozmowy.

– To tylko pracownik galerii. Przed otwarciem starają się dopiąć wszystko na ostatni guzik – powiedział, siląc się na spokojny ton, choć zarówno Zoja jak i ksiądz wyczuli, że jest lekko zestresowany.

Zoja ukradkiem otarła łzy i zaczęła słuchać dalej tego, co mówił Serge.

– Zarówno w prawosławiu, jak i w chrześcijaństwie uznaje się, że alfabet którego użyto do spisania Starego i Nowego Testamentu, jest święty i doskonały. Wyraża się to nie tylko w symbolice poszczególnych liter następujących po sobie lecz także w tym, jak zostały użyte do wyrażenia istotny wiary. A otwierające alfabet stanowi także pierwszą literę imion Abby, Adama i Abrahama. Q, czyli omega, to litera wyrażająca w sobie doskonałość. Jej połączenie z A, wyrażone w AQ, oznacza symbol nieskończoności, uznawanej za jedną z cech Boga Ojca, w grece oznaczonego jako Logos. T to tau, odnoszące się do krzyża. Chi, o które między innymi pytała pani wcześniej, pani Zoju, to X, znany jako jeden z symboli Chrystusa; najczęściej pojawia się w połączeniu z drugą literą – P i obie stanowią rozpoznawalny dla chrześcijan monogram Chrystusa, zwany właśnie Chryzmonem. Ypsilon, czyli Y to symbol ludzkiego życia. Dość popularny jest też układ liter, widoczny zwłaszcza na krzyżu; XMT, czyli skrót imion Chrystusa Odkupiciela, Maryi i Archanioła Gabriela. Tego znaku używa się często przy okazji egzorcyzmów, by odgonić złe moce.

– Dlaczego właściwie chryzmon aż tak się utrwalił?

– Dobre pytanie pani Zoju, ale odpowiedź wymaga otwartości umysłu. Jako że był to monogram Chrystusa, po jego ukrzyżowaniu piętnowani przez Rzymian chrześcijanie zaczęli używać go jako symbolu wiary. Najbardziej znana legenda głosi, że kiedy cesarz Konstantyn ujrzał ten znak na niebie przed bitwą, która okazała się dla niego wygrana, zdecydował się na wprowadzenie polityki prochrześcijańskiej. Jak może sobie pani wyobrazić, dla wyznawców Chrystusa oznaczało to uwolnienie od cierpień i prześladowań... Ponadto X i P, wyrażone w grece, kryją w sobie siłę i potęgę, o jakiej najwięksi władcy mogliby jedynie marzyć. Pożądliwie pragnęli zawładnąć tym symbolem, jednak od wieków jego moc pozostaje w ukryciu.

Zoja wyjęła z kieszeni medalik.

– Chce pan powiedzieć, że to jest symbol, który kryje w sobie jakieś szczególne właściwości?

– W dużym uproszczeniu, tak. Powiedzmy, że na razie taki sposób pojmowania istoty sprawy jest jak w sam raz.

Zoja poczuła się dotknięta jego słowami. Oczywiście, przewyższał ją wiedzą, doświadczeniem, zawodową pozycją... ale czy w obecnej sytuacji, po tym wszystkim co się stało, nie zasługuje na to, by był z nią szczery?

– Czyżby chciał pan przez to powiedzieć, że jestem na to zbyt głupia? A może odcięta dłoń i medalik trafiły do mnie przez przypadek?

Serge pokręcił głową.

– Wręcz przeciwnie pani Zoju... Zasługuje pani, tyle że przede wszystkim powinna pani myśleć o swoim bezpieczeństwie.

Zoja poczuła, jak oblewa ją lodowaty pot.

– Sugeruje pan, że coś mi grozi?

Przez ułamek sekundy dostrzegła w oczach Serga niepewność. Spojrzał na księdza, a wtedy natychmiast dotarło do Zoi, w czym tkwi problem. To ksiądz stanowi zagrożenie! Serge wstrzymuje się od powiedzenia jej wszystkiego co wie, ze względu na jego obecność w laboratorium! Zoja spojrzała na księdza, który nagle wstał i zaczął się nerwowo kręcić, wyraźnie niezadowolony z obrotu, jaki przybrała rozmowa. Kiedy po chwili zabrał głos, Zoja była prawie pewna, że jej przypuszczenia są słuszne.

– Chryzmon jest jedynie czymś w rodzaju sfragistyki Serge! – wypalił, obdarzając przyjaciela karcącym spojrzeniem. – Wszelkie inne spekulacje nie są poparte żadnymi dowodami.

Serge nie podniósł wzroku znad laptopa. Nie dosyć, że zignorował słowa księdza, to jeszcze zwracając

się już bezpośrednio do Zoi, zdecydował się kontynuować temat:

– Mimo wszystko będę się upierał, że sprawa medalika i znaku, który wytatuowano w dłoni, jest szalenie intrygująca. Od wieków temu symbolowi towarzyszy właśnie ta łacińska inskrypcja *In Hoc Signo Vincas*, co w tłumaczeniu znaczy w tym znaku zwyciężysz. Jest całkiem zrozumiałe, że nie mając wyboru, chcąc wierzyć w wygraną dobra ze złem, bogactwa duchowego z utrapieniem, odrodzenia ze śmiercią... i tak dalej... wierni musieli wybrać taką prawdę, jaką zaoferował im Kościół – przerwał, spoglądając na księdza, który co chwila posyłał mu wściekłe spojrzenia. – Wie pani, że jeszcze w Konstantynopolu żywe były przekazy o Ewangelii Apostolic, a także o tym, że chryzmon symbolizuje coś więcej?

Ksiądz stęknął ze złości. Chciał coś powiedzieć, ale Serge go zatrzymał.

– Daj mi dokończyć Piotr! Skoro ma medalik, może poznać prawdę. Chryzmon to symbol, którym posługiwali się członkowie bractwa, mającego chronić potomków Chrystusa – słysząc jak ksiądz zaczyna się śmiać, spojrzał na niego ze zdumieniem. – Co cię tak rozśmieszyło?

– To, że uparcie brniesz w ślepią uliczkę – ksiądz pokręcił głową. – Nie masz żadnych dowodów.

Zoja zrozumiała, że ksiądz robi wszystko, by wyprowadzić Serge'a z równowagi.

„Chcesz znaleźć pretekst, żeby móc mnie stąd zabrać” – pomyślała i na gorąco podjęła decyzję, co powinna zrobić.

– Nie przyjechałam tu, żeby kłócić się o to, czy jakaś legenda ma w sobie ziarno prawdy, czy nie ma! – powiedziała stanowczo do księdza. – Nie wierzę w istnienie żadnego bractwa i nawet gdyby istniała jakaś teoria, która miałyby to potwierdzać, nie dałabym się w nią wkręcić. Szkoda czasu, żeby kłócić się o coś tak nieistotnego!

Jej plan natychmiast zadziałał. Twarz księdza rozpromieniła się w uśmiechu. Wzdychając z ulgą przysunął sobie stołek i jakby nigdy nic, usiadł obok niej. Serge z wyrazem zdumienia i zawodu wlepił wzrok w ekran laptopa, posyłając Zoi lodowate spojrzenie.

Po chwili zaczął mówić, jednak już bez wcześniejszego entuzjazmu.

– Jest jeszcze jedna ciekawostka.

Zoja spojrzała na ekran. Pojawiło się na nim malowidło Matki Boskiej trzymającej w ramionach małego Jezusa.

– Gdyby wynająć ekspertów od mowy ciała i zlecić im analizę malowideł i ikon, mieliby pełne ręce roboty... – Serge pokazał palcem miejsce na ekranie. – Na przykład tu twarze Matki Boskiej i małego Jezusa są od siebie oddalone i zwrócone w kierunku patrzącego na obraz. Z pozoru można to odebrać jako wyraz całkowitego oddania wiernym, jednak tak naprawdę to znak ich odrębności albo nawet dystansu. Podobnie jest z obrazem Matki Boskiej Jasnogórskiej. Legendarna szrama przecinająca jej policzki ma ścisły związek ze złotymi promieniami otaczającymi jej głowę. Razem mają oznaczać niepokalane dziewictwo, cierpienie i wniebowstąpienie duchem i ciałem.

Serge wziął do ręki pilota od rzutnika i naciskając na jeden z przycisków sprawił, że obraz na ekranie zaczął się powiększać.

– Warto też przyrzeć się ich dłoniom. Dłoń matki jest skierowana w stronę syna, co ma symbolizować całkowite oddanie i poświęcenie. Jezus z kolei w jednej dłoni trzyma Biblię, drugą zaś błogosławi matkę, co niektórzy odczytują jako dowód na to, że traktował ją protekcyjnie, jak zresztą wszystkie kobiety, których Kościół nie chce dopuścić do pełni czci – nacisnął na pilota i zgasił rzutnik, sprawiając, że w laboratorium zapanował półmrok. – Piotr, wyjaśnisz pani Zoi jak inaczej nazywana jest Matka Boska Jasnogórska?

– Hodegetria, czyli ta, co wskazuje drogę. Akurat ten wizerunek jest wspólny dla wyznawców rzymskokatolickiego i prawosławnego odłamu. Matka Boska na tym obrazie jest utożsamiana z polskim klasztorem na Jasnej Górze, w którym znajduje się jego oryginał. Podobno Hodegetria ma moc, dzięki której od setek lat chroni Polaków od klęsk i przegranych wojen.

Serge skinął głową z uznaniem.

– Zgadza się. Na dodatek niektórzy uważają, że modlitwa do niej przynosi uzdrowienie chorych i potrafi nawracać niewiernych. Może dlatego jest tak popularna... Poza Hodegetrią, która prowadzi wiernych, jest też...

– Eleusa! – wtrąciła Zoja i, wykorzystując to, że Serge na nią spojrział, posłała mu uśmiech – Eleusa czyli ta, która współczuje. Czytałam o tym w *The Paris Review*. W zeszłym roku jakiś rosyjski autor napisał powieść o współczującej matce, która odmieniła jego życie. Autorstwo pierwszej ikony przypisuje się Łukaszowi Ewangeliście, który miał ją namalować w Nazarecie.

Kiedy kilka minut później ksiądz wyszedł do łazienki, Zoja została z Sergem sam na sam. Zdając sobie sprawę, że ma tylko chwilę, by wykorzystać okazję jaka się nadarza, złapała torebkę leżącą na ziemi i podeszła do niego. Stał tyłem do niej, a kiedy usłyszał za plecami kroki, gwałtownie drgnął.

– Potrzebuję pana pomocy – wyszeptwała.

Serge się odwrócił. Spojrzął na nią z zaskoczeniem.

– O co chodzi?

Zoja głośno przełknęła ślinę i oglądając się w stronę drzwi, położyła torebkę na stole, szybko wyjęła ze środka kopertę z listami i podała mu ją. Serge kątem oka zauważył niewielki pistolet.

– Pani ma broń?

Zoja szybko zamknęła torebkę.

– Nie... jak tylko... znalazłam ją w sejfie. Tak samo jak kopertę ze starymi listami, które jej siostra, Sara, wysyłała do mojej babki. Może pan będzie w stanie zrozumieć z nich coś więcej.

– Piotr wie o tej broni?

Zoja pokręciła głową.

– Proszę mi ją dać – rozkazał Serge.

Niezbyt pewna, czy postępuje właściwie, Zoja wyjęła pistolet i podała mu.

Serge podrzucił go oceniając wagę i sprawdził ilość naboí. Ku jej zdziwieniu, zaraz potem wsunął broń do jej torebki i zasunął zamek.

– Ma pani dwa naboje gotowe do strzału i cztery w zapasie. Proszę dobrze ukryć pistolet i nie mówić nic Piotrowi – spojrzął w stronę drzwi, nasłuchując czy nie wraca. – Umie pani strzelać?

Zoja zaprzeczyła.

– To źle, bardzo źle. Piotr pewnie będzie chciał panią nauczyć, proszę się zgodzić.

Zoja złapała go za rękę, jakby to była ostatnia deska ratunku.

– Mogę na pana liczyć? Naprawdę zależy mi na tych listach – zerknęła na kopertę leżącą na stole za plecami Serge`a.

– Pomogę – westchnął. – Bo widzę, że sytuacja wymyka się spod kontroli.

Zoja nie rozumiała, co Serge ma na myśli. Nawet gdyby chciała go o to zapytać, było za późno. Ksiądz otworzył drzwi i zajrzał do pokoju, mówiąc, że schodzi na dół po gazetę.

– Idziesz ze mną? – zapytał Zoję.

Odmówiła, czując, że musi zadać jeszcze jedno ważne pytanie, zanim Serge zajmie się przygotowaniami do wieczornego otwarcia galerii Faras.

Ksiądz zamknął drzwi i Zoja słyszała, jak odchodzi korytarzem w stronę schodów. Na wszelki wypadek postanowiła odczekać chwilę, gdyby zdecydował się jednak zawrócić. Potem usiadła na brzegu stołu i spojrziała na Serge`a, który właśnie zabierał się za przeglądanie listów. Trzymając jeden z nich blisko światła, próbował założyć na nos okulary.

– Powiedz mi Serge czy Bractwo Chryzmonu naprawdę istnieje?

– Z całą pewnością tak – odpowiedział.

Odsunął list i kładąc splecione dłonie na kolanach, spojrzął przed siebie, jakby próbował sobie coś przypomnieć. Jego głos brzmiał spokojnie i tak dostojnie, że Zoja poczuła na plecach ciarki.

Ta, która poczęła

Nagły podmuch wiatru zerwał z głowy kobiety chustę, odsłaniając jej twarz. Z niepokojem spojrzała w kierunku otwartej drewnianej bramy i ruszyła przed siebie szeroką ścieżką, niknąca w oddali pośród karłowatych drzewek oliwnych. Miała na sobie długą błękitną tunikę zakrywającą jej ciało od stóp aż po szyję. Jej rude włosy sięgające połowy pleców, jeszcze chwilę temu ukryte pod chustą, teraz rozwiewał wiatr wiejący od miasta Jerozolimy.

W pewnej chwili usłyszała za plecami złowrogi szelest. Odwróciła głowę i przystanęła, wstrzymując oddech. Kiedy okazało się, że to szpak przelatujący z gałęzi na gałąź, dobrotliwie pogroziła mu palcem. Minęła studnię i zeszała ze ścieżki. Jak co dzień udała się w kierunku rosnących gęsto drzew oplecionych zieleniejącymi krzewami. Zwinnym ruchem dłoni rozchyliła gałęzie sięgające do jej bioder. Tak jak się spodziewała, zastała go klęczącego na ziemi, z rękoma opartymi o wysoki kamień. Jego dłonie były splecione, a oddech spokojny i miarowy. Znała go na tyle, by wiedzieć, że w tej chwili potrzebuje tylko ciszy, bo jego ciało i duch są całkowicie pogrążone w modlitwie. Najciszej jak potrafiła podeszła bliżej i usiadła w cieniu drzewa.

– Oto ta, którą umiłowalem – wyszeptał spokojnie, otwierając oczy i odwracając głowę. Zachowywał się tak, jakby od dawna wiedział, że kobieta już tu jest. Z wyrazem bezgranicznego oddania podszedł i położył dłoń na jej dłoni.

– Czy teraz już wiesz?

– Tak – uśmiechnęła się.

– A więc? Czy...

– Jestem. I ty jesteś – odpowiedziała, biorąc jego dłoń i kładąc na swoim brzuchu.

– Lękam się – wyszeptał po chwili.

– Jestem z tobą – zapewniła go, palcem wykonując mu na sercu znak krzyża. – Wybrał cię spośród wielu. Nie mógł się mylić.

– Ty mnie wybrałaś. Tobie powierzyłem swoje życie. I za ciebie jestem gotów je oddać.

– Nie za mnie, lecz za wielu krew twoja będzie rozlana. Za odpuszczenie ich grzechów.

Mężczyzna pokręcił z rezygnacją głową.

– Tak wielu nie wierzy...

– Nadejdzie dla nich czas próby – kobieta wstała i położyła głowę na jego ramieniu – Niesiemy kielich prawdy. Każdy spragniony odnajdzie do nas drogę. Przybywa nam uczniów z dnia na dzień. Kolejni potrzebujący miłosierdzia przychodzą, żeby słuchać twoich słów...

– To nie potrwa już długo – westchnął. – Ty wiesz, prawda?

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo liście krzewu rosnącego za nimi się rozchyliły i wyłoniła się spomiędzy nich twarz brodatego mężczyzny.

– Tu jesteście! – zawołał radośnie.

Kobieta zrobiła srogą minę.

– Bracie... wystraszyłeś nas! – odpowiedziała, próbując opanować nerwy.

Przywitali się, a potem brodaty mężczyzna wyjął z przepastnego worka na plecach małe zawiniątko. Kobieta i mężczyzna podeszli bliżej. Byli bardzo podekscytowani. Tamten odsłonił kawałki materiału i ukazał im leżące obok siebie, błyszczące w promieniach słońca, cztery identyczne symbole, odlane w złocie w formie medalików. Były proste – w laurowym wieńcu znajdowały się krzyżujące się litery X i P.

– Wspaniale – oceniła kobieta.

– A pierścień? – zadał mu pytanie mężczyzna.

– Też mam – odparł tamten z zadowoleniem i zwrócił się do kobiety. – Pobłogosławisz je?

– Wieczorem, kiedy przybędą wszyscy – odparła.

- W tym samym miejscu? – chciał się upewnić powiernik.
- Tak – potwierdziła kobieta. – Pozostali wiedzą?
- Zrobiłem co w mojej mocy.
- A zatem idź w pokoju – powiedziała i palcem zrobiła mu na czole znak krzyża.

Brodaty mężczyzna ukrył zawiniątko z powrotem w torbie. Chwilę później jego cień rozmył się w cieniu drzew. Odczekawszy kilka minut, kobieta i mężczyzna także opuścili ogród.

Stara kobieta po cichu wyszła z kryjówki za studnię. Poprawiła szaty, pogniecione od klęczenia w trawie i opuściwszy ogród Getsemani, ruszyła w stronę miasta.

Kiedy weszła do domu, zastała swoją córkę w kuchni. Przywitała się, podeszła do szeroko otwartego okna wychodzącego na ogród i napawając się intensywnym zapachem dojrzałych pomarańczy, zerwała jedną.

Córka odstawiła półmisek z pastą z ciecioriki i spoglądając na matkę zapytała, czy udało jej się dowiedzieć czegoś nowego.

- Nie – skłamała matka.

Odłożyła pomarańczę na stół i spojrzała na córkę z taką przenikliwością, jakby chciała odczytać jej myśli.

- Powiedz mi, dlaczego tak bardzo jej nienawidzisz?

Córka natychmiast zrobiła oburzoną minę. Zamiast odpowiedzi matka usłyszała jedynie uwagę, że nie powinna spędzać tyle czasu samotnie chodząc po mieście.

Stara kobieta nie zamierzała jednak dać za wygraną.

- No dlaczego? Czy nie chcesz, żeby był szczęśliwy?
- Jeśli śmierć nazywasz szczęściem, to masz rację, nie chcę by mój syn zaznał takiego szczęścia.
- Martwisz się jedynie o niego. Jedynie on cię obchodzi. A inni ludzie? Czy ich los jest ci obojętny?
- Wiem jedynie, że mój syn nie urodził się, żeby zostać byle prorokiem. Powinien prowadzić lud objąć tron!

- Ach! – zawołała stara kobieta. – A więc to spędza ci sen z powiek!

– Dziwi cię matko, że obawiam się o jego życie? – próbowała się bronić jej córka. – A ty? Czy tobie na nim nie zależy? Wolisz, żeby poświęcił życie dla tej kobiety? Dla ludzi, którzy idą za nią, bo obiecuje im raj?

Stara kobieta zaśmiała się przez łzy.

- Niczego nie rozumiesz. Ale już niebawem nie zostanie ci inna droga. Będziesz musiała ją przyjąć pod swój dach.

– A to niby dlaczego? Ona ma swój dom. Ma majątek. Jej brat i siostra na pewno są w stanie się o nią zatroszczyć. Poza tym, skoro ma tak wielu uczniów...

– Córko! – krzyknęła ze złością stara kobieta, ale widząc w drzwiach kuzyna nadstawiającego ucha, zamilkła i wyszła.

Choć starość zaprosiła ją do tańca kilka lat temu, wciąż jeszcze potrafiła wykazać się sprytem. Z pokoju wzięła ciepłą narzutę; noce w Jerozolimie, zwłaszcza w marcu, potrafią być chłodne. Gdy opuszczała dom, słońce zaczynało powoli chylić się ku horyzontowi. Narzuciwszy pled na zgarbione plecy, ruszyła ulicami w kierunku ogrodów oliwnych. Cienie domów kładły się pod jej nogami, podobne do skrzydeł aniołów.

Po jego śladach

– Tak, skrzydeł aniołów – zakończył z cichym westchnieniem Serge.

Słyszając dobiegające z korytarza odgłosy kroków, on i Zoja spojrzeli na drzwi laboratorium.

Po kilku sekundach ksiądz wślizgnął się do środka i ostrożnie wyjrzał na korytarz, jakby bał się, że ktoś mógł go śledzić.

– Gdzie byłeś tyle czasu? – zapytał Serge.

– No właśnie! – dodała Zoja, starając się, żeby jej głos brzmiał jak najbardziej naturalnie. Robienie czegokolwiek za jego plecami było trudniejsze niż się spodziewała. Nie chciała, żeby się zorientował, że próbuje robić coś na własną rękę.

Ksiądz przekręcił klucz w zamku, a ona spojrzała na zegar wiszący na ścianie i mimochodem rzucił jej się w oczy ustawiony na sztaludze obraz podpisany jako *Portret młodego mężczyzny w peruce*, Krzysztofa Lubienieckiego. Natychmiast przypomniała sobie, że kilka miesięcy temu w Nowym Jorku było o nim głośno. Swoją drogą, przeleciało jej przez myśl, przebywanie w pomieszczeniu, w którym na wyciągnięcie ręki znajduje się dzieło sztuki odzyskane przez FBI, jest co najmniej elektryzujące. Znowu spojrzała na księdza i na zegar.

– Ponad dwadzieścia minut... – rzuciła, czekając w coraz większym napięciu, aż wreszcie się powie takiego się stało, że wygląda jakby zobaczył ducha

– O tej porze trudno dostać *Rzeczpospolitą* – odezwał się w końcu, ciągle dysząc. Okazało się, że kiedy wracał z łazienki, podsłuchał na korytarzu rozmowę pracowników muzeum, z której wynikało, że pewien dziennik jako jedyny opisał sprawę potwornej zbrodni, do jakiej doszło wczorajszej nocy w Watykanie. Zszedł na dół, licząc na to, że dostanie gazetę w kiosku za bramą, ale okazało się, że czekają na dodruk.

Podszedł do Zoi i wyciągnął spod bluzy egzemplarz *Rzeczpospolitej*, pachnący jeszcze farbą. Na sam widok nagłówka, poczuła jak krew uderza jej do głowy.

„*Brutalny atak w samym sercu Stolicy Apostolskiej*”

„*Kardynała Angenera znalazł późną nocą jego bliski współpracownik. Leżał nieprzytomny w kałuży krwi, z odciętą prawą dłonią, w gabinecie w swoim 200-metrowym apartamencie, zaledwie kilka kroków od placu Piazza Navona. Kardynał przeżył, ale jego stan lekarze z kliniki Gemelli określają jako ciężki. Mimo natychmiastowej akcji carabinieri, nie udało się zatrzymać napastnika. Poszukiwania trwają.*

Kardynał Angener, od pięciu lat pełni funkcję sekretarza stanu Stolicy Apostolskiej. Jest postacią kontrowersyjną. Jego finansowe obeznanie i szerokie kontakty w sferze biznesu, były jednym z powodów, dla których kilka tygodni temu dziennikarze włoskiego „Corriere della Sera” opisali jego możliwy udział w zatajaniu niejasnych powiązań pomiędzy rachunkami w banku IOR a funduszami inwestycyjnymi z Argentyny i Szwajcarii. Dziennikarze dotarli także do akt wewnętrznego watykańskiego śledztwa, z których wynika, że kardynał mógł mieć udział w trwającym przez lata procederze wyprowadzania wysokich kwot z watykańskich rachunków bankowych, powiązanych z funduszami inwestycyjnymi w szwajcarskim banku Begelin&Co. Jak mówią wysocy rangą watykańscy dostojnicy, będący blisko nowo wybranego papieża, w Watykanie jeszcze nigdy nie działo się tak wiele złych rzeczy.

– Od kilku tygodni papież zmagają się z oskarżeniami mediów w sprawie afery w Watykańskim Banku. Ostatnie decyzje Sekretarza Angenera, dotyczące finansów Watykanu, znów nie zostały wcześniej skonsultowane z papieżem. Wygląda na to, że to co się, stało, ma z tym wszystkim jakiś związek – mówi

jeden z kardynałów, prosząc o anonimowość.”

– Kolejna ofiara z odciętą dłonią – podsumowała ze smutkiem Zoja.

W myślach wirowały jej trzy słowa – Argentyna, IOR, Begelin&Co.

– Gdybyśmy tylko mogli zobaczyć numery tych rachunków! – powiedział nagle ksiądz.

– Dokładnie o tym samym pomyślałam przed chwilą – przytaknęła Zoja i nagle doznała olśnienia. – Słuchajcie, a gdyby uznać, że odcięte dłonie siostry Hummel i kardynała Angenera... to jakiś znak? Symbol, który ma wyjaśniać jakieś powiązania tych dwojga z przekrętami w Watykanie?

Serge wstał i ruszył w kierunku mikroskopu binokularowego, używanego do badania obrazów, który znajdował się na stole pod ścianą w drugim końcu laboratorium. Zapalił światło i zdjął ze szklanego stolika pokrywę, odsłaniając ułożoną na nim odciętą dłoń.

– Ja też jestem pewien, że to znak. Chodzi dokładnie o to, czego według Nowego Testamentu nauczał Jezus – zaczął mówić, jednocześnie przyglądając się dłoni przez mikroskop. – Cytat z Ewangelii Mateusza mówi wyraźnie, otóż jeśli twoja ręka lub noga jest dla ciebie powodem grzechu, odetnij ją i odrzuć od siebie! Lepiej jest dla ciebie wejść do życia ułomnym lub chromym, niż z dwiema rękami lub dwiema nogami być wrzuconym w ogień wieczny...

Ksiądz zrobił zdziwioną minę, jakby nie mógł uwierzyć, że nie wpadł na to wcześniej.

– ...Lepiej jest dla ciebie jednookim wejść do życia, niż z dwójgiem oczu być wrzuconym do piekła! – mówił z coraz większą euforią, która udzieliła się także Zoi i Serge`owi. – Poza tym, mamy jeszcze Dekalog!

Zoja przypomniała sobie fragment listu, który czytała w nocy.

– Ani żadnej rzeczy... – wyszeptła pod nosem, zastanawiając się nad tym, jaki związek z tym co powiedzieli Serge i ksiądz mogą mieć te słowa.

Mężczyźni spojrzeli na nią równocześnie.

– Co powiedziałaś?

– Ostatnie przykazanie. Jego sens. Dotyczy chyba niepohamowanej rządzy posiadania, która popycha ludzi do popełniania grzechów?

– Zgadza się – potwierdził Serge. – Wielu badaczy Starego Testamentu uważa, że Dziesięć Przykazań, jakie Bóg dał ludziom, to tak naprawdę tylko dwa ostatnie połączone w jedno, mówiące o pokusach, czyli „nie będziesz pragnął żony bliźniego swego, ani żadnej rzeczy, która jego jest”. W nim wyraża się prawda o zagładzie, jaką niesie za sobą chciwość. Wszystkie pozostałe osiem przykazań, to jedynie wykaz czynów, do jakich ludzie są gotowi się posunąć, żeby zdobyć to, czego akurat pragną. Od wieków wiadomo, że z pobudek materialnych człowiek jest w stanie zabijać, cudzołożyć, kraść, kłamać... – Serge spojrzął na nią z zaciekawieniem. – A skąd przyszło to pani do głowy?

Zoja ukradkiem spojrzała na kopertę z listami, leżącą na stole za laptopem.

– No trudno nie znać Dekalogu, nie uważa pan? – zaśmiała się nerwowo. – A co do znaczenia przykazania, to akurat ostatnio czytałam gdzieś o tym i... - zawahała się, nie mając pojęcia co powiedzieć, żeby nie dać po sobie poznać, że kłamie.

Serge najwidoczniej zrozumiał co ma na myśli, bo szybko zmienił temat.

– Nieważne, liczy się sens. A ten jest słuszny. Z całą pewnością zakonnicą z Palatynatu i sekretarz Watykanu zostali ukarani. Być może właśnie za złamanie ostatniego przykazania. Sęk w tym, żebyśmy zdołali potwierdzić, czy chodzi właśnie o finansowe przekręty i czy faktycznie te dokumenty, które zdobyliście, pasują do tych, które ma Watykan – powiedział Serge, machnięciem ręki przywołując Zoję i księdza do mikroskopu.

– Właściwie nie udało mi się znaleźć nic specjalnego – zaczął po chwili, kiedy Zoja stanęła po jego lewej, a ksiądz po prawej stronie. – Jediną interesującą rzeczą może być to, że tatuaż wykonano ręcznie, metodą mehendi, czyli za pomocą sproszkowanego liścia henny z domieszką barwnika. Ktoś kto go

wykonywał musiał włożyć w to mnóstwo pracy.

– A sama dłoń? – zapytała Zoja. Teraz, kiedy przyglądała się jej z bliska i pod ostrym światłem, mogła dostrzec najdrobniejsze detale. Idealnie obrysowane i wypełnione kontury chryzmonu otoczonego laurowym wieńcem, inskrypcja wytatuowana z kaligraficzną precyzją...

– Kości palców zostały połamane i wygięte w łuk, a potem spreparowane z użyciem jakiejś specjalnej substancji chemicznej. Podobnie jeśli chodzi o jej wewnętrzną część. Ktoś dokonał częściowej mumifikacji. Sądzę, że musiał się spieszyć, dlatego przerwał w połowie i przez to zewnętrzna część ulega rozkładowi.

Zoja się skrzywiła. Niechętnie przyjrzała się temu, o czym powiedział Serge. Zewnętrzną stronę dłoni pokrywały fioletowe plamy. Miejscami skóra zaczynała odchodzić, odsłaniając kawałki nadpsutego ciała. W miejscu gdzie dokonano odcięcia, kawałki mięsa wokół kości przybrały odcień zgniłej zieleni.

– Dobrze, że po tym w jakich warunkach ją przechowywaliście w ogóle da się ją oglądać... – rzucił Serge, z obawą zerkając na Zoję, która wyglądała, jakby miała zaraz zwymiotować.

Zoja zrobiła krok w tył, odwracając głowę od mikroskopu.

– To obrzydliwe.

– Zgadzam się – przytaknął Serge kiwając głową. – Całkowicie się z panią zgadzam. Ktoś kto to zrobił, musi być pozbawiony wszelkich zahamowań. Cierpienie tych dwojga w trakcie gdy to robił, musiało być niewyobrażalne. Swoją drogą, jeśli miałbym snuć jakieś przypuszczenia, powiedziałbym, że autor tej zbrodni musi być mężczyzną. Nie wyobrażam sobie, żeby jakakolwiek kobieta miała tyle siły, by sekatorem odciąć komuś rękę... Ciach! – niespodziewanie wykonał gest, jakby naprawdę coś odcinał.

Kilkadziesiąt minut później, kiedy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, wszyscy troje nadal znajdowali się w laboratorium, dyskutując zawzięcie. Na pytanie Zoi, co dalej, Serge udzielił odpowiedzi, że ma plan.

Tak. Miał plan.

Tyle, że kilka godzin później, jego skutki okazały się fatalne.

Czerwony dywan, długi na siedem metrów, ciągnął się od schodów aż do fontanny w połowie placu. Część gości stała na nim, a część wciąż szturmowała bramę, okazując zaproszenia ochroniarzom ubranym w czarne garnitury. Kolejka posuwała się powoli, wprawiając gości w stan elektryzującego wyczekiwania. Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego ubrana w koktajlową czerwoną sukienkę chwilowo zakrytą płaszczem, w otoczeniu ludzi z Biura Ochrony Rządu, minęła bramę i ruszyła w kierunku dywanu, i czekających pod ścianką do zdjęć dziennikarzy, którzy dopiero co odpuścili trzem wiceministrom, piosenkarce, kontrowersyjnemu pisarzowi i Prezydentowi Miasta. Ostre światła reflektorów ledowych, zamontowanych wzdłuż ścian muzeum, padały na czerwony dywan. Kilka dodatkowo skierowano na ściany, co sprawiało, że zwalisty budynek z filarami wydawał się jeszcze potężniejszy, niż był w rzeczywistości.

Zoja stała przy oknie na parterze, obserwując co dzieje się na zewnątrz. Kiedy drzwi łazienki zaskrzypiały, niespiesznie się odwróciła.

– Nieźle – oceniła, zerkając na księdza – garnitur Serge`a pasuje jak ulał.

Podeszła do lustra i raz jeszcze przyjrzała się swojemu odbiciu, poprawiając szeroki pas tiulu opinający jej smukłą talię. Nie można było powiedzieć, że wygląda źle. Jak na to, że miała do dyspozycji zasłonę, kilka skrawków materiału i skórzaną kurtkę, którą pożyczył jej Serge, musiała przyznać, że efekt jest całkiem zadowalający.

– A te szpilki? – zapytał ksiądz, muskając dłonią jej plecy. – Nie wysuną się?

Zoja wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Wpięłam główkami do środka. Powinny utrzymać materiał, przynajmniej przez jakiś czas. Mówiłam ci, że nie chcę zostawać na długo. Najwyżej godzina.

– A jeśli tak jak mówi Serge, on zjawi się kilka minut później?

Zoja spojrzała na księdza ze złością, właśnie próbując wetknąć jeszcze jedną szpilkę w górną część sukienki, żeby uformować dekolot.

– Nie wiem co będzie – powiedziała, wyciągając kolejną szpilkę z pudełka. – Nie mogę wbić cholernej szpilki!

– Daj, pomogę ci...

Nagle drzwi na końcu korytarza się uchyliły.

– Gotowi? – zawołał Serge radosnym głosem i spojrział na Zoję. – No, no, no... pani Zoju, całkiem nieźle!

– Udam, że tego nie widzę – odpowiedziała, z przekąsem zerkając na Serge`a, któremu błyszczały oczy.

– Ale czego? – klasnął w dłonie, jakby usłyszał radosną nowinę.

– Pańskiego spojrzenia, które mówi więcej niż tysiąc słów.

– Dajcie spokój, kokosicie się jak indyki! – przerwał im ksiądz i ze zniesmaczoną miną, kręcąc głową ruszył w stronę drzwi prowadzących do hallu, zza których dochodziły odgłosy trwającego koktajlu.

Zoja złapała Serge`a pod ramię i także ruszyli w tamtą stronę. Po drodze szepcząc mu na ucho zapytała, czy widział wśród gości nuncjusza apostołskiego.

– Nie – pokręcił głową. – Jeszcze nie dotarł. Ale jestem pewien, że niedługo tu będzie.

Zanim otworzył drzwi, Serge przystanął i powiedział:

– Naprawdę uważam, że pięknie pani wygląda.

Zoja obróciła się jak baletnica i wykonała ukłon.

– Najnowsza kolekcja Muzeum Narodowe i Spółka, zasłony z sali średniowiecznej i tiule z masonskich zbiorów! – zażartowała i obydwójce zaczęli się śmiać.

Weszli do hallu, od progu słysząc dudnienie chrapliwego głosu dyrektora muzeum dochodzące z głośników:

– Niezmiernie miło mi powitać państwa w imieniu mecenasów, kuratorów i współtwórców wielkiego wydarzenia, jakim niewątpliwie jest odnowienie galerii Faras. Wyjątkowa ekspozycja zabytków kultury i sztuki nubijskiej z okresu chrześcijaństwa nie mogłaby powstać gdyby nie wytrwałość i ogromne oddanie polskich archeologów, w tym najważniejszego, profesora Kazimierza Michałowskiego...

Zoja zerknęła na Serge`a.

– A ten Michałowski to...?

– Archeolog. Jeden z najlepszych na świecie. To on odkrył faraską świątynię.

Dyrektor mówił dalej. Nawet z daleka było widać, że dłoń którą trzymał mikrofon drżała, krople potu spływały po jego czole. „Nic dziwnego” – pomyślała Zoja – „skoro kilkanaście kamer i mikrofonów rejestruje każdy jego ruch, i każde słowo. Gdybym była na jego miejscu, pewnie umarłabym ze strachu”. Logotypy stacji telewizyjnych, nie pozostawiały wątpliwości, że maszyna promocyjna została uruchomiona na ogromną skalę.

– Jest z nami także wybitny ekspert, archeolog i znawca religii prawosławnej, doktor Serge Magdi, kurator galerii Faras z ramienia UNESCO...

Przez hall przebiegła fala oklasków. Zoja wypuściła ramię Serge`a z uścisku i odsunęła się na bok. Po chwili Serge, wyprostowany i dumny, przeciskał się wśród klaszczącego tłumu, by dotrzeć pod scenę i energicznie wejść na podest, stając ramię w ramię z dyrektorem muzeum.

– Dziękuję! Dziękuję państwu! – mówił przez mikrofon Serge, próbując uciszyć tłum. – To miłe, doprawdy, dziękuję!

– To pani przyjaciel? – zapytał Zoję jakiś mężczyzna, z ciekawością przyglądając się jej kreacji.

Zaskoczona pytaniem, przez chwilę nie wiedziała co odpowiedzieć.

– Nie... to znaczy tak, ale... – spróbowała wybrnąć z sytuacji, ale na szczęście mężczyzna okazał się

niezainteresowany kontynuowaniem dyskusji.

Zoja na wszelki wypadek zrobiła kilka kroków w tył, próbując przedostać się do jakiegoś ustronniejszego miejsca. Przepychając się w gąszczu łokci i ramion, rozglądała się poszukując księdza, ale wyglądało na to, że wtopił się w tłum gdzieś na początku hallu, bliżej wejścia do galerii i miejsca, z którego Serge właśnie zaczął wygłaszać przemówienie.

Kelner podszedł do Zoi, proponując białe wino.

– Chętnie – odpowiedziała i wzięła z tacy lampkę.

Kilka łyków później przestała się trząść na całym ciele, ale mimo to niepokój pozostał. Napierający tłum gości, z każdą minutą sprawiał, że czuła się coraz bardziej nieswojo. Serge właśnie próbował powiedzieć coś po polsku, co wywołało głośne brawa i salwę śmiechu, która przebiegła przez hall niczym grzmot.

„Wygląda na to, że wszyscy się świetnie bawią” – pomyślała Zoja, stając na palcach, żeby po raz kolejny rozejrzeć się, czy ksiądz nie stoi gdzieś bliżej sceny.

– Na pierwszą Listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Przyrodniczego UNESCO w 1978 roku zostały wpisane dwa miejsca z Polski, Kraków i Wieliczka... Dziś znajduje się na niej czternaście unikatowych obiektów... Galeria Faras to...

Zoja nie słuchała co dalej miał do powiedzenia Serge, już w swoim ojczystym angielskim. Jej uwagę pochłonęło coś zupełnie innego, co sprawiło, że przyłgnęła do ściany i wstrzymała oddech.

Głównym wejściem do muzeum weszło czterech agentów. Zamachali legitymacjami przed twarzami ochroniarzy, by po chwili jakby nigdy nic wmieszać się w tłum – dwóch na prawo, pod drzwi galerii i dwóch na lewo. Wyglądało na to, że doskonale wiedzą, kogo szukają i nie mają zamiaru tym razem dać się wykiwać.

– O mój Boże... – wyszeptała Zoja, nie mając pojęcia co robić.

Odstawiła pustą lampkę na tacę i postanowiła jak najszybciej wydostać się z głównej sali. Zdążywszy zrobić zaledwie trzy kroki, obejrzała się w lewo i zamarła z przerażenia.

„To niemożliwe...” – pomyślała, przymykając oczy na kilka sekund. Kiedy je otworzyła, znowu zobaczyła to samo.

Ojciec Bruno stał kilka metrów od niej, zajęty rozmową z jakąś kobietą w szalu z futra z norek. Choć Zoi trudno było w to uwierzyć, zamiast mniszej sukni, miał na sobie wyśmienicie dopasowany garnitur. Nic nie wskazywało na to, że jest duchownym, ba, wszystko zdawało się temu przeczyć. Jego pewność siebie, porażający arogancją sposób bycia, gesty pełne uwodzicielskich zagrywek, wyraz twarzy... to nie był ten Ojciec Bruno, którego znała. To nagłe odkrycie niemal zważyło ją z nóg. Obiecał przyjechać na pogrzeb, a tego nie zrobił. Zataił przed nią tak wiele spraw dotyczących jej życia, dzieciństwa, rodziny... i teraz jakby nigdy nic, stał tuż obok, udając kogoś, kim nie jest?

A może... – Zoja poczuła przyływ adrenaliny – ...a może to ten ojciec Bruno, jest prawdziwy, a mnich z Monstegur, którego znała, był tylko świetnie odrywaną rolą... Ale dlaczego? Dlaczego do cholery?!

– Dobry wieczór Ojciec Bruno – powiedziała Zoja po francusku, stając pomiędzy nim a kobietą. Spodziewała się, że ojciec Bruno zacznie udawać, że jej nie zna albo że choruje na chwilowy zanik pamięci. Sądziła, że będzie musiała mu pomóc kilkoma gorzkimi słowami. W najgorszym wypadku liczyła, że zwróci jej uwagę za niegrzeczne przerwanie rozmowy. Tymczasem znów ją zaskoczył.

– Witaj Zoju, moje dziecko – powiedział uśmiechając się serdecznie.

Kobieta, z którą rozmawiał pożegnała się i odeszła.

– Kim ona jest? – zapytała Zoja, czując się w jakiś irracjonalny sposób zazdrosna o jego względy.

– Droga Zoju, to jest pani Adeline Potier de Novion, żona ambasadora Francji.

– A ojciec? Co ojciec tu robi? Dlaczego Ojciec nie przy...

Ojciec Bruno położył palec na jej ustach, identycznie jak robił to kiedy była mała, a chciał ją uciszyć.

– Podejdź bliżej i oprzyj głowę o moje ramię – spokój jego głosu zmroził Zoi krew w żyłach – Dwaj

agenci stoją za twoimi plecami. Jestem pewien, że za chwile sobie pójdą, ale na razie wciąż tu są i bacznie obserwują tę część sali.

Zoja zdrętwiała ze strachu. Skąd on wie, że próbują mnie dopaść? Gorączkowo szukając odpowiedzi, przyłgnęła do Ojca Bruno, czując przyspieszone bicie jego serca.

– Czy jest z nimi jakiś mężczyzna, wysoki brunet, w czarnym garniturze i zielonym krawacie?... – wyszeptała przerażonym głosem, starając się opanować chęć zerknięcia w tył.

– Nie, nikogo takiego nie widzę.

Zoja odetchnęła z ulgą. Cokolwiek ma się wydarzyć, jeszcze nie dopadli księdza.

– Odeszli – oznajmił w końcu ojciec Bruno.

Widząc że Zoja próbuje odejść, złapał ją za rękę.

– Dokąd to? – zapytał.

– Muszę iść... – oznajmiła ściszym głosem. – Gdzieś tam jest człowiek, który tak jak ja, jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Ojciec Bruno pokręcił głową.

– Obawiam się, że niestety ten ktoś, kimkolwiek jest, od tej pory będzie musiał radzić sobie sam.

Zoja zrobiła wielkie oczy.

– O czym ojciec mówi? – rzuciła ze złością. – Kim ojciec jest, żeby po tylu latach nadal próbować decydować o tym, komu mam pomagać, a komu nie!

Ojciec Bruno zdawał się niewzruszony.

– Zoju... moje dziecko... – spróbował przemówić, ale Zoja nie pozwoliła mu dokończyć, bo znowu zaczęła się wyrywać, żeby odejść. W drugim końcu sali dostrzegła niewyraźną sylwetkę księdza. Sprawiał wrażenie, jakby i on próbował jej szukać. W tej chwili stał plecami do nich, obserwując ludzi zmierzających do szklanych drzwi, za którymi majaczyły cienie malowideł z Faras.

– Idziemy – rozkazał nagle ojciec Bruno, jeszcze silniej łapiąc Zoję i ciągnąc ją w stronę wyjścia.

Była w takim szoku, że nie wiedziała co zrobić.

– Nigdzie nie idę! – sprzeciwiła się, próbując wyszarpać ramię z jego uścisku.

– Rozkazuję ci, żebyś ze mną poszła!

– Nie ma mowy! Czasy, kiedy mógł mi ojciec rozkazywać, dawno już minęły! – odpowiedziała podniesionym głosem, sprawiając tym, że kilku gości odwróciło głowy.

Ojciec Bruno puścił jej rękę. „Jestem wolna” – pomyślała i natychmiast ruszyła w kierunku galerii, torując sobie drogę pośród gości. Nagle usłyszała złowrogi szept ojca Bruno, który wcale nie zamierzał pozwolić jej odejść.

– Odwołam ochroniarzy spod hotelu Sacher.

Zoja poczuła, że robi jej się słabo. Skąd mógł wiedzieć o hotelu Sacher?

Wróciła się i złapała Ojca Bruno za ramię, ostatecznie powstrzymując się przed wymierzeniem mu ciosu w policzek.

– Nawet nie próbuj ich tknąć! – zagroziła machając mu palcem przed nosem.

– Naprawdę musimy już iść – powtórzył ojciec Bruno, wyraźnie zadowolony, że jego słowa przyniosły natychmiastowy skutek.

– Nie ruszę się, dopóki nie będę pewna, że nic im nie grozi.

– Zapomniałem już jaka potrafisz być zawzięta... – pokręcił głową. – Im dłużej będziesz tu stała, tym większe ryzyko na nich sprowadzasz. Nie rozumiesz, że liczy się każda minuta?

Nie, nie rozumiała. Nie rozumiała niczego i tak naprawdę nie obchodził ją czas, ludzie, jej własne bezpieczeństwo czy ryzyko. Nawet życie księdza przestało w tej chwili mieć znaczenie. Ważne było tylko jedno. Hotel Sacher. Oni muszą być bezpieczni.

– Nie próbuj ich w to wciągać – wysyczała z wściekłością Zoja.

– Sama ich w to wciągnęłaś, postępując nieroztropnie. I tylko od ciebie zależy, co wydarzy się dalej.

Dwie minuty później jakiś człowiek czekający na nich pod tylnym wyjściem podał Zoi czarny płaszcz.

– To nie mój... – zdziwiła się, machnięciem ręki odpychając mężczyznę, który próbował narzucić jej okrycie na plecy.

Ojciec Bruno stał kilka kroków dalej. Odwrócił się i powiedział do mężczyzny:

– Jeśli pani życzy sobie zmarznąć, proszę zabrać płaszcz.

Zoja drgnęła.

– Nie, wezmę go – w ostatniej chwili zmieniła zdanie i wyrwała mężczyźnie płaszcz, po czym narzucając go na plecy ruszyła przed siebie, żeby dogonić Ojca Bruno.

– Dokąd idziemy? – zapytała po chwili, będąc już tylko dwa kroki za nim.

Ojciec Bruno nie odpowiedział. Postawił kołnierz brązowego trencza, nasunął na głowę kapelusz i ruszył w kierunku bramy, tej samej, przez którą Zoja wchodziła rano w towarzystwie księdza i Serge`a. O dziwo żaden z ochroniarzy z biura przepustek nie zatrzymał go, każąc okazać dokument. Wręcz przeciwnie, obaj ukłonili się i życzyli Ojcu Bruno miłego wieczoru. Widząc, że wyszedł przed nią, postanowiła zaryzykować i zrobić coś, co nagle przyszło jej do głowy jako ostatnia deska ratunku.

Wyjęła z kieszeni skórzanej kurtki przepustkę i wsunęła przez szparę w szybie.

– Proszę to przekazać kuratorowi Magdi. Pilnie... – powiedziała błagalnym tonem i wybiegła na chodnik przed bramą, pełen zaparkowanych samochodów.

Podążając za Ojcem Bruno w kierunku Ronda de Gaulle`a, dziękowała w duchu, że ochroniarz o nic nie pytając schował przepustkę, zanim ojciec Bruno zdążył się zorientować co się dzieje. Nie zostało jej nic innego, jak tylko mieć nadzieję, że Serge dostanie dokument jak najszybciej i dopytując ochroniarza o szczegóły dowie się, że nie została zatrzymana przez agentów. Czuła, że to zbyt mało, by Serge mógł jej pomóc, ale przynajmniej zostawi jakiś ślad...

– Mamy przed sobą jakieś dziesięć minut marszu – oznajmił nagle ojciec Bruno, tym samym tonem, jak kiedyś, gdy nad ranem zrywał ją z łóżka, żeby zabrać na wędrownkę w góry, gdzie znajdowały się ruiny zamku.

Zoja pomyślała, że to istne szaleństwo, ale nawet po piętnastu latach, nie śmie mu się sprzeciwić. „Jak zwykle rozdajesz karty opacie” – powiedziała w duchu, wzdrygając się na myśl o tym, jak srogie kary wymierzał jej, gdy w trakcie wędrownki zaczynała narzekać, że nie ma już siły.

Tak jak wtedy, by odwrócić uwagę od zmęczenia i strachu, Zoja spróbowała skupić uwagę na otoczeniu. Tuż przed nimi na środku wysepki ronda znajdowała się palma, a za nią, po prawej stronie najważniejszy deptak miasta Nowy Świat, rozświetlony światłem latarni i neonami setek knajp i restauracji, ciągnących się wzdłuż chodników po obu stronach zamkniętej dla ruchu ulicy. Pomimo wieczornego chłodu, dochodzące stamtąd odgłosy rozmów i śmiechów, a do tego szum samochodów, tłum ludzi czekających przy pasach na zmianę świateł, uliczni sprzedawcy kwiatów, tramwaje sunące po torach w kierunku centrum, morze świateł czyniących z nocy dzień, nagle sprowadziły na Zoję przeczucie, że straciła to wszystko bezpowrotnie i już nigdy, przenigdy nie odzyska swego normalnego życia w Nowym Jorku ani w żadnym innym miejscu.

– Idziemy w lewo, nie w prawo – powiedział nagle ojciec Bruno, ciągnąc ją za rękaw.

Otrząsnąwszy się spojrzała na niego, a potem na przejście dla pieszych. Faktycznie, miał rację, pomyliła kierunki. Stała opierając się o kosz na śmieci na chodniku przy pasach prowadzących na Nowy Świat, zamiast pójść, jak chciał ojciec Bruno, w kierunku Alej Ujazdowskich.

– Idziemy tam – powtórzył wyraźnie zniecierpliwiony, pokazując palcem na budynki po lewej stronie. Zoja pokiwała głową, ocierając z czoła strużkę potu.

Gdy znów zaświeciło zielone światło, przeszli przez skrzyżowanie i idąc wzdłuż budynku, w którym mieściła się centrala Banku Gospodarstwa Krajowego, dotarli do ciągu kamienic z luksusowymi sklepami i kolejnego przejścia, tym razem bez świateł. Kiedy znaleźli się po drugiej stronie ulicy, Zoja zobaczyła po lewej stronie kościół, a za nim na niewielkim placu trzy krzyże ustawione na planie trójkąta.

Tabliczka na rogu ulicy informowała, że znajdują się na Placu Trzech Krzyży, a tuż obok jest ulica Wiejska, z ogromnym podświetlonym neonem hotelu Sheraton, przytwierdzonym do ściany luksusowego budynku na samym rogu.

– Dziesięć minut minęło – oznajmiła Zoja, zerkając na zegar na przystanku autobusowym.

Ojciec Bruno wzruszył ramionami i nawet się nie zatrzymał. Wyglądało na to, że z ich dwojga tylko on wie, dokąd idą. I dopóki nie dotrą na miejsce, Zoja nie ma innego wyjścia, niż podążać jego śladem.

– W ogrodzie za bramą znajduje się kopia rzeźby, znanego włoskiego artysty Davida Donatellego. Biblijny Dawid jest przedstawiony po walce z Goliatem. Co ciekawe, to pierwsza rzeźba od czasów antyku, która przedstawiała sylwetkę nagiego mężczyzny...

Zoja słuchała Ojca Bruno, spoglądając na drugą stronę ulicy, gdzie za wysoką bramą, tuż przed pałacowym tarasem, znajdował się niewielki posąg ustawiony na kolumnie. Sam budynek, wybudowany w renesansowym stylu, z fasadą podświetloną reflektorami, drewnianymi oknami i ciepłym światłem, sączącym się z sal restauracji Amber Room na parterze, a także prywatnymi ekskluzywnymi gabinetami i salonikami na pierwszym piętrze, przywodził Zoi na myśl wytrawne łoże szkockich arystokratów, jakie zdarzało jej się od czasu do czasu sprzedawać lub wynajmować agencjom specjalizującym się w organizacji przyjęć dla *personnages*. Niezależnie od tego, czy zatrzymali się tu, bo ojciec Bruno nabrał ochoty, by zabawić się w przewodnika, czy faktycznie dotarli wreszcie do celu, obserwowanie pięknego budynku stanowiło jej swego rodzaju przyjemność. Wpatrując się w okna saloniku na pierwszym piętrze, dostrzegła sylwetkę kelnera. Po chwili jej wzrok powędrował w kierunku bramy. Czarna limuzyna zatrzymała się na podjeździe, czekając aż ochroniarz wyjdzie i sprawdziwszy przepustkę, podaną mu przez kierowcę, wpuści ją na teren pałacu. W ciągu kolejnych minut sytuacja powtórzyła się jeszcze cztery razy, jak gdyby wszyscy goście zmówili się, żeby przybyć w jednym czasie, jeden po drugim wysiadając w otoczeniu ochroniarzy z limuzyn, by po chwili zniknąć za przeszklonym patio, do którego wiodła oświetlona od dołu kamienna ścieżka.

– Jest ojciec pewien że... – Zoja chciała o coś zapytać, ale nie zdążyła.

– Cofnij się – rozkazał ojciec Bruno, sam robiąc cztery kroki w tył, w mgnieniu oka znikając z pola widzenia, jakby rozpułnął się w ciemnościach.

Po chwili Zoja zrozumiała dlaczego. Pod bramą zajechał duży czarny samochód, z którego wysiadło trzech uzbrojonych mężczyzn. Omietli wzrokiem całą ulicę, szczególnie dokładnie przyglądając się parkowej alejce, w której cieniu stali. Upewniwszy się, że nie ma zagrożenia, jeden z nich wyjął radio i wydał rozkaz. Nie minęła nawet minuta, kiedy pod bramą, już otwartą na oścież, pojawiła się rządowa limuzyna. Wjechała na podjazd, parkując w rzędzie pozostałych limuzyn i zaraz wysiadł z niej postawny mężczyzna, który pomknął stanowczym krokiem w kierunku wejścia.

Za oknem saloniku na pierwszym piętrze Zoja dostrzegła wzmożony ruch. Była pewna, że to tam udali się ci, których pod osłoną nocy dotransportowano limuzynami. Z całą pewnością za chwilę mieli wziąć udział w jakimś arcyważnym spotkaniu, które za wszelką cenę, pracownicy pałacu próbowali trzymać w tajemnicy – świadczyło o tym nie tylko zamknięcie bramy, wystawienie ochroniarzy, którzy chodzili wzdłuż ogrodzenia niczym psy tropiące, czy zgaszenie światel w restauracji, która zapewne została zamknięta wcześniej niż zwykle, ale i cisza, jaka wypełniła przestrzeń ulicy, niczym bufor. Odkąd limuzyny zaparkowały na terenie pałacu, Alejami Ujazdowskimi nie przejechał ani jeden autobus komunikacji miejskiej i ani jeden samochód. Ważna część głównej arterii miasta zdawała się być całkowicie wymarła. „Brakuje tylko, żeby pogasili uliczne latarnie” – pomyślała Zoja, z niepokojem oglądając się w stronę parkowego ogrodzenia.

Nagle rozdzwonił się telefon ojca Bruno. Wyjął z kieszeni wibrujący najnowszy model Samsunga Note i przystawił do ucha, wyraźnie zaniepokojony.

Zoja próbowała usłyszeć, co mówi jego rozmówca, ale zanim zdążyła nadstawić ucha, ojciec Bruno powiedział „rozumiem” i zakończył rozmowę.

– Idziemy – rozkazał po chwili, nie tłumacząc nawet dokąd i pociągnął Zoję w kierunku ulicy.

Na widok przejeżdżającego ulicą radiowozu cofnęli się pod ogrodzenie. Dopiero kiedy ojciec Bruno upewnił się, że pojazd odjechał, machając ręką wydał rozkaz.

– Teraz – wyszeptał i znowu ruszył w kierunku ulicy.

Zoja nie mogła uwierzyć w to co robią. Jej zdaniem całkowitym szaleństwem było próbować wejść do paszczy lwa, jaką w tej chwili był Pałac Sobańskich. Niezależnie od tego, jak ważne było to, co chciał pokazać jej ojciec Bruno, uważała że gra nie jest warta aż tak dużego ryzyka. Nie jest warta żadnego ryzyka, bo ich szanse, żeby dostać się do środka, są jak jeden na milion.

„Co do cholery się tu wyprawia!” – pomyślała Zoja minutę później, nie wierząc w to co widzi.

Jeden z ochroniarzy nie dosyć, że otworzył bramę, to jeszcze skłonił głowę i ucałował Ojca Bruno w rękę. Z niemal nabożną czcią wskazał mu drogę do budynku, kierując ich nie jak tamtych ważniaków w stronę głównego wejścia, lecz tarasu i znajdującego się za nim zejścia do piwnic, zamienionych na luksusowe sale z kominkiem, bar i salon do gry w bilard.

Ruszyli ścieżką, deptając chrzęszczące kamienie. Ojciec Bruno zniechęca odwrócił głowę i spojrzał na ochroniarza, groźnie marszcząc brwi.

– Dopilnowaliście wszystkiego Natanielu, prawda?

Tamten pokiwał głową, wyraźnie przestraszony samym faktem, że w ogóle słyszy podobne pytanie.

Kiedy dotarli do drzwi ukrytych za wąskim przesmykiem między ścianą a tarasem, te natychmiast się otworzyły i jakiś mężczyzna wychylając się dał im znak, że mogą wejść do środka.

– Głowa nisko – powiedział ochryłym głosem, wskazując na cegły wystające z niskiego sklepienia.

Schylając się Zoja weszła do ciepłego pomieszczenia, które okazało się magazynem win, pełnym niezliczonych butelek, poustawianych w specjalnych skrzyniach i na półkach pokrytych kurzem.

– Zawiąż pani oczy – rozkazał mężczyźnie ojciec Bruno, a ten natychmiast wykonał polecenie, tak szybko, że Zoja nie zdążyła nawet zaprotestować.

Zaraz potem poczuła jak czyjeś dłonie oplatają jej talię, sprawiając, że nie może się ruszyć. Wzdrygnęła się na samą myśl, co może stać się za chwilę, a kiedy usłyszała skrzypienie drzwi, przerażona, że zostanie sam na sam z obleśnym nieznajomym, zaczęła głośno wołać Ojca Bruno.

– Jestem tu – uspokoił ją, kładąc chłodną dłoń na jej policzku – Nie bój się.

Ręce, które obejmowały jej ciało, popchnęły ją do przodu. Próbując opanować przerażenie, ruszyła przed siebie, ostrożnie stawiając każdy krok na kamiennej posadzce. Po chłodzie panującym w magazynie win, nagle poczuła ciepło kominka i zapach palonego drewna. Po chwili znów zaszła zmiana, bo usłyszała dochodzące zewsząd odgłosy siekania, krojenia i brzęk talerzy.

„A więc teraz kuchnia” – pomyślała, próbując wymacać dłońmi cokolwiek wokół, co mogłoby potwierdzić te przypuszczenia.

– Ręce przy sobie – rozkazał prowadzący ją mężczyzna i szarpnął jej ciałem, sprawiając, że zasyczała z bólu i natychmiast docisnęła dłonie do bioder, skupiając się odtąd jedynie na tym, by sprawnie poruszać nogami.

Im dłużej szli, mijając kolejne korytarze, schody i drzwi, tym bardziej gorączkowo Zoja zastanawiała się czy jest z nimi ojciec Bruno. Wytężała słuch, starając się usłyszeć czy poza nią i prowadzącym ją mężczyzną idzie ktoś jeszcze, ale odgłosy dochodzące z bliższych i dalszych miejsc, skrzypienie podłogi, szum powietrza, a nawet to, że chwilami czuła obecność przypadkowych osób, które mijaly ich w pośpiechu, wyraźnie przestraszone, nie dawały jej żadnych szans.

W końcu weszli do jakiegoś pomieszczenia, w którym Zoja natychmiast wyczuła ciężki zapach wilgoci. Mężczyzna uwolnił ją z uścisku, dzięki czemu mogła zaryzykować; czując za plecami chropowatą powierzchnię, zrobiła krok w tył i wysunęła palce, chciwie sprawdzając czy w razie czego ma szansę na ucieczkę.

Ściana, wilgotna, ceglana, stara – oceniła Zoja.

Nie miała wątpliwości, że podobne pomieszczenie nie pasowało do luksusu, jaki z całą pewnością otaczał ją jeszcze chwile temu.

– Gdzie ja jestem do cholery?! – zapytała podniesionym głosem, czując że znalazła się w potrzasku. W pomieszczeniu panowała cisza. Po chwili usłyszała kroki i szuranie krzesła. Niedługo potem mężczyzna złapał ją za ręce, przyciągnął do siebie i z całej siły popchnął na siedzenie, przywiązując ręce do oparcia.

– Gdzie jest ojciec Bruno! Co to za metody, nie życzę sobie żebyś mnie tak traktował! – wypaliła ze złością, próbując uwolnić ręce z więzów, ale sznur trzymał z całą mocą.

Mężczyzna zsunął jej z oczu opaskę. Przez chwilę nie widziała niczego poza ciemnością, lecz po kilku sekundach coś jakby kurtyna zaczęła się unosić, odsłaniając na ścianie przed nią szybę, za którą zobaczyła urządzone w renesansowym stylu salonik i siedzących wokół długiego stołu mężczyzn, którym kelner nalewał kolejno wina do kieliszków.

„Lustro weneckie!” – pomyślała Zoja.

Zanim zdążyła się obejrzeć, mężczyzna założył jej na głowę ogromne słuchawki Sennheiser HD700, sprawiając że w makabrycznym kinie śmierdzącym wilgocią, przywiązana do krzesła, poza wizją, miała też fonię tak dobrej jakości, jakby była w pomieszczeniu po drugiej stronie.

Oto Człowiek

Czterech mężczyzn z pochodniami weszło do ogrodu oliwnego. Ich długie białe szaty powiewające na wietrze, sprawiały że wyglądali niczym duchy. Kiedy dotarli do studni, pierwszy z nich uniósł dłoń, dając pozostałym znak, że mają się zatrzymać. Przez chwilę nasłuchiwali w milczeniu. Kiedy zza drzew dobiegł stłumiony gwizd, ruszyli dalej, kierując się w stronę ledwie widocznego za drzewami blasku pochodni. Na niewielkiej porytej trawą przestrzeni, pośród drzew o grubych pniach, czekali już na nich mężczyzna i kobieta. Siedzieli na ziemi, otoczeni blaskiem pochodni. Mężczyzna z brodą wyprzedził pozostałych przybyszy i podszedł do nich jako pierwszy. Trzymając pochodnię ukląkł i powoli uniósł głowę. Kobieta polała jego czoło olejem, a mężczyzna wykonał na nim znak krzyża. Odchodząc na bok ucałował dłoń kobiety i dał znak pozostałym dwóm przybyszom, że teraz ich kolej.

– Nauczycielu, czy są już wszyscy? – odważył się zapytać niski mężczyzna, kiedy wszyscy przyjęli już namaszczenie. Stał z boku, opierając się o grubą gałąź szpetnie powyginanego drzewa oliwnego.

Nagle zza drzew wyłoniły się trzy postaci.

– Stójcie! – rozkazał mężczyzna z brodą, zagradzając własnym ciałem drogę do Nauczyciela i kobiety. Skierował pochodnię w kierunku ich zakrytych twarzy. Trzy kobiety powoli zsunęły chusty, odsłaniając pełne trwogi twarze.

– Przyszliśmy do Nauczyciela przyjąć jego błogosławieństwo – powiedziała jedna z nich i podeszła do Nauczyciela całując jego stopy.

Mężczyzna z brodą odszedł na bok i wbił pochodnię w ziemię.

– Panie mój, śledzono nas aż do drogi za miastem. Rozpoznałyśmy trzech żołnierzy namiestnika – powiedziała druga z kobiet.

– Nic co ukryte nie będzie dłużej ukryte – odpowiedział Nauczyciel i podniósł kobietę kłęczącą przy jego nogach. Wstając, nadepnęła na skrawek szaty, sprawiając przy tym, że materiał w okolicy brzucha naciągnął się, ukazując że jest brzemienna. Kobieta spojrzała w jego oczy z obawą i powiedziała że zeszłej nocy miała sen, w którym zobaczyła czterech rzymskich żołnierzy prowadzących ją, Nauczycielkę, jej siostrę i bliską im przyjaciółkę do łodzi zacumowanej przy brzegu niespokojnego morza.

– Co będzie, jeśli naprawdę nas rozdziela? Jeśli nie pozwolą dalej nauczać? – zapytała na koniec, z przerażeniem rozglądając się po twarzach zebranych.

Wszyscy ze smutkiem spuścili głowy. Jedyne Nauczyciel uniósł dłoń i powiedział, że ma się nie lękać. Słyszając to czterej mężczyźni wbili swoje pochodnie w ziemię i usiedli tworząc wokół Nauczyciela i Nauczycielki krąg, do którego weszły trzy kobiety.

Nauczyciel zaczął przemawiać. Mówił o grożącym im niebezpieczeństwie i o tym, że uczniowie w Galilei i Jerozolimie muszą na jakiś czas znaleźć miejsca, gdzie będą mogli się ukryć.

– Jak to? A my? – zapytał mężczyzna z brodą. – Nie każesz nam chyba odejść?

– Dla was wybrałem inną drogę – uspokoił go Nauczyciel. – Nie lękajcie się...

Kobieta stojąca obok niego, nazywana Nauczycielką, podeszła bliżej i położyła dłoń na ramieniu Nauczyciela. Miała na sobie białą szatę podobną do szat pozostałych kobiet. Odróżniał ją od nich jedynie złoty szal i chusta na głowie w tym samym kolorze obszyta szmaragdami.

– Bracie, podaj mi zawiniątko.

Mężczyzna z brodą podszedł i podał jej zawiniątko, a oprócz niego także niewielkich rozmiarów miedzianą szkatułkę z wyrzeźbionymi na niej symbolami. Były to ryba, sieć, łódź i promienie słońca padające na spienione fale morskie. Kobieta zatrzymała zawiniątko, ale szkatułkę oddała Nauczycielowi.

– Weźcie pochodnie i wstańcie – rozkazał Nauczyciel.

Kiedy zrobili co rozkazał, Nauczyciel otworzył szkatułkę, wyjął z niej złoty pierścień i zwrócił się do Nauczycielki:

– Prowadź Kościół. Prowadź lud i nawracaj go na wiarę w jedynego Boga, Ojca mego. On to dla nas ludzi i dla naszego zbawienia, zstąpił z niebios.

Kobieta uklękła. Opuściła głowę. Nauczyciel mówił dalej:

– Ojcze, przybądź i pobłogosław nas byśmy mieli odwagę stawić czoła wszystkim przeciwnościom. Pobłogosław tę niewiastę jako przewodniczkę wierzących i niewierzących. Niech blask jej czystego serca rozjaśnia mrok, a potomkowie jej rodu tworzą Kościół twój na całym świecie – uniósł dłonie nad głową kobiety. – Niech jej i trzem niewiastom, które stoją przy niej, dana będzie łaska, której i mnie udzieliłeś.

– Amen – wyszeptała Nauczycielka.

Nauczyciel opuścił dłonie i rozkazał jej wstać. Kobiety i mężczyźni stojący w kręgu, przestąpili dwa kroki do przodu unosząc ręce nad ich głowami.

– Umiłowałem cię, a to znak mojej miłości – powiedział Nauczyciel i wziął prawą dłoń Nauczycielki.

– Niech się stanie według bożej woli – powiedzieli chórem kobiety i mężczyźni w kręgu, czekając aż Nauczyciel założy pierścień na serdeczny palec swojej towarzyszki i zwróci się do nich.

– Czas już, Uczniowie, byście złożyli przysięgę – powiedział po chwili.

– Jesteśmy gotowi – odpowiedzieli chórem mężczyźni, czekając aż kobiety odejdą na bok, zostawiając ich sam na sam z Nauczycielem i Nauczycielką.

– Podejdźcie kolejno, by złożyć przysięgę wierności.

Pierwszy podszedł mężczyzna z brodą. Uklękął przed kobietą.

– Bracie mój, czy jesteś gotów nieść wspólnie z nami ciężar wiary i tworzenia kościoła?

– Jestem.

– Czy jesteś gotów współtworzyć z nami Kościół?

– Jestem.

– Czy przyrzekasz chronić potomków jego i moich, a także zebranych tu kobiet, by mogli dalej tworzyć Kościół i nieść prawdy wiary, a także chronić tajemnice wiary?

– Przyrzekam.

Nauczycielka ucałowała go w prawy policzek. Wyjęła z zawiniątka pierwszy z czterech złotych medalików i zawiesiła mu na szyi.

– W tym znaku zwyciężysz – powiedziała. – Niech łaska Ojca będzie z tobą bracie.

– I z tobą sestro – odpowiedział mężczyzna z brodą. Ucałował ją w dłoń i wrócił na miejsce. Trzej pozostali podeszli zaraz po nim. Kiedy ostatni z nich wrócił na swoje miejsce, z medalikiem na piersi lśniącym w blasku pochodni niczym zbroja, ich miejsce zajęły kobiety. Tym razem to Nauczyciel podszedł do nich jako pierwszy i kładąc kolejno dłonie na ich głowach, zamykał oczy i odmawiał modlitwę o łaskę. Kiedy skończył odszedł do tyłu, a jego miejsce zajęła Nauczycielka. Klękając przy każdej z kobiet szeptała im do ucha tajemnicze słowa, brzmiące niczym kolejna modlitwa. Kiedy skończyła, radosną, pełną nadziei atmosferę nagle przepełnił cień smutku.

– Odejdiesz wkrótce, prawda? – zwróciła się do Nauczyciela ta sama kobieta, która kilkanaście minut wcześniej opowiadała swój sen.

– Czyż nie przyrzekliście przed chwilą, że poprowadzicie Kościół Ojca mego? Nie opuszczam was na zawsze. Ja wrócę. Nadejdzie dzień gdy Ojciec mój i wasz wróci życie umarłym, a wtedy wszyscy będziemy się radować przy suto zastawionych stołach. Powiadam wam, nie smućcie się! Ani ja, ani towarzyszka moja nie jesteśmy smutni, a przecież niedługo nie będzie mnie z wami.

Napad na sejf

Zoja obudziła się gwałtownie, czując ucisk w klatce, jakby przygniótł ją sporych rozmiarów kamień. Oddychała ciężko, a nieznośny ból głowy, rozchodzący się od podstawy czaszki aż do skroni, sprawił że przez chwilę nie mogła nawet otworzyć oczu.

Ostrożnie poruszyła nogą, wyczuwając pod palcami stopy miękkość pościeli, pod którą leżała. Było jej ciepło, a miękka poduszka wetknięta pod głowę łagodziła ból wywołany próbą przekręcenia głowy na bok.

Zmusiła się do otwarcia oczu, ale otaczała ją jedynie ciemność.

Niech to diabli, wyszeptała.

Błądząc dłonią na oślep, wymacała aparat telefoniczny stojący na nocnym stoliku. Podniosła słuchawkę i nie licząc na to, że będzie miała aż tyle szczęścia, nacisnęła pierwszy lepszy przycisk.

– Tu recepcja hotelu Sheraton, w czym mogę pomóc? – odezwał się natychmiast miły, kobiecy głos po drugiej stronie.

Bardziej od tego, że może z kimś rozmawiać, zaskoczyła Zoję szybkość, z jaką kobieta odebrała.

To naprawdę musi być Sheraton, oceniła, próbując ułożyć słuchawkę w wygodniejszej pozycji, żeby nie napinać dłużej bolących mięśni karku.

Co do cholery robiłam w nocy? – przebiegło jej przez głowę. Czowała się tak koszmarnie, jakby przejechał ją walec drogowy. Głowa pękała w szwach, a do tego całe ciało było lekko zdrętwiałe, jakby dopiero co wybudzało się z głębokiej narkozy.

– Hallo... proszę pani! – niecierpliwiła się recepcjonistka. – Czy mogę w czymś pomóc?

Zoja przypomniała sobie, że faktycznie, w jakimś celu próbowała się skontaktować z recepcją.

– Chcę się... dowiedzieć gdzie jestem – wypaliła, natychmiast pojmując irracjonalność swojego pytania.

– Słucham? – dopytywała recepcjonistka, próbując ukryć konsternację. – Może pani powtórzyć?

– Proszę pani – spróbowała Zoja jeszcze raz, słysząc jak słowa wychodzą z jej ust, brzmiąc jak wystrzały z armaty bum, bum, buubum – mam za sobą bardzo ciężką noc. Nazywam się Pietrowna, Zoja Pietrowna i wiem od pani, że jestem w hotelu – westchnęła ze świsem. – Próbuję ustalić, w którym pokoju.

Po drugiej stronie nastąpiła cisza, przerywana jedynie stukaniem w klawiaturę komputera. „Najwidoczniej recepcjonistka widziała już nie takie rzeczy” – pomyślała Zoja, wolną ręką masując skroń pulsującą bólem.

– Proszę pani, nie mamy na liście meldunkowej pani nazwiska.

Zoja jęknęła z rozpacz.

– A jakie macie do cholery?! – rzuciła ze złością, orientując się, że i tym razem popełniła gafę.

Zrozumiała, że pewnie ma już ostatnią szansę, by uzyskać od kobiety informacje. Kombinacja możliwych pytań przemknęła przez jej obolałą głowę, ale żadne nie zapewniało uzyskania właściwej odpowiedzi.

– Proszę pani. Proszę przysłać do mojego pokoju serwis – powiedziała w końcu.

– A dokładnie? Czego sobie pani życzy?

No czego mogę sobie życzyć... , zastanawiała się gorączkowo Zoja, jakby pytanie recepcjonistki było najtrudniejszym na świecie.

– Śniadanie! – krzyknęła trochę zbyt głośno, bo ból głowy dźgnął jej skroń niczym sztylet.

Recepcjonistka zaczęła stukać w klawiaturę.

– Śniadanie... do... apartamentu... prezydenckiego... Czy to wszystko w czym mogę pomóc?

Zoja już miała odłożyć słuchawkę, kiedy przyszło jej do głowy jeszcze coś.

– Zaraz, chwileczkę, jest tam pani jeszcze?!

– Tak proszę pani, jestem. W czym mogę pomóc?

– Chciałabym... to znaczy... niech mi pani powie, ile kosztuje doba w tym apartamencie?

– Chwileczkę – w słuchawce coś zatrzeszczało. – Doba w Apartamencie Prezydenckim kosztuje dwanaście tysięcy złotych.

Zoja poczuła jak krew uderza jej do głowy.

– Chryste... wyszeptwała.

Recepcjonistka musiała to usłyszeć, bo szybko dodała, że pobyt został w pełni opłacony, wraz z serwisem.

– W takim razie – dodała Zoja, zastanawiając się gorączkowo czy stoi za tym ojciec Bruno – proszę mi dodać do śniadania butelkę białego wina i lód.

– Niestety proszę pani... Obawiam się, że tego życzenia nie mogę spełnić. Otrzymaliśmy wyraźny zakaz podawania pani jakichkolwiek napojów alkoholowych. Mogę zaproponować kawę, herbatę, świeży sok z dowolnych owoców, koktajl na bazie jogurtu, mleka, mleka sojowego, orzechowego, migdałowego...

– Nie, dziękuję! – przerwała jej Zoja, czując że na samą myśl zaczyna ją mdlić i rzuciła słuchawką, która zamiast na stoliku, wylądowała na dywanie. Teraz przynajmniej była pewna, że to on zapłacił za jej pobyt.

Z największym wysiłkiem przewróciła się na bok i odsuwając poduszkę ostrożnie położyła głowę na chłodnym materacu. Pulsujący, tępy ból zaczął nieco ustępować, co sprawiło, że na chwilę przymknęła oczy.

Z płytkiego snu trwającego kilkanaście minut wyrwało ją stukanie do drzwi. Zawołała „proszę”, z radością oceniając, że ból głowy nieco zelżał, pozwalając już nie tylko na otwarcie oczu, ale też powolne podciągnięcie się na łokciach i oparcie o stertę poduszek ułożonych wzdłuż oparcia.

Słyszac dochodzące z salonu odgłosy krzątania, uderzenia talerzy, stukanie filiżanką, a wreszcie zapach kawy i świeżego pieczywa, poczuła, że w jej ciało wstępuje nowa energia. Wszystko będzie dobrze – wyszeptwała, tym razem przynajmniej rozpoznając własny głos, który nie brzmiał już niczym echo kamieni wrzucanych do studni, albo armatnich salw.

Kelner zapukał i po chwili zajrzał do sypialni. Wraz z jego rozmazaną sylwetką wpadła do pokoju stróżka światła, które sprawiło, że Zoja ze wstrętem zmrużyła oczy.

– Czy podać śniadanie do łóżka?

Pokręciła głową. Wracała jej pamięć, a wraz z nią, odchodziła chęć na zabawę w luksusy. Kiedy kelner opuścił apartament, zamiast wstać, wsunęła się pod kołdrę, naciągając ją po sam czubek nosa i wlepiła wzrok w sufit.

Hotel Sheraton. Apartament za dwanaście tysięcy za dobę. Śniadanie do łóżka...

Nic dziwnego po tym, co wydarzyło się w nocy, a co Zoja obserwowała zza weneckiego lustra.

Spotkanie watykańskiego nuncjusza z polskim premierem, niemieckim ministrem spraw zagranicznych i trojgiem biznesmenów, którzy trzymają w rękach osiemdziesiąt procent środkowoeuropejskiego biznesu, w tym transport gazu z Rosji, tranzyt naziemny i lotniczy towarów, ludzi, zwierząt i dóbr luksusowych, wartych tak zawrotne sumy, że wspomniany przez nuncjusza Fundusz Kościelny w Polsce, wysokości stu trzydziestu milionów złotych rocznie, to zaledwie wierzchołek góry, przebiegło doprawdy sprawnie.

Przez cały wieczór pili szampana Krug wartego tysiąc złotych za butelkę. Jedli ostrygi, krewetki, małże, polędwicę z jelenia, szaszłyki z krokodyla, jagnięcinę w sosie z migdałów z miętą i komosą. Tortellini z dyni piżmowej, bocznika, curry i szaławii. Kawior z jesiotra, z jajkiem, tostami melba i *crème fraiche*, a wszystko podawał im sam szef kuchni.

Na samo wspomnienie suto zastawionego stołu Zoja poczuła bolesne skurcze żołądka. Zmusiła się żeby wstać. Powlekła się do salonu, zarzucając na plecy szlafrok z wyhaftowanym logo hotelu i wsuwając stopy w kapcie miękkie jak puch. Nalała sobie kawy do filiżanki i ostrożnie odsunęła fotel, po czym

usiadła wciskając się w niego całym ciałem. Nawet nie zwróciła uwagi na widok, jaki rozpościerał się za oknem – panorama centrum Warszawy, zasnuwane mgłą dachy odrestaurowanych kamienic, a na pierwszym planie, po drugiej stronie ulicy trzy masywne krzyże wbite w ziemię, w układzie trójkąta. Podkuliwszy nogi, okryła je szlafrokiem i popijając kawę, znów wróciła myślą do wydarzeń sprzed paru godzin.

– Czy pan sobie zdaje sprawę z powagi sytuacji? – głos nuncjusza przerwał ciszę wypełnioną jedynie pbrzękiwaniem sztućców i szkła. Wstał i wolnym krokiem, utykając na lewą nogę, podszedł do okna, ostrożnie odsuwając zasłonę i wyglądając na ogród po którym kręciło się trzech ochroniarzy. – My sobie na to nie możemy pozwolić, nie ma możliwości, żeby taka... taka... – zawahał się – ...taka osoba, miała zyskać dostęp do tajnej wiedzy... tajnej i co gorsza, mogącej narobić wiele zamieszania, jeśli oczywiście, ktokolwiek zdobyłby się na tak ostateczny krok, tak nieroztropny, jak podanie do wiadomości opinii publicznej – nuncjusz odwrócił się i zmarszczył brwi, groźnie spoglądając na premiera. – Nasi wrogowie próbują nas zniszczyć! Zniszczyć potęgę Watykanu! Ale my już im pokażemy – pogroził palcem wszystkim wokół stołu. – Nie pozwolimy, żeby pogańska sekta odebrała nam władzę. Dlatego właśnie, moi panowie, musimy działać szybko i skutecznie. A pan, panie premierze, drogi panie premierze... Jeśli tylko zjawi się to dziewczę, natychmiast zatrzymać i oddać w nasze ręce! I niezwłocznie przekazać mi informacje! Niezwłocznie! – powtórzył z naciskiem i upił łyk z kieliszka, rozkoszując się smakiem szampana.

Premier odłożył widelec, wytarł usta serwetą i zapytał:

– Ale jak mamy to zrobić, skoro nuncjusz we własnej osobie zakazuje nam działać...

Nuncjusz z całej siły rąbnął pięścią w stół, sprawiając, że kryształowe kieliszki zabrzęczały niczym dzwonki w kościele.

– List gończy nie załatwia sprawy! – wydarł się na premiera, by po chwili znowu przemówić łagodnym głosem. – Moi panowie, przy tak poważnej sprawie... Tylko dureń mógłby uznać, że nagłośnienie wydarzeń mogłoby pomóc w ujęciu tej kobiety i tych, którzy z ukrycia kierują jej kolejnymi krokami. Nie potrzebujemy rozgłosu, tylko przemyślanych działań. Dwie okaleczone ofiary... tak straszliwie okaleczone... nasi przyjaciele, moi współpracownicy! – pokręcił głową. – Siostra Hummel ma względem Kościoła ogromne zasługi. Sekretarz Angener to także wyjątkowa postać, skała wiary... A do tego wszystkiego ten ciągły strach, ciągły lęk o to kto następny... Jeśli oni z zimną krwią zlecili podejrzenie gardła księdzu Grunerowi – spojrzął na ministra spraw zagranicznych Niemiec – i ukryli jego ciało w piwnicy plebanii, podstawiając kogoś na jego miejsce... Jeśli chwilę później zastrzelili dwóch waszych agentów na oczach przypadkowych ludzi, w samym sercu miasta...

– A ta stara Żydówka? – wtrącił jeden z biznesmenów, siedzący na samym końcu stołu.

Nuncjusz wykonał w powietrzu znak krzyża.

– To także ich ofiara, niech Bóg ma ją w opiece. Aż trudno mi sobie wyobrazić co też musiała zrobić z nią ta dziewczyna, że zaraz po jej wyjściu zdecydowała się skoczyć z okna – spojrzął na biznesmena z Rosji. – Jednak, muszę z żalem przyznać, że pańskim ludziom nie udało się przejąć klucza, a jej, no, cóż, niezależnie od metod, tak. Ale skoro ma klucz, skoro wie już, do czego służy...

– Pragnę przypomnieć, że nadal mamy raport w swoich rękach – odezwał się premier.

– Raport? A czymże jest ten raport? Jeśli ktoś użyje go przeciw nam, to w mgnieniu oka jesteśmy w stanie podważyć jego wiarygodność.

– A jednak... – odezwał się premier – Daty, nazwiska dzieci, adresy... Trudno byłoby to wszystko wymazać. Wystarczy iskra, żeby to wszystko wybuchło, a wtedy wszyscy jak tu siedzimy pójdziemy na dno...

Nuncjusz przeczesując włosy omiół wzrokiem twarze siedzących przy stole, zatrzymując się w końcu na jednej. Rosjanin siedzący obok premiera odłożył serwetę. W saloniku zapanowało złowrogie napięcie.

– Jaką cenę musieliście zapłacić?

– A to już nasza sprawa – uciął temat Rosjanin, ale zaraz zmieknął. – Sam nuncjusz rozumie, że są takie sprawy, o których nawet pan Bóg nie powinien pytać.

– Proszę nie tłumaczyć! Ja rozumiem! – rozkazał tłumaczowi siedzącemu pod ścianą nuncjusz i zwrócił się do Rosjanina bieglym rosyjskim. – Ja proszę pana, na miejscu pana i pańskich kolegów, w obecnej sytuacji nie próbowałbym niczego ukryć... Ile!!! – wrzasnął, wypuszczając z ust kropelki spienionej śliny.

Rosjanin zbladł. Wymienił z premierem porozumiewawcze spojrzenia, a potem powiedział ledwie słyszalnym szeptem:

– Dwanaście...

– Dwanaście czego?

– Dwanaście milionów.

– Milionów czego? – dopytywał nuncjusz, nie tracąc zimnej krwi.

– No czego, czego... dolarów! – odpowiedział Rosjanin i klnąc pod nosem z całej siły rzucił o stół złotą łyżeczką do deseru.

Nuncjusz zacisnął ręce na oparciu fotela. Spuścił głowę i biorąc kilka głębokich wdechów, spróbował się uspokoić.

– Dwanaście milionów... – pokręcił głową ze smutkiem. – Kolejne zawrotne sumy, które musimy wydawać, żeby zapewnić sobie należne bezpieczeństwo, podczas gdy głodni cierpią, chorzy umierają... Kościół na całym świecie wymaga dofinansowań... – dodał teatralnym tonem.

– Jeszcze chwila i posądzę nuncjusza o małostkowość... – odezwał się biznesmen z końca stołu i wstał. – Panowie się nie obrażą, prawda? – wskazał na pudełko stojące na zabytkowym kredensie. – Jak zawsze, klasyczne *figurado* – wyjął jedno cygaro i przysunął sobie pod nos, rozkoszując się zapachem.

Po chwili ostry aromat tytoniu wypełnił powietrze w saloniku. Jedyłą osobą, która odmówiła zapalenia cygara był nuncjusz. Poprosił o uchylenie okna i składając ręce jak do modlitwy podparł nimi nos, pomrukując z niezadowoleniem.

– Skoro więc – ciągnął rosyjski biznesmen, robiąc pauzę, żeby się zaciągnąć i wypuścić obłoczek dymu – skoro więc mamy opierać naszą relację na całkowitej szczerości, może sprawiedliwie byłoby, gdyby i nuncjusz zechciał nam wyjawić, z jaką to pogańską sektą mamy do czynienia... Opus Dei? Iluminaci? Bractwo Róży? Bohemian Grove? Masoni? A może Bractwo Czaszki i Kości, do którego należą podobno sam prezydent George Busch i senator John Kerry... – roześmiał się, jakby opowiedział właśnie świetny dowcip. Pozostali, poza nuncjuszem i polskim biznesmenem, który od początku spotkania siedział w milczeniu, także poszli w jego ślady.

Polak zgasił cygaro. Zmierzył siedzących przy stole srogim spojrzeniem.

– Pan ich nie docenia, panie Fiodorow...

Rosjanin poczerwieniał na twarzy.

– Miało być bez nazwisk!

Polak pokręcił głową.

– Z nazwiskiem czy bez, nadal będę twierdził, że jest pan skończonym idiotą. Żadne z wymienionych przez pana bractw i stowarzyszeń, nie ma tak daleko idących wpływów jak oni. Gdyby chcieli, mogliby odkupić pana gazową spółkę dwa, albo trzy razy, nie czując nawet, że kwota na jednym z ich rachunków uległa uszczupleniu...

– Co mi pan tu pieprzysz! To nie są do cholery jacyś Rothschildowie!

– *Concordia Industria Integritas*... – powiedział Polak, nie spuszczać oczu z Fiodorowa. – Harmonia... integralność... pracowitość... Znamienity herb rodu, a do tego jeszcze Żydzi, których tak pan nienawidzi, prawda panie Fiodorow?

– I tak dam sobie rękę odciąć, że to nie Rothschildowie – pokręcił głową Fiodorow i dolał sobie szampana, opróżniając butelkę do dna. – Albo nie, ręki nie... Nie chcę dołączyć do zakonnicy i tego

drugiego. Jeszcze jedną! – machnięciem ręki przywołał kelnera.

Premier poderwał się z krzesła i uciszył obu.

– Dosyć tego panowie! Ta wymiana zdań urąga powadze naszego spotkania! Proszę zachować spokój i stosować się do zasad albo...

Ktoś stojący po drugiej stronie drzwi apartamentu zapukał trzy razy. Zoja poderwała się na równe nogi i nagle przypomniała sobie, jak karygodny błąd popełniła – nie zablokowała drzwi kartą magnetyczną, przez co ktoś, kto stał po drugiej stronie, miał wolną drogę.

W parę sekund złapała nóż do pieczywa i ukryła w kieszeni szlafroka, zaciskając palce na trzonku. Powiedziała „proszę” i odwróciła głowę, czekając w napięciu.

Czarne, lśniące lakierki kelnera zabłyśły w świetle lampy. Ukłonił się i trzymając białą kopertę w wysuniętej dłoni podszedł do Zoi.

– Przesyłka. Pilna. Kazano mi dostarczyć do rąk własnych.

Zoja wypuściła nóż i odebrała kopertę, po czym jak najszybciej odprawiając kelnera, rozerwała papier i wyjęła złożoną na pół papeteryjną kartkę ze złożonymi brzegami. Ktokolwiek pragnął przekazać jej wiadomość, posługiwał się biegłą angielszczyzną i świetnym stylem pisma, a do tego zakończył przystawiając czarno białą pieczęć z dobrze jej znanym chryzmonem, niemal identycznym jak ten wytatuowany w odciętej dłoni siostry Hummel.

Good Morning Sasha!

Nadchodzi czas prawdy. Błogosławieni, którzy w imię Pana wezmą udział w misji, jaką stawiają przed nami kolejne karty historii. Ufamy, że w swej mądrości odnajdziesz siłę by stawić czoła przeciwnościom i wykonać zadanie jakiegoś my, członkowie bractwa, dla ciebie wyznaczili. Nie obawiaj się, lecz podążaj wedle wytyczonego planu. Prosimy byś odtąd nie robiła niczego bez naszej wyraźnej zgody. Postępuj zgodnie z planem, a zło nie tknie cię swym palcem. Otrzymałaś już pierwsze zadanie i wykonałaś je. Oto nadszedł czas na kolejne: Kancelaria Prezesa Rady Ministrów. Gabinet Premiera. Sejf obraz ściana północna okno. Godzina dziesiąta. Czekaj przy wejściu. Przewodnik zaufany.



Zoja odłożyła list i zajrzała do środka. Na dnie koperty leżał medalik z chryzmonem, który jeszcze wczorajszej nocy miała w kieszeni skórzanej kurtki. Ktoś zawiesił go na łańcuszku. Odłożyła list na stolik i na chwiejnych nogach dowlekkła się do lustra. Nie chciała nawet przez chwilę przyglądać się swojemu odbiciu. Najszybciej jak potrafiła zapięła łańcuszek na szyi, szepcząc „w tym znaku zwyciężysz”, przypominając sobie rozmazane i niewyraźne wspomnienie ojca, który w tej chwili był dla niej jedynie duchem, istniejącym w odmętach jej poranionej pamięci. Dlaczego zginął? Czy to możliwe, że to z jej powodu? Bronił jej? A może to był zwykły wypadek... Tu Zoja uznała, że to raczej mało prawdopodobne. Biorąc pod uwagę ciąg zdarzeń nawet z ostatnich kilkudziesięciu godzin, nie było wątpliwości, że sprawa z przeszłości ma wiele wspólnego z tym, co dzieje się teraz. Im głębiej się nad tym zastanawiała, tym bardziej czuła, że może, ba, że powinna spróbować znaleźć odpowiedzi na te wszystkie pytania, które kotłują się jej w głowie.

Wyrwawszy się ze szponów wspomnień, dotknęła palcami niepokojącego zgrubienia, jakie nagle odkryła u podstawy czaszki. Coś jakby niewielkich rozmiarów guz, przy każdej próbie ruszenia głową wywoływało ból, a skóra na karku wydawała się być napięta. Spróbowała się temu przyjrzeć, w tym celu przyniosła nawet mniejsze lusterko z łazienki, ale szybko zrozumiała, że to na nic, nie miała wystarczająco dużo siły, by znieść coraz większy ból przy poruszaniu głową.

Odstawiła lusterko i podeszła do telefonu. Już samo oglądanie starych filmów Hitchcocka czy ekranizacji powieści Agaty Christie wystarczyło, by wiedziała, że aparat w apartamencie jest na podsłuchu. Świadczyła o tym nie tylko szybkość, z jaką recepcjonistka podniosła słuchawkę, ale też szum, który wydobywał się ze słuchawki, gdy przyłożyła ją do ucha, po wybraniu numeru Muzeum Narodowego znalezionej w książce telefonicznej. Plan był jasny. Dodzwoni się na centralę, a tam poprosi o numer do sekretariatu dyrekcji. Był środek tygodnia, dlatego uznała, że jej szanse na to, by skontaktować się z którymś z pracowników, znacznie wzrastają.

Kiedy sekretarka dyrektora podniosła telefon, Zoja wypaliła prosto z mostu:

- Mam pilną wiadomość dla kuratora Magdi.
- Kurator jeszcze nie pojawił się w muzeum. Po wczorajszym otwarciu galerii...
- Proszę do niego zatelefonować. To pilne.
- Obawiam się, że nie...
- Chodzi o jego życie! – krzyknęła Zoja, bez sił opadając na fotel.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza, aż w końcu sekretarka powiedziała „słucham”.

– Proszę mu przekazać dokładnie to co powiem – Zoja wzięła oddech. – Święty Szczepan prosi o modlitwę w katedrze, w godzinę śmierci pańskiej.

Kilkadziesiąt minut później Zoja dotarła taksówką do kompleksu budynków przy Alejach Ujazdowskich. Wsiadając, wyjęła z plecaka nowego Samsunga Galaxy S6 edge, który razem z ubraniami, pieniędzmi, paszportem na fałszywe nazwisko i legitymacją pracownika Biura Ochrony Rządu, zabrała z garderoby przed opuszczeniem apartamentu. Spojrzała na zegarek na ekranie wyświetlacza. Dochodziła za pięćdziesiąt.

„Dobry czas” – pomyślała, chowając telefon do kieszeni.

Weszła na chodnik i nagle zamiast ruszyć przed siebie, stanęła jak wryta. Jakaś myśl sprawiła, że gwałtownie spojrzała w prawo; kilkaset metrów dalej, za skrzyżowaniem z aleją Szucha, znajdował się Pałac Sobańskich, w którym była w nocy, a jeszcze dalej trochę po skosie, Muzeum Narodowe.

Choć pomysł był absurdalny, przez chwilę miała ochotę ruszyć w tamtą stronę, posługując się sfalszowanym paszportem kupić bilet na samolot i czym prędzej odlecieć do jedyne miejsce, w którym czuła, że powinna być. Po tym jak zostawiła wiadomość dla Serge'a, wykąpała się, ubrała i przygotowała do wyjścia, wykielkował w jej głowie plan, który miała zamiar wykonać, choćby nawet musiała zrobić rzeczy, o których jeszcze kilka dni temu nawet by nie pomyślała. Jednak wizytę w Kancelarii Premiera wciąż można było z niego łatwo usunąć...

Sznur samochodów stojących na czerwonych światłach ruszył. Wzdłuż ogrodzenia Łazienek Królewskich szła grupa uczniów, kierując się w stronę otwartej bramy prowadzącej na teren jednego z najpiękniejszych i największych kompleksów parkowych w Polsce. Tymczasem ona stała, kiwając się w przód i w tył, nie mogąc się ostatecznie zdecydować.

W końcu westchnęła i zaciskając dłoń na medaliku z chryzmonem, ruszyła pustym chodnikiem do najbardziej wysuniętej części budynku, w której pod powiewającymi lekko flagami Polski i Unii Europejskiej, znajdowało się wejście do drugiego po Pałacu Prezydenckim, najbardziej strzeżonego budynku w kraju.

– Słuszna decyzja.

Mężczyzna zjawił się za jej plecami nie wiadomo skąd. Miał rosyjsko brzmiący akcent i błysk w oku,

świadczący o ogromnej czujności. To właśnie przez ten błysk, kiedy Zoja się odwróciła, natychmiast zrozumiała, że to ten na którego czeka.

– Tak? A dlaczego?

Zamachał ręką w lewo.

– Bo zazwyczaj ludzie kierują się do wejścia dla pracowników, z drugiej strony budynku. Tędy wchodzi jedynie premier, no i ma się rozumieć pracownicy Biura Ochrony Rządu, którzy akurat są na służbie.

– Czyli wszystko w porządku – odparła Zoja i podała mężczyźnie służbową legitymację. Zerknął na nią, z uznaniem kiwając głową, jakby bardzo spodobał mu się efekt czyjejś fałszerskiej roboty.

– Gładiczko – wyciągnął rękę na powitanie.

– Lisowska – odpowiedziała Zoja, wytrzymując jego silny, niemal miażdżący uścisk dłoni.

W końcu oddał jej legitymację i ruszył przez podjazd dla rządowych limuzyn w kierunku schodów.

– Proszę iść spokojnie. Legitymacja do kieszeni. Uśmiech na twarzy. Nie odzywać się niepytana. W przeciwnym razie...

– Zastrzeli mnie pan, tak?

Gładiczko otworzył drzwi i zerknął na Zoję, nie mając najmniejszego zamiaru przepuścić jej jako pierwszej.

– Dokładnie! – powiedział i zniknął po drugiej stronie.

– Na parterze nie ma żadnych istotnych gabinetów – wyjaśnił, prowadząc Zoję w kierunku szerokich kamiennych schodów, wyłożonych czerwonym dywanem upstrzonym złotymi haftami w kształcie szyszek.

– Trwa narada w sali Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Mamy jakieś pół godziny. Gabinet premiera znajduje się na pierwszym piętrze, w prawym skrzydle. Zaprowadzę cię tam teraz, żebyś mogła zobaczyć, jakie środki prewencji stosujemy, żeby zapobiec ewentualnym włamaniom – specjalnie położył nacisk na słowo włamaniom, słysząc kroki na górze.

– Rozumiem, że mowa o alarmie?

Gładiczko przystanął i przyłożył palec do ust, wskazując głową na górę. Ktoś kręcił się po korytarzu, wyraźnie chodząc to w lewo, to w prawo, jakby czekał. Na nich.

Zoja zobaczyła jak Gładiczko wyjmuje broń i celując w górę zaczyna się skradać, idąc blisko barierki. Chwilę potem usłyszała czyjś jęk; wbiegła po schodach ile tchu, widząc jak Gładiczko dociska kolanem do podłogi pierś jakiegoś faceta w garniturze.

– Kowalski, ty kutasie, mówiłem ci żebyś nie podsłuchiwał – wysyczał ze złością, przeszukując kieszenie leżącego.

Zoja nie mogła uwierzyć, że Gładiczko robi coś podobnego w miejscu, w którym niemal każdy, w każdej chwili może to zobaczyć.

– Co ty wyprawiasz? – wyszeptła.

– Zamknij się i pomóż mi go związać. Idzie z nami. Prawda Kowalski? No już, wstawaj – odsunął kolano, pozwalając mężczyźnie wziąć oddech. Widząc że Zoja stoi jak wryta, wyjął z kieszeni tamtego niewielki nadajnik połączony kablem z kamerą umieszczoną w oprawkach okularów. – No co? Teraz mi wierzysz? Ten skurwiel chciał być mądrzejszy od nas. Myślał, że uda mu się coś ugrać – strzelił mężczyźnie z otwartej dłoni w głowę. – Mam rację Kowalski? Znudziła ci się posada doradcy, co?

Mężczyzna spróbował coś powiedzieć, rozpaczliwie wpatrując się w Zoję, ale zanim zdążył pisnąć, Gładiczko zatkał mu usta krawatem i zaciągnął pod drzwi na końcu korytarza, na prawo od schodów. Zoja domyśliła się, że to gabinet premiera.

Gładiczko zamknął mężczyznę w łazience i szybkim krokiem wrócił do Zoi. Stała w drzwiach, bacznie się rozglądając. Ogromne, ciemnobrązowe biurko na wprost wejścia, masywny fotel, mnóstwo dokumentów, książek, a na oknie fikus; jedyna zieleń, jedyny żywy element w całym wystroju. Okno. Spojrzenie na nie sprawiło, że Zoja przywołała w pamięci fragment wiadomości, jaką otrzymała rano.

„Gabinet Premiera. Sejf obraz ściana północna okno.”

Faktycznie, na ścianie niedaleko okna wisiał obraz. Kossak? Malczewski? Zastanawiała się Zoja, przyglądając się scenom bitwy, w których dominowała natura i dorodne, rasowe konie z długimi grzywami.

– Dwadzieścia minut – oznajmił Gładiczko.

Zoja podeszła do obrazu i już miała dotknąć ramy, kiedy przypomniała sobie coś ważnego. Z ręką zawieszoną w powietrzu spojrzała na Gładiczkę, stojącego za biurkiem premiera.

– Rękawiczki - powiedziała.

Jak na rozkaz wyjął z kieszeni parę. Dopiero kiedy je założyła, ponownie zabrała się do oględzin. Wiedziała już co robić. Spokojnie przejechała palcami po brzegach ramy. Wiedziała, że w którymś momencie napotka na nieznaczną uskoki, szczelinę, w którą da się włożyć palec, dzięki czemu rama odskoczy od ściany, ukazując ciemną przestrzeń w głębi. Było dokładnie tak, jak się tego spodziewała; kiedy wyczuła pod palcami haczyk nacisnęła na niego, usłyszała ciche szczęknięcie i już mogła odsunąć ramę, by zajrzeć do środka. W głębi znajdował się pancerny sejf, nie tak duży jak ten w domu jej babki i nie tak stary, ale wystarczający, by pomóc premierowi ukryć to i owo.

– Szyfr – zerknęła na Gładiczkę.

– Data odzyskania przez Polskę niepodległości.

– To znaczy?

– Jeden jeden jeden jeden – splunął obgryzając skórę przy paznokciu – jeden dziewięć jeden osiem.

Drzwiczki odskoczyły i Zoja natychmiast złapała mikrodyk, leżący na stercie teczek i kopert. Nie wiedziała skąd, ale czuła, że to o niego chodzi członkom bractwa.

Wcisnęła go w plecak, zasuwając zamek i zakładając na plecy.

– Co teraz? – zapytała, zamykając sejf.

Gładiczko uchylił drzwi i wyjrzał na korytarz.

– Droga wolna – powiedział i wyprowadził Zoję.

Kiedy słysząc jęki dobiegające z łazienki premiera, zapytała co z Kowalskim, jej przewodnik odpowiedział, że to teraz najmniejszy problem.

– W ciągu dziesięciu minut w całym budynku uruchomi się alarm.

Zoja stanęła jak wryta. Alarm? Jak do cholery?

– Ale jak? Dlaczego?

Gładiczko wyglądał na rozbawionego. Nie odpowiedział, ale po jego minie Zoja oceniła, że musiał zrobić coś bardzo, bardzo głupiego i natychmiast przestraszyła się na samą myśl, że to samo może zrobić z nią.

– Zaprowadzisz mnie do wyjścia, prawda? – spróbowała się upewnić.

Idąc trzy kroki za nim zobaczyła jak kiwa głową. Kiedy dotarli do schodów, zaczął zbiegać w dół tak szybko, że gdy znalazł się na parterze, Zoja na moment zgubiła go z oczu.

Coś jest nie tak, przebiegło jej przez myśl, coś jest cholernie nie tak...

– Nie chciałabym spóźnić się na spotkanie z twoim zleceniodawcą – powiedziała, kiedy znaleźli się w korytarzu na tyłach budynku.

To, że Gładiczko nie pozwolił jej wyjść tymi drzwiami którymi weszła i że zabronił jej użyć służbowej legitymacji, gdy chciała otworzyć bramkę, wzbudziło w niej jeszcze większe obawy. Na dodatek sposób w jaki szedł, jego lodowate spojrzenia rzucone do tyłu i na boki, lewa ręka trzymana na piersi, jakby w każdej chwili był gotowy do użycia broni...

– Nie spóźnisz się, zapewniam cię – odpowiedział lodowatym tonem.

Zniknęły wszechobecna sterylność, aromat lilii i cedru, unoszące się w powietrzu. Ogromne

dywany, flagi i okazałe obrazy także. Jedyne, co teraz przyciągało uwagę Zoi, to sporych rozmiarów okna, wychodzące na znajdujący się na tyłach budynku ogród, dzięki którym korytarz tonął w jasności. „Pogoda się zmieniła” – pomyślała Zoja zerkając przez szybę. Widoczne w promieniach słońca drobinki kurzu fruujące nad ich głowami wydały się jej podobne do płatków śniegu.

– Daleko jeszcze? – zapytała, kiedy skręcili w lewo, mijając koleje służbowe przejście.

Gładiczko wskazał na przeszklone drzwi, widoczne na końcu korytarza, za którymi majaczyły zaparkowane rządowe limuzyny.

Wzrok Zoi powędrował za jego ręką i na moment straciła czujność. Nie zdążyła nawet zauważyć, kiedy Gładiczko wyjął broń i z całej siły popchnął ją na drzwi z prawej strony. Wpadła do oświetlonego jarzeniówkami pomieszczenia, starając się jedynie zasłonić twarz przed zderzeniem z drzwiczkami metalowej szafki stojącej pod ścianą. Identyczna szafa stała naprzeciwko i jeszcze jedna w rogu. Środek pomieszczenia był zastawiony dwoma rzędami niskich ławek, jak w sportowej szatni. Gładiczko zamknął drzwi i przechodząc po ławce zeskoczył na podłogę tuż za plecami Zoi.

– Rusz się kurwa – rozkazał – albo odstrzelę ci łeb.

– Cze-czego chcesz... – wyjęczała, ocierając z ust stróżkę krwi. Nawet bez medycznego wykształcenia była w stanie ocenić, że przegryzła sobie język, a Gładiczko przed chwilą zmiażdżył jej co najmniej jedno żebro... Widząc że szykuje się do zadania kolejnego ciosu, zasłoniła się ręką.

Gładiczko złapał ją za włosy i pociągnął w stronę ławki. Zerwał jej z ramion plecak i zaczął go przeszukiwać.

Obserwując go, Zoja przypomniawsza sobie ostatnie słowa wiadomości.

„Przewodnik zaufany.”

Nie mogła uwierzyć, że członkowie bractwa popełnili aż tak wielki błąd. Wiedziała, że bez trudu odnajdzie mikrodyk. Jego ręka wędrowała po kieszeniach, będąc coraz bliżej tej, w której ukryła niewielki przedmiot. Postanowiła grać na czas. Musiała coś wymyśleć. Już. Natychmiast.

– Zapłacę ci.

Szatnię wypełnił złowrogi śmiech. Gładiczko wyjął mikrodyk i kopnął plecak pod ścianę. Po chwili rozpiął pasek od spodni i wysunął małą podkładkę, znajdującą się we wnętrzu skórzanej podszewki, niedaleko sprzączki. Z zadowoleniem zabezpieczył swoją zdobycz i znów spojrzał na Zoję.

– Ty? Zapłacisz? Ile?

Ta rozmowa ewidentnie zaczęła mu sprawiać przyjemność. W pewnej chwili Zoja uznała, że może naprawdę Gładiczko czeka na propozycję. Skoro wszystko jest kwestią ceny, może i tym razem tak będzie.

– Dwadzieścia...

– Czego?

– Milionów. Dolarów.

– Za głupi raport? Przecież ty możesz mieć te informacje za darmo, z pierwszej ręki. A teraz... – spojrzał na szwajcarski wodoszczelny zegarek na przegubie – ...mamy jeszcze cztery minuty. Skoro już dałaś mi to – wskazał na mikrodyk trzymany w dłoni – dasz mi jeszcze coś.

Podszedł i klękając nad nią, rozchylił jej nogi. Chociaż Zoja próbowała się wyrwać, przy jego sile i brutalności, nie miała szans. Im bardziej się do niej zbliżał, macając jej ciało, sapiąc i stękając, tym silniejsze ciosy starała się wymierzać, bijąc go po twarzy, drapiąc i gryząc.

– Ty nazistowska kurwo... już ja cię... – złapał Zoję za rękę – już ja cię spacyfikuję – rozerwał jej bluzkę – zrobię ci tu zaraz mały Stalingrad...

Nagle szatnię wypełnił ogłuszający huk. Drzwi zostały wyważone, a jedna z ławek podfrunęła wysoko i spadła na plecy Gładiczki. Zoja spróbowała wyszarpać rękę z jego uścisku, ale nadal trzymał mocno, nie pozwalając jej się uwolnić.

– Puść dziewczynę – rozkazał mężczyzna. Dopiero teraz Zoja rozpoznała jego twarz. Był to Kowalski,

który w jakiś sposób zdołał się wydostać z gabinetu.

Gładiczko zaczął się śmiać, a wtedy Zoja zobaczyła, jak Kowalski unosi rękojeść broni, celując w jego potylicę. Zacisnęła powieki, słysząc chrupnięcie pękających kości czaszki.

W parę sekund Kowalski zrzucił z niej bezwładne ciało nieprzytomnego Gładiczki i pomógł jej wstać.

– On ma mikrodisk. W pasku od spodni – oznajmiła Zoja, przytrzymując się ściany. W głowie miała mętlik i próbowała jakoś pozakrywać podrapane ciało rozerwanymi kawałkami ubrań. W tym czasie Kowalski przeszukał Gładiczkę, wydając mikrodisk ze skrytki ukrytej w pasku od spodni. Złapał plecak Zoi, podał jej i wyprowadził ją na korytarz, każąc iść w kierunku wyjścia na parking.

– Zaczekaj tam – rozkazał, a sam wrócił na chwilę do szatni.

Kiedy Zoja dobiegła do drzwi i otworzyła je za pomocą przepustki, Kowalskiego nadal nie było. W końcu wybiegł, zdyszany i pociągnął ją za rękę w kierunku rzędu limuzyn, zajmując miejsce za kierownicą pierwszej od strony bramy.

– Wsiadaj!

Natychmiast zrobiła co kazał. Nie zdążyła nawet zamknąć drzwi, kiedy BMW, na pełnym gazie podjechało do szlabanu, Kowalski przyłożył przepustkę do czytnika i prawie taranując zaporę wyjechał w Aleje Ujazdowskie, skręcając w lewo, w kierunku dolnego Mokotowa.

Nie zdążyli odjechać nawet kilkuset metrów, kiedy za samochodem rozległ się huk eksplozji.

Natychmiast gwałtownie odwróciła głowę i zobaczyła płonący budynek Kancelarii Premiera. Część, w której znajdowali się jeszcze parę minut temu, teraz stała w płomieniach.

Zoja przypomniała sobie, co powiedział Gładiczko. Wspominał coś o tym, że zawyje alarm, ale czy to możliwe, żeby posunął się aż do wysadzenia części budynku?

Ich BMW zatrzymało się na czerwonym świetle. Znowu odwróciła głowę. Daleko za nimi, na podjeździe zaroilo się od radiowozów i czarnych terenowych samochodów, podobnych do tego, który widziała w nocy pod Pałacem Sobańskich.

– Ewakuują premiera i ministrów – wyjaśnił Kowalski posyłając jej uspokajające spojrzenie.

Zoja wyprostowała się na fotelu i spojrzała na jego poobijaną twarz. W tej samej chwili minął ich szpaler radiowozów i karettek, a także wozów straży pożarnej. Z jakiegoś powodu na ich widok Kowalski zdecydował się wykonać karkołomny manewr. Obrócił kierownicę o sto osiemdziesiąt stopni, docisnął pedał gazu i przeciął jezdnię, zawracając. Kiedy mijali płonący budynek, wystawił na dach koguta i włączył migające światło. Zoja była coraz bardziej pewna, że dokądś się spieszą i to bardzo.

– Powiesz mi, co się tam stało? Kiedy sprowadzał mnie na dół, Gładiczko wspominał coś o tym, że zawyje alarm, ale...

– On nie nazywa się Gładiczko.

Zoja uniosła brwi.

– Jak to nie?

– Nie. Po prostu – wzruszył ramionami i zakrwawioną ręką wyjął z kieszeni marynarki legitymację służbową, niemal identyczną jak ta, którą miała w kieszeni.

– Zerknij.

Zoja spojrzała na dokument w plastikowej oprawce, a potem znowu na mężczyznę. Właśnie po raz kolejny przejechali przez rondo na czerwonym świetle, powodując, że kilka samochodów zderzyło się z sobą. Zoja była coraz bliższa płaczu.

– Andrzej Gładiczko, generał brygady, szef Biura Ochrony Rządu – przeczytała łamiącym się głosem.

– Ale w takim razie tamten człowiek...

– Władysław Iwan Chercherov, pseudonim Babuszka. Szpieg rosyjskiego wywiadu – wrzucił piąty bieg i docisnął gaz, zjeżdżając na estakadę pod mostem Poniatowskiego. – Fiodorow dowiedział się, że tu będziesz i postanowił nieco nam przeszkodzić, wysyłając zaufanego człowieka.

– Kurwa mać! – przeklęła Zoja na głos, doceniając wartość polskiego słownika. – Kurwa, kurwa,

kurwa! – powtórzyła, czując jak cała krew odpływa jej z twarzy.

Uciezka

Jeśli nie liczyć dwóch mężczyzn siedzących na kanapach pod przeszkloną ścianą, jednego z laptopem, drugiego z rozłożoną gazetą *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, niewielka poczekalnia terminala dla pasażerów taksówek powietrznych, prywatnych odrzutowców i helikopterów, zlokalizowana w północnym krańcu portu lotniczego imienia Fryderyka Chopina, była pusta.

Gładiczko rozkazał Zoi czekać, a sam szybkim krokiem podszedł do stanowiska odprawy. Zoja widziała jak podaje agentce paszporty, a razem z nimi pękata białą kopertę. Zaczęli rozmawiać, a wtedy Gładiczko wskazał palcem w jej stronę, żywo gestykulując, jakby próbował przekonać kobietę, że w jakiejś sprawie ma rację i tak musi pozostać.

Czując narastający niepokój, Zoja odwróciła głowę w stronę okna i wyjrzała na pas startowy. Podmuchy gorącego nawiewu z silników kołujących samolotów sprawiały, że powietrze na płycie lotniska zdawało się falować.

Minutę później Gładiczko nadal stał przy stanowisku odprawy. Wyglądało na to, że sprawy się komplikują. Pod Zoją ugięły się kolana na samą myśl o tym, co mogłoby się stać, gdyby nie udało im się teraz dostać na pokład samolotu i opuścić Polski. Wolała sobie nawet nie wyobrazić reakcji rozjuszonych porażką agentów ABW, BOR, a przede wszystkim nuncjusza, na wieść o kolejnym niepowodzeniu szpiega Fiodorowa...

– Pośpiesz się! – wrzasnęła Zoja trzy minuty później, zerkając do tyłu na biegnącego za nią Gładiczkę. Gdzieś w oddali dało się słyszeć wycie syren policyjnych radiowozów.

– „I czemu mnie to nie dziwi” – pomyślała z przekąsem.

Rządowa limuzyna z migającym kogutem na dachu, łamiąca wszystkie możliwe przepisy, powodująca karambol na placu Zawiszy, była łatwym celem. Ktoś z Biura Ochrony Rządu szybko sprawdził, że brakuje jednego samochodu i nie omieszkał zawiadomić służb. Albo drogówka zawiadomiła Kancelarię Premiera. Tak czy inaczej, od razu trafili na ich ślad, namierzając samochód porzucony na parkingu lotniska.

– Udało się – wydyszał Gładiczko minutę później, ze zmęczeniem opierając się o barierki przy metalowych schodach prowadzących do samolotu.

Wyjął z kieszeni marynarki mikrodyk i podał Zoi.

Zamarła, jakby ktoś oblał ją lodowatą wodą.

– Jak to? Mam lecieć sama? A ty??? – oczy Zoi zaszyły łzami. Bądź co bądź, to przez nią narobił sobie kłopotów, więc jeśli teraz miałyby wpaść w łapy agentów...

Gładiczko wyprostował się i spojrzał w górę na stojącą w drzwiach stewardessę, machnięciem ręki prosząc o jeszcze chwilę cierpliwości.

– Biegnij. Dam sobie radę.

– Przepraszam... za wszystko – wyszeptała Zoja, spoglądając na niego po raz ostatni, po czym weszła na schody. Była już w połowie drogi, kiedy usłyszała za plecami jego głos, zagłuszany przez szum silnika:

– Zrób coś dla mnie! Dokop tym skurwysynom. W moim imieniu też.

Nie miała pojęcia, o kim dokładnie mówi Gładiczko, ale odwróciła głowę i bez wahania rzuciła „obiecuję”, czując się tak, jakby jej podświadomość wiedziała w tej chwili więcej, niż rozum.

Po chwili siedziała w pustej kabinie, zapinając pasy bezpieczeństwa. Upewniwszy się, że mikrodyk spoczywa w kieszonce plecaka, wcisnęła go pod fotel i na wszelki wypadek przydeptała rączkę, dodatkowo owijając ją wokół buta. Prostując się w fotelu zerknęła, czy nikt jej nie obserwuje. Dzięki temu, że zajęła miejsce z widokiem na kokpit i niewielki korytarz, mogła teraz widzieć każdy ruch stewardessy i ochroniarza, którzy akurat byli zajęci zajmowaniem miejsc przed startem i zapinaniem pasów. Na szczęście odkąd Zoja weszła na pokład, żadne z nich nie zachowywało się podejrzanie. W ich

wyglądzie także nie dostrzegła cech, które mogłyby wzbudzać niepokój. Gładka twarz stewardessy, młodej i uśmiechniętej, kontrastowała ze srogim licem ochroniarza, który wciąż marszczył brwi, zaglądając do kokpitu, jakby miał zamiar za wszelką cenę dopilnować, żeby samolot nie miał ani minuty opóźnienia.

Odrzutowiec, wstrząsany niewielkimi turbulencjami, właśnie wzbił się w powietrze. Zoja podniosła przesłonę i wyjrzała przez okienko. Miasto zdawało się maleć z każdą sekundą. Arterie w centrum, pełne samochodów, wyglądały niczym budowle z klocków Lego. Wszystko w dole mknęło, w tym samym zawrotnym tempie co zwykle, ale dla Zoi nie miało to już znaczenia. Tym, co sprawiało jej przykrość, było wspomnienie o Serge`u. Okazał się jedynym człowiekiem wartym zaufania. I dzięki niemu udało jej się zdobyć sporo użytecznej wiedzy, którą zamierzała wkrótce wykorzystać.

Im dłużej o nim myślała, z tym większą siłą docierała do niej świadomość, że udało się opuścić Polskę. Ktokolwiek stoi za działalnością tajemniczego bractwa, w tej jednej sprawie podjął najlepszą decyzję z możliwych. Zoja podejrzewała, że ojciec Bruno maczał w tym palce. Musiałaby być idiotką by uwierzyć, że zjawił się w muzeum przez przypadek. Prowadzi ją na tajne spotkanie, ochroniarze całują go po rękach niczym biskupa. Nie boi się, to pewne. Ma władzę. I w dodatku spora część jego wpływów dotyczy także jej losów. W tym wszystkim nagle zobaczyła coś pocieszającego – jeśli to faktycznie on zorganizował lot, przynajmniej mogła się domyślić, jaki jest cel podróży.

„Oby tak było” – pomyślała Zoja z nadzieją, od której zakręciło się jej w głowie. W tej chwili istniało tylko jedno miejsce, w którym wiedziała, że musi się znaleźć i to jak najszybciej. Zamierzała zrobić wszystko, by tam dotrzeć.

Głos stewardessy wyrwał Zoję z zamyślenia.

– Napije się pani czegoś? Kawa? Herbata? Wino?

Jej nieskazitelny, błękitny mundurek zmarszczył się w okolicy smukłej talii, kiedy nachyliła się, podając Zoi kartę z menu. Cokolwiek miało się jeszcze wydarzyć, Zoja wiedziała, że przynajmniej w trakcie lotu, nie musi się obawiać o bezpieczeństwo i komfort. Od klientów słyszała, że odrzutowce Bombardier Learjet 60XR są uznawane za jedne z najbezpieczniejszych na świecie. Kilkukrotnie zdarzyło jej się odbierać z prywatnych samolotów tego typu luksusowe przesyłki z lampami czy bibelotami do willi, które właśnie wyposażała. Pewnego razu rozmawiała z pilotem, który wyjaśnił w czym tkwi niezwykła popularność tych samolotów – otóż tylko Bombardier Learjet 60X6 może osiągać bardzo wysokie prędkości przelotowe, co pozwala pasażerom na znaczne skrócenie czasu podróży. Dodatkowo learjety mogą pokonać odległości około czterech i pół tysiąca kilometrów bez konieczności śródlądowań. Zoja omiotła wzrokiem kabinę. Musiała przyznać, że niekwestionowaną zaletą odrzutowca był także wystrój wnętrza. Jasne kolory, dobrej jakości wykończenie w mahoniu i skórze, minimalizm formy, ale przede wszystkim luksusowo wyposażona kuchnia gdzieś na tyłach kabiny, przygotowana do dyspozycji pasażerów, tak żeby mogli urządzić w niej romantyczną kolację w chmurach lub śniadanie po upojnej nocy.

Stewardessa przyniosła wino. Zoja wypijała zawartość kieliszka jednym haustem, prosząc o więcej. Po chwili stała przed nią butelka niemieckiego rieslinga z regionu Mozela, Schloss Liesel Riesling Trockenbeerenauslese Niederberg Helden, rocznik 2006.

W miarę jak wychylała kolejne kieliszki, ciesząc się słodkim smakiem trunku i jego wykwintnym bukietem, myśli zaczęły płynąć wolniej, a strach paraliżujący umysł z wolna ustępował.

– Władysław Iwan Chercherov – wyszeptła Zoja.

Rosyjski szpieg, który mógł ją zgwałcić i zabić z zimną krwią, bez mrugnięcia okiem. Gnida, którą wynajął Fiodorow, działając na zlecenie ludzi z Watykanu. Jedna rzecz szczególnie nie dawała Zoi spokoju. Dlaczego nazwał ją nazistką? „Do cholery – pomyślała – to już kolejny raz, kiedy ktoś łączy mnie z Hitlerem i działalnością Niemców w czasie drugiej wojny. A przecież to całkowicie niemożliwe, żebym miała z tym cokolwiek wspólnego”. Owszem, listy jakie znalazła, zdają się kłaść cieniem, słowa

Gołdy Nowak także, ale wciąż całkiem możliwe, że została wplątana w tę sprawę, ze względu na swoją babkę i to o nią w rzeczywistości chodzi tym wszystkim ludziom. Kręcąc głową z powątpiewaniem, Zoja wyjęła ze schowka w fotelu oprawiony w skórę notatnik i pióro wieczne, i zaczęła pisać. Czująca, że tylko w ten sposób zdoła się w tym wszystkim odnaleźć.

Ja Zoja Pietrowna – śmierć ojca – Montsegur – Ojciec Bruno – U...

Zamazała ostatnie słowo i po chwili namysłu zaczęła pisać dalej:

– śmierć babki Zofii – cmentarz „Boże mój Boże, czemuś mnie opuścił” – odcięta dłoń – chryzmon – medalik ojca...

Nagle stewardessa oznajmiła, że za chwilę będą lądować. Zoja wyrwała kartkę z notesu, schowała do kieszeni i odłożyła go razem z piórem na miejsce. Zapięła pasy, czekając w napięciu aż samolot dotknie kołami ziemi. Kiedy wylądowali, stewardessa podeszła i podała Zoi niewielki pakunek, wyglądający jak prezent.

Zoja spojrzała na nią z pytaniem w oczach.

– Pan Gładiczko prosił, żeby przekazać to pani po wylądowaniu.

Zoja doznała szoku. Gładiczko zostawił coś dla niej? Kiedy? I po co?

Szybko rozerwała czerwony papier i wstążkę, i zajrzała do środka.

– Mikrodysek... – wyszeptała zdumionym głosem na widok urządzenia wielkości połowy jej małego palca, niemal identycznego jak to, które zabrała z sejfu.

„Po jaką cholere mi to dałeś?” – zastanawiała się wysiadając z samolotu.

Na widok trzech ochroniarzy w czarnych płaszczach i czarnej limuzyny Audi A3 zaparkowanej na płycie lotniska kilka metrów od samolotu, natychmiast zrozumiała. „Zrób coś dla mnie! Dokop tym skurwysynom. W moim imieniu też” – przypomniały się Zoi jego ostatnie słowa.

– Zrobię to – wyszeptała, wsuwając mikrodysek do kieszeni i ruszając w kierunku otwartych drzwi limuzyny.

Wsiadła do środka, drzwi trzasnęły i nagle otoczyły ją ciemności, w których natychmiast stał się wyczuwalny intensywny zapach skórzanej tapicerki.

– Witaj Zoju – odezwał się znajomy, męski głos.

Zoja drgnęła. A jednak. Nie pomyliła się.

– Dzień dobry ojcie Bruno.

– Słyszałem o trudnościach, jakie cię spotkały...

– Przewodnik podobno był zaufany... – odpowiedziała z ironią.

Ojciec Bruno zakasłał, po czym ochryplym głosem wyjaśnił, że Gładiczko to jeden z najbardziej zaufanych członków bractwa, a pojawienia się szpiega w tak trudnych okolicznościach nie mogli przewidzieć.

Zoję jednak interesowało coś zupełnie innego.

– Bractwo Chryzmonu... Jak długo chciałeś to przede mną ukrywać?

Limuzyna ruszyła. Z początku cichy odgłos pracy turbodoładowanego silnika o mocy stu osiemdziesięciu koni mechanicznych, stawał się coraz głośniejszy. W miarę jak samochód nabierał prędkości, szaro-brunatne cienie ulic i samochodów za przyciemnianymi szybami zaczęły się zlewać w mdły pejzaż, z którego Zoja nie mogła wyłowić ani jednego elementu; trudno więc było jej stwierdzić gdzie są.

Ojciec Bruno wciąż milczał. Zoja jednak wcale nie zamierzała mu odpuścić.

– Jak długo?! – powtórzyła pytanie, czując jak gardło zaciska się jej ze strachu.

– Ile było konieczne. Dobrze wiesz, że twoja decyzja mi w tym nie pomogła. Gdybyś wtedy nie

opuściła klasztoru, być może dziś...

– Chcesz powiedzieć, że to moja wina?!? – wrzasnęła Zoja, waląc pięścią w przyciemnioną szybę kuloodporną oddzielającą tył samochodu od przednich foteli.

– Nie wiń mnie za to, że próbowałam cię chronić... – Ojciec Bruno dotknął ramienia Zoi. – Powierzono mi misję, zgodnie z którą miałem wziąć odpowiedzialność za twoje życie. I zrobiłem wszystko, co tylko mogłem, do czasu aż...

– Kto zabił mojego ojca? On też był członkiem bractwa, prawda? Poczwała jak ręka ojca Bruno na jej ramieniu nieznacznie drgnęła.

– Twój ojciec był jednym z najszlachetniejszych ludzi, jakich znałem. Zginął by cię ochronić. Po jego nagłej śmierci otrzymałem rozkaz zapewnienia ci bezpieczeństwa.

Znowu wymijająca odpowiedź. Karmił ją półprawdami tak długo, że Zoja była w stanie wyczytać jego prawdziwe myśli między wierszami. Chociaż tego nie powiedział, jej ojciec Jaques Gismoil, Francuz, był jednym z nich. Czwała to. I to nie tylko dlatego, że medalik który zdjęła z jego martwego ciała, był identyczny jak te, o których opowiedział jej Serge. Wymazana pamięć z okresu dzieciństwa też miała z tym związek. Brak kontaktów z rodziną, to że on, ojciec Bruno, zamknął ją w klasztornej twierdzy na ponad dziesięć lat... Zoja poczuła, jak narasta w niej wściekłość. Wszystkie skrywane emocje, żal, złość, tęsknota, morze upokorzeń, które musiała znieść ze strony ojca Bruno, a potem także...

Samochód podskoczył na jakiejś nierówności, wybijając Zoję z rytmu wspomnień. Spojrzała w ciemnościach na ojca Bruno. Jakże miłe byłoby wymierzenie mu kary... Tutaj, teraz... „Nie, jeszcze nie” – pomyślała Zoja, zaciskając pięści ukryte w kieszeniach kurtki. Teraz jest czas, by zadać niewygodne pytania. Wszystkie, jakich jako dziecko nie miała odwagi zadać.

– I to dlatego zabronił ojciec babce Zofii utrzymywać ze mną kontakt? A co z moją matką, Anną? Ją też odseparowaliście? I co tak bardzo chcecie ukryć, wy, członkowie tajemnego bractwa? Podrzucacie mi odcięte dłonie, prowadzicie jak psa za pomocą chrześcijańskich symboli, wysyłacie za mną mordercę, który podszywa się pod księdza...

– Piotr jest księdzem.

Słyszac imię Piotr, Zoja drgnęła. Zaufała mordercy. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej była pewna, że to on zjawił się w nocy na cmentarzu i on zamordował dwóch agentów pod szpitalem.

– Jesteś sprytna moja droga... – powiedział z uznaniem ojciec Bruno. – Kiedy jednak fala rozgoryczenia minie, przypomnij sobie moje słowa. On wykonywał moje polecenia. Jako członek bractwa nie ma prawa odmówić. Jego obowiązkiem od chwili gdy pojawiłaś się w Sobótce Nowej, było chronić cię i prowadzić do prawdy. Uważam, że jak dotąd wywiązał się ze swojej misji znakomicie, a i dalej nie zawiedzie.

Zoja prawie podskoczyła na fotelu, słyszac że może mieć coś wspólnego z Piotrem w najbliższym czasie. Nie, nie, nie... Nie chce go widzieć. Już nigdy.

– Obawiam się, że bez niego nie dasz sobie rady. – Ojciec Bruno pokręcił głową. W ciemnościach wyglądał jak zjawa. – Najgorsze dopiero przed nami.

– Komu jeszcze macie zamiar odciąć dłoni?

– Masz na myśli te dwa incydenty? Nie, nie rób takiej miny, to nie Piotr odciął dłoni siostrze Hummel. I ona, i sekretarz Angener, dostali ostrzeżenie. To co robią, to czemu służą, urąga naszemu honorowi. Nie możemy pozwolić, żeby potęga Kościoła, jego historia, nie dosyć że zafałszowana, musiała dźwigać także i finansowe przekręty związane z potwornym ograbieniem martwych ludzi...

– Co? O czym ojciec....

– Dowiesz się – westchnął. – Dowiesz się w swoim czasie i zapewniam, że wtedy spojrzysz na wszystko inaczej. Niezależnie od wszystkiego, zapamiętaj jedno nazwisko. Kardynał Roberto Giovanni.

– A coś więcej? Kim jest? Co takiego zrobił? Dlaczego to właśnie na niego polujecie?

W ciemnościach zabłysło ostrze sztyletu. Zoja przyłgnęła całym ciałem do oparcia fotela, spodziewając

się najgorszego. Tymczasem ojciec Bruno zawiązał ostrze w irchową ściereczkę i podał Zoi. Zobaczyła rękojeść w kształcie krzyża, wysadzaną drogocennymi kamieniami.

– Weź – ponaglił Zoję, widząc że się waha. – Kiedy przyjdzie odpowiednia chwila, będziesz wiedziała jak się nim posłużyć.

Nie miała pojęcia co odpowiedzieć. Nie była pewna, czy powinna brać ten przedmiot do ręki. Wyglądał na stary i bardzo cenny, a do tego dziwaczne inkrustacje i złobienia, wskazywały na jakąś chrześcijańską symbolikę, inną niż znany jej chryzmon. Co dziwne, na krzyżu nie było figurki ciała Chrystusa.

– Gdzie ukrzyżowany Jezus? – zapytała zdziwiona.

W ciemnościach wypełniających wnętrze auta, mignęło niewyraźne światło z ulicy. Przez sekundę Zoi zdawało się, że widzi jak ojciec Bruno odwraca głowę w kierunku szyby, a na jego twarzy pojawia się uśmiech.

I stało się wedle słowa

Nauczyciel zawisł na krzyżu w samo południe. Obok niego ukrzyżowano także dwóch mężczyzn, których ciała były znacznie bardziej poranione, a twarze wykrzywione w grymasie bólu. Jeden z nich ukradł, drugi zamordował z zimną krwią, w tym samym dniu, dwa tygodnie przed rozpoczęciem miesiąca nisan. Ich wymęczone, półnagie ciała, z szeroko rozpostartymi ramionami opuchniętymi od upału, wisiały na drewnianych belkach, połączonych za pomocą sznurów i gwoździ. Głodne kruki, czując zapach mięsa i krwi, przysiadły co chwila na ramionach krzyży, rozdzierając powietrze przeraźliwym krakaniem. Ludzie stojący w tłumie pod wzgórzem zatykając uszy szeptali, że to diabły wcieliły się w postaci ptaków; kilkoro, gdy wznosiły się w powietrze, wykonało ukradkiem znak krzyża, którego nauczyli ich Nauczyciel i Nauczycielka.

W pewnej chwili w tłumie pojawiła się kobieta. Ukryła twarz pod chustą, a piękne dłonie o długich palcach owinęła szmatami. Mimo ukrycia, pierścień na jej serdecznym palcu połyskiwał odbijając promienie słońca. Kobieta przecisnęła się do przodu. Spojrzała na wiszącego na krzyżu i gorzko zapłakała. Jej brat pojawił się tuż za nią i widząc że może zasłabnąć, podtrzymał jej ciało. Czując dotyk jego dłoni, zwinnym ruchem podała mu niewielką fiolkę zatknietą korkiem.

– Kiedy powie „pragnę”, nasącz gąbkę i podaj mu – wyszeptała ledwie słyszalnym głosem. Jej brat pokiwał głową i odszedł w stronę krzyża, odpychając łokciami ludzi w tłumie. Kobieta postąpiła jeszcze chwilę, ale czując jak słońce pali jej ciało mimo okrycia, odwróciła się i odeszła w kierunku drogi.

Po drodze spotkała wielu uczniów, ale nie przystanęła przy żadnym z nich, żeby porozmawiać. Szybko zostawiła za plecami wzgórze i udała się w kierunku Jerozolimy, na drodze prowadzącej do bram miasta skręcając w lewo. Niedługo potem znalazła się w ogrodzie oliwnym. Daleko przed sobą ujrzała mężczyzn pracujących przy kamiennym grobowcu. Odsłonięty kamień przy wejściu świadczył o tym, że wciąż jeszcze szykują wnętrze.

Kobieta odeszła na bok, schodząc z głównej ścieżki w kierunku studni. Tuż za nią znajdowało się miejsce, gdzie nie tak dawno spotkała Nauczyciela, klęczącego przy kamieniu i gdzie składali przysięgę. Wspomnienia sprawiły, że zaczęła płakać. Uklękała, ukrywając twarz w dłoniach i zawołała:

– *Eloi, Eloi, lama sabachthani!*

Kilka kilometrów dalej, pod pałacem namiestnika Rzymu, stara kobieta chodziła w kółko przy bramie. Od ponad godziny starała się przekonać strażników, żeby wpuścili ją do środka. Jeden z nich w końcu zgodził się pójść do samego namiestnika i zapytać go czy zgodzi się ją przyjąć. Szedł teraz korytarzem w cieniu cyprysów, których gęste gałęzie wpadały przez otwarte przestrzenie pomiędzy filarami. Namiestnik siedział na tarasie. Nie wydawał się być zajęty.

„To dobrze – pomyślał strażnik – przynajmniej nie skarci mnie za to, że zajmuję mu czas”.

– Namiestniku! – odważył się zawołać, czekając na zgodę by wejść na taras.

Namiestnik uniósł dłoń. Zabrzczały złote bransolety na jego nadgarstku.

– Stara kobieta, mówi że jest babką ukrzyżowanego proroka... – zawahał się – p- prosi o rozmowę...

– Jąkało... idę o zakład, że boisz się własnego cienia... – Namiestnik wstał i spojrzał na żołnierza z pogardą. – Jak długo czeka?

– G-godzinę, może d-dłużej...

– Wprowadźcie ją – rozkazał namiestnik.

Strażnik odszedł, zaskoczony jego przychylnością dla staruszki. Kilka minut później jej sylwetka zamajaczyła w korytarzu, razem z długimi cieniami i klekotaniem zbroi dwóch żołnierzy.

– Poncjuszu, przyjacielu... – przywitała namiestnika. Stał zwrócony plecami do niej. Miał zamknięte

oczy. Rozkazał żołnierzom odejść i dopiero kiedy zniknęli za ostatnim filarem długiego korytarza, odwrócił się do kobiety i powiedział:

– Czy nie dość wam już pomogłem Anno, towarzysko Joachima? Czego jeszcze chcecie?

– Teraz to moja osobista prośba.

Podeszła do namiestnika i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Jesteś zmęczony. Masz wiele zmartwień?

– Syn twojej córki jest teraz największym. I ta kobieta, Maria z Magdali...

– A zatem już wiesz – westchnęła stara kobieta, spuszczać głowę z rezygnacją.

– Wiem. Z samego rana przyszedł do mnie jeden z ich uczniów. Powiedział o wszystkim co wie, niczego nie ukrywał. Wspomniał, że Nauczycielka jest w ciąży, a to nie wszystko, bo towarzyska Jana także. – Namiestnik zmienił ton. W jego głosie pojawiła się złość. – Nie taka była umowa Anno. Ukrzyżowałem jednego, a okazuje się że za jego plecami są już następni. Uczeń wspomniał o bractwie, które powołał kilka nocy temu. Mówił też o przysiędze, jaką złożyli jego członkowie...

– Nie jest ich wielu – spróbowała go uspokoić staruszka.

– Ale przybędzie więcej! – Piłat poczerwieniał na twarzy. – Z godziny na godzinę roznosi się po Judei wieść o ukrzyżowaniu!

– Piłacie... – stara kobieta stanęła z nim twarzą w twarz, jakby zupełnie nie bała się jego krzyku. – Powiadam ci, nie powinieneś teraz martwić się tym, czy i ilu uczniów im przybędzie, lecz tym jak zostaniesz zapamiętany przez następne pokolenia, które przyjdą po nas. Jego krew jest na twoich rękach. Wysoka rada wydała swego króla na śmierć, ale to ty, ty Piłacie dałeś wyrok i kazałeś mu ponieść krzyż...

– Milcz! – krzyknął namiestnik i odepchnął starą kobietę. – Przeklęta Judea! Przeklęty lud żydowski! Na mnie spadnie odpowiedzialność? A czyż to nie oni wołali ukrzyżuj! Ukrzyżuj Piłacie! Czy nie oni pluli na niego i rzucali w niego kamieniami na chwilę przed ukrzyżowaniem? Czy nie było wśród nich jego uczniów?!

– Masz rację – odpowiedziała stara kobieta. – Lecz i tak wyrok podpisał ty.

Piłat spuścił głowę. Nagle wydał się potwornie zmęczony.

– Czego więc chcesz? – zapytał z rezygnacją w głosie, a kiedy odpowiedziała, że sprawiedliwego osądu, poderwał się i zamierzył ręką, jakby chciał ją uderzyć.

Staruszka stała bez ruchu, nawet nie drgnąwszy na widok uniesionej ręki. Spojrzała Piłatowi w oczy, a jej sylwetka nagle zdawała się górować nad nim, promieniując złotym blaskiem.

– Pomóż jego brzemienniej towarzysze i jej bliskim odejść w spokoju. Pozwól im uciec, Piłacie.

Wiedeński tort z fatalną niespodzianką

Audi gwałtownie zatrzymało się na światłach. Zoja w ostatniej chwili zdążyła obrócić się bokiem, amortyzując zderzenie z ochronną szybą.

Przesłona powoli zaczęła się unosić, a z przodu samochodu wpadło na tył trochę światła zachodzącego już słońca. Zgodnie z tym, co wskazywał zegar w telefonie Zoji, licząc zmianę czasu, dochodziło w pół do czwartej. Jechali z lotniska już ponad trzydzieści minut i ciągle nic nie wskazywało na to, żeby byli blisko celu.

Zanim kierowca nacisnął przycisk uruchamiający zasuwanie przesłony, Zoja zdążyła spojrzeć na ulicę wzdłuż której jechali. Z całą pewnością mijali właśnie po lewej stronie przepiękny ogród Hofburga, niegdyś należący do rodziny carskiej, a dziś otwarty dla wszystkich mieszkańców i turystów. Znajdowały się tam Palmenhaus i Schmetterlinghaus, czyli palmiarnia i dom motyli. Jakiś kilometr dalej prosto, góruje nad ulicami gmach Opery Wiedeńskiej, a gdyby skręcić w lewo, w Goethegasse, można by idąc wzdłuż murów ogrodu z łatwością dojść do hotelu Sacher...

Kierowca włączył system nagłośnienia i przeprosił za nagły manewr.

– Wsadź sobie w tyłek przeprosiny! Moją rękę gównem to obchodzi, czy musiałeś hamować! – rzuciła ze złością Zoja, masując obolałe ramię.

Ojciec Bruno posłał jej karcące spojrzenie, ale zignorowała je. Po tym, jak potwierdził jej przypuszczenia, myślała gorączkowo tylko o jednym – w jaki sposób jak najszybciej wydostać się z samochodu.

– Mikrodysk – powiedział spokojnie Ojciec Bruno, wyciągając rękę.

Oczywiście. Od kilku minut wydawał się być coraz bardziej zniecierpliwiony. Zoja wsunęła rękę do kieszeni, ale zaraz ją cofnęła. Nagle zastanowiła ją pewna rzecz.

– Dlaczego właściwie nie odebrał ojciec mikrodysku sam albo nie zlecił tego któremuś z członków bractwa?

– Pamiętasz jak uczyłem cię odczytywać przyszłość za pomocą liczb? – skórzane obicie fotela zaskrzypiało, kiedy Ojciec Bruno przysunął się bliżej Zoji. – Są rzeczy, które możesz zrobić ty i tylko ty, ponieważ są ci przeznaczone.

– Ojciec wybaczy, ale nigdy nie byłam dobra w zgadywaniu... Co takiego jest mi przeznaczone?

– Musisz odzyskać szkatułę, którą ukradła twoja matka. Miała wtedy tyle lat, co ty teraz. Od tamtej pory... – zamilkł, jakby nie był pewien, czy chce rozwijać temat. – Bardzo wiele się zmieniło... A szkatuła jest nam potrzebna jak nigdy wcześniej. Pamiętasz klucz, który znalazłaś w pudełku od Gołdy Nowak? Użyjesz go, żeby dostać się do depozytu w banku Begelin&Co. Z zaufanego źródła wiemy, że ostatnią osobą, która korzystała ze skrytki, była właśnie twoja matka.

Zoja miała ochotę głośno przekląć. Klucz. Jak mogła być tak głupia. Zostawiła go Piotrowi, jeszcze wtedy uważając go za zaufanego duchownego...

– A skąd w ogóle wiecie, że nie pojawiła się w banku w ostatnim czasie i nie zabrała szkatuły? Cokolwiek znajduje się w środku...

– To akurat nie byłoby w żadnym razie możliwe – przerwał jej ojciec Bruno. – Twoja matka nie żyje od dziesięciu lat. A teraz jeszcze raz proszę, oddaj mi mikrodysk.

Zoi przewinęły się w głowie fragmenty listów znalezionych w sejfie. Anna, zakonnica, która uwielbiała jakiegoś pana Josefa i za wszelką cenę nie chciała się podporządkować woli matki, zgodnie z którą miała zerwać kontakty z babką i ciotką Sarą. Anna, matka, której nigdy nie znała i chyba nie chciała poznać. Anna, złodziejka jakiejś szkatuły. Czy naprawdę babka Zofia przypadkowo otoczyła się podobiznami świętej o imieniu identycznym jak to, które dała swej córce? Czy to możliwe, że Anna, tak jak Święta Anna, była powiernicą jakiejś tajemnicy? Z ostatnich słów niewysłanego listu jej babki, można by

wysnuć wniosek, że tak właśnie było. Cokolwiek wydarzyło się między jej matką a babką, ta druga prosiła córkę, by zawróciła ze złej drogi. Wysłała jej Dekalog, zakreślając ostatecznie przykazanie. Ani żadnej rzeczy, która jego jest... Szkatuła... Chryzmon... Bractwo... Maria Magdalena... Zoja poczuła, że w tym wszystkim musi być ukryty sens. Czuła, że jest już blisko. Nawet jeśli Piotr ma klucz, da sobie radę bez niego. Da sobie radę, ale tylko jeśli będzie wiedziała, że ci na których jej zależy, są bezpieczni.

– Dobrze – zgodziła się Zoja. – Ale pod jednym warunkiem. Zawieziecie mnie do hotelu Sacher i zostawicie tam. Od tej pory dam sobie radę sama. Polecę do Sankt Gallen i przywiozę ojcu szkatułę, ale zrobię to na własnych zasadach i tylko jeśli będę miała gwarancję, że nikt nie spróbuje ich tknąć...

Zoja czuła, że balansuje nad krawędzią, naginając cierpliwość ojca Bruno do niebezpiecznych granic. „Nie pomyliłam się” – pomyślała, słysząc z jaką niecierpliwością mówi.

– Żadnych zapewnień, żadnych negocjacji. To nie jest jakaś zabawa czy próba generalna, żeby decydować o tym, kto bierze udział, a kto siada i czeka w spokoju aż wszystko przeminie. To jest wojna, wojna z Watykanem. Kardynał Giovanni wykorzysta każdy nasz błąd. I ostrzegam, on także za wszelką cenę pragnie szkatuły dla siebie.

Nagle Zoja zgięła się w pół i zaczęła wyć z bólu. Przestraszony ojciec Bruno rzucił się jej na pomoc, ale odepchnęła go, prosząc żeby kierowca zatrzymał się pod jakąś restauracją czy kawiarnią i zaprowadził ją do łazienki.

– To z nerwów... – wyjęczała, zasłaniając usta, jakby miała zamiar zwymiotować.

– Najpierw oddaj dysk! – rozkazał ojciec Bruno.

Zoja wyjęła z kieszeni małej przedmiot i położyła na jego otwartej dłoni. Wijąc się na fotelu, próbowała złapać oddech.

Ojciec Bruno nacisnął na przycisk w drzwiach, włączając możliwość rozmowy z kierowcą. Rozkazał mu, żeby się zatrzymał i zaprowadził Zoję do łazienki.

W ostatniej chwili zanim kierowca pomógł jej wysiąść, Zoja zdołała wsunąć do plecaka sztylet i zginając się w pół, wcisnęła plecak pod ramię.

– Boli... – powtarzała jęcząc żałośnie, kiedy szli ulicą w kierunku wejścia do Cafe Schwarzenberg, w zabytkowej kamienicy na rogu Karntner Ring i Schubert Ring Strasse.

Kilkoro gości kawiarni wstało, oferując pomoc, jednak Zoja nie odzywając się ani słowem, przeciskała się pomiędzy stolikami, chcąc jak najszybciej dotrzeć do toalet.

– Pani jest chora, proszę zrobić miejsce! – oznajmił płynną niemiecczyzną kierowca, przeciskając się obok trzech elegancko ubranych kobiet stojących w kolejce do toalety. Przepuściły Zoję bez słowa, a ta, kiedy tylko znalazła się w toalecie, przekręciła zamek, opierając głowę o kafelki.

Zamknęła klapę toalety i pociągając za spłuczkę, nie przestając jęczeć, wspięła się do okna. Na szczęście nie było wysoko i wychodziło wprost na podwórze na tyłach kamienicy.

Zoja znów wydała z siebie kilka głośnych jęków i wyjęła z plecaka sztylet. Udało jej się podważyć zasuwę blokującą okno, a potem bez trudu podniosła jedno skrzydło i trzymając je ręką wślizgnęła się na parapet.

Kiedy znalazła się na ziemi, od razu zobaczyła buty. Podniosła głowę i na widok ojca Bruno zakłęła siarczyście.

– Głupia zabawa – powiedział, pomagając jej wstać. – Jeśli chciałaś uciec, trzeba było wymyśleć coś lepszego.

– Skąd ojciec wiedział?

– Nie po to wszystkiego cię uczyłem, żeby nie wiedzieć co planujesz. Twoje oczy – wskazał palcem na zielone oczy Zoji – wciąż jeszcze nie umiesz ukrywać intencji. Zdradzają każdą twoją myśl.

– Ciekawe czy tą też zdradziły! – krzyknęła Zoja i z całej siły pchnęła ojca Bruno, po czym zaczęła uciekać w kierunku ulicy.

Ojciec Bruno zatoczył się w tył, przez kilka sekund niebezpiecznie balansując nad koszem na śmieci.

Tylko dzięki temu, że sporych rozmiarów kontener stał za jego plecami, nie wyróżnął głową o bruk.

– Zoju! – zawołał, próbując wstać. – Popełniasz ogromny błąd!

Zoja nie mogła słyszeć jego słów. Biegła ile sił w nogach chodnikiem, wpadając na przechodniów i tratując po drodze budki z ciepłymi ciastkami i kwiatami. Na rogu Schwarzenbergstrasse, oglądając się czy nikt jej nie ściga, skręciła w Walfischgasse i pognąła kilkaset metrów prosto, aż do ruchliwego skrzyżowania z Karntner Strasse, które przecięła, nie patrząc na czerwone światła i nie zważając na to, że jakiś samochód musiał przez nią wjechać na chodnik, uderzając przy tym zderzakiem w hydrant, z którego trysnęła fontanna wody sięgająca trzeciego piętra kamienicy. Chociaż serce waliło jej w piersi, jakby miało za chwilę wyskoczyć, a mięśnie nóg zaczynały odmawiać posłuszeństwa, Zoja wiedziała, że nie może się zatrzymać ani na chwilę. Na widok flag powiewających dumnie nad wejściem do hotelu Sacher, poczuła jak łzy napływają jej do oczu. Jeszcze tylko kilkadziesiąt metrów i będzie mogła ostrzec Andreasa o grożącym im niebezpieczeństwie... Zdążą wyjechać, dopilnuje tego, a wtedy będzie mogła odetchnąć z ulgą...

Wbiegając do hotelowego foyer pełnego gości w płaszczach od Prady i sukienkach od Elie Saab, z walizkami z logo Louis Vuitton, Zoja w swoim porwanym ubraniu, ze sportowym plecakiem na ramieniu, narobiła sporego zamieszania. Gdyby nie jeden z lokajów, który natychmiast ją rozpoznał, pewnie zostałaby wyrzucona na ulicę.

– Frau Pietrowna! Czy coś się stało? Wygląda pani wyjątkowo koszmarnie!

Zoja oddychając ciężko poklepała go po plecach. Zawsze potrafił podnieść ją na duchu. Ilekroć pojawiała się w hotelu Sacher, zawsze mogła na nim polegać. Miała nadzieję, że i tym razem nie będzie inaczej.

– Abebe, zaprowadź mnie do recepcji i zrób wszystko, żeby obsłużyli mnie poza kolejką...

– Robi się! – odpowiedział czarnoskóry lokaj i po chwili stali już przy wymuskany blacie recepcji, czując w powietrzu zapach płynu do czyszczenia drewna, którym niedawno był przecierany.

Chociaż kilku gości wniosło sprzeciw i stali teraz za plecami Zoi głośno narzekając, nic sobie z tego nie robiła. Z walącym sercem nachyliła się do recepcjonisty w wymuskany uniformie. Gorączkowo próbowała sobie przypomnieć każde słowo, jakie stanowiło element hasła. Wiedziała, że jeśli zmieni choćby literę, cały jej trud pójdzie na marne.

– Chciałabym się u państwa zatrzymać. Tak się składa, że lubię wygody. Czy apartament królewski jest wolny?

Recepcjonista najwyraźniej był nowy, bo z początku nie zrozumiał o co chodzi. Zmierzył Zoję pełnym politowania spojrzeniem i dopiero po kilku sekundach, kiedy Abebe wyszeptał mu coś do ucha, uśmiechnął się i kiwając potakująco głową odpowiedział:

– Rozumiem, że przybywa pani z dalekiego kraju?

Zoja westchnęła. Teraz zaczynało się najgorsze.

– Tak... zza gór i lasów siedmiu.

Doskonale pamiętała, jak będąc już po dobrej butelce Martini, wymyślali z Andreasem każde słowo tej rozmowy, która miała stanowić zaszyfrowaną wiadomość i hasło, na wypadek grożącego im niebezpieczeństwa. Wtedy było im do śmiechu, zwłaszcza, gdy próbowali odgrywać tę scenkę w hotelowym pokoju. Zoja grała wtedy recepcjonistę, a Andreas, z zarzuconą na szyję chustką, wcielał się w jej postać.

„Jak mogliśmy być tacy głupi” – przebiegło Zoi przez myśl, gdy obserwowała recepcjonistę, zajętego sprawdzaniem, czy Andreas faktycznie jest jeszcze gościem hotelu. Zoja zacisnęła kciuki, mając ogromną nadzieję, że tak. Abebe musiał zobaczyć, że bardzo się denerwuje, bo uśmiechając się złapał ją za rękę.

– Będzie dobrze – wyszeptał.

Zoja pokiwała głową. Kiedy recepcjonista w końcu się odezwał, prawie krzyknęła z radości.

– Niestety, z przykrością muszę powiedzieć, że apartament okupuje król wraz ze świtą... Proszę pani,

ale proszę zaczekać!

Nie zwracając uwagi na zdziwione miny gości i wołanie recepcjonisty, Zoja pobiegła przez hall kierując się do wind. W połowie drogi, na wysokości rzędu kanap obitych bordową skórą, odwróciła się jeszcze i krzyknęła do Abebe:

– Abebe, widziałeś Saszę?

Ten odpowiedział radosnym uśmiechem.

Kiedy gong zadzwonił, a drzwi windy zaczęły się rozsuwać, jakaś kobieta stojąca obok Zoi zaczęła głośno krzyczeć. Zoja z przerażeniem spojrzała na nią, a potem na windę, czując jak robi jej się słabo – na podłodze, w kałuży krwi, leżał starszy mężczyzna z podciętym gardłem.

Kobieta obok niej zemdląła, a goście i obsługa zaczęli pchać się w stronę wyjścia.

W parę sekund luksusowy hotel zamienił się w pobitewny teren. Odpychając napierających na nią ludzi, Zoja wyjęła z plecaka sztylet i pobiegła schodami na górę, mijając po drodze kilkunastu przerażonych gości zbiegających na dół.

„Biegnijcie, biegnijcie i tak was stratuja...” – pomyślała ze zgrozą, słysząc przerażające odgłosy dobiegające z okolic foyer.

Będąc na wysokości pierwszego piętra, usłyszała dochodzące gdzieś z góry odgłosy strzałów. Krótkie, ciche serie z broni maszynowej. Przebiegło jej przez myśl, że może terroryści zaatakowali hotel, ale zaraz potem przypomniała sobie, że przecież od kilku dni nie wierzy już w przypadki. Spojrzała na sztylet z przerażeniem, wyszeptła imię Sasha i pobiegła schodami na drugie piętro, wrywając się ludziom, którzy próbowali ją zawrócić.

– Niech pani tam nie biegnie! – krzyczała za nią jakaś kobieta po pięćdziesiątce, zbiegająca na dół ze szczekającym ratlerkiem pod pachą. – Tam strzelają, na miłość Boską!

Korytarz na drugim piętrze okazał się pusty. Strzały z broni ucichły – Zoja słyszała jedynie odgłosy telewizora, włączonego w którymś z pokoi całkiem blisko niej. Ktoś, zanim zaczęła się masakra, włączył dziecku starą bajkę Hanny Barbery Scooby Doo i Scrappy Doo, z niemieckim dubbingiem. Jakiś bohater kreskówki krzyczał właśnie „chodź, no chodź, siło nieczysta, chociaż jestem małym szczeniakiem, to się ciebie nie boję...”

Korzystając z tego, że dźwięki z odtwarzacza tłumiły odgłos jej kroków, Zoja ruszyła powoli korytarzem, starając się trzymać blisko ściany. Pootwierane drzwi kilku pokoi stanowiły zagrożenie, ale nie miała innego wyjścia, niż mijać je, za każdym razem zaglądając do środka, żeby sprawdzić, czy nikogo tam nie ma. Z wysuniętym przed siebie sztyletem parła do przodu, zbliżając się do apartamentu Andreasa. Z początku miała nadzieję, że zdążyli uciec z resztą gości. Miała ją nawet wówczas, kiedy podeszła do otwartych drzwi, próbując wmówić sobie, że dziury po kulach akurat w tym miejscu, to jedynie przypadek. Cień nadziei pozostał także wtedy, gdy zrozumiała, że to z plazmowego telewizora w apartamencie, rozchodziły się po korytarzu dźwięki puszczonej bajki.

„Ratatata! Bój się! Już ja cię urządzę ty demonie!”, krzyczał mały piesek na ekranie, groźnie wymachując łapkami w kierunku zielonego smoka.

Zoja wyłączyła telewizor w salonie i zajrzała do pustej sypialni, znajdującej się tuż za rozsuwanymi drzwiami. Drugi pokój znajdował się po przeciwnej stronie, zaraz obok aneksu kuchennego i wyjścia na taras. To tam sypiali, gdy przyjeżdżali z Andreasem do Wiednia. Oczywiście jeszcze wtedy, gdy byli razem. Wszystko zmieniło się cztery i pół roku temu, kiedy Zoja podjęła decyzję o wyjeździe do Nowego Jorku. Na przekór Andreasowi, starszemu od niej o trzydzieści lat, porzuciła życie w Paryżu i w ciągu paru godzin znalazła się na pokładzie samolotu, lecącego na drugi koniec świata. Uciekła od miłości, bezpieczeństwa i wszystkiego, co utwierdzało ją w przekonaniu, że życie może być jedynie nudne i przewidywalne. Uciekła, bo czuła, że z każdym dniem coraz bardziej okłamuje siebie, nie mogąc nigdzie odnaleźć własnych fundamentów, które wyszarpano z jej życia dawno temu. Od tamtej pory widywali się dwa razy do roku, właśnie tu, w hotelu Sacher, należącym do Eduarda Sachera, syna słynnego cukiernika.

Ostatnio spędziła z Andreasem i Sashą Boże Narodzenie, a teraz mieli w planach wspólną Wielkanoc, w tradycyjnym, wiedeńskim stylu, z tortem czekoladowym i operą...

Idąc przez salon w kierunku drugiej sypialni, Zoja czuła, że została bezpowrotnie odarta z namiastki rodzinnego życia, jaką dawały jej te spotkania. W tej chwili jednak byłaby w stanie poświęcić je całkowicie, byle tylko ktoś zapewnił ją, że obydwójce, Andreas i Sasha, są bezpieczni i stoją gdzieś na dole, tuląc się do siebie pod hotelową kawiarnią, w oczekiwaniu na taksówkę, która zabierze ich w bezpieczne miejsce.

– Nie... – wyszeptała, popychając podziurawione od kul drzwi.

Makabryczny widok, jaki ukazał się jej oczom, sprawił że musiała podtrzymać się framugi, żeby nie upaść.

Ciało mężczyzny leżało na wprost drzwi. Podziurawione kulami na wysokości klatki piersiowej, wyglądało jakby ktoś powtórzył dwie lub trzy serie z karabinu, zanim uznał, że ofiara jest wystarczająco martwa. Miał otwarte oczy i bezbrzeżnie zdziwioną minę, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że leży martwy w kapciach z wyhaftowaną nazwą hotelu i pilotem od DVD w dłoni.

Choć przyszło jej to z ogromnym trudem, Zoja uklękła i zamknęła mu powieki. Nie mając sił, żeby wstać, omiotła wzrokiem pokój, szukając śladów, które potwierdzałyby jej najgorsze przeczucia.

Pościel na łóżku była niezastana, co zgadzałoby się z porą, o której Sasha zazwyczaj miewała drzemki. Włączona bajka świadczyła o tym, że w pokoju musiało być jakieś dziecko. Miś leżący pod łóżkiem, ulubiona maskotka, którą Zoja przywiozła z Nowego Jorku dwa lata temu, nie zostałyby porzucony, chyba że dziecko zostało zabrane z łóżka w którym spało, pilnowane przez ojca.

– Przeczuwałeś, że coś się stanie, prawda? – rzuciła Zoja, niechętnie zerkając oczami pełnymi łez na martwe ciało.

Nachyliła się i przytuliła głowę Andreeasa, wybuchając płaczem jak dziecko.

– Przepppraszammm... – wyjęczała zachłystując się łzami. – Tak bardzo cię przepraszam... Wybacz mi, Andreas, wybacz... – kiwała się w tył i w przód, zanosząc się coraz głośniejszym płaczem.

Była tak rozdygotana, że nie usłyszała nawet, jak ktoś wszedł do pokoju. Dopiero, kiedy usłyszała skrzypienie drzwi, poderwała się na równe nogi i złapała sztylet.

– To ja, Abebe! – służący wszedł do pokoju z wysoko uniesionymi rękoma. – Pani Zoju, przyszedłem powiedzieć, że trzeba uciekać, policja otoczyła hotel, są na dole i...

Zoja spojrzała na Abebę i nagle zapłonęła w jej duszy isierka nadziei.

– Opuść ręce. Widziałeś Saszę? Abebe, powiedz, widziałeś moją córeczkę?

Abebe smutno pokręcił głową.

– Nie proszę pani, nie było jej na dole. Wszyscy goście opuścili hotel. Antyterrorysty podobno są już blisko, niech pani tu nie zostaje, proszę...

Zoja pokazała ręką na martwe ciało Andreeasa.

– Zabili go.

– Widzę – potwierdził ze smutkiem. – Rozumiem jak strasznie musi się pani czuć, ale proszę, błagam, niech pani pójdzie ze mną. Pomogę. Jestem to pani winien, po tym wszystkim co zrobił dla mnie pan Andreas... – zawiesił głos i zsunął lokajską czapkę, po czym z szacunkiem skinął głową, dokładnie przyglądając się podziurawionemu ciału gościa, którego przez lata traktował jak przyjaciela.

Oddział uzbrojonych po zęby antyterrorystów wkroczył do apartamentu trzy minuty później. Zoja i Abebe obserwowali każdy ich ruch, siedząc w szybie wentylacyjnym i wyglądając przez kratkę w ścianie sypialni.

Kiedy antyterrorysty na chwilę opuścili apartament, Abebe wskazał Zoi kierunek, w którym powinni zmierzać, żeby dostać się do schodów przeciwpożarowych.

– Niech się pani nie boi, to nie jest daleko – zapewnił Zoję, po cichu kładąc się na brzuchu i podpierając się na łokciach, żeby po chwili odepchnąć się z całej siły nogami od aluminiowej płyty,

pokonując pierwszy metr szybu.

– Nie boję się Abebe... – uspokoiła go Zoja.

Poprawiła plecak i także kładąc się na brzuchu, podparła się łokciami, i zaczęła się czołgać.

Przez całą drogę wolała nie myśleć, nie czuć i nie pragnąć, chociaż to ostatnie okazało się najtrudniejsze. Odkąd zostawiła ciało martwego Andreasa na podłodze pokoju, żądza zemsty zawładnęła jej umysłem, z siłą jakiej nigdy nawet nie mogła sobie wyobrazić. Pragnęła jej, na równi z tym, by odzyskać córkę. Nawet jeśli nie była dobrą matką, nikt nie ma prawa kraść jej dziecka. „Nie w taki sposób ojciec Bruno” – pomyślała Zoja i naśladując zwinnego Abebę, wyskoczyła przez odsuniętą kratkę wentylacyjną na schody.

– Brawo pani Zoju! – pochwalił ją Abebe.

Po chwili gnali po schodach ewakuacyjnych, przystając tylko na parę sekund, gdy słyszeli jakieś odgłosy dochodzące z góry, lub dołu. Mieli szczęście. Droga była wolna. Jeszcze tylko kilka stopni i będziemy wolni, pocieszała się w duchu Zoja.

Masywne drzwi przeciwpożarowe uderzyły o ścianę z taką siłą, że gołębie wyjadające suchy chleb z hotelowego śmietnika poderwały się do lotu. Jakiś bezdomny na widok Zoi ze sztyletem w dłoni, przyłgnął do ściany, błagając o litość.

– Zwiewaj stąd! Ale już! – krzyknął do niego Abebe, zanim sami z Zoją zaczęli biec, mijając zamknięty na głucho australijski pub Crossfield's, o tej porze zazwyczaj pełen gości. Kiedy wybiegli na róg Tegetthoffstrasse, ich oczom ukazał się szpaler radiowozów z migającymi na dachach kogutami, zagradzający drogę od skrzyżowania, przez całą Philharmoniker Strasse i dalej, do zbiegu ulic, którymi niespełna godzinę temu biegła Zoja, zmierzając do Sachera.

„Zupełnie jak w filmie” – pomyślała ze smutkiem, spoglądając na rozcinające ciemności migoczące w oddali błękitne światła.

– Dokąd teraz Abebe?

– Pójdziemy w lewo, wzdłuż Kartner Strasse, na przystanek tramwajowy obok opery. Na szczęście mamy stamtąd łatwy dojazd tramwajem.

– Dokąd? – zapytała zdziwiona Zoja.

– Nie mogę zapewnić luksusów, ale myślę, że jak na jedną noc, moje mieszkanie może być całkiem znośne. Co prawda dzielimy je z dziewczyną, ale wyjechała na kilka dni, więc nie ma obaw, będzie pani miała spokój – odparł z uśmiechem Abebe.

Zoja nie wiedziała, jak ma mu dziękować. Uznała, że na tę chwilę najlepiej zrobi, jeśli postara się trzymać emocje na wodzy; i tak czuła, że jest znów bliska płaczu. Tak jak chciał Abebe, poszła za nim na przystanek, choć okazało się, że droga zajęła im prawie dwadzieścia minut marszu, podczas którego musieli co chwila ukrywać się w ciemnych zaułkach, by uniknąć kontroli dokumentów przez któryś z pieszych lub konnych patroli od których zaroilo się w centrum.

Nagle, stojąc na przystanku, Zoja poczuła, że powinna odejść i zostawić Abebe w świętym spokoju. Andreas na pewno nie życzyłby sobie, żeby narażała kolejną niewinną osobę, nawet jeśli, w grę wchodziło życie ich córki.

Zoja zrobiła dwa kroki, stając za plecami postawnego lokaja, o którym wiedziała jedynie, że przeżył koszmar w afrykańskiej wsi i jako kilkunastoletni chłopak, uciekł łodzią do Europy. Postukała go w plecy, a kiedy się odwrócił, postanowiła wyznać co czuje.

– Abebe... nie wiem, czy powinieneś to robić. Nie mogę ci zagwarantować, że szukając mnie, nie trafią do twojego mieszkania. Dziś, jutro, pojutrze, coś podobnego co stało się w hotelu, może przytrafić się tobie, rozumiesz?

Abebe założył ręce na piersi i zrobił srogą minę.

„No, to już koniec” – pomyślała Zoja, wyobrażając sobie noc spędzoną w parku albo na dworcu. Nie mogła uwierzyć, kiedy chwilę później przemówił, cytując biblijny fragment Psalmu Dawidowego, którym

zaledwie dwa dni wcześniej posłużył się Piotr, gdy w Łodzi, także ciemną nocą, nie mieli dokąd pójść.

– *Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze mną. Twój kij i Twoja laska są tym, co mnie pociesza...* Ja wierzę pani Zoju, wierzę w Boga. Nie boję się tego, o czym pani mówi, bo wiem, że kiedy przyjdzie ta chwila, on mnie ochroni.

Małe mieszkanie na poddaszu kamienicy przy Siebertgasse, wcale nie było tak obskurne, jak zapowiadał Abebe. Zoja z radością przyjęła fakt, że ma do dyspozycji nie tylko łóżko, łazienkę i kuchnię, ale że Abebe użyczył jej także na całą noc swojego nowiuteńkiego laptopa Dell, oznajmiając że ma w mieszkaniu bezprzewodowy internet.

– Abebe jesteś wielki! – krzyknęła z uznaniem Zoja, kiedy zbierała ze stołu talerze po kolacji. Nie mogła uwierzyć, że w tym całym nieszczęściu, nareszcie coś jej się udało.

Zaraz po tym, jak Abebe zasnął na kanapie, zabrała laptopa do łóżka i wzięła się do pracy. Przez cały wieczór zerknęła z nadzieją na plecak leżący pod stołem. Teraz w końcu nadeszła chwila, kiedy mogła rozsunąć zamek, włożyć rękę do kieszonki i wymacać palcami chłodny, niewielki przedmiot, wart dwanaście milionów dolarów.

Włożyła mikrodystrybucyjny dysk do czytnika i niemal natychmiast na ekranie laptopa pojawiło się pytanie, czy otworzyć zawartość.

– Owszem, otworzyć – wyszeptęła podekscytowana, czując jak krew buzuje jej w żyłach. Przed oczami Zoja pojawiła się pierwsza strona pliku, wydrukowanego w formie pdf., a więc bez możliwości edycji. „Nic dziwnego – pomyślała i przewinęła w dół, zatrzymując na drugiej stronie. Od razu rzuciło jej się w oczy logo FBI – Najwyraźniej najbardziej kontrowersyjna agencja wywiadowcza na świecie, zyskała dostęp do wiedzy, której była bardzo niewygodna, zarówno dla Watykanu, jak i rządów kilku państw, w tym Polski” – dokończyła myśl, poprawiając lampę tak, żeby światło padało na ekran i zabrała się do czytania.

Z całą pewnością raport został sporządzony chronologicznie. Najstarsze dokumenty, wycinki z gazet i stenogramy rozmów, pochodziły z 1939 roku, z pierwszych dni wojny. Potem pojawiały się opinie i listy agentów FBI, w których Zoja odnalazła wzmianki o obozie dla sierot przy Przemysłowej w Łodzi, a także o obozach zagłady Auschwitz i Birkenau, Treblince, Majdanku, Dachau, Gross Rosen; szczególnie dużo o przejściowym obozie dla kobiet w samym sercu miasteczka Strzegom. Pojawiło się kilka kopii listów Maxa Sollmana do Heinricha Himmlera, w których ten pierwszy wyrażał zadowolenie z tego, jak idą prace przy wyborze i wywózce dzieci. Niemal na wszystkich stronach pojawiało się hasło „rabunek dzieci”, raz czy dwa opatrzone opisem „zbrodnia przeciwko ludzkości”. Jak wynikało z raportu, kilkanaście tysięcy dzieci z Polski zostało w czasie wojny wywiezionych do Niemiec lub zatrzymanych na terenie Polski i „zniemczonych”. Część z nich, zwłaszcza żydowskiego pochodzenia, poddawano makabrycznym eksperymentom medycznym, które nadzorował osobiście Josef Mengele. Wiele oddawano do adopcji za pośrednictwem dobrze zorganizowanej maszyny ośrodków Lebensborn, które po zakończeniu wojny, zostały oddane w ręce instytucji kościelnych... Nadzorowanych w wielu przypadkach przez byłych nazistów, którzy zdołali wszystkich oszukać, i ukryli się za potęgą państwa kościelnego. w Watykanie.

Na widok dwóch nazwisk – sekretarz Angener i kardynał Głowacki, Zoja zamarła z przerażenia. Obaj, jeszcze nie piastując wysokich stanowisk, zostali w 1989 roku objęci obserwacją przez FBI, w związku z, jak to opisano w raporcie, „możliwą kontynuacją działalności nazistowskiej i propagowaniem symboli i kultu Hitlera, w tym wykorzystywania wyników badań Josefa Mengele w prowadzonych na dzieciach z ośrodków dla sierot badaniach i eksperymentach”. Do tej części raportu został dołączony załącznik, w którym Zoja odnalazła listę kilkunastu tysięcy nazwisk i imion dzieci, które zostały włączone do projektu „rabunek dzieci”.

Na samym końcu szóstej strony, pod datą z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego, odkryła przerażające dane. Wędrując palcem po małych literach na ekranie, natrafiła na dwa imiona i nazwiska,

umieszczone jedno pod drugim.

Zofia Trocińska

Sara Trocińska

Obydwa zostały opatrzone niewiele mówiącym Zoi symbolem NSDAP 1943 AH/EB. Chociaż Zoja dokładnie sprawdziła, przy żadnych innych dzieciach nie widniał podobny dopisek. „O co chodzi do cholery?” – pomyślała, a potem w tabeli z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego, znowu trafiła na kolejne znajome nazwisko:

Gołda Nowak

Lista z nazwiskami dzieci urywała się wiosną roku 1945, by po dwóch latach znów wypełnić się Aniami, Kasiami, Bartkami, Staszkami, Wojtkami, Piotrusiami... i informacjami, że około pięćdziesięcioro każdego roku znikało w niewyjaśnionych okolicznościach z prowadzonych przez księży i zakonnice ośrodków dla sierot w całej Polsce, a zwłaszcza na Dolnym Śląsku. Od zakończenia wojny aż do 2013 roku wywieziono prawie trzy i pół tysiąca dzieci. Nazwiska większości zostały wymienione w załączniku, ale nikt nigdy się o te dzieci nie upomniał, podobnie jak o te wywiezione w czasie wojny. Zoja przebiegła wzrokiem po liście, obawiając się, że w którymś momencie natrafi na nazwisko i imię własnej matki. Odetchnęła z ulgą dopiero gdy dotarła do białego fragmentu strony, w połowie którego lista się urywała.

Przejrzenie prawie stu stron raportu FBI zajęło Zoi czas aż do świtu. Starła się zapisywać w pamięci co ważniejsze fragmenty, ale na wszelki wypadek, dokumentowała śledztwo robieniem zdjęć za pomocą Samsunga.

Nie podjęła jeszcze decyzji, co zrobi z raportem. Z początku miała ochotę przekazać go mediom na całym świecie, a zwłaszcza portalowi Wikileaks, w którym знаła kilka ważnych postaci. Na pewno by jej pomogli. Pytanie tylko, czy ona pomogłaby tym swojej córce...

Słyszając wycie czajnika dobiegające z kuchni, wstała z łóżka i poszła zrobić sobie kawy. Oczy szczypały ją ze zmęczenia, głowa bolała od nadmiaru informacji, których nie mogłaby wyobrazić sobie nawet w najgorszych koszmarach... ale w końcu była wolna i mogła walczyć.

Odśloniła zasłonę i wyjrzała na zasnute mgłą, zaspane ulice Wiednia. Dochodziła piąta rano.

– Gdzie jesteś, Sasha... – wyszeptała z rozpaczą, wpatrując się daleko ponad dachy kamienic. Dopita kawę, wzięła prysznic i spakowawszy rzeczy do plecaka, opuściła mieszkanie Abebe. Wychodząc, przystanęła w drzwiach i uśmiechnęła się na widok chrapiącego lokaja, zwiniętego w kłębek na dwuosobowej kanapie.

Zbiegła po krętych schodach i uchylając cicho bramę wyszła w jeszcze ciemną noc, powtarzając w myślach jedno zdanie – Święty Szczepan prosi o modlitwę w katedrze w godzinę śmierci pańskiej.

Dochodziła dziesiąta, kiedy Zoja, zmarznięta i zmęczona, weszła do herbaciarni należącej do Evy i Petera Haas, trzymając pod ręką stos gazet, w tym dziennik *Heute*, w którym na pierwszej stronie pojawiło się zdjęcie zrujnowanego i ostrzelanego korytarza w hotelu Sacher.

Zajęła stolik przy oknie, skąd miała idealny widok na tyły Katedry Świętego Szczepana Męczennika i zamówiła czarną herbatę z kwiatem róży i bergamotą.

Ociągając się rozłożyła *Heute* na stoliku i zaczęła czytać. Tak jak się spodziewała, w artykule znalazło się miejsce na stek kłamstw, ale ani akapitu na choćby słowo prawdy. Andreas był zdaniem dziennikarzy powiązany z austriacką mafią, a jego śmierć to wynik zaostrzającej się wojny między klanami, walczącymi o wpływy w Wiedniu. Co najbardziej zmartwiło Zoję, w gazecie nie pojawiło się ani zdanie

o porwaniu dziecka. Ten temat został skwapliwie pominięty, tak samo jak to, że ona, Zoja, pojawiła się w hotelu na chwilę przed śmiercią męża.

Co za kłamcy, podsumowała Zoja, zgniatając gazetę i rzucając na sąsiedni fotel. Spojrzała na kelnerkę, która niosła do jej stolika dzbanuszek z herbatą i przepiękną, ręcznie malowaną filiżankę w czerwone róże.

Nawet nie sądziła, że tak zwyczajna czynność jak picie herbaty, może stać się aż tak przyjemna, a wręcz mistyczna. Trzęsącą się dłonią Zoja to przykładła brzeg filiżanki do ust, to odstawiła na talerzyk, za każdym razem napawając się odgłosem cichutkiego stuknięcia porcelany, przywodzącym na myśl sceny z Pani Bovary, Flauberta.

Kiedy jakiś mężczyzna z parasolką wszedł do herbaciarni, Zoja poderwała się na równe nogi. Położyła na stoliku dwadzieścia euro i zarzucając na plecy szal kupiony rano na jednym z chińskich straganów przy metrze, wyszła na dwór, gdzie właśnie padał lekki wiosenny deszcz. Zachmurzone niebo nie pozostawiało złudzeń; Zoja czuła, że druga część dnia będzie równie smutna, co pogoda.

Wzdychając ciężko, spojrzała na zegarek. Było zaledwie pięć minut przed ustaloną godziną.

„Jeszcze chwila, a bym się spóźniła” – pomyślała, uznając że znów opatrność miała na nią oko.

Rozglądając się po placu pełnym turystów, ruszyła szybkim krokiem przez Stephnasplatz, w kierunku wejścia do przebudowanego w gotyckim stylu wiekowego kolosa. Świątynia, zbudowana w całości z ciosanego kamienia, była jednym z najbardziej okazałych obiektów sakralnych w całej Austrii. Postawiona na planie trójnawowej pseudohali, porażała mnogością symboli, posągów, gargulców, a także zoomorficznych odniesień, jakimi w okresie gotyku próbowano uzupełniać wiarę w jednego Boga. W jej wnętrzu znajdował się także ponad pięćsetletni posąg Marii Magdaleny. Najważniejsze było jednak to, że katedra świętego Szczepana Męczennika, była jednym z ważniejszych w Europie ośrodków kultu maryjnego i tu właśnie znajdowała się Hodegetria, a dokładnie obraz Matki Boskiej z Pócs, umieszczony w nawie południowej, od setek lat uznawany za czyniący cuda, otoczony mistycznym kultem, podobnie jak ten jasnogórski. Jakby tego było mało, przebiegło Zoji przez myśl, obraz ma coś wspólnego z legendą o chryzmonie... Oto arcyksiążę Eugeniusz Sabaudzki modlił się przed nim w cerkwi, przed bitwą z Turkami pod Zentą i oczywiście, podobnie jak cesarz Konstantyn, bitwę wygrał. Współcześnie Gwiazda Wschodu, jak niektórzy nazywają ikonę, ma też niewygodne powiązania... Czwartego grudnia 1955 roku modlił się przed nią założyciel Opus Dei, Josemaria Escriva de Balaguer, prosząc o łaskę rozszerzenia swej misji na całą Europę, co nie tylko powiodło się w stu procentach, ale i zapewniło mu włączenie przez jednego z papieży w poczet świętych.

Zoja weszła do środka i zajęła miejsce w nawie po prawej stronie. Spoglądając niespokojnie w stronę drzwi, znów się zamyśliła. Za każdym razem, kiedy miała okazję tu być, jej uwagę przyciągała nie Hodegetria, ale całkiem inny obraz Maki Boskiej, znajdujący się w prezbiterium. Nader często pomijany przez turystów, umożliwiał cichą kontemplację. Dienstbotenmadonna, zwana Madonną Służebniczką, została przedstawiona jako wytworna kobieta, ubrana w suknię z draperiami, która z uśmiechem trzyma w ramionach swego syna. Brak jej cech patetyzmu czy nadmiernej boskości, tak często nadużywanej w innych przedstawieniach... Nawet tych, o których rozmawiali z Serge`em w Muzeum Narodowym. Nie było jej blisko ani do prowadzącej, czyli patronki Wiednia, Matki Boskiej z Pócs, ani do współczesnych, w stylu głośnej Madonny Tempi, ukrytej w monachijskim muzeum sztuki, której autor, Rafael Santi, wciąż budzi kontrowersje z powodu wyjątkowego uwielbienia do malowania podobizn Matki Boskiej w określonym, często tajemniczym układzie powiązań z Jezusem. Wielu znawców sztuki upatruje w Santim cechy prowokatora i członka tajnych stowarzyszeń, o równie niespotykanej wyobraźni, jak Leonardo Da Vinci. By przekonać się, że Santi faktycznie mógł posiadać wiedzę niedostępną dla ogółu, wystarczy wziąć pod uwagę chociażby obraz Lo Sposalizo, Zaślubiny Marii z Józefem; od lat wśród badaczy symboli toczą się spory o to, czy Santi nie namalował przypadkiem sceny ślubu Jezusa i Marii Magdaleny, a mężczyzna stojący z boku, przełamujący kolaniem gałązkę, nie ma symbolizować przyszłości

kościola, rozłamanego na pół, tak, jak podzielone są postaci na obrazie – kobiety osobno, mężczyźni osobno... W dodatku jeśli uznać, że Santi namalował suchą gałązkę wierzby, nietrudno o kolejne tajemnicze domysły. Powszechnie znany jest jej symboliczny wymiar. W kościele katolickim wierzba jest wyobrażeniem wiecznie żywego Chrystusa, symbolu zmartwychwstania i nieśmiertelności... Złamanie gałązki może więc oznaczać nadanie Chrystusowi nie tylko cech człowieczych, ale i być znakiem jego śmiertelności.

Tak czy inaczej, westchnęła Zoja, wybrałam to miejsce właśnie ze względu na obraz Matki Boskiej z Pócs.

Jeśli jakikolwiek symbol mógł przemówić do wyobraźni Serge`a, eksperta od ikon, to właśnie ukrycie w wiadomości wzmianki o katedrze, którą na pewno znał. W zdaniu „Święty Szczepan prosi o modlitwę w katedrze w godzinę śmierci pańskiej”, kryje się informacja nie tylko o miejscu, ale też godzinie. Po odszyfrowaniu, jego oczom powinna się ukazać wiadomość:

KATEDRA ŚWIĘTEGO SZCZEPANA, GODZINA DWUNASTA.

Pozostawała jeszcze kwestia daty, ale Zoja liczyła, że Serge przyjedzie do Wiednia niezwłocznie i będzie przychodził do katedry każdego dnia, począwszy od dziś... Oczywiście, musiała brać pod uwagę, że się nie zjawi. Mógł źle odczytać wiadomość. Mógł też wybrać bezpieczeństwo i zdecydować się ją zignorować. Mógł podjąć milion decyzji, z których najgorsza wydała się jej teraz ta, że zamiast niego przyjdą ludzie sekretarza Angenera...

Poza tym, nie chodziło już tylko o nich. Ojciec Bruno na pewno zdążył się już zorientować, że dała mu fałszywy mikrodysk i też wysłał za nią swoich ludzi. Na myśl o tym, znów przypomniała sobie makabryczny widok martwego Andreasa na podłodze w hotelowym pokoju.

– Kazałeś go zabić i porwałeś mi córkę... – wyszeptwała z goryczą.

Kiedy spora grupa turystów opuściła katedrę, Zoja uznała, że już czas, by podejść do jedyne miejsce, w którym spodziewała się zobaczyć Serge`a.

Korzystając z tego, że akurat w katedrze zrobiło się nieco mniej ludzi, podeszła prawie pod sam obraz Matki Boskiej z Pócs. Klękając, złożyła ręce jak do modlitwy i przymknęła oczy, nasłuchując.

Choć minuty mijały, nie działo się absolutnie nic. Katedrę oblekła jakaś złowroga cisza, która zaczęła przyprawiać Zoję o dreszcze. Przez chwilę zaczęło się jej wydawać, że wszyscy wokół zniknęli, zostawiając ją sam na sam z obrazem. Już miała wstać i ruszyć w kierunku wyjścia, kiedy usłyszała słowa:

– Ofiara spełniona, odejdz w pokoju.

– Serge! – ucieszyła się, spoglądając na znajomą twarz. – Naprawdę zaczynałam się obawiać, że nie przyjdiesz. Zabili Andreasa. Porwali moją córkę – wyszeptwała, a do oczu zaczęły jej napływać łzy.

– Co? – zdziwił się. – Nie miałem pojęcia...

– Cztery i pół roku temu zostawiłam męża i córkę, i uciekłam do Stanów – przerwała mu Zoja, uprzedzając jego pytania.

Stał jak wryty i ciągle wyglądał tak, jakby nie wierzył.

– Wielu ludzi przychodzi tu, żeby szukać wsparcia... – spojrzał na obraz Matki Boskiej.

– Nie chcę wsparcia, ale zemsty.

– Na kim? – czyjeś pytanie dobiegło nagle gdzieś zza pleców Serge`a.

Mężczyzna, który chwilę wcześniej kręcił się obok rzędu ławek, podszedł bliżej i zsunął z głowy kaptur. Zoja natychmiast go rozpoznała. Przerażona, wydała z siebie cichy jęk i spojrzała na Serge`a z wyrzutem.

– Zaufałam ci... a ty, zamiast mi pomóc, przyprowadziłeś jego – wskazała na Piotra.

– To nie tak jak myślisz... – spróbował się bronić Serge i wyciągnął do niej rękę.

– To jest morderca! Bandyta! Idę o zakład, że to on wczoraj zabił Andreasa i porwał moją córkę!

Widząc, że Piotr powoli idzie w jej stronę, Zoja zaczęła się cofać. Po trzech krokach, uderzyła plecami o kant kamiennego stołu, na którym znajdował się niewielki ołtarz pełen świec i doniczek z kwiatami.

Piotr był już dosłownie dwa kroki od niej. Nie mając czasu, by sięgnąć do plecaka po sztylet, złapała stojącą najbliżej ręki donicę z fioletowymi goździkami i rzuciła.

– Uspokój się! – krzyknął Piotr, odskakując na bok.

Doniczka uderzyła o ławkę i rozbiła się z hukiem. Ziemia i kwiaty rozsypały się po kamiennej podłodze.

– Przesadziłaś! – krzyknął Serge.

Złapał ją za rękę, w taki sposób, żeby nie mogła się ruszyć. Z pomocą Piotra wyprowadził Zoję z katedry.

– Będiesz już spokojna? – zapytał Piotr, kiedy stanęli pod jedną ze ścian świątyni. Wysoko nad ich głowami zwisał wykrzywiony w makabrycznej pozie gargulec, a kilkoro turystów wyszło z katedry, chcąc zobaczyć dalszy ciąg awantury.

Zoja dygocząc ze złości kiwnęła głową. Kiedy tylko Serge puścił jej rękę, rzuciła się na Piotra i zaczęła go okładać pięściami.

– Morderco! – krzyczała, wymierzając kolejne razy. – Ty ich zabiłeś! Prawdziwego księdza... Dwóch agentów.. Andreasa. Może zabiłeś też moją babkę... I ojca.

– Uspokój się i daj mu dojść do słowa! – krzyknął Serge.

Zoja nagle przestała krzyczeć. Zrobiła krok w tył i spuszczając głowę, zaczęła płakać.

– Wszyscy się na nas gapią. Musimy stąd iść – powiedział Serge do Piotra.

– Nigdzie nie pójdę, dopóki on nie powie, po co się tu zjawił! – zaprotestowała Zoja, ocierając łzy z policzka.

– Zjawił się, bo go o to poprosiłem. Piotr, powiedz Zoi prawdę – poprosił Serge.

Piotr podszedł bliżej.

– Gdybyś nie uciekła z samochodu, ojciec Bruno nie musiałby wzywać ochroniarzy, którzy od tygodnia pilnowali apartamentu dniem i nocą. Kiedy oni ganiłi po mieście, szukając ciebie, bandyci z NSU wtargnęli do hotelu i z łatwością wykonali zlecenie kardynała Giovanni...

– NSU? Co to jest NSU? – zapytała Zoja, biorąc od Serge'a paczkę chusteczek i wyjmując jedną, w którą wytarła oczy i nos.

– Narodowosocjalistyczne Podziemie. Niemiecka organizacja neofaszystowska, jedna z najgroźniejszych na świecie.

Zoja poczuła, jak kolejny raz w ciągu ostatnich dni grunt osuwa się jej spod nóg.

– Czego oni chcą?! I dlaczego porwali Sashę???

– Oni wykonują tylko polecenia – wyjaśnił Piotr. – Kardynał Giovanni, siostra Hummel, sekretarz Angener... to ich należy się bać. Ta trójka fanatyków stworzyła sobie w Kościele neonazistowską tajną siatkę, która nie tylko ma dostęp do gigantycznych funduszy, ale i może działać całkowicie legalnie, wykorzystując wiele kościelnych sierocińców i ośrodków dla dzieci z biednych rodzin...

Zoja nagle zrozumiała, że to o czym mówi, ma związek z raportem FBI.

– Pięćdziesięcioro dzieci wywożonych co rok, część poddawana eksperymentom medycznym, a część kierowana do adopcji...

Piotr pokręcił głową.

– Masz stare informacje. Żadne z tych dzieci nigdy nie trafiło do adopcji. Wszystkie są wcielane do faszystowskiej organizacji, na czele której stoi Giovanni. I nie pięćdziesięcioro, ale trzy, cztery razy tyle. Nie biorą wyłącznie dzieci z Polski.

– Słuchajcie... – wtrącił Serge, wyraźnie czymś przejęty. – Naprawdę musimy już iść. W naszą stronę idzie trzech policjantów.

Z początku wolno, a potem prawie biegiem, udali się w kierunku Rotenturmstrasse. Kiedy skręcili w boczną uliczkę Lugeck, Zoja obejrzała się w stronę placu przed katedrą. Wyglądało na to, że policjanci dali im spokój.

„Ciekawe na jak długo” – pomyślała.

– Nawet, jeśli uda nam się wydostać z Wiednia, przecież mogą nas dopaść wszędzie... – podzieliła się na głos swoimi obawami z Sergem i Piotrem.

– Nie zapominaj o tym, że stoi za tobą potężne bractwo. Bądź co bądź, mają swoje wpływy i to, mówiąc ogólnikami, dość znaczące – powiedział Serge i spojrzał na Piotra. – Powiesz jej, czy ja mam to zrobić?

– Chyba lepiej, żebyś ty to zrobił. Ciebie nie zaczną okładać pięściami.

Wsiadli do sportowego trzydrzwiowego Subaru WXI, zaparkowanego w rogu uliczki, tuż pod znakiem. Wtedy Zoja usłyszała, że za półtorej godziny ma samolot do Sankt Gallen. Samochód zjechał wolno z bruku na chodnik, a po chwili Serge wrzucił wsteczny i dociskając pedał gazu, wycofał na główną ulicę, ruszając z piskiem opon. W trakcie gdy jechali na lotnisko, Piotr wyjaśnił jej, że neonaziści też chcą zdobyć szkatułę.

– Nie ma w tej chwili rzeczy, której kardynał Giovanni pożądałby bardziej. Dlatego dopóki ty masz klucz do depozytu, twoja córka jest bezpieczna.

– Przecież wiesz, że nie mam klucza.

– Oddam ci go, kiedy przyjdzie odpowiednia chwila – oznajmił Piotr i uciął temat, podając Zoi książkę w czarnej okładce z cielęcej skóry.

Zoja od razu zauważyła, że jest stara. I bardzo zużyta. Otworzyła ją na pierwszej stronie i zaraz ze wstrętem rzuciła na podłogę.

– „Mein Kampf”?! Po co mi to do cholery?!

– Jeśli chcesz z nimi walczyć, musisz poznać ich metody. Wbrew pozorom, niewiele się zmieniło. Hitler stworzył dzieło, jakby to ująć, ponadczasowe, zupełnie jakby wiedział, że nawet po jego śmierci, znajdą się chętni by je kontynuować.

Nagle samochód wypełnił cichy śmiech Serge`a.

– Nawet po jego śmierci... Tak, dobre sobie. Dożył spokojnie swoich dni nie niepokojony przez nikogo, z ukrycia sterując gnidami podobnymi do tego Giovanni.

Zoja zrobiła wielkie oczy.

– O czym ty mówisz?

Serge zmienił biegi sprawiając, że subaru nabrało prędkości, przecinając obwodnicę wokół miasta z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Dowiesz się – pokiwał głową. – Wieczorem wszystko stanie się jasne.

Najwyższy czas

„Nawet po upływie tysięcy lat nikt nie powie o bohaterstwie, nie myśląc jednocześnie o niemieckiej armii w czasie wojny światowej. Z mgły przeszłości wyłoni się szara stal hełmów, pomnik nieśmiertelności. Jak długo żyć będą Niemcy, trwała będzie świadomość, że ci ludzie byli synami tego narodu.”

– Odłóż tę cholerną książkę i patrz na mapę! Nie wiem czy mam jechać w prawo, czy prosto – wrzasnął Piotr, wrywając Zoję z zaczytania.

Szybko zagięła kartkę i odłożyła „Mein Kampf” na kolana, biorąc w zamian do ręki mapę drogową. Przejechała palcem wzdłuż krętego paska wskazującego drogę do miasteczka i powiedziała:

– Jedź prosto. I wyłącz ten nawiew, bo zaraz się uduszę!

Piotr wyłączył klimatyzację. W terenowym land roverze zapanowała niezręczna cisza, przerywana jedynie miarowym warkotem silnika.

– Wiesz już wszystko o tej miejscowości? – zapytał po jakimś czasie, mając najwyraźniej dość wpatrywania się w monotony pejzaż wzgórz i pagórków pokrytych lasami.

Zoja wzięła do ręki samsunga i z obrażoną miną, zaczęła czytać na głos informacje znalezione w Wikipedii:

– „Sankt Gallen, nazywane też San Gallo albo Saint-Gall, miasto w Szwajcarii, stolica kantonu o tej samej nazwie. Siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców. Powierzchnia trzydzieści dziewięć kilometrów. W sześćset dwunastym roku powstała tu pustelnia założona przez irlandzkiego mnicha Świętego Galla, przekształcona później w ośrodek zakonny.” A teraz słuchaj, najlepsza część... „Od siedemset dwudziestego roku istniał tam klasztor, opactwo benedyktynów. Opactwo jest doskonałym przykładem wielkiego karolińskiego założenia monastycznego. Zostało przebudowane w późniejszym okresie i dziś kościół, a zwłaszcza wnętrze, reprezentuje późny niemiecki barok. W dawnych piwnicach na wino – dziś lapidarium – znajdują się relikty z czasów powstawania opactwa. W barokowych wnętrzach zgromadzono sto pięćdziesiąt tysięcy zbiorów, w tym dwa tysiące starych ksiąg rękopiśmiennych, z tego czterysta sprzed tysięcznego roku. Między innymi znajdują się tam bogato ilustrowane manuskrypty irlandzkie i karolińskie. Biblioteka posiada również około tysiąca inkunabułów. W odróżnieniu od większości bibliotek przyklasztornych, Statsbibliothek St. Gallen jest światowym centrum naukowym, umożliwiającym szerokie prowadzenie prac badawczych” – podniosła wzrok i zerknęła na Piotra. – Myślisz że to przypadek?

– Co?

– No, że w Sankt Gallen znajduje się opactwo, centrum naukowe i siedziba jednego z najstarszych banków w Szwajcarii.

– Begelin&Co już nie jest bankiem.

Zoja zmarszczyła brwi.

– Owszem, ale był nim przez ponad dwieście lat. I trudno uznać za przypadek, że główna siedziba mieściła się właśnie tu.

Piotr wzruszył ramionami.

– W każdym mieście jest bank. To nic nadzwyczajnego.

– Owszem, ale nie taki bank! Nie z taką historią. I nie uważasz, że nadzwyczajny rozmach działalności centrum naukowego może mieć związek z Begelin&Co? Mogli na przykład finansować ich działalność, w zamian za...

– Lepiej spróbuj się przespać... – przerwał jej Piotr. – Mamy przed sobą jeszcze jakieś pół godziny jazdy, zanim dotrzemy na miejsce.

Zoja odburknęła, że nie jest zmęczona i wlepiła wzrok w okno.

Kilkadziesiąt minut później niewielki budynek przy Museumstrasse, należący do rodziny bankierów, okazał się wcale nie taki mały i nie taki zwyczajny, jak zapowiedział Piotr. Kiedy Zoja przyglądała się kamienicy, stojąc przed samochodem na rogu Torstrasse, siedziba banku Begelin&Co skojarzyła jej się z Okiem Saurona, górującym nad Śródziemniem we *Władcy Pierścieni*, Tolkiena. Niewiedzieć skąd, właśnie teraz, przypomniała sobie, że w dzieciństwie to była jej ulubiona książka, którą przemycił dla niej z miasteczka jeden z braci.

– Ten budynek jest potworny... – powiedziała cichutko, jakby nie chciała obudzić zła czyhającego po drugiej stronie ulicy, za oknami zasłoniętymi roletami w kolorze palonej sjeny.

Co gorsza, kiedy jeszcze w trakcie jazdy, zauroczona pięknem wzgórz otaczających miejscowość, wyjęła mapę, żeby sprawdzić czy działają tu jakieś turystyczne ośrodki, dostrzegła coś, od czego włosy stanęły jej dęba – ulice Bohl, Torstrasse, Rorschacher i Burggraben, rozchodzące się od skrzyżowania tuż pod bankiem, wyznaczając centralny punkt Sankt Gallen, układały się w swastykę. Oczywiście, zakręty i odległości nie były idealnie zharmonizowane, ale gdyby odwrócić mapę nieco w prawo i nałożyć na nią nazistowski symbol, nie mogłoby być mowy o pomyłce.

– Hitler ukradł znak Hakenkreuz – odburknął Piotr, kiedy Zoja powiedziała mu o swoim odkryciu. – Gdybyś pojechała do Azji, zobaczyłabyś go na każdej ulicy.

Zoja poczuła, że za chwilę oszaleje. Piotr znów próbował jej udowodnić, że wie więcej, ale za nic, za żadne skarby, nie zamierzała dać mu satysfakcji.

– Wiem! Wiem doskonale! – rzuciła, ze złością wskazując na budynek po przeciwnej stronie. – Ale nie próbuj sugerować, że ten przeklęty bank stoi przypadkowo u zbiegu ulic w kształcie swastyki. I niech sobie Hakenkreuz, hakowaty krzyż, czy jak tam go nazywacie, będzie w Azji znakiem szczęścia, ale tu, w Europie, to jest symbol potwornych zbrodni nazistów!

– Chcesz mi wmówić, że neguję zbrodnie Hitlera?!

Zoja poczuła, jak coś w środku zaczyna jej się gotować. Zacisnęła pięści i już miała odparować atak Piotra, kiedy przypomniało jej się, po co do cholery się tu znalazła.

– Zamknij się! – wysyczała przez zęby. – I chodź do tego cholernego banku. Chcę mieć to już za sobą.

Im byli bliżej starodawnych, obrotowych drzwi, tym bardziej Zoja czuła, że ich plan może się nie powieść. Na samą myśl, co zrobi, jeśli w depozycie nie będzie szkatuły, oczy zaszyły jej łzami. Chciała ją mieć, tak samo, jak odzyskać Sashę. Wiedziała jednak, że jedno bez drugiego nie jest możliwe i to gnębiło ją najbardziej. Jeśli klucz, który przed chwilą oddał jej Piotr, nie jest tym, który umożliwi dostęp do rachunku i depozytu, i jeśli w trakcie okaże się, że nie zna jakiegoś hasła, szyfru lub kodu, którym posługiwali się dotychczasowi pełnomocnicy, cała ta podróż, z Wiednia do Zurychu i tutaj, okaże się niepotrzebną stratą czasu, którego i tak nie mają zbyt wiele.

„I nie tylko ja stracę wszystko” – pomyślała, spoglądając na idącego ramię w ramię z nią Piotra. Nagle przyszło jej do głowy, że dziwnie się ta ich relacja potoczyła. Z początku wzięła go za miłego, rozgarniętego księdza, który po prostu wie o życiu więcej niż inni. Potem, gdy wycelował do niej z broni, niby oferując lekcję, coś w niej pękło, jakby nagle intuicja wzięła ją za fraki i kazała zacząć baczniej przyglądać się ludziom, w których rękach spoczywa jej życie. Czy od początku popełniłam błąd, prosząc go, żeby pojechał ze mną do kostnicy? Może trzeba było zostawić sprawę własnemu biegowi...

Nagle na parking zajechał czarny mercedes, stary model limuzyny z lat dziewięćdziesiątych. Słyszając chrzęst kamieni, którymi wysypany był podjazd, Zoja szybko wyrwała się z obłoku obaw i lęków. Przyglądając się bacznie, jak kierowca dociska pedał gazu, wśród tumanów kurzu objeżdża budynek i zatrzymuje się gdzieś na tyłach, zapytała Piotra:

– Myślisz, że ktoś przyjechał, żeby nas przywitać?

– W małych miejscowościach informacje szybko się roznoszą. Zwłaszcza, gdy nieproszeni goście

kręcą się pod dawną siedzibą słynnego banku.

– Sądziś że w ogóle ktoś tam jest? Skoro bank od prawie dwóch lat nie działa...

– Przypomnij sobie potwierdzenia transakcji, jakie znaleźliśmy w laptopie twojej babki. I te wcześniejsze. Bank Begelin&Co działa, tyle że obsługuje jedynie wybranych klientów. Zaraz potem Piotr spróbował pchnąć obrotowe drzwi, ale okazało się, że są zablokowane. Zadzwoił więc dzwonkiem i odszedł parę kroków, pozwalając kamerze umieszczonej w rogu nad drzwiami uchwycić jego obraz.

Czekając aż coś się wydarzy, Zoja kręciła się wzdłuż witryn sąsiednich lokali, w których przeciętni szwajcarzy prowadzili swoje biznesy. Kwaciarnia, butik, sklep z ciastkami, nic szczególnego, a jednak Zoi wydało się koszmarnie, że zwykłe rzeczy mogą przez lata sąsiadować z tymi najgorszego sortu i nikomu nie robi to najmniejszej różnicy.

– Chodź, otwarte! – zawołał Zoję Piotr, wskazując na obrotowe drzwi, które nagle, jak za dotknięciem różdżki, zostały wprawione w ruch.

Odkąd przekroczyli próg, kamery przemysłowe skrzętnie poukrywane w niemal każdym rogu, obserwowały każdy ich krok.

„Nic dziwnego” – pomyślała Zoja, po tym, jak szturchając Piotra w bok, wskazując głową w górny lewy kąt pomieszczenia, dała mu znak, że są inwigilowani. Tak jak się spodziewała, siedziba banku – działającego czy nie – kusila przepychem, ledwie widocznym za zasłoną minimalistycznego wystroju. Na całe wyposażenie sporej sali głównej składała się skórzana kanapa, stolik kawowy i stanowisko recepcji, znajdujące się za ladą zbudowaną z równie szlachetnego materiału, co parapety, kasetony i ogromne lampiony zwisające z sufitu niczym w Wersalu.

– Grüezi mitenand! – dobiegł ich męski głos.

Szwajcar, od razu oceniła Zoja, słysząc charakterystyczne powitanie.

Zaraz potem zza uchylonych masywnych drewnianych drzwi z inkrustacjami w kształcie laurowych liści i wyłonił się dystyngowany, starszy pan. Postukując laską z rączką w kształcie wilczego pyska, ruszył w ich kierunku.

– Czym mogę służyć? – jego głos brzmiał tak, jakby wcale nie chciał służyć, a wręcz przeciwnie, miał zamiar jak najszybciej się ich pozbyć.

Piotr chciał odpowiedzieć, ale Zoja dała mu znak, że tym razem to ona będzie mówić.

– Chciałabym... – spojrzała przelotnie na Piotra. – To znaczy chcielibyśmy, ja i mecenas Rosenweig, uzyskać dostęp do rachunku i depozytu.

Starzec pokręcił głową ze smutkiem. Jednocześnie zacisnął dłoń na lasce, czego Zoja nie omieszkała odnotować w pamięci.

– Bardzo, bardzo mi przykro. Bank Begelin&Co nie istnieje od ponad dwóch lat. Wszystkie rachunki i depozyty zostały przeniesione. Jeśli mogę podpowiedzieć, najbliższa placówka banku, który przejął część rachunków znajduje się po drugiej stronie ulicy...

Zoja nie zamierzała dać się zwieść. Szczególnie, że starzec zachowywał się dziwnie, a ten jego chłodny dystans profesjonalisty starej daty, zaczynał jej działać na nerwy.

– Obawiam się, że wprowadza nas pan w błąd. Jestem pewna, że rachunek którego jestem pełnomocnikiem znajduje się w państwa banku i wciąż jest aktywny. Niecały miesiąc temu była dokonywana transakcja na sporą kwotę...

Mężczyzna westchnął i jeszcze raz pokręcił głową, tyle że już bez smutku na twarzy, ale z rosnącą irytacją, której nawet nie ukrywał.

– Jeszcze raz powtórzę. Bank Begelin&Co nie prowadzi żadnych rachunków od ponad dwóch lat. Wszyscy nasi klienci przenieśli oszczędności i depozyty do...

– Tak, wiem do innych banków, a najbliższy znajduje się po drugiej stronie ulicy – dokończyła Zoja, wpatrując się w oczy bankiera, jakby chciała sprawdzić, ile wytrzyma. Nie wytrzymał. Spuścił głowę i

zaczął nerwowo postukiwać laską.

– Obawiam się, że nie umiem państwu pomóc – jego wzrok powędrował wolno w kierunku drzwi. – A teraz, proszę wybaczyć, ale pozwolę sobie odprowadzić państwa do wyjścia.

Zoja nie mogła w to uwierzyć. Ten szwajcarski cham wyrzucał ich, odmawiając jej dostępu do rachunku bankowego, którym zarządzała jej babka, matka i cholera wie ilu członków jej rodziny, o których nie miała zielonego pojęcia. Idąc w kierunku drzwi, zerknęła na Piotra, zastanawiając się, czy tak jak ona, ma ochotę zawrócić i zmusić starca do obsłużenia ich.

– Żegnam państwa – ukłonił się, uruchamiając obrotowe drzwi, które zaczęły się kręcić terkocząc jak karuzela w wesołym miasteczku.

Zoja gwałtownie wyciągnęła rękę na pożegnanie, a wtedy bankier zrobił coś, czego się nie spodziewała. Odkoczył w tył, jakby bał się, że zamiast uścisnąć mu dłoń, chce go uderzyć. Laska wypadła z jego ręki, uderzając z hukiem o kamienną posadzkę.

– Przepraszam... – wybełkotała Zoja, czując niezręczność, w jaką sama się wpakowała. Schyliła się, żeby podnieść laskę i podać ją mężczyźnie, a wtedy spod bluzki wysunął jej się łańcuszek z medalikiem. Kątem oka dostrzegła, jak bankierowi zalśniły oczy. Z jego miny, przelotnej, bo zaraz ukrył ją pod maską obojętności, zdołała odczytać, że rozpoznał znak.

– Mówię ci, że oczy mu zabłyszczały jak sztaby złota! Zna chryzmon i wie, że jest znakiem tajemnego bractwa – upierała się Zoja, próbując przekonać Piotra, kiedy chwilę potem wyszli na dwór i przystanęli pod witryną cukierni.

– Bzdura – pokręcił głową. – Gdyby tak było, nie wywaliłby nas z banku.

– Przestraszył się. Z początku nie wiedział, z kim ma do czynienia, a potem... - zawahała się Zoja.

– No? Co potem? Potem zwiął gdzie pieprz rośnie, bo tak się wystraszył, że znamy tajemnice banku Begelin&Co i nie damy się łatwo oszukać, tak?

Zoja przysiadła na parapecie, ukrywając twarz w dłoniach. Piotr oznajmił, że idzie poszukać toalety i ruszył w kierunku ulicy, a potem wzdłuż chodnika po drugiej stronie, gdzie znajdowała się kawiarnia.

– Nie wyjadę stąd, dopóki nie odzyskam szkatuły! – powiedziała do siebie Zoja, biorąc do ręki kamyk. Rzuciła nim z taką siłą, że przeleciał przez pół parkingu i odbił się od murku pod śmietnikiem.

– Ma pani dobry cel – czyjś głos dochodzący z lewej strony budynku, przerwał ciszę.

Zoja gwałtownie odwróciła głowę i na widok bankiera poderwała się na równe nogi.

– Czego pan chce?

– Zapraszam – odpowiedział mężczyzna, wskazując ręką na obrotowe drzwi kilka metrów za jego plecami.

Oniemiała ze zdziwienia nagłą zmianą jego podejścia, Zoja zaczęła się bezradnie rozglądać.

„Jak do cholery mam iść bez Piotra...” – przestraszyła się w duchu. Postanowiła, że spróbuje go zatrzymać, chociaż na chwilę.

– Mecenas Rosesnweig poszedł do cukierni.

– Wymyśliła mu pani żydowskie nazwisko, a on wcale nie jest Żydem. Szczerze mówiąc, nie dałbym za niego złamanego leptona.

Zoja przypomniała sobie, że lepton to żydowska moneta, której nazwa pojawiała się w greckich pismach chrześcijańskich. Lepton. W dzisiejszych czasach nie miałyby nawet wartości pięciocentówki.

– Nisko ocenia pan mojego przyjaciela...

– On nie jest pani przyjacielem. Wspomni pani jeszcze moje słowa. A teraz proszę za mną, o ile oczywiście, nadal jest pani zainteresowana kwestią rachunku i depozytu.

Zastanawiając się czy dobrze postępuje ufając bankierowi nie czekając na Piotra, ruszyła za nim do drzwi, a potem podążając ledwie oświetlonym korytarzem, pozwoliła mu zaprowadzić się schodami w dół i dalej, do jego gabinetu wielkości małego mieszkania, który znajdował się na końcu korytarzyka odchodzącego w lewo od schodów.

– Proszę spocząć – wskazał jej miejsce po przeciwnej stronie biurka, a sam obszedł je dookoła i zajął dyrektorski fotel, opierając łaskę o mebel.

Siadając, Zoja poczuła jak oblewa ją zimny pot. Na samą myśl o tym, co musi przeżywać teraz Piotr, jeśli zdążył się już zorientować, że wcale nie poszła do samochodu, poczuła się winna. Co zrobi? Będzie jej szukał? A może odjedzie do Zurychu...

Mój Boże, tylko nie to, przebiegło Zoji przez myśl.

– Niech się pani nie obawia, na pewno nie odjedzie bez pani – wypalił bankier, jakby wiedział, o czym akurat myśli.

– Nie boję się... – spojrzała na niego wyzywająco, starając dokładnie sobie przypomnieć nazwisko, jakie pojawiało się w listach od Sary – panie... Assendrich, zgadza się?

Mężczyzna drgnął.

„Strzał w dziesiątkę” – pomyślała Zoja, przyglądając się jego zwężonym źrenicom, które świdrowały ją na wylot.

– Skąd pani zna moje nazwisko?

– Dawno temu woził pan listy do mojej ciotki... Musiał pan być wtedy bardzo młody, prawda?

Twarz bankiera zastygła w wyrazie bez wyrazu, jakby rozgrywał właśnie partyjkę pokera.

– Nie znam żadnej Sary, pani mnie z kimś myli.

– Zna pan – naciskała Zoja. – Tak samo jak jej siostrę bliźniaczkę Zofię, do której w listach na początku zwracała się najdroższa Zosiu, a potem już tylko droga Zofio. Tak samo jak zna pan pana Josefa, Gołdę Nowak, a także moją prababkę i pradziadka...

Starzec nagle zmienił front, jakby poczuł, że nie musi dłużej udawać.

– Zapomniała pani o swojej matce. Anna, czyż nie? Wspaniała kobieta, wspaniała... – zachwycił się, i westchnął.

Jakieś dziwne przecucie podpowiadało Zoji, że to, że ten przedziwny typ wspomina z rozrzewnieniem jej matkę, nie wróży niczego dobrego. Z tego co już zdążyła się zorientować na podstawie listów, jej matka żywiła niezdrową fascynację wobec jakiegoś pana Josefa, a raczej efektów jego pracy... Chociaż Zoja nie miała pojęcia co to za praca, czuła, po prostu czuła przez skórę, że musiało to być coś bardzo, bardzo złego. Inaczej babka Zofia nie cytowałaby w listach do niej Dekalogu, podkreślając przykazanie o zgubnym wpływie żądz.

– Moja matka miała powiązania z neonazistami, prawda?

Mężczyzna zignorował jej pytanie. Milcząc, wpatrywał się w Zoję, a jego ręka powoli powędrowała przez biurko, po drodze zgarniając wyłożoną irchą podkładkę z drzewa cedrowego.

– Czy ma pani klucz? – zapytał, wskazując ręką na lśniącą od lakierowania podkładkę. – Proszę go tu położyć i rozpoczniemy procedurę udostępniania pani depozytu.

– A co z rachunkiem?

– Także zostanie udostępniony. Ale proponuję najpierw zająć się tym pierwszym.

Zoja nie miała pojęcia skąd u niego ta nagła troska, ale czuła, że między słowami próbuje przekazać jej jakąś informację. Postanowiła postępować zgodnie z jego wskazówkami. I po chwili okazało się, że warto było to zrobić, bo kiedy zniemacka wyszedł z gabinetu, i po kilku minutach wrócił, trzymał w rękach spore pudełko, wyglądające identycznie jak to, które dała jej Gołda Nowak, z tym, że większe. Bardziej od widoku tajemniczego przedmiotu, zdziwiło Zoję, że starzec był w stanie chodzić bez laski i nagle przestał utykać.

„Szkatuła... – pomyślała Zoja, czując jak robi jej się gorąco z podniecenia. – Jeśli to tego pragną kardynał Giovanni i ojciec Bruno, mam ich obu w garści”.

– Miałem to przekazać do rąk własnych. Pani babce bardzo na tym zależało.

Zoja poczuła, jak po tych słowach pudło, które położył jej na kolanach nabiera nieznośnego ciężaru. Wzdrygnęła się na myśl, że jej babka znów zostawiła jej jakąś kolejną tajemnicę, której odkrycia pragnie

tak wielu ludzi, gotowych do popełnienia najgorszej zbrodni...

– Chce się pani zapoznać z zawartością? Jeśli tak, mogę zostawić panią samą...

– Nie trzeba – zatrzymała go Zoja. – Proszę siadać. Wie pan o mojej rodzinie więcej niż ja, więc byłoby głupotą z mojej strony, gdybym kazała panu teraz wyjść.

Tak jak ostatnim razem w antykwariacie, położyła palce na Gwieździe Dawida znajdującej się na pokrywie i delikatnie dociskając dłonią ruchomy kawałek drewna, przekręciła w prawo trzy razy. Trzy, bo nie sądziła, żeby babka Zofia zmieniła hasło.

– Bravo! Bardzo sprytnie! – pochwalił Zoję bankier, widząc jak pokrywa odskakuje, umożliwiając jej zajrzenie do środka.

Włożyła rękę, wyczuwając pod palcami stertę papierów i setki zdjęć. Złapała pierwszą kartkę, jaką zdołała chwycić i wyjęła. Strona z zeszytu w kratkę, pozółkła i podarta, była zapisana koślawymi literami, układającymi się w wiersz:

Weszła.

Powiedzieli – Nie ma.

Nie było.

Nie będzie.

Żydówka.

Z małymi oczkami.

Warkoczem.

Ze wstążką w ręce.

Kazali wstążkę wyrzucić.

Wyrzuciła.

Włosy rozsypać.

Rozsypała.

Oczy zamknąć.

Zamknęła.

Po co? – Nie ma.

Nie było.

Nie będzie.

Gołda Nowak, 1950, Nigdzie.

Głośno przełykając ślinę, trzęsącą się ręką Zoja włożyła kartkę z powrotem do pudełka i wygrzebała kolejną. Tym razem list. Od Sary do Zofii, niewysłany, z początku lat osiemdziesiątych. Odłożyła, i po chwili wyjęła kolejno kilka zdjęć, czarno-białych, na których po raz pierwszy zobaczyła swoją babkę i jej siostrę, stojące w cieniu jakiegoś drzewa, na tle ogrodu. Miały może po dziesięć lat i wyglądały na szczęśliwe. W końcu z zawiedzioną miną Zoja odłożyła zdjęcia i zamykając pokrywę, postawiła pudełko na biurku, przysłaniając widok na twarz bankiera, tak że miała teraz przed sobą tylko jego oczy, śmiejące się, rozbawione, z iszterkami, jakby cała sytuacja bardzo go rozbawiła.

Zoja nagle zrozumiała to, czego nie chciała do siebie dopuścić od pierwszej chwili, gdy tylko zobaczyła jego starą, pooraną zmarszczkami twarz.

– Pan też był nazistą...

– Frau Braun... Niechże pani da już spokój tym gierkom. Nie trzeba się kryć, tu jesteśmy u siebie.

– Nie jestem żadną Frau Braun! Nazywam się Zoja Pietrowna. Nie mam nic wspólnego z tym, co

wyprawiała moja matka!

Mężczyzna wstał i machając teatralnie rękoma, jakby odgrywał scenkę z komedii, zaczął mówić płaczącym głosem kiwając się w tył i przód, jak Żyd pod ścianą płaczu:

– Nie mam nic wspólnego, ojoj! – złapał się za głowę. – Taka biedna, taka nieszczęśliwa! Nic z matki, nic z babki, nic z ciotki, a już na pewno ani krzty z prababki i pappiego! Ojoj! Jaka ja biedna! – przestał grać, a jego głos przybrał normalny ton. – Niechże przestanie się pani użalać nad swoim losem i weźmie się w garść. Pani matka nie będzie zadowolona, że przychodzi pani do banku, żeby się mazgać jak jakaś rozkapryszona pannica!

Zoja z początku nie zrozumiała co do niej powiedział. Dopiero po chwili zadzwoniło jej w uszach słowo „będzie”, od którego aż zrobiło jej się słabo...

– Moja matka nie żyje od dziesięciu lat.

– Bzdura – odpowiedział mężczyzna prychnając z oburzeniem. – Gościłem ją najdalej dwa tygodnie temu. Siedziała na tym samym fotelu, co pani teraz.

Zoja poderwała się na równe nogi.

– Chcę wyjść! Proszę mnie natychmiast wypuścić! Pan bezczelnie kłamie, przy okazji próbując mnie wciągnąć w jakieś... – westchnęła ze złością, szukając odpowiedniego słowa – jakieś insynuacje na temat mojego pochodzenia!

Bankier wstał i wskazał ręką na drzwi.

– Nie są zamknięte. A obrotowe drzwi uruchamia przycisk na ścianie, po prawej stronie, obok stojaka na parasole.

Zoja wzięła z biurka pudło i ruszyła w kierunku drzwi. Położyła dłoń na klamce i zamarła, słysząc za plecami jego głos.

– Doprawdy szkoda Frau Braun, że nie chce pani zejść na dół, do depozytu i skrytki należącej do rachunku pani prababki, Evy Anny Pauli Braun.

– To miejsce wygląda jak bunkier – powiedziała Zoja, kilka minut później, kiedy trzęsąc się z zimna stała obok bankiera przed kratą ze stali, za którą znajdował się długi i mroczny korytarz.

– Bo to jest bunkier – potwierdził i podsunął Zoji pod rękę podkładkę z kluczem.

– W pani ręce – ukłonił się. – Tym kluczem powinna pani otworzyć kratę, a potem także drzwi sejfu.

– Powinnam? – zaniepokoiła się Zoja. – A jeśli coś pójdzie nie tak? Albo ten klucz okaże się niewłaściwy?

– No cóż... – westchnął mężczyzna, a Zoja natychmiast wyczuła w jego głosie nutę ironii. – W takiej sytuacji będzie pani raczej trudno... – podniósł laskę i wskazał nią na zawieszony pod sufitem puszek, wyglądające jak prototypowe czujniki dymu. – Tak jak powiedziałem to jest bunkier, ale nieco... jakby to ująć... udoskonalony dla zabezpieczenia środków, powierzonych nam przez klientów. Jak już pewnie zdążyła pani zauważyć, nie stosujemy tu jakichś szczególnych metod zabezpieczeń. Ot, taki sobie klucz – kiwnął głową w kierunku podkładki, na której leżał przedmiot – jeśli jest niewłaściwy albo ktoś ma kłopot z tym, żeby trafić nim do zamka i otworzyć w ciągu trzydziestu sekund, uruchamia się system antywłamaniowy – postukał laską w metalową puszkę na suficie. – Widzi pani te dziurki? Kiedy ktoś próbuje się włamać do którejś ze skrytek, krata opada, drzwi sejfu się zamykają i taki gagatek może mówić, że miał wiele szczęścia, jeśli udało mu się schronić w jego wnętrzu. Co prawda, tlenu starczy mu na dwie, góra trzy minuty, ale lepsze to niż powolna śmierć w oparach Cyklonu B, który rozpyła się z tych puszek po całym korytarzu. Trudno to potem wywietrzyć, ale co robić – wzruszył ramionami i odwrócił się plecami, ruszając w kierunku schodów.

– Chce pan powiedzieć, że jeśli mam nie ten klucz albo w trakcie otwierania któregoś z zamków zadrzy mi ręka, zostanę zagazowana, jak więźniowie obozów koncentracyjnych?!

– Zna pani drogę do wyjścia. Tak jak mówiłem, drzwi obrotowe otwiera się za pomocą przycisku –

jego głos dochodzący od schodów, cichł, a w pewnej chwili Zoja zaczęła słyszeć już tylko echo – Nie oczekuję, że przyjdzie się pani pożegnać.

Jerozolima utracona

– Obudź się, obudź! – szeptała Anna, stojąc nad głową Marii Magdaleny. W pokoju dookoła nich panowały ciemności.

Nagle Maria Magdalena otworzyła oczy i drętwiejąc ze strachu spojrzała na twarz, której z początku nie rozpoznała.

– Kim jesteś? Czego chcesz?

– Nie ma czasu. Musimy iść.

– Anna? To ty? – wyszeptała, coraz bardziej rozbudzona. – Dokąd?

– Zobaczysz.

Ann pomogła Marii Magdalenie wstać i zachowując największą ostrożność wyprowadziła ją z domu na przedmieściach Jerozolimy. Ciemności, jakie spowijały ulice, sprawiały że nawet gdyby ktoś szedł za nimi, nie byłoby w stanie go dojrzeć. Po kilku minutach marszu, Maria Magdalena zaczęła dygotać z zimna. Ann rozwinęła sporych rozmiarów tobołek, który niosła na plecach i podała jej szal.

– Dokąd mnie prowadzisz? – zapytała Maria Magdalena, otulając się szczelnie przed chłodem nocy.

Kilkanaście minut później poznała odpowiedź. Znalazły się w ogrodzie Getsemani, przed rozświetlonym pochodniami kamiennym grobowcem; tym samym, na który spoglądała dzień wcześniej, a który wtedy był jeszcze pusty. Anna weszła do środka i wprowadziła Marię Magdalenę za sobą.

Ucieszyła się, widząc, że są tam już jej brat, a także trzech pozostałych członków bractwa. W drugim końcu kamiennej grotty, pod ścianą, siedziały jej siostra, a także bliska im obu przyjaciółka.

– Jeśli chcemy dotrzeć do celu na czas, musimy ruszać – powiedział nagle brat Marii Magdaleny. Spojrzał na swoją siostrę, a potem na leżącego na kamieniu mężczyznę owiniętego białym kirem.

Maria Magdalena uklękła przy nim i płacząc odsłoniła jego twarz. Musnęła dłonią jego policzek i nagle zastygła w przerażeniu.

– Jest zimny.

– Spokojnie. Nasączyłem gąbkę większą ilością opium – wyjaśnił jej brat i dodał, że wszystko przez Piłata. To on nalegał, by zachować jak najdalej idącą ostrożność.

Maria Magdalena odetchnęła z ulgą i usiadła obok nieprzytomnego, głaszcząc go po twarzy.

– Dokąd idziecie? – zapytała w końcu, czując że wszyscy szykują się do drogi.

– Idziemy – poprawiła ją jej siostra. – Ty także.

– Ja? – Maria Magdalena spojrzała na nią, nie mogąc uwierzyć. – Przysięgałam, że go nie opuszczę. I nie opuszczę. Nigdy. Tak samo jak naszych uczniów. Ale, wy możecie iść i nauczać, nie mam prawa was zatrzymać.

– Jeśli tu zostaniesz, zginiesz jeszcze przed świtem. I wasi uczniowie także. Mamy zniknąć. To warunek Piłata.

Maria Magdalena nachyliła się nad ciałem nieprzytomnego towarzysza, jakby chciała zasłonić jego ciało swoim i w ten sposób oszukać śmierć, i namiestnika.

– Nie ma prawa stawiać nam żadnych warunków! Dostał zapłatę! – rzuciła po chwili, rozglądając się po twarzach członków bractwa, w poszukiwaniu wsparcia. Nikt jednak się nie odezwał, a jej brat wziął pierwszy z tobołków stojących pod ścianą i zaczął je wynosić na dwór. Z oczu Marii Magdaleny popłynęły łzy.

– Jak mogę go opuścić? – zapytała Annę.

– Musisz – odpowiedziała i wyciągnęła rękę, żeby pomóc brzemiennej Marii Magdalenie wstać. – Dla jego dobra.

Zaledwie dwadzieścia minut później Anna odprowadziła całą siódmkę na skraj wzgórz za miastem. Siedmiu żołnierzy, przydzielonych im przez Poncjusza, dołączyło do nich, by zapewnić bezpieczeństwo w

trakcie długiej pieszej wędrówki.

Kiedy słońce zaczęło wschodzić nad Jerozolimą, za plecami mieli już jedynie cienie domów i pałacu namiestnika, rysujące się w oddali. Maria Magdalena przystanęła i odwróciła głowę. Zobaczyła Annę, stojącą na wzgórzu. Przykładając palec do ust, raz jeszcze zapewniła Marię Magdalenę, że razem z nią poniesie ciężar tajemnicy.

Grób na skale

Marsylia powitała Zoję i Piotra strugami deszczu. Prosto z lotniska, oddalonego o dwadzieścia kilometrów, udali się taksówką do centrum. Tam, przed wejściem do restauracji Le Petit Nice, przy Rue Des Braves, miał czekać na nich Serge.

– Nie ma go – powiedział Piotr, rozglądając się bezradnie po pustej i ciemnej ulicy.

Był środek nocy, nie mieli parasoli, ani niczego, czym mogliby osłonić się przed deszczem. Zaraz po tym jak wysiedli z auta, Zoja zdjęła kurtkę i zakryła nią drewniane pudełko, stając z nim kilka metrów od Piotra, pod zgaszoną latarnią.

Choć minęło już ponad dwadzieścia minut, a ona zdążyła już dobrze zmoknąć i zmarznąć, na ulicy nie pojawił się żaden samochód. Nie mogła się nawet poskarżyć; odkąd opuścili Sankt Gallen, nie odezwała się ani słowem i nie zamierzała tego zmieniać, przynajmniej teraz.

– Będziesz tam tak stała, czy pomożesz mi złapać taksówkę? Zoja, mówię do Ciebie!

W odpowiedzi Zoja jedynie podniosła wolno głowę i spojrzała na Piotra pustym, niewidzącym wzrokiem. Przestraszony jej stanem, podbiegł i narzucił jej na plecy swoją przemokniętą kurtkę.

– No już, już... – poklepał ją po plecach. – Nie wiem co widziałas, ani gdzie bylas, ale jeśli za chwilę nie zaczniesz się odzywać, zacznę się poważnie martwić – spojrzał jej w oczy, jakby szukał w nich choć cienia światła. – Nafaszerowali cię czymś? Przestraszyłaś się? Odgryzłaś sobie język?

Na ulicy kilka metrów dalej rozległ się dźwięk klaksonu. Kierowca, którego twarzy nie sposób było rozpoznać w strugach deszczu, niespodziewanie wystawił przez okno dłoń z zapaloną latarką i zaczął machać w ich stronę.

– To chyba on! Chodź, idziemy! – krzyknął Piotr i prowadząc Zoję za ramię, ruszył w kierunku samochodu.

– Wsiadajcie, szybko... – odezwał się Serge, spoglądając do tyłu przez uchylone drzwi. Piotr właśnie próbował wsadzić Zoję do środka.

– Co jej jest? – zaniepokoił się Serge, przyglądając się jej zamglonemu spojrzeniu.

– Nie mam pojęcia; jest taka odkąd wyjechaliśmy z Sankt Gallen. Zniknęła spod banku, a kiedy wróciła po czterdziestu minutach, wyglądała jak żywy trup.

– Niedobrze. A to pudełko, które trzyma w rękach?

Piotr wsiadł do samochodu, wzruszył ramionami i zapiął pas.

– Wiem tylko tyle, że wróciła trzymając je w rękach.

Serge włączył silnik. Wycieraczki zaczęły szorować po szybie, rozganiając gęste krople deszczu.

– A gdzie twój przyjaciel? – zapytał Piotr, widząc, że nie czekają już na nikogo więcej, bo volvo ruszyło, by po chwili wjechać w ciemną uliczkę i zawrócić na główną drogę wyjazdową, a potem w kierunku drogi ekspresowej wiodącej aż do pirenejskich szczytów.

Dopiero po kilkunastu minutach, gdy wykończony Piotr zdążył przysnąć niespokojnym snem z głową opartą o szybę, Serge przypomniał sobie, że nie odpowiedział na jego pytanie. Zerknął na kolegę, ale widząc że śpi, nasunął mu na ramiona bluzę i spojrzał we wsteczne lusterko, na Zoję wpatrującą się w okno.

– Będziemy na miejscu za jakąś godzinę – zaczął, starając się, żeby jego głos zabrzmiał delikatnie. – Mój przyjaciel, Pietro Cippo, będzie tam na nas czekał. Przez cały dzień deptali nam po piętach ludzie sekretarza Angenera, dlatego woleliśmy się rozdzielić... – nabrał powietrza, czując że jego próby mogą spełznąć na niczym. – Słuchaj Zoja... niezależnie od tego, co się wydarzyło, co usłyszałaś albo zobaczyłaś... najważniejsze jest to, kim jesteś dziś, teraz, a nie kim było jedno z twoich rodziców czy dziadków...

Przeciwnym pasem drogi przejechał samochód, oświetlając wnętrze volvo ostrym światłem. Przez

ułamek sekundy, zerkając we wsteczne lusterko, Serge zobaczył, że Zoja płacze. Żeby nie było słyhać jak szlocha, zatkała sobie usta pięścią. Speszony Serge zaczął patrzeć w przednią szybę. Włączył radio i mając gdzieś to, że leci piosenka Rollingstonsów, której nie znosi, zrobił głośniejsze, pozwalając Zoji w spokoju zanosić się szlochem, najbardziej rozpaczliwym, jaki słyszał kiedykolwiek w swoim pięćdziesięcioletnim życiu.

Wjechali w gęsty las u stóp masywnego wzgórza, parkując zaraz za stojącym już na parkingu białym Jeepem Cherokee. Piotr uchylił szybę, a wtedy dobiegł ich czyjś krzyk, pełen oskarżycielskiego tonu:

– Jeśli chociaż zarysowałeś zderzak mojego ukochanego samochodu, oskalpuję cię i powieszę na latarni, Serge!

Niski i szczupły siedemdziesięciolatek, wyłonił się z ciemności i szedł w ich stronę, groźnie wymachując pięścią.

– Spokojnie, to Pietro Cippo... – powiedział Serge, zatrzymując Piotra, który z groźną miną szykował się, żeby wysiąść, po czym otworzył drzwi i wyszedł znajomemu naprzeciw, zapewniając go, że samochód jest w jak najlepszym stanie. – I też się cieszę, że znów cię widzę! – dodał na zakończenie.

– A gdzie ta pani? – zapytał Pietro, wyglądając przez ramię Serge`a w kierunku samochodu.

Serge wskazał na samochód, jakby bał się, że Zoja mogłaby usłyszeć, że potwierdza jej obecność, co w jej stanie, mogłoby wywołać kolejną lawinę płaczu. Po chwili dołączył do nich Piotr. Stanęli we trzech, przy masce volvo, rozprawiając zawzięcie.

Zoja słyszała każde ich słowo. Czuła się potwornie, a to, że przez ostatnią godzinę płakała niemal bez przerwy, jeszcze pogorszyło jej stan. Słyszając jak Serge relacjonuje właśnie wydarzenia z Sankt Gallen, próbując wytłumaczyć swojemu znajomemu, że chyba będą musieli poczekać z czymś co planował do rana, jeszcze bardziej zapadła się w sobie. Łzy znów popłynęły jej po twarzy.

Nagle usłyszała szarpnięcie za klamkę. Drzwi gwałtownie się otworzyły, a do środka zajrzał przyjaciel Serge`a. Miał tak nietęgą minę, że na sam jego widok, Zoja ze strachu wcisnęła się w fotel. Zmierzył ją srogim spojrzeniem, po czym zaczął mówić z taką szybkością i tak zaciętym głosem, jakby miał zamiar zabić ją pierwszym, a zakopać ostatnim zdaniem.

– Dzień dobry, nazywam się Pietro Cippo. Jak pani zapewne wie, jestem znajomym Serge`a. Od początku wiedziałem, że nic z tego nie będzie, ale ten dureń zmusił mnie, żebym tu przyjechał – wypalił prosto z mostu i pogroził Serge`owi pięścią, po czym znów wsunął głowę do środka, trzęsąc się ręką trzymając uchylone drzwi. – Jak pani widzi, jestem stary. Nie mam najmniejszej ochoty na zabawę, a już na pewno, nie mam zamiaru czekać tu do świtu. A to pudełko ma ponad siedemdziesiąt lat – zniemacka wskazał palcem na drewniany przedmiot, który Zoja trzymała na kolanach. – Na całym świecie jest takich może ze dwadzieścia. Na pani miejscu pilnowałbym tego jak oka w głowie, cenna rzecz... – westchnął, zmarszczył brwi i znów jego głos przybrał groźny ton. – I niech się pani przestanie mazgaić! Są gorsze rzeczy, niż bycie przybraną prawnuczką Hitlera – zakończył i trzasnął drzwiami, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, że Zoja znów zaczęła płakać.

– Nie jestem wnuczką żadnego Hitlera! – wydarła się, wybiegając z samochodu. – I nie mam zamiaru zostać tu sama! – dodała i wróciła do samochodu po plecak.

Dwadzieścia minut później stanęli pod drzwiami kaplicy w maleńkiej wsi Plan d`Aups. Trzymając w dłoniach turystyczne latarki oświetlali Serge`owi dziurkę od klucza, w którą nie mógł trafić.

– Jak złodzieje! – marudził pod nosem Pietro, przyglądając się jak Serge wsuwa wytrych i po chwili otwiera drzwi.

– Wchodzisz czy zostajesz? – zadał mu pytanie Serge, kiedy na zewnątrz zostali już tylko oni dwaj.

– Nie wiem – zaskrzeczał. – Nie podoba mi się to nocne zwiedzanie...

Słyszając dobiegające zza uchylonych drzwi odgłosy ich kłótni, Zoja tylko pokręciła głową. Piotr stał już

przy ołtarzu i oświetlając latarką sufit, przyglądał się malowidłom, w tym znajdującemu się w centralnym punkcie Jezusowi na krzyżu. Nie chcąc tracić czasu, Zoja ruszyła w jego kierunku. Machając latarką jak wykrywaczem metalu, oświetlała sobie drogę wzdłuż jednej ze ścian. Pomimo ostrożności, po kilku metrach potknęła się i poleciała na jedną z ławek. Starając się za wszelką cenę nie zbić latarki, podniosła ją wysoko, przypadkiem kierując strumień światła na rząd obrazów na ścianie.

– O mój Boże... – wyszeptała cichutko, żeby nie usłyszał jej Piotr.

Podniosła się, i stanęła jak wryta, z szeroko otwartymi ustami gapiąc się po kolei na każde płótno oprawione w miedziane ramy, jakby nie mogła uwierzyć w dwuznaczność, jaką cechuje postać Jezusa. Cokolwiek autor lub autorka, miał na myśli, wykazał się daleko idącą odwagą, podobnie jak ten, kto zdecydował się zawiesić je na ścianie w kaplicy.

Teraz przynajmniej już rozumiała, po co Serge ich tu przywiózł... To miejsce, cała ta otoczka, góry, lasy, serpentyny dróg ciągnące się kilometrami, było naznaczone tajemniczością, jaką dobrze знаła z dzieciństwa. Co prawda nigdy wcześniej nie była w tej miejscowości, ani w oddalonym o kilkanaście kilometrów Saint Maximin, gdzie jak powiedział Serge, znajduje się bazylika Marii Magdaleny i jej rzekome szczątki, ale okolice nie były jej całkiem obce. Wychowała się zaledwie kilkadziesiąt kilometrów dalej, na zachód od Plan d`Aups, w klasztorze u stóp góry Montsegur, na szczycie której znajdował się owiany legendą zamek.

To między innymi z tego powodu płakała, gdy jechali z Marsylii. Na widok rysujących się w oddali Pirenei dostała ataku paniki. Za nic i nigdy nie chciała wrócić do Montsegur, a przez chwilę miała wrażenie, że to tam zmierzają, a nie do jakiejś kaplicy ukrytej w dolinie.

Na szczęście teraz to już nie miało znaczenia. Czowała, że odkrywa właśnie kolejną tajemnicę i miała nadzieję, że przybliży ją to do odzyskania córki.

Starając się trzymać latarkę sztywno, przechodziła od jednego do drugiego obrazu, chłonąc każdy szczegół. Tu nie było mowy o symbolach, ukrytych za ugrzecznionymi, nacechowanymi poprawnością postaciami i przedmiotami chrześcijańskiego kultu. Przesłanie było jasne, tak bardzo, że aż trudno było w nie uwierzyć.

Na pierwszym obrazie postać w białej szacie przemawia stojąc na brzegu jeziora, do siedzących w łodzi rybaków. „Jezus wybiera pierwszych uczniów...” – pomyślała Zoja, robiąc krok w prawo, do kolejnego płótna, na którym z kolei postać przechadza się drogą, pośród bielonych domów w Jerozolimie. Na kolejnym jest przedstawiona jak pielęgnuje kwiaty w ogrodzie, a na następnym, stoi na skalnej półce, u wyjścia z grotty i patrzy w dal, na góry zasnuwane mgłą.

Słyszając za plecami głos Serge`a, Zoja aż podskoczyła ze strachu.

– Mieszkańcy tej wsi wyznają kult Marii Magdaleny – wyjaśnił bez ogródek, oświetlając latarką podłogę i sufity. – Od setek lat kolejne pokolenia wierzą w to, że Maria Magdalena dotarła drogą morską do Marsylii, a razem z nią na łodzi byli też Marta, Salome, Judasz, Łazarz, Jan i Piotr. Wędrowali z nauką Chrystusa po całej Prowansji, aż dotarli tutaj, do stóp góry, nazwanej La Sainte Baume, czyli Święta Grota.

Zoja słuchała, nie odrywając wzroku od obrazów. Po tym co powiedział, zaczęła coraz wyraźniej widzieć, że to nie Jezus, lecz Maria Magdalena, znajduje się na głównym planie. Młoda kobieta o długich, rudych włosach opadających na plecy i ramiona, ubrana w białą szatę... Maria Magdalena, powtórzyła Zoja w myślach, to ona jest przedstawiona jako ta, która miała nauczać i prowadzić wiernych!

Światło z latarki Serge`a przestało oświetlać ścianę przed nią. Stukot jego butów o kamienną posadzkę wyrwał Zoję z zamyślenia. Obejrzała się, widząc, że Serge zmierza w stronę ołtarza. Idąc środkiem kaplicy, minął Piotra stojącego przy drzwiach prowadzących do zakrystii i wszedł do środka, po chwili wychodząc z długą białą szatą w rękach.

– A teraz coś jeszcze lepszego! – oznajmił. – W tej szacie ksiądz odprawia poranną mszę... – rozłożył

materiał, chcąc pokazać coś, co znajduje się w środku i poprosił, żeby Zoja podeszła bliżej i poświeciła latarką.

– Tu – pokazał na pas zielonego materiału, zwany ornatem – jest coś, co powinno was zainteresować...

Piotr i Pietro też podeszli bliżej. Po chwili wszyscy troje zobaczyli, co dokładnie miał na myśli Serge. Jeden punkt. Żółty haft, znajdujący się na wysokości piersi kapłana, na który składały się litery X i P.

– Chryzmon! – krzyknęła Zoja, podnosząc latarkę na wysokość twarzy Serge'a i oczekując jego reakcji. – Mam rację, prawda?

Pokiwał głową, mówiąc, że to i tak jeszcze nie wszystko, po czym, nie tłumacząc niczego więcej, wyprowadził ich z kaplicy.

– To gdzie reszta tej tajemnicy? – dopytywał Pietro, przestępując z nogi na nogę, żeby choć trochę się rozgrzać.

– Tam – odpowiedział Serge, wskazując ręką gdzieś w górę, na szczyty majaczące pośród mgły.

– Chyba oszalałeś! – rzucił z powątpiewaniem Pietro.

Nie czekając aż zacznie świtać, oświetlając drogę latarkami, ruszyli w kierunku, w którym prowadziły ustawione wzdłuż drogi drewniane strzałki z napisem Grotte. Po kilku minutach marszu dotarli do stóp zalesionego wzgórza. Na szczyt prowadziły strome kamienne schody, ledwo widoczne w ciemnościach.

– Teraz trzeba pokonać sto pięćdziesiąt kamiennych schodków – Serge zrobił przerwę i cicho ziewnął. – Według dawnych wierzeń każdy z nich symbolizuje jak kto woli, albo Psalm Davida, albo taką samą ilość Ave Maria, którą powtarzali pielgrzymi podczas wędrówki. Cała trasa nazywana jest Królewską Drogą, a las dookoła świętym... Kilkaset lat temu grotta Marii Magdaleny była miejscem religijnego kultu. W średniowieczu pielgrzymowało tędy kilkunastu królów i papieży, a na co dzień, roiło się od wiernych. Ale to było kiedyś. Dziś jest tak, jak widać... – wskazał latarką na zarośniętą ścieżkę.

Las przed nimi wyglądał jak dziewicza puszcza. Zieleń otaczająca schody, połamane stare drzewa leżące w poprzek ścieżki, zapach wilgoci i liści, mieszały się z niesionymi przez wiatr z pól i łąk aromatami wrzosów, które zostawili daleko w dole.

– Acha i jeszcze coś... – przypomniał sobie Serge, zatrzymując ich dwa kroki za sobą, powodując, że o mało nie powpadali jedno na drugie. – Kiedy dojdziemy na górę, spójrzcie na tablicę po prawej stronie. Wymienione są tam zakony, które opiekowały się tym miejscem. Wśród nich zwłaszcza jeden zasługuje na szczególną uwagę.

– Cassianites? – zdziwiła się Zoja kilka minut później, patrząc na kamienną tablicę wmurowaną obok bramy.

– Mało mówi ta nazwa, co? A prawda jest taka, że pierwszymi mnichami, którzy strzegli tego świętego miejsca, byli wyznawcy prawosławia, którzy żyli według reguł ascezy, ustanowionych przez Joannusa Cassianusa, czyli Jana Kasjana, urodzonego w Marsylii, w trzysta sześćdziesiątym roku. Ten szlachetny mnich, teolog, założył w Prowansji kilka klasztorów i opracował wiele teologicznych dzieł, z których czerpali później między innymi Benedykt z Nursji i Ignacy Loyola.

Zoja znów spojrzała na tablicę.

– A Dominikanie?

– Przyszli i wszystko przejęli – powiedział Serge obojętnym tonem, jakby mówił o czymś zwyczajnym, co działo się wczoraj i stanie się jutro. – Zaczęło się od jednego z założycieli, Dominika Guzman. W tysiąc dwieście trzydziestym trzecim roku, to właśnie Guzman i jego zakon stworzyli instytucję Świętej Inkwizycji. W tak zwanym międzyczasie, za zgodą Rzymu, najechali francuską Langwedocję i wycięli w pień wyznawców kataryzmu, mających wiele wspólnego z ascetyzmem i monastycyzmem, których przodownikiem był wspomniany święty, Jan Kasjan. Trudno ich nie łączyć z kultem Marii Magdaleny...

Zoja pokręciła głową.

Nie do wiary, co wyprawiał Kościół, przebiegło jej przez myśl.

– Kłania się historia Świętego Graala – wtrącił Pietro, widząc że Zoja słucha z zaciekawieniem. Nagle wydał się pobudzony, jakby historia, którą opowiadał jego przyjaciel, była mu bliska.

– Zgoda... – przytaknął Serge i zamachał latarką, jakby prowadził wykład na uczelnianej auli. – Kataryzm miał wiele wspólnego z wiarą w istnienie Świętego Graala, choć ich pojmowanie tajemniczego spadku Chrystusa miało wiele twarzy, nie zawsze mile widzianych przez tradycyjny kościół.

– Który rękoma Konstantyna Wielkiego spreparował Nowy Testament i narzucił ciemnemu ludowi wiarę w jednego Boga i jego Syna. Choć z prawdą ma to niewiele wspólnego – znów wtrącił Pietro, ciągle patrząc na Zoję.

Piotr stał gdzieś z tyłu i od dłuższego czasu sprawiał wrażenie, jakby ta rozmowa była mu całkowicie obojętna.

– Zabezpieczasz tyły? – rzucił Serge, świecąc latarką na ścieżkę, jakieś pięć stopni niżej.

– Aha, tak, zabezpieczam! – odkrzyknął Piotr i zaraz znów zniknął między drzewami.

– Lepiej będzie, jeśli zakończymy dyskusję na ten temat – powiedział nagle Pietro, niespokojnie spoglądając w górę, jakby usłyszał coś niepokojącego. – Niepotrzebnie mieszamy jej w głowie. Za dużo faktów, rozmyje istotę sprawy. I ruszajmy, bo nie mam zamiaru tu zamarznąć!

– Ale mnie to interesuje, naprawdę! – nalegała Zoja i zaczęła się wspinać za Sergem po stromym odcinku ścieżki.

– Nic z tego... – oglądając się, pogroził jej palcem. – Celem tej dywagacji było przedstawienie ci dowodów, świadczących o winie zakonu. Dominikanie byli mistrzami w ukrywaniu tajemnic i niewygodnej prawdy o historii Kościoła, w tym miejscu także. Wszystko co tylko choć trochę odbiegało od powszechnie uznanej prawdy spreparowanej na kolejnych soborach, począwszy od Nicejskiego, zaraz uznawali za herezję.

– I na stos! – dodał Pietro, przesuwając latarkę wzdłuż szyi, jakby chciał pokazać odcinanie głowy.

– Stosy były później... – odpowiedział mu Serge. – Zaczęły płonąć, gdy dominikanin Heinrich Kramer napisał swoje sławetne dzieło *Malleus Maleficarum*, czyli *Młot na Czarownice*.

W pewnej chwili Zoja uniosła głowę i zobaczyła w ciemnościach górujący ponad bramą krzyż, z wiszącym na nim Jezusem.

– To straszne miejsce... – wyszeptała, czując nagły powiew chłodu na plecach. Kątem oka zobaczyła, że Pietro kiwnięciem głowy przyznaje jej racje.

– Straszne? – zdziwił się Serge. – Raczej jedno z niewielu prawdziwych, jakie zdołały przetrwać w krwawej historii Kościoła.

Zaraz potem poprowadził ich schodami wykutymi w kamieniu do bramy strzegącej wejścia do groty. W skalnej ścianie wykute zostały okienne wykusze, w których znajdowały się teraz witraże. Wejścia do środka strzegły drewniane drzwi, zawieszane na masywnych czarnych zawiasach. Tuż obok, po lewej stronie, znajdował się kilkumetrowy krzyż z Jezusem, ustawiony pomiędzy dwoma innymi krzyżami z wiszącymi na nich mężczyznami. Pod nim znajdowały się figury trzech kobiet, wśród których Zoja bez trudu rozpoznała rudowłosą postać, podobną do tej namalowanej na obrazach w kaplicy na dole.

– Zwróćcie uwagę na detale. Przyjrzyjcie się dokładnie wszystkim trzem – zasugerował Serge, świecąc latarką w stronę krzyża z Jezusem, a dokładnie gwoździ, którymi były przybite jego stopy.

Zoja spojrzała w tamtą stronę, utwierdzając się w przekonaniu, że nocą okolica przyprawia o dreszcze. Zarówno krzyż, jak posąg Jezusa i pozostałych postaci, gdy skierowała na nie światło latarki, zdawały się wyglądać jak żywe. Ucieszyła się, słysząc za plecami głos Serge'a.

– Dwaj mężczyźni, zwani w Ewangeliach złoczyńcami, zostali przywiązani do krzyża sznurami – wskazał latarką na ich ręce i nogi. – Ich nogi zostały przywiązane i jak widzicie zwisały luźno, tak że cały ciężar ciała był przeniesiony na ramiona. Taki sposób ukrzyżowania miał swój cel. Chodziło o to, że gdy

wiszący opierał całe ciało na rękach, zapadały się jego płuca, a wtedy umierał szybko, po prostu się dusząc. W przeciwieństwie do nich, Jezus ma pod nogami podpórkę i jego ciało nie zostało przywiązane, lecz przybite gwoździami... Ciężar rozkładał się więc równomiernie na nogi i ramiona, co jest dowodem na to, że o szybkiej śmierci nie mogło być mowy.

Zoja nie mogła uwierzyć, że tak proste wytłumaczenie, mogłoby świadczyć o tym, że Jezus jednak przeżył ukrzyżowanie.

– Tak, tak... – pokiwał głową Serge, widząc jej zdziwioną minę. – Zbieżność dziwnych przypadków, towarzyszących ukrzyżowaniu Jezusa, nie jest przypadkowa. Sposób ukrzyżowania to jedno. Pamiętajcie może co było napisane w Ewangeliach? Wiszącemu na krzyżu Jezusowi zachciało się pić. Podobno miała mu zostać podana gąbka nasączona octem. A wiecie do czego wykorzystywano ocet w tamtych czasach?

– Był stosowany jako zamiennik soli trzeźwiących – powiedział Piotr, zniecierpliwiony włączając się do rozmowy. Przysiadł na schodach, obserwując pozostałych w skupieniu.

– Otóż to! A zatem nie jest fizycznie możliwe, by po tym, jak połknął ocet z gąbki przyłożonej do jego ust, Jezus skonał. Wręcz przeciwnie... Możliwe, że Jezusowi podano w rzeczywistości odurzający środek nasenny, składający się z mieszanki opium i belladony. Zaraz po tym pojawia się kolejna zagadka. Mianowicie, nigdy wcześniej ani później w historii Rzymskiego Imperium, nie zdarzyło się, by ciało ukrzyżowanego zostało zdjęte zaraz po jego śmierci. Zazwyczaj po tym jak biedak skonał w męczarniach, jego ciało wisiało na krzyżu przez wiele dni lub tygodni, aż rozdziobało je ptactwo. Tymczasem ciało Jezusa Piłat wydał nad wyraz ochoczo i to bez stwierdzania zgonu. Czy to nie dziwne?

Pietro zrobił obrażoną minę, jakby usłyszał z ust przyjaciela legendę, którą znał i był przekonany, że umie opowiedzieć ją lepiej. Zoja spoglądała to na niego, to na Serge'a, nie wiedząc co właściwie o tym wszystkim myśleć. Obaj sprawiali wrażenie głęboko przekonanych o tym co mówią.

– Jezus miał zostać ukrzyżowany na Golgocie – wtrącił Pietro – a całkiem blisko miał znajdować się pusty grobowiec. Problem w tym, że historyczna Golgota, znajdowała się pośrodku pustyni. O żadnych ogrodach, a tym bardziej grobowcach, nie mogłoby więc być mowy. No, chyba, że mówilibyśmy nie o Golgocie, ale o ogrodzie Getsemani, który należał do jednego z uczniów Jezusa, a dokładnie brata Marii Magdaleny!

– Wystarczy... – powiedział Serge, zniecierpliwiony kładąc dłoń na ramieniu Zoji, która ze strachu aż podskoczyła, upuszczając latarkę. – Najwyższy czas, żebyśmy zajrzeli do wnętrza groty.

Zoja podniosła z ziemi latarkę i włożyła baterię, która wypadła, na szczęście na tyle blisko, że była w stanie wymacać ją w ciemnościach. W tym czasie Serge znów użył wytrycha i na wpół leżąc na kamiennych schodach, otworzył drzwi.

W parę chwil znaleźli się we wnętrzu kamiennego klepiska, o nierównych, wyciosanych w skale ścianach. Na wprost drzwi znajdował się ołtarz, a nad nim pomiędzy schodami otaczającymi go z dwóch stron, posąg z krzyżem i klęczącą obok niego Marią Magdaleną. Nieco dalej swoje miejsce pośród skał znalazła także statua Marii Magdaleny unoszonej do nieba przez anioły.

– Tu jest grobowiec! Na płycie jest napisane, że to miejsce pochówku szczątków Marii Magdaleny! – krzyknęła Zoja z drugiego końca groty.

– Kiedyś tak. Dziś teoretycznie relikwie znajdują się w bazylice w Saint-Maximin. – rozczarował ją Serge, dodając że dominikanie i Watykan w porę zatroszczyli się o to, żeby prawdziwe kości Marii Magdaleny zostały ukryte w miejscu, w którym nikt nie zechce ich szukać. Zabezpieczyli się tym samym na wypadek, gdyby ktoś chciał potwierdzić genetyczny związek królewskich rodów Europy z jej genotypem.

– Kiedy zdejmemy z Jezusa i Marii Magdaleny płaszcz mistyki, usuniemy historię o cudach, synu Boga, Zmartwychwstaniu po trzech dniach i tym podobnych, zostanie nam historia człowieka i jego towarzyski, jak wtedy zwykło się nazywać żony. Mając za sobą odpowiednie zaplecze i korzystając z pomocy bliskich i rodziny, próbowali prowadzić życie proroków, nawracając ludzi i łącząc ich w wierze

w jednego Boga, mając ku temu czas i środki finansowe. Tak samo jak istnieją dowody na to, że Jezus nie umarł na krzyżu, tak samo można uwierzyć, że Maria Magdalena, jego towarzyszką, razem ze swoim bratem Łazarzem i siostrą Martą, a także bliską im służącą Salomeą i zaufanymi Judaszem, Janem i Piotrem, byli zmuszeni uciekać z Jerozolimy i Betanii, żeby zapewnić swojemu rodowi przetrwanie. Zawiazane kilka nocy przed ucieczką Bractwo Chryzmonu miało spełnić jeden cel – chronić ich i strzec tajemnicy Świętego Grała, znanego jako kielich lub kamień mocy.

Pietro przytaknął i szybko dodał:

– I właśnie przez skarb, czymkolwiek jest, kolejne pokolenia rodów Jezusa i Marii Magdaleny, a także pozostałych członków Bractwa Chryzmonu musiały się ukrywać. Między innymi królewskie rody... Karolingowie, Merolingowie...

Im dłużej Zoja stała w grocie, przysłuchując się rozmowie Serge`a i jego przyjaciela, tym bardziej czuła, że tajemnicze pomieszczenie, które jej babka zaadaptowała na kaplicę w mieszkaniu przy Przemysłowej, od którego zaczął się cały ten koszmar, musi mieć związek z grota Marii Magdaleny. Przez chwilę przeszło jej nawet przez myśl, że może chodzi o jakieś powiązania z rodem jej potomków, na których ślad babka Zofia chciała ją naprowadzić, przeczuwając że ktoś chce ją zamordować. Zaraz potem stwierdziła jednak, że to całkiem niemożliwe, biorąc pod uwagę, że kilka godzin temu potwierdziły się ich rodzinne powiązania z jednym z największych zbrodniarzy świata. Obie historie nie mogły mieć logicznego powiązania.

To po prostu niemożliwe, uznała Zoja, kiedy kilkanaście minut później opuścili grota i zaczęli schodzić z góry, kierując się na parking. Zaczynało świtać i to napawało ją nadzieją, że może jest w tym wszystkim jakiś sens, którego nie widzi, a który pomogą jej odnaleźć pan Pietro, Serge i Piotr, choć ten ostatni, wzbudzał w niej lęk. „On nie jest pani przyjacielem. Wspomni pani jeszcze moje słowa”, rozbrzmiały jej w głowie słowa bankiera Assendricha.

*

Piotr wszedł do lasu i wyjął z kieszeni stary model Nokii. Ucieszył się widząc, że ma dwie kreski zasięgu. Wybrał numer i przyłożył aparat do ucha. Chwilę później usłyszał głos po drugiej stronie.

– Quid factum est? – zadał pytanie wyraźnie zaniepokojony rozmówca.

– Quaestio nobis est – odpowiedział Piotr, starając się ściszyć głos do szeptu.

– Qualis est haec quaestio?

– Cippo scit.

– To niemożliwe! – krzyknął kardynał tak głośno, że Piotr musiał odsunąć telefon. Kiedy znów przysunął go do ucha, jego rozmówcy nie było już po drugiej stronie.

Kardynał Giovanni w mgnieniu oka wybiegł ze szpitalnej sali, w której leżała siostra Hummel. Porwał z wieszaka swój płaszcz i znajdujące się w nim kluczyki od samochodu. Mijając na korytarzu swoją asystentkę zmiierzającą z bukietem róż w kierunku pokoju lekarskiego, wydał jej rozkaz:

– Bilet na najbliższy samolot do Rzymu, natychmiast!

Królewski klasztor

Le Couvent Royal hotel of Saint-Maximin, sąsiadujący ścianą w ścianę z bazyliką Marii Magdaleny, przez wieki pełnił rolę dominikańskiego klasztoru. Komplex łączonych budynków, zbudowanych na planie litery L, porażał surowością, ale dla zwolenników historii stanowił niemal miejsce kultu.

Mimo wojen i Czarnej Zarazy, jaka przeszła przez miasteczko Saint Maximin w czternastym wieku, niewiele się tu zmieniło. Nawet teraz, gdy Zoja, a za nią Pietro Cippo, Serge i Piotr, szli w kierunku recepcji, duchy przeszłości unosiły się pod łukowatymi sklepieniami krużganków, którymi z łatwością można było obejść także ogród, podziwiając równo przycięte żywopłoty, otaczające stoliki i krzesła przeznaczone dla gości. Widoczne stamtąd długie rzędy maleńkich okien na dwóch kondygnacjach i poddaszu, z otwartymi na oścież białymi okiennicami, kontrastowały z zardzewiałymi, spalonymi słońcem czerwonymi dachówkami. Zwłaszcza, gdy zaczynał się pogodny dzień, a słońce wschodziło ponad miasteczkiem, sprawiało to niemal mistyczne wrażenie.

– Dlaczego właśnie tu? – dopytywała Zoja, jako jedyna okazując niezadowolenie z decyzji, jaką bez konsultacji z kimkolwiek podjął Pietro.

– Mówiłem już. Bo do Marsylii nie mamy po co wracać.

Zoja poczuła, jak krew zastyga jej w żyłach. Kolejny człowiek, który niechcący stracił przez nią dach nad głową. Nie chciała tego i przez chwilę była nawet zła na Serge'a, że poprosił swego przyjaciela o pomoc. Ostatecznie, gdyby wtedy w muzeum, nie dała mu tych listów, może ten stary człowiek mógłby nie martwić się teraz o to, czy zdoła się wspiąć po stromych schodach do komnaty na piętrze. „Swoją drogą – pomyślała Zoja, obserwując jak zwinnie pokonuje kolejne stopnie – jak na swój wiek jest zaskakująco zwinny”.

Pietro wspinał się na górę, taszcząc za sobą wielką skórzaną walizkę Samsonite. Chciał ja najszybciej znaleźć się w komnacie. Był człowiekiem starej daty i zdenerwowało go, że ta młoda dziewczyna wciąż narzeka, zamiast wziąć sprawy w swoje ręce. On, kiedy był w jej wieku, nie narzekał. Nigdy. Nie miał ku temu możliwości, a może była to kwestia kindersztuby, w jakiej wychowywał go ojciec, po tym, jak matkę zastrzelili naziści w obozie koncentracyjnym Ferramonti. Kiedy wczesnym rankiem wychodził na rozprawy, Pietro potajemnie wkładał się do jego pokoju i przeglądał akta. Hess, Himmler, Borman, Goebbels... to tylko kilku zbrodniarzy, którzy zostali oczyszczeni z zarzutów. Działalność Trybunału Wojskowego w Norymberdze stanowiła świetnie zorganizowaną przykrywkę dla prawdziwej polityki, która rozgrywała się w kuluarach. Z dwunastu najwyższych rangą nazistów skazanych na śmierć, nie uniknęło śmierci tylko czterech. Pozostali podpisali zobowiązanie, że będą współpracować i wyjechali do Rosji, Stanów Zjednoczonych, Brazylii, Argentyny... Dożyli w spokoju późnej starości, a w dodatku ich umiejętności zostały w pełni wykorzystane, za co otrzymali spore wynagrodzenie od rządów wielu państw. Wciąż pamiętał w jakim był szoku, kiedy zobaczył jak John Kennedy daje się fotografować z zagorzałym nazistą, twórcą rakiety V2, Wernherem von Braunem, albo jak bardzo zabolęło go serce, gdy ojciec, sędzia wojskowy, z obojętną miną opowiadał o ucieczce Josefa Mengele i Adolfa Hitlera wraz z Evą Braun gdzieś do Ameryki Południowej. Agenci Federalnego Biura Śledczego co kilka tygodni składali raporty, które jego ojciec, mając wysoko postawionych przyjaciół, mógł czytać kiedy chciał i nawet czasem przynosił je do mieszkania przy Karlstrasse. W zewnętrznych ścianach kamienicy znajdowały się dziury po kulach i odłamkach bomb. Wiele razy, kiedy po przeczytaniu kolejnego raportu albo akt, nie mógł znieść swojej bezsilności, wychodził i wciskał pięści w te dziury, ścierając knykcie do samej krwi, a często i do kości.

Nagle Pietra wyrwało z zamyślenia echo kroków odbijających się od ścian w korytarzu. Włożył klucz do zamka i przekręcił.

– Za godzinę, w tym samym miejscu, tak? – zapytał głośno Serge, gdy wszyscy czworo byli już na

górze, każdy pod drzwiami swojej komnaty.

Piotr i Pietro pokiwali głowami.

– Zoja, za godzinę? – zapytał jeszcze raz Serge, bo jako jedyna nie odpowiedziała.

– Tak, za godzinę – przytaknęła, kątem oka dostrzegając, że Pietro stoi w na wpół przymkniętych drzwiach komnaty, bacznie ją obserwując.

„On wie” – pomyślała Zoja i weszła do niewielkiego pokoju o kamiennych ścianach z dużym łóżem pośrodku, szybko zatraskując drzwi. Postawiła drewniane pudło i plecak na zasłanej pościeli nakrytej szaro-brązową narzutą i poszła do łazienki obmyć twarz zimną wodą.

Podniosła głowę znad umywalki i spojrzała w lustro. Przymknęła jedno oko, po czym otworzyła. Przymknęła drugie i znowu wolno otworzyła powiekę. Wciąż ta sama wymęczona dziewczyna spoglądała na nią z wyrazem politowania. Obróciła głowę w bok, żeby sprawdzić, czy małe guz na szyi zmałał. Gdy dotknęła palcami skóry, pulsujący ból rozszedł się aż do skroni.

– Ałć... – zasyczała, odrywając palce.

„Ugryzienie? Reakcja organizmu na stres? A może coś gorszego...” – pomyślała, ale zaraz szybko nachyliła głowę pod kran i pozwoliła, by orzeźwiający strumień lodowatej wody wypłukał jej z głowy głupie myśli. I bez wymyślania, że może mieć raka szyi, jej sytuacja była fatalna. Na samą myśl, że od wczoraj zdążyła się jeszcze pogorszyć, Zoja poczuła jak strach zaciska jej pętlę wokół szyi.

– Nie zrobiłam tego... – wyszeptała, podnosząc głowę i spoglądając na swoje odbicie w lustrze. Do zaczerwienionych od braku snu oczu, zaczęły napływać łzy. – Nie zrobiłam... – powtórzyła, wciąż nie do końca wierząc samej sobie.

A jednak, nie zrobiła. I postanowiła, że musi sprawdzić, czy postąpiła słusznie. Zaciskając mokre dłonie na brzegu umywalki, obejrzała się w kierunku pokoju, a dokładnie łóżka, na którym stało drewniane pudło.

– Czy jest tu jakaś sala z rzutnikiem albo telewizorem na którym mogłabym to obejrzeć? – zapytała dziewczynę w recepcji kilka minut później, pokazując na płytę DVD, na której po francusku, czarnym, wodoodpornym flamastrem ktoś napisał: „Anna. Preuve”.

– Przykro mi ale nie udostępniamy gościom sal konferencyjnych...

Patrząc dziewczynie w oczy, Zoja wyjęła z kieszeni sto euro i położyła na blacie.

– Chcę wynająć – wyszeptała nachylając się nad blatem. – Najwyżej na pół godziny. Nikt nie zauważy – jakby na potwierdzenie tych słów, rozejrzała się po pustym hallu.

Krzesło obrotowe uderzyło o szafkę z tyłu, kiedy dziewczyna energicznie wstała, zabrała z blatu pieniądze i wyjęła z szuflady pęk kluczy.

– Tu jest pilot od odtwarzacza – powiedziała, kładąc szare urządzonego wielkości dżojstika na jednym ze stołów, ustawionych w rzędzie na środku sali o wysokich ścianach, zakończonych łukami, które płynnie łączyły się z malowidłami na suficie, przedstawiającymi sceny z Nowego Testamentu.

– Najwyżej pół godziny – dodała, kierując się w stronę drzwi. – A jeśli ktoś tu zajrzy, ja nic o tym nie wiem.

Kiedy odgłosy kroków recepcjonistki ucichły w korytarzu, Zoja zamknęła drzwi na klucz i pozastłaniała wszystkie rolety. Potem podeszła, szybko uruchomiła plazmowy telewizor, zasłaniający połowę ściany i włączyła DVD, kładąc płytę na szufladzie, która po chwili wolno wsunęła się do środka.

Przysiadła na brzegu stołu i drżącą dłonią nacisnęła na przycisk startu odtwarzania.

Kolejne sekundy mijały, ale na ekranie wciąż wyświetlało się jedynie logo Sony, płynące od góry do dołu i na boki. Dopiero po chwili, która wydała się Zoji wiecznością, w sali rozległo się trzeszczenie, jakby ktoś próbował odtworzyć winylową płytę, która co chwila się zacina. Zoja szybko zrozumiała, że na płycie jest nagrany jedynie dźwięk.

Po chwili z głośników zaczął dobiegać głos starca. Matowy i pozbawiony wyrazu, brzmiał niczym echo głosu silnego człowieka, którym był pewnie dawno temu. Na szczęście dla Zoji, mówił płynną

angielszczyzną.

Nazywam się Rajmund Hirshke. Urodziłem się drugiego stycznia tysiąc dziewięćset dwudziestego roku w Berchtesgaden w Niemczech.

Tu pojawiał się szelest, jakby brał do ręki kartkę.

Oświadczam, że składam zeznania pozostając w pełni sił umysłowych. Nie łączą mnie, ani nikogo z mojej rodziny, żadne powiązania z Bankiem Watykańskim.

Znów szelest papieru, jakby odkładał kartkę.

To co wiem mówiłem już wcześniej i to wielokrotnie. W tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym byłem przesłuchiwany jako świadek podczas procesu przeciwko Heinrichowi Himmlerowi, numer akt TNHH jeden dziewięć cztery pięć dwanaście. Dwudziestego września tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, Reichsführer SS osobiście przywiózł do twierdzy Berghof dwie dziewczynki. Pamiętam to jak dziś. Było ciepło, i od wschodu wiał lekki wiatr, taki jeszcze pachnący latem. Kiedy dziewczynki wchodziły po schodach na taras, trzymały się za ręce. Miały na sobie identyczne sukienki w maki i krótkie, kręcone włosy w kolorze miodu. Wyglądały jak lalki. Himmler cały czas szedł kilka kroków za nimi. Wyraźnie mu zależało na tym, żeby jak najlepiej wypadły, obie. To nie były pierwsze dzieci, które przywiózł do Berghof. Frau Braun od dawna czuła się samotna. Przez wiele miesięcy widziałem wiele innych dziewczynek. Były prezentowane Frau Braun i Panu Adolfowi. Wszystkie były jednak odsyłane, najdalej po kolacji. Te dwie zostały. Pamiętam jaki wyraz twarzy miała Frau Braun, kiedy im się przyjrzała. Była zachwycona. Pan Adolf jak zawsze czekał z tyłu, milczał. Dopiero kiedy Frau Braun wyciągnęła ręce w ich stronę w matczynym geście, pan Adolf rozpromienił się i odetchnął. Dziewczynki wcale nie były przestraszone. Od pierwszej chwili nie bały się ani jej, ani jego. Bo i nie było się czego bać. Już kilka minut po przywitaniu zaczęły się bawić z Frau Braun. Dała im lalki, z prawdziwymi włosami i szczotki z włosia dzika, żeby mogły je czesać. Nie mówiły po niemiecku, chociaż zdawały się rozumieć niektóre słowa. Wyglądało na to że ich ojczystym językiem był francuski. Zdarzało się też, że mówiły po polsku. Frau Braun, dotąd nie chciała słyszeć ani słowa w tym języku, ale gdy dziewczynki mówiły między sobą, nie zwracała im uwagi. A przecież Frau Braun nie lubiła Polaków, czasem można było odnieść wrażenie, że bardziej niż pan Adolf Juden. O Juden ona nie wypowiadała się prawie wcale. Widać było, że ten temat sprawia jej przykrość. Chociaż przy panu Adolfie nigdy nie dała tego po sobie poznać.

Tego dnia, kiedy Himmler przywiózł dziewczynki, pan Adolf zabrał go do gabinetu. Wiedziałem dokąd idą, bo wcześniej wiele razy ich śledziłem. Tak, podsłuchiwałem, ale to co słyszałem zawsze zatrzymywałem dla siebie. Odkąd jako młody chłopak zacząłem pracę w Berghof, dopingowałem pana Adolfa i trzymałem kciuki za naszą wygraną. A dzięki temu, że podsłuchiwałem, miałem dostęp do najświeższych informacji z frontu. Pan Adolf nigdy nie poruszał ważnych tematów przy Frau Braun. Wydaje mi się, że nie chciał, żeby o czymkolwiek wiedziała. Nie bywał w Bergen często, ale kiedy już przyjeżdżał, zawsze starał się trzymać ją z dala od tematów o wojnie. Frau Braun chorowała na depresję. Jakiegokolwiek złe informacje mogłyby skłonić ją do kolejnej próby samobójczej, tak przynajmniej twierdził pan Adolf, zabraniając nam mówić jej o czymkolwiek. I kazał nam pilnować jej dzień i noc. Właśnie po to przywiózł jej dziewczynki. Żeby przestała myśleć o złych rzeczach. Ona bardzo chciała być matką, bardzo.

Wtedy, dwudziestego września, stanąłem pod ścianą w spizarni i przyłożyłem ucho do kratki wentylacyjnej. Pan Adolf akurat mówił do Himmlera, że obecność dziewczynek w Berghof ma zostać

tajemnicą. Ktokolwiek by o tym wspomniał, miał zostać rozstrzelany. Himmler bardzo nalegał, żeby dziewczynki pobyły z Frau Braun przez kilka tygodni, a potem zostały zwrócone. Wiele razy padały z jego ust słowa święty kamień, Francja i Montsegur. Himmler wymieniał też inne miejsca, wspominając nazwisko Otto Rahn, i obaj zgodzili się, że te prace są bardzo ważne dla Trzeciej Rzeszy. Himmler cały czas upierał się, że właśnie dlatego dziewczynki muszą zostać poddane badaniom. Im bardziej nalegał, tym bardziej pan Adolf stawał się nieugięty. Powtarzał tylko, „Eva to z nich wyciągnie, zobaczysz mój drogi”. Himmler wyjechał wściekły i nie zaglądał do Berghof przez wiele tygodni. Pan Adolf zaczął bywać o wiele częściej. Dziewczynki stały się mu bardzo bliskie. Dbał o nie. Dostawały zabawki, ubrania, a kilka razy pan Adolf zgodził się, żeby poleciały do Paryża razem z Frau Braun. Wróciły takie szczęśliwe!

Kilka miesięcy później wiosennego dnia w twierdzy znienacka zjawił się Himmler. Stałem w kuchni, pomagając kucharce obierać ziemniaki i widziałem przez okno, że był wściekły. Od progu dopytywał o dziewczynki. Wyglądało na to, że chce je zabrać. Frau Braun nie była zadowolona. Po rozmowie z nim zamknęła się w swoim pokoju. Kazała mi je zabrać. Wtedy pierwszy raz zostałem z dziewczynkami sam. Miałem okazję dokładnie się im przyjrzeć. Choć wyglądały identycznie, w środku bardzo się różniły. Nosiły imiona Zofia i Sara. Frau Braun bez trudu umiała je rozróżnić, bo wiązała im kolorowe wstążki we włosach. Zofii czerwoną, a Sarze niebieską. Te kolory wcale nie były przypadkowe. Zofia była bardziej nerwowa, żywa, chwilami agresywna. Ciągłe powtarzała, że ciocia Eva jest dla nich dobra, ale mama była lepsza. Sara od początku nie miała oporów, żeby zwracać się do Frau Braun mamó. Jedynie do pana Adolfa obie zwracały się jednakowo. Nazywały go pappi. I kiedy przyjeżdżał do Berghof, rzucały mu się na szyję. Frau Braun wiele razy była o to zazdrosna. Wmówiła sobie, że dziewczynki bardziej lubią jego, niż ją. I wciąż nalegała, żeby dopełnić formalności. Kilka tygodni później w Berghof znów zjawił się Himmler. Zamknęli się z panem Adolfem w jego gabinecie. Znów położyłem się przy kratce, nadstawiając ucha.

W tym miejscu nastąpiła cisza, po której dało się słyszeć, że głos mężczyzny zaczyna się łamać, jakby mówienie przychodziło mu z trudem.

Za dużo emocji, przepraszam. Dziś żałuję, że wtedy to zrobiłem. Gdybym nie podsłuchiwał, moje życie pewnie wyglądałoby dziś inaczej...

Od początku mówili podniesionymi głosami, szybko, jakby mieli mało czasu. Pan Adolf wyrzucał Himmlerowi, że pod jego nieobecność pojawia się w Berghof. Oskarżył go, że w ten sposób pogarsza stan psychiczny Frau Braun. Himmler nie słuchał. Po raz pierwszy powiedział o czymś takim jak Ewangelia Apostolic, która pomoże im odnaleźć resztę kamienia. Z tonu jego głosu dało się wywnioskować, że chodzi o jakąś naprawdę wielką sprawę. Próbował tłumaczyć panu Adolfowi, że są już blisko, a nawet mają jakieś starożytne rękopisy. I że na tym etapie potrzebna jest obecność dziewczynek. Wtedy pan Adolf zapytał „ilu?”, a Himmler wspomniał o jakichś trzech mężczyznach z tajemnego bractwa o dziwnej nazwie, coś jakby Chrystus czy Christo. Pan Adolf uderzył pięścią w stół i odpowiedział, że pozwoli mu zabrać dziewczynki tylko jeśli żaden z członków bractwa nie będzie żył. Himmler zaczął krzyczeć, że to on znalazł dziewczynki i są jego własnością. Pan Adolf powiedział wtedy coś, czego nie zapomnę do końca życia. Zwrócił się do Himmlera mówiąc: „to są moje córki Heinrichu. Zofia i Sara to dzieci moje i Ewy. Zapamiętaj to.”

Trzy dni później dziewczynki zostały adoptowane, ale o tym dowiedziałem się dopiero kilka dni po uroczystym obiedzie, na którym zjawili się najbliżsi przyjaciele pana Adolfa i Frau Braun. Himmlera nie było... Zaraz po tym dostałem rozkaz zawiezienia dokumentów do głównego urzędu Rzeszy w Monachium. Pan Adolf wiedział... On wiedział, że podsłuchiwałem. „A skoro wiesz już tak wiele możesz dowiedzieć się także i o tym”, powiedział i wręczył mi dokumenty. Rano dostałem do dyspozycji

dwóch żołnierzy SS i samochód z kierowcą. Pamiętam, że dojechaliśmy w nocy i w Monachium upiliśmy się z esesmanami. Nabrałem odwagi. Otworzyłem teczkę. W środku były dokumenty adopcyjne. akty urodzenia dziewczynek ściągnięto z Saint Maximin la Sainte Baume. Ich matka była francuską żydówką, a ojciec Polakiem. Przed adopcją nazywały się Trocińskie, to było nazwisko panięskie ich matki. Po adopcji, ze względu na to że Frau Braun nie była żoną pana Adolfa, dostały jej nazwisko. W dokumentach wyglądało to tak, jakby to ona je adoptowała... Zofia i Sara Braun, urodzone w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku w Monachium.

Dźwięk zanikł, jakby płyta się zacięła. Po kilkunastu sekundach głos mężczyzny rozbrzmiał ponownie.

Dziesiątego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego w Berghof pojawiło się trzech esesmanów. Powiedzieli, że dostali rozkaz od Himmlera i mają zabrać dziewczynki do Berlina. Frau Braun wpadła w szal. Jednym z wysłanników Himmlera okazał się jej bliski przyjaciel, Herman Fegelein, mąż jej młodszej siostry Gretl. Frau Braun rozkazała mi ukryć dziewczynki. Zabrałem je do bunkra w podziemiach. Nagle Zofia zaczęła się modlić. Zapytałem co to za modlitwa, a ona odpowiedziała że „to modlitwa mamusi do mamusi”. Do dziś pamiętam słowa.

W tym miejscu dało się słyszeć, jak bierze oddech, by po chwili zacząć recytować.

„Zdrowaś Mario, Łaskiś pełna, Chrystus Pan z Tobą, Błogosławionaś Ty między trzema Niewiastami i ród Twój po wieki. Święta Mario, łaskiś pełna, synaś Bożego matką, Błogosławionaś Ty, i błogosławiony owoc łona Twego. Zdrowaś Mario, Łaskiś pełna, módl się za nami grzesznymi, Teraz, i zawsze, i po wsze czasy.”

Było ciemno, ale latarka dawała trochę światła. Siedząc z boku widziałem, że kiedy Zofia skończyła się modlić, obie wykonały na piersi znak krzyża. I Sara wyszeptala „ani żadnej rzeczy, która jego jest”, wstała, podeszła do mnie i jedną ręką objęła moją dłoń, a drugą wykonała mi na czole znak krzyża. W tamtej chwili dotarło do mnie, że dziewczynki są wyjątkowe. Biła od nich energia, ciepło, coś takiego, co sprawiało, że człowiek zaczynał żałować każdej złej rzecz, jaką w życiu zrobił. Nie zawsze to się czuło, ale wtedy, w bunkrze, tak. Nie da się tego zapomnieć.

Jeśli mogę czegokolwiek żałować, to tylko tego, że nie mogłem być z nimi dłużej. Kilka dni po nieudanej próbie porwania dziewczynek, Frau Braun wyjechała do Berlina, gdzie czekał na nią pan Adolf. Dziewczynki zostawiono pod opieką moją i dwóch nianiek. Następnego dnia przyjechał konwój esesmanów poprzebieranych za wieśniaków i zabrali nas, a także dwa psy, Blondi i Huse. Zaraz po naszym wyjeździe twierdza Berghof została zbombardowana. Ulokowali nas w austriackim klasztorze, zrujnowanym i spalonym, ale było jeszcze kilka łóżek i w kuchni dało się coś przygotować. Kilku mnichów zostało, nie wychodzili z cel. W nocy karmili tylko psy i wyprowadzali je na spacer, bo to nakazał im jeden z esesmanów. Tydzień później dołączyli do nas Frau Braun i pan Adolf. Byli wycieńczeni i też mieli na sobie przebrania. Wieczorem pan Adolf zabrał psy na spacer. Poprosił mnie, żebym mu towarzyszył. Pomogłem mu podać im truciznę i zakopać. Wtedy pierwszy i jedyne raz widziałem jak płakał... Byłem z nimi przez jeszcze jeden dzień. Opiekowałem się dziewczynkami, kiedy Frau Braun i pan Adolf szykowali wszystko do wyjazdu. Następnego dnia późnym wieczorem przyjechał cywilny samochód. Furgonetka z wymalowanymi po bokach czerwonymi krzyżami. Frau Braun i Pan Adolf znów mieli na sobie ubrania, których nie zwykli nosić na co dzień. Byli przebrani w brudne łachmany. Gdybym nie wiedział że to oni, nigdy bym ich nie poznał. Dziewczynki miały na sobie sukienki i grube palta. Płakały. Prosiły pappi żeby zabrał mnie z nimi. Pan Adolf nie widział takiej możliwości i powiedział mi o tym. Poza tym chciałem wrócić do Berghof, do matki. Nigdy więcej ich nie spotkałem.

Kiedy w sali zapadła cisza, trzęsącą się ręką Zoja wyjęła z kieszeni Samsunga i spojrzała na zegar na wyświetlaczu. Odkąd recepcjonistka zostawiła ją tu samą, nie minęło nawet pół godziny. Chciała jak najszybciej wyjść i usiąść na świeżym powietrzu. Z nerwów zaczęło jej brakować tchu. Trzęsa się na całym ciele, do tego stopnia, że gdy podniosła pilota, wypadł jej z rąk. Schyliła się, żeby go podnieść, a wtedy coś zaczęło się dziać. Gwałtownie odwróciła głowę, spoglądając na ekran.

To jeszcze nie koniec, przeraziła się, słysząc pierwsze dźwięki niemieckiego hymnu, a raczej zakazanej po wojnie pierwszej zwrotki. Ekran telewizora zajaśniał, hymn ucichł, a przed oczyma Zoi ukazało się czarno-białe ujęcie placu, na którym dziesiątki tysięcy Niemców z opaskami na ramieniu salutuje Hitlerowi. Podpis pod pierwszym ujęciem informuje, że to archiwalny film z Monachium nakręcony w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku. Okrzyk „Heil Hitler!” płynie nagle z setek tysięcy gardeł. Potem ekran spowija ciemność, z której wyłaniają się dzieci w pasiakach, podobne do tych, których twarze widziała Zoja na zdjęciach w mieszkaniu na Przemysłowej. Są śmiertelnie przestraszone. Z twarzy dziewczynki o ogromnych wystraszonych oczach, jedzącej zachłannie kawałek chleba, ujęcie przenosi się do wnętrza baraku, wyposażonego w metalowe łóżka zasłane białą pościelą. Jakaś pielęgniarka podchodzi kolejno do każdego, odsłaniając okryte kołdrami leżące na nich dzieci. Kamera wędruje wzdłuż ich ciał, ukazując kolejne etapy eksperymentów. Dziewczynka z czarnymi plamami na brzuchu i nogach. Obok niej chłopiec z otwartą raną brzucha i wsuniętym w nią ssakiem, przez który płynie brunatna ciecz wprost do narządów. Na kolejnych łóżkach dzieci z widocznymi ubytkami kończyn; jedno bez nóg, inne bez ręki, jeszcze inne bez dłoni lub z wyciętym fragmentem skóry, tak dużym, że doskonale widać pracę mięśni, gdy pielęgniarka każe mu podnieść nogę i pokazać do kamery. Większość z dzieci jest łysa i skrajnie wychudzona. Na koniec pokazane łóżeczka z noworodkami. Zrośnięte brzuchami bliźnięta, z widoczną linią szwów idących od pachwin aż po klatkę piersiową, próbujące machać rączkami...

I znów zmiana ujęcia, w tle wzniosła muzyka, a na głównym planie mężczyzna w białym fartuchu. Mówi po niemiecku, tyle że nie słyhać jego głosu. Podpisy w dwóch językach – angielskim i niemieckim nadążają za ruchem jego ust. „Eksperymenty wchodzą w kluczową fazę. Jesteśmy blisko osiągnięcia celu. Wiedza, która umożliwi nam rozkwit pracy nad idealną rasą nadludzi, jest na wyciągnięcie ręki. Europejska medycyna wkrótce wykona milowy skok w przyszłość”.

Po jego słowach zbliżenie na twarz z rysującym się na niej uśmiechem, a potem przejście kamery w coś jakby promień światła, rozlewający się na cały ekran. I nowy obraz. Ogród. Pielęgniarki noszące na rękach maleńkie dzieci. Podpis „Lebensborn”. Kobiety o słowiańskim typie urody, w kwiecistych sukienkach, machające do kamery. Niemieccy oficerowie, biorący dzieci z rąk pielęgniarek, dumnie prezentujący je do kamery. I znów zmiana ujęcia. Muzyka przechodzi z wesołej w smutną. Na ekranie pojawiają się obrazy zniszczonego Berlina. Podziurawiona flaga SS zwisająca z jednego z budynków. I niemieccy żołnierze, brudni, wycieńczeni, salutujący resztkami sił w kierunku przechadzającego się wśród nich Hitlera. Po tym następuje najazd kamery. Fuhrer wpatruje się prosto w obiektyw. Obraz jego twarzy powoli wypełnia cały ekran, by po chwili zmienić się w obraz swastyki. Na nazistowskim symbolu widać coraz wyraźniej czarny napis – ARBEIT MACHT FREI, a potem także SIEG HAIL! Całą salę wypełnia głośny okrzyk SIEG HAIL! SIEG HAIL! SIEG HAIL!, a po nim całkowita cisza. Ujęcia na ekranie znacznie przyspieszają. Obraz zmienia się z czarno-białego w kolorowy. Widać, że ta część filmu musiała zostać nakręcona o wiele później. Kolejne obrazy ukazują dzieci, duże grupy prowadzone za rękę przez kobiety w białych kitlach. W tle mury klasztoru. Dzieci machają do kamery. Po chwili znikają za bramą. I znów nowe ujęcie. Sala szpitalna. Dzieci w kolejce czekają na pobranie krwi, inne są mierzone i ważone. Po tym najazd kamery na okno i wyjście na zewnątrz, na plac otoczony murami. Na placu kamera pokazuje apel. Dzieci stoją w szeregach. Przed nimi powiewa flaga SS i sporych rozmiarów portret Hitlera. Krzyczą SIEG HAIL!, a potem unoszą wysoko wyprostowane ręce. Na kolejnym ujęciu widać

chłopców w wieku około piętnastu, szesnastu lat. Mają na sobie mundury. Kilku chłopców trzyma w rękach proporce z flagą, na której widać swastykę na tle trzech pasów w kolorach czerwonym, białym i znów czerwonym. Chłopcy salutują. Wołają HEIL HITLER! na zmianę z JUDEN RAUS! Kolejne ujęcia pokazują zdjęcia z przebiegu musztry i nauki strzelania. Chłopcy wyglądają na przejętych, podnieconych. Potem znów w tle słychać niemiecki hymn. Setki dzieci stojących na placu. I okrzyk DEUTSCHLAND, DEUTSCHLAND, UBER ALLES!, brzęczy w ich ustach niczym wojenna pieśń. I znów zaciemnienie, a po nim postać kobiety. Wysoka, na oko czterdziestoletnia, w mundurze SS stoi na wprost kamery z rękoma splecionymi na plecach. Zoja natychmiast rozpoznała ją ze zdjęć. Chwilę później pod zdjęciem pojawia się podpis – Anna Braun, wnuczka Adolfa Hitlera.

Zoja zamarła. Pierwszy raz w życiu usłyszała głos swojej matki, próbującej przekonać widzów, że Hitlerjugend to przyszłość Europy i świata. „W tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku zostało nas niewiele. Dziś młodzież z całego świata znów zaczyna wierzyć, że nacjonalizm jest jedyną słuszną drogą do stabilnego i świadomego rozwoju wybranych narodów, dla których potrzeba miejsca i jasnej deklaracji – to do was należy Europa. Od was zależy przyszłość nasza i wasza. SIEG HAIL!”

– Niech pani to natychmiast wyłącz! – dał się słyszeć kobiecie głos, dochodzący z korytarza. Zoja natychmiast go rozpoznała. Dziewczyna z recepcji. Musiała usłyszeć fragment filmu z okrzykami... Przerażona Zoja, wciąż jeszcze będąc w szoku, wyjęła płytę z odtwarzacza i czym prędzej poodstaniała rolety, zasłaniając oczy przed ostrym światłem, jakie zniecka wypełniło wnętrze sali konferencyjnej. Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

– Jak pani śmie! Jak pani mogła puścić w takim miejscu coś tak potwornego! – wysyczała przez zęby recepcjonistka, czerwieniejąc na twarzy.

Zoja minęła ją bez słowa i pobiegła schodami na górę.

Wbiegła do komnaty, porwała z łóżka plecak, leżący pośród rozsypanych zdjęć, listów i pamiątek, jakie wysypała wcześniej z drewnianego pudełka, szukając płyty. Wyszła na korytarz i zastukała do drzwi pokoju Serge`a, ale nikt nie odpowiadał. Spróbowała jeszcze raz, a potem zrobiła to samo, stając trzy pary drzwi dalej, pod pokojem Piotra. Też nic. Coraz bardziej zdenerwowana, podbiegła do kolejnych, za którymi spodziewała się zastać Pietra...

– Jest tam ktoś? – zapytała, łomocząc pięścią w drzwi.

– Otwarte! – usłyszała znajomy głos, ale nie było to Pietro, lecz Serge.

Zajrzała do środka, ze zdumieniem zauważając, że są tam wszyscy trzej. Piotr i Serge siedzieli przy stoliku w rogu, a Pietro z jakimś pudełkiem na kolanach na łóżku na wprost nich. Sprawiali wrażenie, jakby przerwała im w połowie jakąś ważną rozmowę.

– Już wszystko wiem... – powiedziała, z trudem wydobywając z siebie głos. – Wiem o adopcji Zofii i Sary przez Evę Braun... O ich tajemnicy i świętym kamieniu, którego szukał Himmler w Montsegur... O tym jak uciekły z nią i Hitlerem do Ameryki... O eksperymentach, rabunku dzieci... – zaczęła płakać – a także o tym, że moja matka jest nazistką...

– Była – poprawił ją Serge, ze smutkiem spoglądając w okno.

– Jest – powiedziała dobitniej Zoja. – Assendrich, ten bakier, który woził listy do Sary, Ewy i Adolfa, powiedział wczoraj, że Anna Braun była u niego w Sankt Gallen jakieś dwa tygodnie temu. A potem dał mi pudło, które podobno moja babka zostawiła dla mnie, z prośbą, żeby przekazał mi je do rąk własnych. Ona wiedziała... – Zoja spojrzała kolejno w oczy Piotra, Serge`a i Pietro. – Wiedziała, że przyjdą ją zabić, że Anna będzie chciała odzyskać święty kamień i że jeśli przekaże mi pudło, a w nim ukryje film – wyjęła płytę i pomachała nią – zrozumieć więcej, niż gdyby opowiedziała mi o tym sama.

– Jaki film? – zdziwił się Pietro.

– Na płycie znajdują się dwa nagrania. Pierwsze to zeznanie Niemca, Rajmunda Hirshke, który jako

młody chłopak pracował w Berghof i był świadkiem jak...

– Jak Himmler przywiózł do twierdzy dwie dziewczynki, dwudziestego września tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku... – dokończył Pietro.

– Skąd wiesz??? – krzyknęła Zoja, zakrywając usta dłonią.

– A ten drugi film? – zapytał Pietro, dając jej znak, że teraz on zadaje pytania.

Zoja spojrzała na Serge`a i Piotra, szukając w ich oczach odpowiedzi albo czegokolwiek, co mogłoby jej pomóc zrozumieć. Tymczasem obaj z kamiennym wyrazem twarzy wpatrywali się w nią, jakby czekali, co wydarzy się za chwilę.

– Drugi film na początku pokazuje Josefa Mengele, obozy i eksperymenty na dzieciach...

– A potem, ośrodki Lebensborn, uśmiechnięte Polki z dziećmi na rękach, niemieckich oficerów i na końcu przesłanie Anny Braun, propagandystki neonazistów, nakręcone kilka dni po atakach na World Trade Centre, w którym wzywa młodych ludzi do zjednania się w duchu nacjonalizmu.

– Nie wierzę... – wyszeptała Zoja i usiadła na podłodze, kładąc głowę na kolanach, i zasłaniając się rękoma – Nie wierzę... – kręciła głową. – To po prostu niemożliwe – podniosła wzrok na Pietra. – Czy naprawdę wszyscy wiedzą, tylko nie ja?

– Ja nie wiedziałem – wyznał zniechęca Serge. – Dopóki dwadzieścia lat temu nie poznałem Pietra Cippo.

– Kim ty jesteś? Bo że jesteś zwykłym historykiem, jak przedstawił cię Serge, nie uwierzę...

– Pozwól Pietro, że ja odpowiem – wtrącił Serge, zatrzymując przyjaciela w ostatniej chwili, zanim zdążył zabrać głos. Spojrzał na Zoję z przeproszającą miną.

– Nie mogłem ci powiedzieć. Bałem się, że jeśli zatrzymają cię w banku... Oni są zdolni do wszystkiego. Odkąd mają Saszę, ty przestałaś mieć dla nich aż tak duże znaczenie. Oczywiście, wciąż liczą na to, że dostarczysz im szkatułę... ale prawdę mówiąc, są w stanie odnaleźć ją sami. Potomkowie Marii Magdaleny i dzieci członków Bractwa Chryzmonu, mają dar. Kamień, cały, nie ten kawałek, który odnalazł Himmler posługując się biednym Otto Rahmem, prędzej czy później trafia w ich ręce, nawet jeśli go nie szukają. Sangraal, kamień świętej krwi, zwany kielichem nieśmiertelności, wraca do swoich właścicieli – westchnął, jakby ciężko było mu o tym mówić. – A Pietro, mój Boże... czasem trudno mi w to uwierzyć... Jest jednym z najbardziej znanych na świecie łowców nazistów.

– Łowca nazistów? – powtórzyła Zoja, patrząc na Pietra, jakby nagle zobaczyła w nim kogoś zupełnie innego, niż jeszcze chwilę temu, zanim weszła do komnaty. – A więc... – zaczęła grzebać w plecaku – może będziesz w stanie... – dodała z nadzieją w głosie, podając mu niewielki przedmiot – Rosyjski biznesmen nazwiskiem Fiodorow zapłacił za to dwanaście milionów dolarów... Raport sporządzony przez agentów Federalnego Biura Śledczego... – próbowała wyjaśnić, ale widząc że Pietro nie słucha, zamilkła.

Pietro wziął od niej mikrodyisk, a po chwili...

Zoja nie mogła uwierzyć, że to co widzi, dzieje się naprawdę.

– Neeeeee! Co ty wyprawiasz?!? – zdążyła krzyknąć, ale noga Pietra już opadła. But rozgniół mikrodyisk, który rozprysnął się po podłodze jak klocek Lego.

– Gdyby zapytali, dałbym im ten raport za darmo – splunął na leżące pod łóżkiem kawałki karty, pokryte milionem niewidocznych kabelków. – Stany Zjednoczone nie tylko przyczyniły się do ucieczki większości z nich, ale i za pomocą podobnych dokumentów, próbują zwałać winę na inne kraje. Mój ojciec został zastrzelony na ulicy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku. Miałem wtedy tyle lat, co ty teraz. Gdybym był starszy i nie mieszkał z nim w Norymberdze w czasie procesów, pewnie nie wziąłbym sobie do serca tego co zdążył mi przekazać przez te wszystkie lata. Ale byłem młody, młody i głupi... Uwierzyłem, że tak jak mówił ojciec, sprawiedliwość musi w końcu zwyciężyć. Dostyc szybko stało się to moją obsesją. Poświęciłem całe życie, żeby ich dopaść. Przejechałem pół świata, śledząc ich i zbierając dowody. Latami szukałem ludzi, źródeł... To ja nagrałem zeznania Rajmunda Hirshke.. Nie

tylko on potwierdził, że Hitler i Eva Braun z dwójką dzieci uciekli...

– Ale skoro tak, dlaczego tego nie nagłośniłeś? Dlaczego pozwoliłeś, żeby to wciąż było tajemnicą? Pietro zaczął się śmiać. Jego gorzki śmiech, poniósł się przez pokój, uderzając Zoję prosto w twarz, jak cios w policzek. Po chwili Pietro otworzył walizkę i wyjął z niej teczkę. Otwierając ją, podał Zoji. Kiedy zajrzała do środka, okazało się, że jest tam mnóstwo wycinków z gazet. Setki, tysiące, z przerażającymi nagłówkami.

„Marsz Legionistów SS w Rydze”, „Poważny problem Niemiec, neonaziści coraz bardziej brutalni”, „Marsz niemieckich neonazistów ku czci Rudolfa Hesa”, „Atak na mieszkańców romskiego osiedla w Monachium”, „Żydzi do gazu – koszmarny napis na budynku zamieszkiwanym przez Żydów”, „Pięć spalonych samochodów, podpalacze krzyczeli Heil Hitler!”, „Nazistowskie symbole w nowojorskim metrze”...

– To tylko ułamek całości – wyjaśnił Pietro. – W Paryżu płoną żydowskie dzielnice. W Polsce codziennie dochodzi do podpaień romskich osiedli. W mieście Wrocław niedawno spalono publicznie kukłę Żyda. W Stanach Zjednoczonych wniesiono poprawkę do konstytucji, rzekomo mającą gwarantować wolność wypowiedzi. W rzeczywistości zalegalizowano działalność organizacji pragnących powrotu nazizmu. Zezwolono także na legalne rozprowadzanie symboli nazistowskich... W Europie też nie jest lepiej. Nie mówi się o tym, że pojawia się coraz więcej organizacji neonazistowskich. W samej Wielkiej Brytanii jest ich dziesięć. O większości tych spraw media nie informują albo wzmianki są szybko wyciszane, z oczywistych względów. Ludzie boją się powrotu nazistów, ale nie zdają sobie sprawy, że czasy zaczynają przypominać te, w których Hitler doszedł do władzy.

Zoja odłożyła teczkę z wycinkami z gazet i wstała, po czym zaczęła się nerwowo przechadzać wzdłuż ściany.

– Ale może gdyby ten raport... – myślała na głos. – Może gdyby dać go ludziom z Wikileaks... Gdyby dołączyć do tego zeznania tych ludzi, którzy widzieli jak Hitler uciekł...

– Zapominasz o czymś – przerwał jej Pietro i też wstał. – Rola Watykanu, a dokładnie Watykańskiego Banku, jest tu kluczowa. Nie weszłaś do sejfów w Begelin&Co, prawda?

Zoja poczuła się przyłapaną. Zamarła, kompletnie zbита z tropu. W ferworze wydarzeń, zapomniała o tym, czego obawiała się jeszcze godzinę temu – że będzie się musiała jakoś wytłumaczyć z tego, że nie miała odwagi wejść do sejfów.

Kiedy kroki Assendricha na schodach ucichły, a ona została sama w bunkrze, raz jeszcze wszystko przemyślała, analizując dokładnie każde jego słowo. Ich spotkania nie można byłoby zaliczyć do udanych. Assendrich nie był jej przychylny. Kiedy w trakcie rozmowy wspomniał o jej matce, wyczuła w jego głosie pogardę, z jaką zaczął się do niej zwracać chwilę później. I to, w jaki sposób spojrział na klucz, kiedy położyła go na drewnianej podkładce... Musiałaby być skończoną idiotką, żeby nie widzieć tego szaleńczego błysku w jego oczach, który znikł tak szybko jak się pojawił.

„To nie ten klucz” – pomyślała natychmiast po tym, kiedy wyszedł, zostawiając ją samą w gabinecie. A kiedy wrócił, niosąc w rękach pudło z Gwiazdą Dawida i szybko niemal rzucił je na jej kolana, jakby brzydził się samego widoku symbolu Juden, uznała że babka Zofia nie zostawiła tego dla niej przez przypadek...

– Gdyby chciała, żebym weszła do sejfów, nie zostawiałaby u niego pudełka – wyjaśniła Zoja, patrząc na zawiedzione miny Serge'a, Piotra i Pietra, który, jak dopiero teraz zauważyła, stał w kącie, nachylając się nad jakimś pudełkiem, wyglądającym jak opakowanie po butach.

– Ty dostałaś jako wiadomość dłoń siostry Hummel, która uczyniła z zakonu w Palatynacie kryjówkę diabła... A ja, dla odmiany dostałem dłoń sekretarza Angenera... – przeszedł przez pokój i zniemacka pokazał Zoji to, co leżało na dnie pudełka.

– *Iam tempus est...* – wyszeptała, odczytując z odciętej dłoni napis wytatuowany pod znakiem

chryzmonu.

– *Iam tempus est*, czyli już czas... – wyjaśnił jej Serge, podchodząc bliżej.

Jedynie Piotr trzymał się z daleka, wciąż siedząc na fotelu i obserwując ich bez ani jednego słowa.

– To znowu ty! – krzyknęła Zoja oskarżycielskim tonem, celując palcem w pierś Piotra.

Spojrzał na nią z zaskoczeniem, tak samo jak Pietro i Serge.

– Tym razem nie mam z tym nic wspólnego! Ojciec Bruno wytypował do tego zadania innego członka bractwa...

Spojrzała na niego z furią w oczach.

– Nie wierzę ci! Jesteś kłamcą!

– Zoja! Przywołuję cię do porządku! – odezwał się nagle Serge.

– A ty jeszcze go bronisz... – powiedziała Zoja z wyrzutem, kręcąc głową.

– Nikogo nie bronię. Ale to nie jest czas na to, by się wzajemnie oskarżać. Pietro dostał znak. Niemal taki sam, jak ten, który dostałaś ty. To coś znaczy, nie sądzisz? I jeśli mogę prosić, chciałbym, żebyśmy skupili się teraz na tym, żeby jakoś wybrnąć z opresji...

– Chcę tylko odzyskać córkę – stanowczo zaprotestowała Zoja. – Nie idę na żadną wojnę z Kościołem, ani z nazistami.

– Ty ciągle niczego nie rozumiesz... – powiedział załamany głosem Serge. – Siadaj! – wrzasnął, tracąc cierpliwość i łapiąc ją za ramię popchnął w kierunku wolnego fotela.

Wystraszona usiadła, zamierając bez ruchu. Jej twarz powoli zaczynała być bledsza niż kamienna ściana, pod którą siedziała.

– Kiedy znalazłaś dłoń, przypominałaś sobie kilka chwil z dzieciństwa i twierdzisz że nie pamiętasz co było wcześniej i później – zaczął Serge ostrym tonem. Wciąż był wściekły. – To zrozumiałe, stres, strach, silne przeżycia mogą to tłumaczyć... ale do tej pory, po tym wszystkim czego się dowiedziałaś o swojej matce, pamięć powinna już wrócić!

– Czego ty właściwie chcesz Serge? – zadała pytanie Zoja, czując jak ze strachu coś zaczyna ją dławić w gardle.

– Kiedy się spotkaliśmy pierwszy raz, Piotr opowiedział mi o tym, jak wychowywałaś się w klasztorze u stóp wzgórza Montsegur.

– Bo to prawda...

Serge pokręcił głową.

– Kłamstwo. We wsi pod ruinami zamku mieszka najwyżej kilkadziesiąt osób. Nigdy nie było tam żadnego klasztoru. Była za to mała samotnia, w której żyli strażnicy Świętego Graala, z czasem rozbudowana o stajnię i spichlerz, a także niewielki budynek mieszkalny z pięcioma izbami, otoczony wysokim murem. Ojciec Bruno strzegł cię tam jak oka w głowie. Dał ci wszystko co mógł, a ty...

– Uciekłam! Bił mnie i poniżał! Nie pozwalał na kontakty z rówieśnikami!

– Więc uznałaś, że musisz uciec – powiedział Serge i wziął do ręki plecak Zoi, wysypując z niego całą zawartość. Wziął do ręki czerwoną szminkę, którą wiozła z sobą od chwili, gdy opuściła Sheraton i zaczął bazgrać po ścianie u wezłowania łóżka.

– Hej, mój drogi, to nie jest zbyt dobry pomysł... – upomniał go Piotr, widząc jak Serge włazi w butach na łóżko, żeby było mu wygodniej pisać.

Po chwili na ścianie pojawił się napis:

IN HOC SIGNO VINCES

– *In hoc signo vinces...* w tym znaku zwyciężysz. To pierwszy znak, jaki dostałaś w wiadomości, nie licząc medalika z chryzmonem. W muzeum ci tego nie powiedziałem, bo sądziłem, że dojdiesz do tego

sama. Dałem ci tyle wskazówek... ale żadnej z nich nie wykorzystałaś. Tymczasem wystarczyło przestawić szyk liter, by znaleźć w tym zdaniu zaszyfowaną wiadomość.

Przyglądając się słowom, wybrał z nich litery G, N, O, S, I oraz S, po czym zapisał je na ścianie, kilka centymetrów niżej.

GNOSIS

– Gnosis, czyli po grecku poznanie. Gnostycy, czyli spadkobiercy tajemnicy Graala. Graal czyli Maria Magdalena, jej potomkowie i święty kamień.

Znów odwrócił się do ściany i przyłożył do niej szminkę. Tym razem fragment tapety zaczęły pokrywać inicjały Zoji.

ZOJA PIETROWNA

– Zoju Pietrowna! – spojrzał na Zoję. – Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego tak się nazywasz? Zoja odpowiedziała niezbyt pewnym głosem. Z każdą sekundą była coraz bardziej przerażona. Zdecydowanie bardziej wolała już odkrywać tajemnice nazistów...

– Podobno ma to związek z tym, że gdy byłam małą, w zakonie pojawił się pielgrzym, który nazywał się Pietrow. On nadał mi imię Zoja. A kiedy odszedł, opat dodał do tego jego nazwisko.

– Bzdura – skwitował Serge i dopisał coś szybko, na chwilę zasłaniając ścianę plecami. Gdy się odsunął na bok, oczom Zoji, Piotra i Pietra ukazał się napis:

ZOE PIETRO

– Zoja pochodzi od imienia Zoe – wyjaśnił Serge, wykręcając spory kawałek szminki, jakby za chwilę miał zamiar pisać dalej. – A Zoe oznacza po grecku życie. Kobieta o tym imieniu była rzymską męczennicą, która jako jedna z pierwszych wyznała swoją wiarę w Jezusa. Została złapana podczas modlitwy przy grobie świętego Piotra. Powieszono ją za włosy na gałęzi drzewa, a pod nią rozpalono ognisko. Straszna śmierć. Kilka wieków później, Kościół uznał ją za świętą, a jej relikwie znajdują się w Bazylice świętej Praksedy w Rzymie... Jeśli chodzi o Pietro, to jak sam Pietro może potwierdzić, jest to imię Piotr. Poza tym, że w zaszyfowanej wiadomości dostałaś znak, że macie się spotkać, ty Zoju i aż dwóch Piotrów – mówiąc to, objął spojrzeniem całą trójkę. – Trudno nie skojarzyć słowa Pietro ze Świętym Piotrem, tym samym, na grobie którego modliła się Zoe. A gdzie jest grób świętego Piotra? Oczywiście pod bazyliką w Watykanie. Jednym słowem, dodając do tego wiadomość, którą w odciętej dłoni dostał Pietro, macie tu – mówił, jednocześnie odwracając się plecami i szybko pisząc na ścianie – jasny komunikat, którego żadne z was nie było w stanie dotychczas odczytać. Tadam! – wskazał na dolną część ściany, na której znajdowały się trzy zdania, jedno pod drugim.

IN HOC SIGNO VINCES. GNOSIS. ZOE PIETRO. IAM TEMPUS EST.

W TYM ZNAKU ZWYCIĘŻYSZ. POZNAWIE. ŻYCIE PIOTRA. JUŻ CZAS.

POZNAJ ŻYCIE PIOTRA. JUŻ CZAS. W TYM ZNAKU ZWYCIĘŻYSZ.

– Życie Piotra można rozumieć jako fundament Kościoła, ukryty głęboko, tak jak głęboko znajduje się grób świętego Piotra, jednego z uczniów Marii Magdaleny i Jezusa, który przybył do Francji, żeby nauczać. Poznaj fundament Kościoła... już czas... A w tym znaku zwyciężysz, odnosi się do symbolu

Chrystusa i Bractwa Chryzmonu, które od wieków strzeże tajemnicy i jej powierników – Serge zszedł z łóżka, rzucając na pościel resztkę szminki. – Wielu ludzi musiało oddać życie, żeby prawda nie została pogrzebana na wieki. Wielu członków bractwa poniosło śmierć z rąk nazistów, gdy szukając świętego kamienia i prawdziwej Ewangelii, uciekali się do najstraszliwszych sposobów zadawania śmierci... Twój ojciec także zginął, żebyś ty mogła żyć.

Zoja powoli podniosła wzrok. Poczwała się jak w malignie.

– Co ty... – zawiesiła głos, nie mogąc wydusić słowa. – Co wiesz o śmierci mojego ojca?

– Wiem tyle samo co ty. Przypomnij sobie... Szum śmigieł helikoptera... Uginające się do ziemi kłosa zboża...

Zoja poczuła, jak robi jej się słabo. Świat wokół niej zawirował, przed oczyma zrobiło się ciemno, a ona poczuła się tak, jakby traciła grunt pod nogami...

Było piękne lato. Miała pięć, może sześć lat. Bawili się z ojcem na łące, jak zwykle kiedy znajdował dla niej chwilę czasu. Nie widywała go na co dzień. Właściwie, z tamtego okresu bardziej pamiętała babkę Zofię, a i to jak przez mgłę. Bawili się i nagle zza wzgórza nadleciał helikopter. Nawet nie słyszała kiedy padł strzał, a ojciec zniknął gdzieś pośród wysokich traw. Pobiegła w tamtym kierunku i zobaczyła... Zobaczyła przed sobą leżące na ziemi ciało. Helikopter nadal unosił się tuż nad łąką. Ale to nie z niego padł strzał. Mała Zoja wyciągnęła rękę po leżący na ziemi łańcuszek, a wtedy czarny, masywny but z cholewą nadepnął na jej dłoń. Uniosła głowę. Wyszepiała „mamo”. A matka na widok jej łez przyłożyła jej do czoła lufę pistoletu. Udała, że naciska spust, zaśmiała się i odeszła. Wtedy Zoja podniosła medalik z ziemi i zaczęła biec po łące w stronę domu. Przez całą drogę słyszała za plecami szum śmigieł helikoptera... Ostatni raz widziała babkę Zofię w kuchni. Potem ukryła się w ogromnej dziupli w starym drzewie rosnącym daleko za domem. Dzień później zjawili się jacyś mężczyźni i próbowali ją stamtąd wyciągnąć, ale nie chciała z nimi pójść, tłumacząc, że czeka na ojca. Po krótkiej szarpaninie jeden z nich zapakował ją do samochodu i kazał jej się pomodlić. Znała tylko jedną modlitwę, tę, którą nauczyła ją babka Zofia, a której ona, nauczyła się od swojej matki. Była to modlitwa do Matki.

Zoja gwałtownie odzyskała przytomność i od razu dobiegły do niej odgłosy panującego dookoła zamieszania. Pietro wachlował ją teczką, Piotr stał w otwartych drzwiach balkonowych, a Serge biegł z łazienki ze zmoczonym ręcznikiem.

– Już jej lepiej! – oznajmił Pietro, widząc jak Zoja otwiera powieki.

– Tak? To dobrze... Ale nas nastraszyłaś! – powiedział Serge, podając Zoji mokry ręcznik, którym niechętnie otarła twarz.

– Raz już tak miała – wtrącił Piotr, wchodząc z balkonu. – W Łodzi, po spotkaniu z Gołdą Nowak...

– W takim razie to może być objaw nerwicy – ocenił Pietro, przysiadając na brzegu łóżka. – Nieleczona nerwica może się bardzo źle skończyć... – pogroził Zoji.

Ona jednak nie słuchała tego, co Pietro ma do powiedzenia na temat stanu jej zdrowia. Odkąd odzyskała przytomność patrzyła jedynie na Serge'a, z miną, jakby próbowała sobie coś przypomnieć.

– Serge... – zaczęła wolno, nie wiedząc, czy dobrze robi zadając podobne pytanie. – Wiesz kto mnie wtedy uratował, prawda?

– Członkowie Bractwa Chryzmonu... Ojciec Bruno... – wydukał Serge, wyraźnie speszony.

– Nie... – pokręciła głową Zoja. – Pytając kto, mam na myśli tego, który znalazł mnie pod drzewem i potem wsiadł ze mną do samochodu.

Serge milczał, wyraźnie nie wiedząc co powiedzieć. Zbladł, a na czole pojawiły mu się kropelki potu. Znienacka w dzieleniu odpowiedzi wyręczył go ktoś inny.

– To był on. To Serge cię uratował – powiedział Piotr i ruszył w kierunku drzwi.

– Dokąd idziesz? – zapytała Zoja, jakby przez to co powiedział nabrała do niego znów więcej

sympatii.

– Przewietrzyć się. Od kilku minut w tym pokoju jest duszno od nadmiaru emocji – odpowiedział i cicho zamknął za sobą drzwi.

Po chwili w jego ślady poszedł także Serge. Zoja spróbowała go zatrzymać, nie mogąc zrozumieć, jak w takiej sytuacji może tak po prostu wyjść, nie tłumacząc ani słowem, dlaczego nie powiedział jej prawdy już podczas pierwszego spotkania.

– Serge! – zawołała, gdy jego ręka naciskała na klamkę. – Hej, Serge! Proszę, porozmawiaj ze mną!

– Daj mu czas... – powiedział Pietro, stając w obronie przyjaciela. – Na pewno nie spodziewał się, że akurat dziś przyjdzie mu się z tym zmierzyć.

Zoi zachciało się płakać.

– A ja? – zapytała, czując jak łzy napływają jej do oczu. – Co ze mną? Co mam zrobić z kilkunastoma zgubionymi latami życia? A ze wspomnieniem matki, która przykładała mi pistolet do czoła?

Pietro nagle zrobił coś, czego nigdy by się nie spodziewała. Objął ją ramieniem, po czym pocałował w czoło i powiedział:

– Przeżyłem już wiele. Zaufaj mi. Jedyne co możesz zrobić, to spróbować żyć dalej.

Kiedy Zoja opuściła jego komnatę i został sam, wyszedł na balkon i usiadł w wiklinowym fotelu, wyciągając z paczki Camela, i wkładając do ust, przypalił zapalniczką. Nie palił od lat, ale dziś poczuł, że musi. Chciał w spokoju przemyśleć wszystko jeszcze raz.

Tak wiele koszmarnych tajemnic...

Żeby dobrze zrozumieć dlaczego naziści interesowali się Marią Magdaleną, trzeba wiedzieć jedno. Nie chodziło im o nią. Ani o Jezusa. Ani też o pozostałych świętych czy apostołów. Dla nich istotne było jedynie to, co miało z nimi bezpośredni związek. Ani Hitler, ani jego najbliżsi współpracownicy nie byli katolikami, a do kościoła odnosili się tak, jak do wszystkich, z którymi chcieli ubić interes polityczny. Wyznawali wszelakie okultystyczne praktyki, bliższe lub dalsze chrześcijaństwu. Nie sięgali jednak zbyt często do tego, co miało swoje źródło w pozytywie. Źródłem ich potęgi był negatyw, w uproszczeniu nazywany często kultem diabła. Niezależnie od legend czy domysłów, w historii nazizmu i tego jak Hitler dochodził do władzy, są pewne etapy, które wciąż mogą wydawać się zaskakujące. Jego polityczna kariera rozkwitła w chwili, kiedy na dobre rozpoczęto prace wykopaliskowe we Francji, które nadzorował Otto Rahn. Ten młody poszukiwacz przygód i lekkoduch, w pewnym okresie życia szczególnie zainteresował się historią Świętego Graala. Twierdził, że tajemnica ukryta jest w ruinach zamku w Montsegur we Francji. Rahn zdecydował się prowadzić tam wykopaliska. Jego pierwsze prace na ten temat, całkiem niedocenione, powstały już w latach trzydziestych. Jakiś czas potem Rahn poznał Alfreda Rosenberga, ideologa NSDAP, bardzo zaufanego doradcę Hitlera. Przypadkowo czy nie, doceniony przez Rosenberga, wstąpił w szeregi SS. I niebawem awansował do stopnia pułkownika. Szybka kariera okazała się równie szybką drogą do końca... W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym Rahn zaginął. Mówiono, że popełnił samobójstwo pod wpływem jakiegoś kolejnego tajemniczego odkrycia. Według innych źródeł jego śmierć była związana z tym, że był homoseksualistą, a wyrok na niego wydał sam Hitler, przekonując go, by sam dokonał egzekucji. Tak czy inaczej, Rahn zniknął, ale zostały jego prace i mnóstwo wskazówek co do miejsc, w których mógł być ukryty Graal, który miał być kamieniem mocy lub świętym kamieniem potomków Marii Magdaleny, zapewniającym siłę, moc i władzę. Zaraz potem na scenie pojawił się Heinrich Himmler, całkowicie opętany wizją zdobycia skarbu. Przekonał Hitlera, by ten udzielił mu całkowitej wolności w kwestii kontynuowania prac wykopaliskowych we Francji. W okresie niespełna roku, Himmler poszukując skarbu wymordował dziesiątki tysięcy mieszkańców francuskich wsi i miasteczek. Nic nie było w stanie go zatrzymać. Wiedział doskonale, że Graal to coś więcej niż tylko legenda. Że chodzi o coś, co może pomóc jemu i nazistom w stworzeniu rasy nadludzi, tak bardzo upragnionej przez Hitlera. I w końcu w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku coś drgnęło. Nie do końca wiadomo, w którym miejscu

Francji naziści dokonali przełomowego odkrycia, ale są pewne źródła, które mówią właśnie o grocie La Sainte Baume. W pewnym momencie, działania Himmlera nabrały niespotykanego rozmachu i całkowicie wymknęły się spod władzy Hitlera. Robił co chciał i gdzie chciał. A wszystko po to, by – jak wciąż twierdził – dać nazistom władzę i zapewnić im całkowite zwycięstwo w wojnie. Nie jest żadną tajemnicą, że Hitler, Himmler i Rosenberg, w Monachium stworzyli prawdziwe centrum okultystycznych praktyk. Korzystali z rytuałów, runicznych przepowiedni, pogańskich symboli... Między innymi z tych powodów swastykę zamieszczano niemal na wszystkich przedmiotach i ubraniach. Nawet niepozorny okrzyk „heil Hitler”, czyli „chwała Hitlera”, niemal zawsze był połączony z wykonywaniem specyficznego ruchu ręką, która wędrowała w górę z wyprostowaniem dłoni włącznie, i to zawsze w kierunku swastyki, wyższego stopniem nazisty albo samego Fuhrera.

„Przekaz energetyczny” – pomyślał Pietro, zaciągając się dymem z papierosa.

Ludzie nieświadomie kierowali do Hitlera swoją energię... Oddawali mu ją, biernie poddając się jego rozkazom... Do pełni szczęścia brakowało mu tylko świętego kamienia i kogoś, kto umiałby się nim posługiwać, kto byłby w stanie stać się przekaźnikiem jego mocy... Himmler dostarczył mu niepełną Ewangelię Apostolic, dzięki której Hitler mógł szantażować Watykan i Piusa XII. Dowiedział się z niej, że ich poszukiwania nie są wcale bezcelowe, a Rahn miał rację. Kamień, a nawet jego fragment, w rękach potomków Marii Magdaleny, miał niewyobrażalną moc. Po tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku Hitler miał już nie tylko jednego potomka świętego rodu, ale dwóch, dwie dziewczynki! Bliźniaczki, które mogły posłużyć za świetny materiał genetyczny do stworzenia nadrasy, nad którą pracował bliski mu współpracownik Josef Mengele. Szaleniec, który w amoku nie zawahał się wprawić w ruch maszyny potwornych eksperymentów... Mordowanie setek, tysięcy, milionów Żydów, było jedynie elementem całego planu. Nie byli nazistom potrzebni. Ich nadzwyczajne geny mieli już w dyspozycji, dzięki dwóm małym dziewczynkom. Brakowało tylko kamienia... Tylko jego. I Himmler był już tak blisko, zdołał nawet odnaleźć jego maleńki kawałek, który ukrył Rahn wysyłając wraz z listem do rodziny... Ale okazało się, że nadmiernie eksploatowany, niemal codziennie podkładany dziewczynkom, gdy spały i gdy się bawiły, w końcu stracił dawną moc. Głównej części skarbu wciąż nie udawało się odnaleźć. Wymordowani członkowie tajnego bractwa nie mogli powiedzieć nic więcej... A zaraz potem, naziści zaczęli przegrywać wojnę.

I pomyśleć, że byli tacy, dzięki którym Hitler mógł się zatrzymać, jeszcze zanim rozpętał piekło w Europie...

Pietro zagasił niedopałek i wziął kolejnego Camela przygniatając w palcach filtr.

Eugenio Maria Giuseppe Giovanni Pacelli... Sekretarz Stanu Stolicy Apostolskiej... Późniejszy Papież Pius XII. Kiedy w latach trzydziestych przyjechał do Monachium, wszystkim poraziło jego zamiłowanie do luksusu. Lubił zbytek i komfort, co przejawiał dążeniem do łagodzenia wszelkich konfliktów, nawet za cenę życia wiernych. Dziwnym trafem przebywał w Monachium właśnie w okresie, gdy Hitler dochodził do władzy. To on negocjował z nim jeden z najpodlejszych dokumentów, jakim Kościół pogrzebał Europę w wojnie. I pomyśleć, ocenił Pietro, że Reichskonkordat obowiązuje do dziś... W jego wyniku Kościół przypieczętował zwycięstwo Hitlera w dojściu do władzy w Niemczech. Eugenio Pacelliego interesował głównie interes niemieckiego kościoła i jego własny spokój. I on, i biskup Berlina, Cesare Orsenigo, cieszyli się, że nie dojdzie do podziału Kościoła, a wierni nadal będą mogli korzystać z przywilejów... Pietro widział oryginały ich listów, jakie wysyłali do Papieża Piusa XI. Pech chciał, że akurat po tym, jak ten napisał encyklikę potępiającą nazistów i wszelkie niegodne działania Hitlera, dostał zawału serca, a na jego miejsce, dosłownie kilka miesięcy przed wybuchem wojny, wybrano... Eugenio Pacelliego! Nowy papież, nie dość, że nigdy nie wygłosił encykliki swojego poprzednika pod wymownym tytułem „Jedność narodu ludzkiego”, to jeszcze przez całą wojnę ani razu nie potępił Niemiec, ani Hitlera... Nigdy nie wypowiedział się jednoznacznie przeciwko holocaustowi... Nie potępił najazdu na Polskę, nawet gdy oficjalnie wezwał go do tego polski rząd w Londynie... Mordu setek tysięcy Żydów, Romów,

ani żadnych innych prześladowanych narodów także nie napiętnował. Przez całą wojnę utrzymywał natomiast stosunki dyplomatyczne Watykanu z Niemcami. A w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku wyraził ubolewanie... bo w Casablance alianci wezwali Hitlera do poddania się!

– Drogi papież... – westchnął Pietro, uśmiechając się z ironią do swoich myśli.

Nie tylko Pius XII był bardzo zachowawczy w podejściu do wyczynów Hitlera. Zignorował morze listów, które wysyłali do niego ludzie pokroju Edyty Stein, błagając o pomoc dla Żydów i nie tylko ich. Pietro widział te listy. Miał to szczęście, że podczas procesów norymberskich tajne archiwa Watykanu nie były tajne... No, może nie dla sędziów i oskarżycieli, którzy przez kilka miesięcy mogli zbierać w nich materiały, pod jednym warunkiem – niczego nie wynosząc. Pomagał więc ojcu robić notatki, wiele notatek, morze notatek... Patrzył, jak czujne oczy biskupów i kardynałów śledzą każdy ich krok, każdy tknięty palcem dokument... Widział wtedy tak wiele, że trudno mu znieść myśl o tym, że to wszystko wciąż nie zostało odtajnione, a papież Jan Paweł II chciał ogłosić Piusa XII świętym. Przez ostatnie siedemdziesiąt lat media na całym świecie przywołują co jakiś czas temat możliwych powiązań Watykanu z nazistami. „Możliwych... dobre sobie” – pomyślał Pietro i od razu przyszło mu do głowy, że odkąd Bank Watykański został powołany jako oficjalna instytucja finansowa państwa kościelnego, wszystko stało się trudniejsze. Pieniądze na rachunkach, jak choćby te potężne sumy zalegające w postaci sztab złota w podziemiach banków takich jak Begelin&Co, to wpompowany w struktury mafijne tej instytucji majątek, w dużej mierze pochodzący z drugiej wojny światowej, o którym większość kardynałów, biskupów i zwykłych księży nie ma zielonego pojęcia. Tylko tacy jak Angener, Giovanni czy siostra Hummel, znają zasady funkcjonowania tej maszyny, tej pralni poplamionych krwią pieniędzy, pochodzących z czasów wojny. Złoto, biżuteria, obrazy, posągi... Setki milionów dolarów ukrytego majątku, który zasila pokrętnymi drogami finanse Watykanu. Każdy papież, który próbował się za to zabrać albo musiał odejść, albo umierał w dziwnych okolicznościach... Od Jana Pawła I ciągnie się za Watykanem cień śmiertelnego ryzyka, którego musi być świadom każdy, kto choć chce dotknąć prawdy. Rolf Hochhuth zrobił na temat Piusa XII kontrowersyjną sztukę, o której mówił cały świat... Całkiem niedawno portal Wikileaks opublikował tajne depesze, z których wynika, że Watykan wycofuje się z niemal każdej inicjatywy światowych organizacji działających na rzecz upamiętnienia holocaustu, gdy tylko pojawią się choćby wzmianki o konieczności odtajnienia archiwów drugiej wojny. I pomyśleć, że właśnie mija siedemdziesiąt pięć lat, co zobowiązuje Watykan do odtajnienia choć części archiwum. Nic nie wskazuje na to, by skostniała instytucja zdecydowała się na choćby maleńki krok... A spragnieni źródeł naukowcy z całego świata mogą jedynie bezradnie czekać.

– Cieszcie się, że jeszcze żyjecie... – powiedział do siebie Pietro, myśląc o spokojnym życiu doktorantów i profesorów, i powoli zaczął się podnosić z fotela.

Nagle poczuł się bezgranicznie znużony. Wiedza, którą miał, nie pomagała mu w walce o sprawiedliwość. Wiedza, którą miał, przyczyniła się do śmierci jego syna i odejścia żony...

„Jestem stary, bardzo stary...” – pomyślał i ziewnął, spoglądając z rozrzewnieniem na łóżko. Jedynym czego teraz potrzebował, było choć kilkadziesiąt minut snu. Musiał na nowo odzyskać siły, przeczuwając, że w przeciągu doby.

Było chwilę po trzynastej, kiedy Zoja wyszła z pokoju i najciszej jak umiała, ruszyła schodami na dół. Trzymając pod pachą plecak, obejrzała się jeszcze, czy aby na pewno karteczka, którą zostawiła Serge`owi pod drzwiami, nadal tam leży.

Zdążyła postawić but na ostatnim stopniu, gdy do jej uszu dobiegł z korytarza głos Serga. Zamarła, słysząc jak wchodzi na schody.

„Trzeba mieć pecha...” – pojawiła się w jej głowie rozpaczliwa myśl i przez chwilę rozważała, czy nie zacząć biec...

– Nie rób tego... – jego ton był rozpaczliwy, taki, jakiego Zoja obawiała się najbardziej. Pamiętała,

że Andreas mówił do niej podobnym głosem, gdy próbował zatrzymać ją w drodze na samolot do Nowego Jorku. Nie posłuchała go...

Przymknęła oczy, próbując skupić uwagę na oddechu... Wdech... wydech... wdech... wydech... Nie zatrzymasz mnie...

– Chcę ją odnaleźć. Sama – powiedziała w końcu, bardziej tonem prośby, niż stanowczej deklaracji.

– To niebezpieczne. I nawet nie wiesz gdzie szukać...

– Wiem – Zoja odwróciła się i spojrzała mu w twarz, wciąż jeszcze nie mogąc uwierzyć, że to on jest tym, któremu zawdzięcza uratowanie życia. – Jest tam, gdzie była zawsze. Tam, gdzie od lat prowadzą z siostrą Hummel pseudo ośrodek dla sierot, do którego trafiają dzieci z Polski, zanim rozwiozą je po całych Niemczech... Myślę, że mogła zabrać do Waldbreitbach Saszę. I jak już tam będę, postaram się dowiedzieć, czy przypadkiem nie zdobyli szkatuły.

Serge zdawał się przerażony tym, co słyszy. Ze sposobu w jaki na nią patrzył odczytała, że naprawdę się martwi, że coś może jej się stać.

Doskonale wiedziała, że jeśli jej matka ma szkatułę, a do tego porwała Saszę i ukryła w klasztorze, nic jej nie powstrzyma, by jednak tym razem włożyć nabój do pistoletu.

„Gdybyś wiedział Serge jak bardzo się boję” – przebiegło jej przez myśl, ale starała się, żeby ani przez sekundę nie zobaczył tego w jej oczach i wyrazie twarzy. Zresztą wciąż stała plecami do niego, rzucając mu jedynie zdawkowe spojrzenia, nie dłuższe niż sekunda, dwie...

– Zarezerwowałem na rano bilety do Rzymu. Pietro poprosił o pomoc swego syna. Jest księdzem, pracuje w watykańskiej Kongregacji Nauki Wiary. Umówił nas z człowiekiem, który do niedawna współpracował z sekretarzem Angenerem...

Zoja poczuła się zaskoczona. To spotkanie mogło okazać się bardzo istotne...

– Gdzie mamy się z nim zobaczyć?

Serge nagle zrobił niezadowoloną minę.

– Jestem temu przeciwny, ale ma czekać w apartamentcie Angenera, przy Piazza Navona. Podobno od tamtej nocy, gdy Angener stracił dłoń, nikt tam jeszcze nie wchodził. Wewnętrzne śledztwo Watykanu tej sprawie zostało wstrzymane dwa dni temu i to zgadnij na czyje polecenie...

– Kardynała Giovanni?

– Oczywiście.

Zoja poczuła, jak zalewa ją fala wściekłości. Zadrżała i nie mogąc dłużej znieść zawieszenia w połowie schodka, zrobiła krok w dół, i stanęła w hollu. Serge natychmiast ruszył za nią, jakby bał się, że mu ucieknie.

– Syn? To Pietro Cippo ma syna? – zapytała Zoja, nie kryjąc zdziwienia.

Serge spuścił głowę. Nie musiał nic mówić i tak Zoja natychmiast poczuła, że odpowiedź brzmi tak.

– Miał dwóch synów. I obaj na przekór ojcu, związali się z kościołem. Tomaso jest księdzem, a Eduardo był oficerem Gwardii Watykańskiej...

Zoja będąc już blisko drzwi, nagle aż przysiadła na brzegu fotela. Na samą myśl, jakiej odpowiedzi może jej udzielić Serge, bała się zadać pytanie...

– Był? Czy on też miał coś wspólnego z bractwem Chryzmonu?

Serge spuścił głowę. Nie musiał nic mówić i tak Zoja natychmiast poczuła, że odpowiedź brzmi tak.

– Proszę cię, nie jedź sama – poprosił po chwili, widząc że Zoja wstaje i rusza w stronę drzwi.

Zoja zmusiła się do uśmiechu.

– Chłopak z kuchni jedzie do Marsylii – jej ton, sztuczny, nagle radosny, miał przekonać, że ten wyjazd, to w końcu nic takiego. – Mam fałszywy paszport, ten, który załatwił mi ojciec Bruno. Pieniądzy na bilet powinno mi wystarczyć. Spotkamy się w Rzymie. Postaram się dołączyć do was najszybciej jak się da – otworzyła drzwi. – Wszystko będzie dobrze... – dodała i nie oglądając się na Serge'a stojącego w recepcji, ruszyła w kierunku bramy.

Siostra porwana!

Było późne popołudnie, kiedy Zoja wysiadła z autobusu z Bonn i niemal biegiem udała się w kierunku wzgórza, pokrytego kwitnącymi drzewami. Ogromny zakon franciszkanek górował nad miasteczkiem Waldbreitbach, niczym twierdza. Gasnąca potrzeba życia w rytmie wiary, spowodowała że w ciągu dwudziestu lat liczba zakonnice zmniejszyła się z ponad sześciuset, do niecałych trzystu. Nie przeszkadzało to jednak w tym, by najwytrwalsze z nich, założyły tu szpital, który w parę lat doczekał się renomy jednego z najlepszych w całym regionie. Franciszkaniki pod swoją kuratelą miały także ochronę dla starców, przedszkole i dom pomocy ubogim.

”Nic dziwnego, że moja matka i siostra Hummel, zdołały przez lata ukrywać tu swoje sekrety i nikt niczego nie zauważył – pomyślała Zoja idąc w kierunku kościoła. – W tak ogromnym klasztorze mogły robić wszystko, a widokiem dzieci przybywających i znikających od czasu do czasu, nikt się nawet nie zainteresował...”. Nagle Zoja przebiegło przez myśl, że szkoda jej tego miejsca i franciszkanek. Nie było ich winą, że siostra Anna Braun, zagorzała nazistka, razem z jedną z najstarszych zakonnice, poza cichą kontemplacją od lat prowadziły faszystowską agitację i rozsianą po kraju szkółkę dla Hitlerjugend.

Otrząsając się z okropnych wspomnień Zoja minęła masywną bramę z kamienia i stalowych prętów zakończonych spiczastymi ostrzami, i spojrzała na trzy wieże, górujące nad świątynią. Przez chwilę zastanawiała się, czy plan, by pójść do kościoła, zamiast od razu do szpitala, jest słuszny. Zaraz uznała jednak, że jeśli zgodnie z jej przypuszczeniami siostra Hummel wciąż jest jedną z pacjentek, zbyt szybkie spotkanie z nią mogłoby zepsuć cały jej plan.

Plan, no właśnie...

W ostatniej chwili przypomniała sobie, że o czymś zapomniała. Przystanęła pod ścianą z bordowego kamienia i wyjęła z plecaka czarno-białą fotografię, na której jej matka, ubrana w habit, pozuje razem z drugą siostrą na tle kościoła.

„Chyba nawet stały w tym miejscu” – pomyślała Zoja, rozglądając się dookoła.

Najważniejsze było jednak nie samo zdjęcie, ale podpis, jaki znalazła z tyłu. „Siostrze Annie, s. Marta, w dowód przyjaźni”. Zoja musiała przyznać, że z początku wydało się jej niemożliwe, że jej matka mogła mieć jakąkolwiek przyjaciółkę. Szczerze wątpiła, że potrafiła wykrzesać z siebie jakiejkolwiek pozytywne emocje... Mimo to, jeśli jakaś siostra Marta wciąż tu była, to jeśli będzie miała szczęście, ma szansę dowiedzieć się z pierwszej ręki jak głęboko zakorzenione jest w klasztorze zło.

Na samą myśl o spotkaniu z matką, dłoń Zoji zacisnęła się na plecaku, szukając pod palcami twardego ostrza sztyletu, które jako jedyne mogło ją teraz choć trochę uspokoić. Czując się nieco bezpieczniej z bronią na podorędziu, weszła do świątyni, od progu czując dotkliwy powiew chłodu. W środku poza nią nie było ani jednego człowieka. Na szczęście spodziewała się, że tak właśnie będzie, więc teraz nie zastanawiając się, mogła ruszyć wzdłuż bocznej nawy w stronę drzwi, które – jak miała nadzieję – zaprowadzą ją do zakrystii i dalej, w głąb klasztoru.

Minęła długi ciąg ławek, ołtarz i maleńką kapliczkę z obrazem Matki Boskiej, czując jak z ekscytacji, na całym ciele pojawiają się dreszcze. I nagle, całkiem niespodziewanie, gdy niemal poczuła zapach starego drewna bijący od drzwi i już czuła chłód mosiężnej klamki, ktoś kto był z drugiej strony ją uprzedził.

– W czym mogę pomóc?

Jak na zakonnice, kobieta która stanęła przed Zoją wyglądała dość nietypowo. Była ubrana w białą bluzkę, rozpinany granatowy sweter i prostą spódnicę do połowy łydki w kolorze ciemnego bordo. O tym, że to franciszkanica, świadczył jedynie biały welon, który zakrywał jej włosy.

– Szukam siostry Marty – wypaliła Zoja, nie zastanawiając się, jak zareaguje zakonnica, na widok obcej, kręcącej się po kościele.

O dziwo, siostra okazała się nader pomocna.

– A nazwisko?

Zoja pokręciła głową.

– Nie znam. Mam tylko to... – powiedziała i pokazała zdjęcie.

Zakonnica ledwie na nie zerknęła, a już z jej miny dało się odczytać, że na pewno wie o kogo chodzi.

– Nasza Marta! I Anna! Bardzo miła fotografia.

Zoi przebiegło przez myśl, że chyba spełnią się jej najgłębsze obawy. Jej matka była w zakonie lubiana...

– Siostra Marta ma dyżur w szpitalu, nie będzie pani trudno ją znaleźć – powiedziała i wskazała Zoji drogę.

Podziękowała i odwracając się na pięcie, zaczęła iść do wyjścia. Zrobiwszy pięć kroków, gwałtownie się zatrzymała. Albo jestem głupia, albo w jej oczach pojawiło się coś... Zoja czuła, że zakonnica wciąż stoi w drzwiach i ją obserwuje.

– A siostra Anna? – zapytała, odwracając się.

Nawet z daleka dało się zauważyć, że zakonnica posmutniała.

„Bingo!” – pomyślała Zoja i zawróciła do niej.

– Nie wolno nam udzielać informacji. Odkąd tragedia spotkała siostrę Hummel cały klasztor jest pod ochroną i ciągle mamy tu pełno policji – westchnęła, jakby obecność obcych w tym miejscu była dla niej szczególnie dotkliwa. – Wczoraj był u nas kardynał Giovanni... Nigdy w życiu nie widziałam, żeby wokół jednego duchownego kręciło się tylu żołnierzy Gwardii Watykańskiej. Nawet, gdy kilka lat temu był u nas papież, nie było ich aż tylu.

Na dźwięk nazwiska zniechęconego kardynała, w Zoi aż coś się zagotowało. Poczwała, jak sztylet ukryty w plecaku zaczyna palić jej plecy żywym ogniem.

– Po co przyjechał?

– Odwiedzić siostrę Hummel. Biedaczka, odkąd straciła dłoń, zapadła się w sobie. Ta tragedia bardzo ją dotknęła... I nas też – dodała po chwili, potakująco kiwając głową.

Zoja poczuła, jak wzbiera w niej lęk. Jeśli kardynał tu był i spotkał się z jej matką...

– Czy kardynał widział się może z którąś z pozostałych zakonnicek?

Siostra pokręciła głową.

– Nie, był tylko u siostry Hummel. Miał zostać z nami na uroczystą kolację, ale coś pilnego wezwało go do Rzymu... Wybiegł bardzo przejęty i kazał swojej asystentce jak najszybciej kupić bilet na samolot.

„Asystentce? – pomyślała Zoja. – Nie miałam pojęcia, że kardynałowie mają asystentki... No chyba, że mają je tylko ci, którzy prowadzą podwójne życie, łącząc bycie nazistą z pełnieniem posługi.”

Zoja była przez chwilę tak zajęta swoimi myślami, że nie usłyszała, co mówi do niej zakonnica.

– Proszę pani, słyszy pani? Muszę iść, mamy tu sporą grupę dzieci... i szczerze mówiąc, nie możemy sobie dać z nimi rady – uśmiechnęła się z matczyną dobrocią w oczach. – Do tej pory opiekowały się nimi siostra Hummel i... siostra Anna... ale odkąd... – zawiesiła głos, jakby nagle dotarło do niej, że powiedziała już zbyt wiele.

– Niech siostra dokończy... Błagam... to bardzo ważne, być może uratuje siostra czyjeś życie... – poprosiła Zoja, czując, że to najważniejsza chwila w tym dniu.

Zakonnica spojrzała na ołtarz, zrobiła na piersi znak krzyża i wzdychając ciężko, jakby wiedziała, że popełni za chwilę śmiertelny grzech, przymknęła drzwi do zakrystii i odciągając Zoję na bok, powiedziała:

– Tego samego dnia, kiedy siostra Hummel została napadnięta... i... – pokazała na swoją dłoń, jakby nie wiedziała, jak inaczej opisać to co się stało – ci sami ludzie porwali siostrę Annę. Wywieźli ją. Nie wiemy dokąd. Nikt nas nie informuje. Kardynał Giovanni... – głośno przełknęła ślinę – osobiście zaangażował się w poszukiwania. W przyszłym tygodniu ma nas znów odwiedzić.

– Czy wcześniej, przed porwaniem siostry Anny i napaścią na siostrę Hummel, często tu bywał?

Zakonnica się zamyśliła, zginając palce i dotykając knykci, jakby próbowała coś policzyć.

– Pięc... osiem... – burczała pod nosem, ze wzrokiem wlepionym w kandelabr na stole przy ołtarzu, aż w końcu przemówiła do Zoi. – On i jeszcze sekretarz Angener... W ciągu ostatnich dwunastu lat, każdego roku, jakieś trzy, może cztery razy. W wakacje częściej, bo wtedy jest u nas więcej dzieci. Przywożą je mnisi z ośrodków dla sierot. Mamy tu dzieci z Polski, i Rosji, i Francji, czasem też z Węgier, Białorusi, Ukrainy... Dużo dzieci, co roku siostra Hummel razem z siostrą Anną organizują wakacyjne wyjazdy. Dzieci podróżują po całych Niemczech... – opowiadała, a jej twarz nagle się rozpromieniła.

Nie mogąc dłużej tego słuchać, Zoja nagle weszła jej w słowo.

– Siostro... – nagle uświadomiła sobie, że nie wie nawet, jak zakonnica ma na imię.

– Klaro – uśmiechnęła się siostra.

– Siostro Klaro... – Zoja odwzajemniła uśmiech – czy mogę prosić siostrę o przysługę?

– To zależy...

Zoja wyjęła kartkę i długopis z plecaka. Szybko coś zanotowała, posługując się angielskim, mając nadzieję, że zakonnica tak dobrze jak rozmawia w tym języku, umie też czytać.

– Proszę jak najszybciej zadzwonić do polskiej ambasady i powiedzieć im dokładnie to, co zapisałam na kartce.

Siostra wzięła do ręki kawałek papieru i przeczytała na głos:

– Dzieci chcą wracać z kolonii w Waldbreitbach... Należy je pilnie odebrać... Pan Fiodorow i pan premier powinni przyjechać po nie osobiście... Zoja Pietrowna pozdrawia. Raport nie pozostawia złudzeń... Czas skontrolować parafie organizujące wycieczki... – zakonnica spojrzała na Zoję ze zdumieniem, zmieszonym ze strachem. Nie zareagowała, kiedy Zoja wstała i ścisnęła jej dłoń na pożegnanie, po czym ruszyła w kierunku wyjścia. Dopiero po paru chwilach, wstała i stojąc w odległości połowy kościoła od Zoi, krzyknęła:

– A siostra Marta?

Zoja uniosła wysoko rękę i machnęła w geście rezygnacji.

– Odwiedzę ją innym razem!

Fatalne spotkanie

Chwilę po dwudziestej Serge odjął telefon od ucha. Chociaż skończył rozmowę z Zoją, jej głos wciąż dźwięczał mu w uszach. Nagle dopadły go obawy, tak silne, że krew uderzyła mu do głowy, a serce zaczęło łomotać. Z każdą sekundą był już coraz mniej pewien, czy słusznie postępują, udając się do Rzymu. Kiedy tylko Zoja przekazała mu nowinę o porwaniu matki oraz stwierdziła, że jest niemal pewna, że jej córki nie ma w klasztorze, aż przysiadł na łóżku. Przez chwilę miał ochotę natychmiast udać się do komnaty Piotra, żeby z nim o tym porozmawiać, ale uznał, że lepiej będzie, jeśli tym razem zachowa informacje dla siebie.

Coś było nie tak...

Odkąd Piotr poprosił go, by pomógł mu przeprowadzić Zoję przez najtrudniejszy etap jej misji, wydawało mu się, że niczego przed nim nie ukrywa, a wręcz, że tylko z nim dzieli się swoimi tajemnicami, o wielu z nich nie mówiąc nawet mistrzowi bractwa, ojcu Bruno. Tymczasem nagle okazało się, że Piotr zataił przed nim informację o tym, że bractwo od ponad tygodnia ma w swoich rękach jedną z głównych neonazistek. Dzięki niej mogliby z łatwością wymusić na kardynale Giovanni oddanie Zoi jej córki, nie narażając życia tak wielu ludzi... Co oni do cholery planują? – zadawał sobie wciąż pytanie, nie mogąc znaleźć żadnej logicznej odpowiedzi.

Wstał, podszedł do okna, rozchylił zasłony i wyjrzał na ogród, zatopiony w czerwonej poświacie zachodzącego słońca.

„Jest późno” – pomyślał. Zbyt późno, żeby odwołać poranny wyjazd. Samolot do Rzymu, którym mają lecieć on, Piotr i Pietro, odlatuje o piątej rano. Zoja ma do nich dołączyć chwilę po ósmej, bo nie udało jej się znaleźć wcześniejszego autobusu z Waldbreitbach na lotnisko w Bonn. Na samą myśl o tym, że została w miasteczku sama na noc, serce znów zaczęło walić Serge`owi, jak młot pneumatyczny. Ryzyko nagle wydało mu się niewyobrażalne. Jeśli zakonnica naprawdę wzięła sobie do serca prośbę Zoi i niezwłocznie zatelefonowała do ambasady, neonaziści z młodzieżówki, związani z kardynałami Giovanni i Angenerem, a także ten bandyta Fiodorow, mogą się tam zjawić w ciągu kilku godzin...

Opierając czoło o chłodną szybę, Serge przymknął oczy.

„Gdybym chociaż był wierzący, mógłbym się pomodlić...” – pomyślał. Ale prawda była taka, że znał zbyt wiele prozaicznych faktów zatajonych przez kościół i samo Bractwo Chryzmonu, żeby być w stanie zaufać jakiemuś „jemu”. Nie wierzył w cuda, a Jezusa, Marię Magdalenę i ich uczniów traktował jak ludzi. Apostolice i ich Ewangelia miały w jego odczuciu wymiar mistyczny, ale mocno ograniczony, stanowiąc jedynie zbiór wskazówek... Jedynie Graal, czyli kamień mocy, miał jego zdaniem moc, pochodzącą jeszcze z okresu cywilizacji Majów. Nic dziwnego, że Giovanni chce go mieć, tak jak pragnął go Hitler, Himmler i cała reszta, setki lat przed nimi.

– Kamień mocy... Kamień zniszczenia... – wyszeptał Serge i otworzył okno, żeby wpuścić do komnaty trochę świeżego powietrza.

Jedynie członkowie Bractwa Chryzmonu od wieków pozostają poza zasięgiem zaślepiającej rządu. Potomkowie Marii Magdaleny od wieków przegrywają. Historia powtarza się w każdym pokoleniu. Jedni wybierają stronę dobra, inni zła. Sara okazała się bierna, Zofia waleczna... Zoja poszła zdecydowanie w ślady babki... Ale co będzie z jej córką? Na samą myśl, że Sasha mogłaby pójść w ślady babki, Serge`a zabolalo serce.

„Kto mógł przypuszczać, że Anna Braun, da się omotać nazistowskiej ideologii... Być może – pomyślał Serge – chodzi właśnie o to, jak bardzo Zofia próbowała ją przed tym chronić. Może ukrywanie prawdy od początku było błędem, tak samo, jak zmuszanie córki, by wstąpiła do zakonu”. Pamiętał, jak Anna po raz pierwszy uciekła. Nie on, lecz jego przyjaciel, ledwie co wstąpiwszy do bractwa, dostał misję, by ją odnaleźć. Odnalazł. Tyle, że uczucie, które na chwilę ich połączyło, okazało się zgubne...

Nagle rozległo się ciche pukanie do drzwi. Serge przymknął okno i usiadł na łóżku, opierając głowę o poduszkę.

– Otwarte! – zawołał.

Do komnaty wszedł Pietro.

– Tomaso będzie czekał o dziewiątej na placu Campo de`Fiori – oznajmił i czekając na informacje o Zoi, przystanął pod ścianą.

– Poradziła sobie – powiedział zdawkowo Serge, czując, że nie powinien obarczać Pietra większą ilością trosk.

– Tomaso mówi, że w Watykanie jest bardzo niespokojnie. Krążą pogłoski o tym, że ludzie Giovanni planują zamach na papieża.

– Nie odważą się...

– Chciałbym, żebyś miał rację. Ale historia pokazuje, że nie zatrzymają się przed niczym, byle tylko osiągnąć cel.

Serge odsunął poduszkę spod głowy i usiadł podpierając się łokciami. Spojrzał na przyjaciela, jakby nagle przestał rozumieć coś, co dotychczas wydawało mu się oczywiste.

– Ale czego oni właściwie chcą?

– Przewrotu. Chcą wcisnąć Giovanni na papieski tron. Tylko w ten sposób zyskają nieograniczoną władzę. Dzięki temu, że mają dostęp do tajnych archiwów w Londynie, Moskwie i Pradze, mogą szantażować kartami historii niemal wszystkie kraje. Przy okazji, jeśli nacjonalistyczne nastroje w wielu państwach Europy ulegną nasileniu, z łatwością zdołają przywrócić do władzy neonazistów. Już teraz wielu z nich pełza po szczeblach politycznej kariery, pnąc się w górę z zaskakującą szybkością.

– Czyli szykuje się wojna?

Krótki, ledwie widoczny gorzki uśmiech pojawił się na twarzy Pietra. Zamyślił się i ze smutkiem pokręcił głową.

– Nie mój drogi... Jakimś cudem ludzie przeoczyli, że trzecia wojna światowa już się rozpoczęła.

Późną nocą Serge wciąż nie mógł zasnąć. Niespokojnie kręcił się po komnacie, trzymając w dłoni telefon. Odszukał numer, który ojciec Bruno dał mu dawno temu, na wypadek, gdyby któryś z członków bractwa zginął lub stało mu się coś złego. Wcisnął przycisk „zadzwoń” i przygryzając spierzchnięte wargi, przyłożył aparat do ucha. Przeciągający się sygnał oczekiwania, przyprowadził go o najgorsze przeczucia.

– Odbierz... Dominicu Dulli... odbierz... – szeptał pod nosem, kręcąc się pod oknem.

W końcu się udało. Dulli zaspianym głosem wyszeptał „pronto?”.

Serge nie wiedział, od czego zacząć. Jego włoski był fatalny, więc uznał, że zaryzykuje i zacznie rozmowę po angielsku.

– Nazywam się Serge Magdi, jestem badaczem religii prawosławnej... i... – zawahał się. – Bractwo Chryzmonu pana potrzebuje.

Dulli milczał. Serge słyszał w słuchawce tylko jego przyśpieszony oddech. Po chwili, która Serge`owi wydała się wiecznością, w końcu się odezwał. Jego angielski okazał się płynny, ale miał wyraźny, włoski akcent.

– Jutro rano będę w Watykanie. Postaram się wypatrywać znaków.

– To nie wystarczy! – krzyknął Serge, nie mogąc uwierzyć, że człowiek wybrany przez ojca Bruno w chwili zagrożenia wykazuje tak daleko idącą powściągliwość. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale Dulli odłożył telefon.

– Niech to diabli! – zdenerwował się Serge i z całej siły rzucił telefonem o łóżko.

Następnego dnia, kilka minut przed dziewiątą rano, Zoja biegła przez zatłoczony plac Campo de`Fiori,

pełen targowych straganów, rozpychając łokciami grupy turystów tarasujące przejście. Była umówiona pod znajdującym się w centrum placu posągiem, którego, jak powiedział Serge, nie da się przeoczyć.

– Faktycznie, nie da się... – wyszeptała pod nosem Zoja, na widok posągu zakapturzonego mnicha z księgą, którego twarz była skierowana w dół, zupełnie jakby obserwował stojących pod filarem Pietra, Serge`a, Piotra i jakiegoś młodego księdza, którego nie знаła.

– Kto wybrał to idiotyczne miejsce! – rzuciła na powitanie, masując obolały od przepychania się łokieć.

– To najlepsze miejsce z możliwych! – odpowiedział jej Serge i podniósł palec w górę, wskazując pomnik. – Przedstawiam wam wielkiego okultystę Giordano Bruno. Dokładnie w tym miejscu gdzie stoimy, siedemnastego lutego tysiąc sześćsetnego roku, Bruno został spalony na stosie za głoszenie herezji. Nie muszę wam chyba mówić kto skazał go na śmierć...

– Dominikanie... – wtrącił młody ksiądz z niezadowoleniem, jakby doskonale wiedział, do czego zmierza Serge.

– A najciekawsze w tym wszystkim jest to, że Bruno był jednym z nich! – ciągnął Serge. – Ale nawet to nie uchroniło go od śmierci z rąk współbraci. Wszystkie jego dzieła zostały wpisane na listę ksiąg zakazanych. Do dziś Kościół nie uznaje głoszonych przez niego teorii, chociaż moim zdaniem w wielu punktach miał rację. Na przykład, jego zdaniem Kościół dopuszcza się bluźnierstwa wpajając wiernym, że dziewica mogła porodzić, twierdzi też że zakony zanieczyszczają świat i powinno się je zniszczyć. Bruno chciał stworzyć sektę, w której ludzie mogliby bezkarnie wyznawać wiarę w to, że piekło nie istnieje, Chrystus był zwykłym prorokiem i politykiem pragnącym dojść do władzy, a każdy człowiek zostanie zbawiony w swoim czasie, i nie potrzeba do tego wcale udziału kościoła.

– Zapomniał pan dodać, że to wszystko jedno wielkie kłamstwo – powiedział ze złością młody ksiądz i szybko zmienił temat, zerkając na Zoję. – Gdyby choć trochę znała pani Rzym, wiedziałaby pani, że stąd już bardzo blisko do Piazza Navona.

Zoja zazgrzytała zębami. Ton, jakim mówił, ocierał się o skrajną ironię, będąc już na górnej granicy mizoginizmu.

„Nie polubię cię” – pomyślała Zoja, zerkając na jego rumianą twarz.

– To mój syn, Tomaso, a to właśnie Zoja – przedstawił ich sobie Pietro.

Szybko uścisnęli sobie dłonie.

– A więc jaki jest plan? – zapytała Zoja, czując, że najwyższy czas, żeby przeszli do działania.

– Na spotkanie idziemy ty, ja i pan Pietro – wyjaśnił Piotr. – Ksiądz Tomaso dał mi już klucze i podał kod do domofonu.

– A wy? – Zoja spojrzała na Serge`a i księdza Tomaso.

– Będziemy zabezpieczać tyły, gdyby wasz rozmówca jednak się rozmyślił – uśmiechnął się Serge.

Ksiądz zniecka zrobił krok w tył.

– Ja się w to nie mieszam. Jeśli ojciec chce iść, to jego sprawa. Zrobiłem tyle, ile mogłem. Dalej radźcie sobie sami.

– Czemu mnie to nie dziwi... – odburknęła Zoja, zakładając ręce na piersi.

– Zostawmy to teraz... – powiedział Piotr i wskazał na wąską uliczkę odchodząca od placu, po jego prawej ręce. – Jeśli pójdziemy szybkim marszem, będziemy na miejscu za siedem minut.

Kiedy Piotr poprowadził Zoję i Pietra w kierunku uliczki i po chwili sylwetki wszystkich trojga rozmyły się w oddali, Serge spojrzał na księdza Tomaso, proponując mu kawę.

– Tu chyba będzie dobrze... – zaproponował, wskazując niewielki stolik kawiarni Caffè Peru.

Kiedy usiedli, Serge zamówił dwie filiżanki espresso. Nagle przypomniał sobie, że odkąd wysiedli z samolotu, ani razu nie spojrzał na telefon. Wyjął go z kieszeni, włączył i od razu zobaczył, że ma dwie nieodebrane wiadomości. Otworzył pierwszą i na jej widok zbladł z przerażenia. Choć nie zapisał numeru, od razu się domyślił, kto był nadawcą.

W parę sekund później, znał także tekst drugiej.

UKRZYŻOWALI KOBIETĘ NA DACHU BAZYLIKI. UCIEKAJCIE

Czując się tak jakby nagle otoczyła go szklana bańka, poderwał się z krzesła i odpychając kelnera niosącego tacę z ich kawą, wybiegł z ogródka na plac, kierując się w tę samą uliczkę, którą przed kilkoma minutami poprowadził Zoję i Pietra Piotr.

– Co się dzieje? – krzyknął za nim ksiądz, wstając z miejsca. Wszyscy wokół zaczęli się na niego gapić. Skrępowany i przestraszony, nie widząc innego wyjścia, podciągnął płaczącą się wokół nóg sutannę, i pognął za Sergem.

Piotr okazał się tak dobrym przewodnikiem, że droga na plac zajęła im niecałe pięć minut. Pomimo rosnącego napięcia, Zoja chłoneła atmosferę panującą dookoła, nie mogąc wyjść z podziwu. Nagle zrozumiała, dlaczego kardynał Angener zdecydował się zamieszkać właśnie w tym miejscu. Przepiękne fontanny, w tym największa, Fontana dei Quattro Fiumi, otoczone kamienicami, wzdłuż których roilo się od kawiarenek i powystawianych na zewnątrz stolików i krzeseł, sprawiały, że nie tylko jej zaparło dech.

– Mógłbym tu zostać na zawsze – rzekł Pietro, z podziwem rozglądając się po placu.

– To tam, tamte okna – wskazał Piotr na rząd uchylonych okiennic, na drugim piętrze kamienicy, która znajdowała się kilkanaście kroków na wprost miejsca gdzie stali.

Spojrzeli w górę, a wtedy Zoja nagle zobaczyła przelatujący nad ich głowami helikopter i zaraz potem następny.

– Chyba coś się stało... - powiedziała z przejęciem.

– Szybciej! – wrzasnął nagle Piotr i ruszył w kierunku kamienicy.

Wpisawszy kod do domofonu, otworzył drzwi i przytrzymał nogą, czekając, aż wejdą do środka. Echo ich kroków niesło się po korytarzu, sprawiając wrażenie, jakby cały budynek był pustą, kamienną przestrzenią. Kiedy wspięli się po schodach na drugie piętro, klucze zabręczały w dłoni Piotra, a potem wsunął jeden z nich do zamka. Otworzył drzwi, wpuszczając Zoję jako pierwszą.

– Ciemno tu... – wyszeptła, oglądając się na Pietra, który był dwa kroki za nią.

Jakby na rozkaz, nagle w korytarzu zapaliły się wszystkie lampy.

– Dziwne... – rzucił Pietro, szukając wzrokiem po ścianach włączników z czujnikami ruchu.

Wszyscy troje zaczęli się rozglądać, nasłuchując odgłosów świadczących o tym, że gdzieś w tych dwustu metrach luksusu jest ten, dla kogo tu przyszli.

– Wydaje mi się, że jesteśmy sami – ocenił Pietro.

– Może jeszcze nie przyszedł. Albo uznał, że nie będzie czekał. W końcu spóźniliśmy się ponad dziesięć minut...

Piotr zaproponował, że skoro już tu są powinni się rozejrzeć i ruszył korytarzem w lewo, na wszelki wypadek wyjmując broń. Pietro poszedł szukać gabinetu, a Zoja uznała, że zbada lewe skrzydło, z oknami pokoi wychodzącymi na plac.

W połowie korytarza znajdowały się rozsunięte drzwi, za którymi Zoja zobaczyła zarys ogromnej skórzanej kanapy.

„Salon” – pomyślała i zajrzała do środka.

Nie od razu dotarło do niej co widzi. Przez kilka sekund stała bez ruchu, wpatrując się w ciało księdza leżące na dywanie. Próbując opanować strach, zrobiła krok do przodu, potem jeszcze jeden i kolejny, aż znalazła się tuż nad nim. Krew na dywanie była świeża, a rana po kuli idealnie na wysokości serca.

Przynajmniej nie cierpiał, oceniła Zoja i powoli zaczęła się cofać w kierunku korytarza. Przez głowę przebiegało jej sto myśli na sekundę, ale wśród nich najważniejsza była jedna – ktokolwiek to zrobił, na pewno wciąż tu jest.

Zdążyła dojść do korytarza, kiedy gdzieś w drugim końcu apartamentu rozległ się strzał. Jeden, ostry, wyraźny odgłos, który na kilka sekund przerwał ciszę, sprawiając, że ptaki siedzące na fontannie za oknami, poderwały się do lotu.

Zoja wyjęła z plecaka sztylet i pobiegła w kierunku, z którego jak jej się zdawało, dobiegł odgłos strzału.
– Tutaj!

Głos Piotra dochodził z pokoju znajdującego się za schodami do antresoli. Zoja wpadła do środka i pierwszym co zobaczyła, było martwe ciało Pietra leżące na drewnianej podłodze przed biurkiem.

– Nie... nie... to niemożliwe... – wyszeptała z przerażeniem kręcąc głową.

– Kiedy zbiegłem na dół, on już tu leżał. Strzał prosto w serce, szybka śmierć. Zabójca uciekł przez balkon... – wskazał głową w kierunku szeroko otwartych okien.

Zoja przeszła przez pokój i wyjrzała na podwórze pełne drzew. Przez kilka sekund trudno jej było uwierzyć w to, co widzi.

– Piotr... – wyszeptała, wolno odwracając głowę w kierunku Piotra klęczącego nad ciałem Pietra.

– Tak?

– W tej części domu nie ma balkonu.

Nagle stało się coś, czego Zoja zupełnie się nie spodziewała. Na widok młodego chłopaka, który wszedł do gabinetu, celując do niej z broni z tłumikiem, wysunęła sztylet i spojrzała na Piotra z przerażeniem, jakby nagle dotarł do niej rozmiar potworności dla której ich tu zwabił.

– Nim kur zapieje trzy razy się mnie zaprzesz... – powiedziała, chociaż słowa z trudem wychodziły jej z ust.

– Zostaw nas – rozkazał młody mężczyzna Piotrowi.

Zoja zamarła z przerażenia, widząc jak Piotr wstaje i ani razu nie patrząc w jej stronę, wychodzi na korytarz.

– Oddaj plecak.

Słyszając żądanie, Zoja zacisnęła dłoń na rękojeści sztyletu.

– Jesteś jednym z nich... Jednym z wychowanków ośrodka prowadzonego przez siostrę Hummel i moją matkę – spojrzała mu w oczy, a potem na ciało Pietra. – Dlaczego to zrobiłeś? I właściwie ile ty masz lat, dziecko?

– To był wróg narodu niemieckiego! – odpowiedział bez namysłu, jakby powtarzał coś, czego do końca nawet nie rozumiał.

– Oddaj plecak! – zażądał ponownie i tym razem strzelił, trafiając w ścianę, kilka centymetrów od okna, przy którym stała Zoja.

Ze strachu wypuściła z dłoni sztylet. Schyliła się, żeby go podnieść, a wtedy chłopak podbiegł i z całej siły kopnął ją kolanem w brzuch, a potem wbił jej łokieć w plecy, łamiąc żebra. Wyrwał plecak, który próbowała ukryć pod głową i wysypał zawartość na podłogę.

– Piotr! Pomóż! Ratunku! – wołała z rozpaczą Zoja, widząc jak młody neonazista zabiera rzeczy, które zaprzepaszczą jej szansę na odzyskanie córki.

Najpierw schował do kieszeni klucz od depozytu w Begelin&Co, a potem podniósł z podłogi sztylet i wsunął go sobie w cholewę buta. Na koniec nachylił się nad Zoją i zerwał jej z szyi łańcuszek z medalikiem. Po tym wszystkim wstał i ruszył w kierunku drzwi.

– Kardynał Giovanni wyznacza termin czterech dni na dostarczenie Ewangelii Apostolic. Inaczej twoja córka zginie – powiedział takim tonem, jakby odczytywał wyrok.

Jego słowa rozbrzmiewały w głowie Zoi jeszcze długie minuty po tym jak wyszedł. Próbowała wołać pomocy, ale zamiast słów, z jej ust wydobywał się jedynie bełkot. Zaczęła pluć krwią. Zamroczona z

bólu, nie mogąc złapać tchu, spróbowała poczołgać się w kierunku korytarza. Będąc obok ciała Pietra nagle zobaczyła coś dziwnego. Podciągnęła kolana i resztkami sił dowlekła się bliżej. Za jego głową, pod biurkiem, leżał tajemniczy zwój papieru. Był tylko jeden i wyglądał jak kawałek papirusa oderwany od reszty większej całości, starej i bardzo cennej. Zoja z wysiłkiem wzięła go do ręki i rozsunęła, brudząc brzeg własną krwią, którą pokryte były jej palce. Zanim straciła przytomność, zdołała odczytać tylko kilka pierwszych wersów.

*Jam jest ta, co dzieje te widziała i spisała w imię Pańskie.
Niechaj nikt ręki nie podniesie na syna Bożego, który to umiłowan przez Boga Ojca,
Na ziemię zstąpił z niebios, by lud niewierny na wiarę nawrócić w Jedynego.
Co w Trójcy przenajświętszy zasiada z mirrą, kadzidłem i złotem,
By czcić niepoznanie i niepoznane ludziom objawić.*

Słowo

Maria Magdalena wyszła z groty i stanęła na skraju urwiska. Poprawiła chustę, która zakrywała jej twarz i z tęsknotą spojrzała daleko ponad horyzont, jakby miała nadzieję, że zobaczy tam dalekie wzgórza Jerozolimy i drzewa porastające ogród Getsemani.

Kiedy z groty zaczął dobiegać coraz głośniejszy płacz dziecka, wróciła do środka, wzięła je na ręce i utuliła.

– Śpij Sangraal... – wyszeptała, muskając ustami pachnące oliwą czoło niemowlęcia.

Kiedy dziewczynka zasnęła, położyła ją na posłaniu, zapaliła świecę i usiadła przy masywnym kamieniu, który starczał jej za całe miejsce pracy. Wzięła do ręki spory kawałek cielecej skóry i nachyliwszy się zaczęła pisać:

Jam jest ta, co dzieje te widziała i spisała w imię Pańskie.

Niechaj nikt ręki nie podniesie na syna Bożego, który to umiłowan przez Boga Ojca,

Na ziemię zstąpił z niebios, by lud niewierny na wiarę nawrócić w Jedyne.

Co w Trójcy przenajświętszy zasiada z mirrą, kadzidłem i złotem,

By czić niepoznanie i niepoznane ludziom objawić.

Chrystus jest jeden, jak jeden jest Bóg.

Jedna jest Trójca i jeden jest Zbawiciel.

On to, dla nas ludzi,

I dla naszego zbawienia,

Zstąpił z niebios,

I zmartwychwstał

Jak oznajmia pismo.

A losy jego prorocstwem się stały po wsze czasy...

Od autorki

Otwarte propagowanie ideologii nazistowskiej i „dokonań” Adolfa Hitlera jest zakazane. A jednak historia śmieje się nam w twarz, a towarzysze Hitlera, gdyby dożyli do tej chwili, mogliby otwierać butelki z szampanem. Nic tak nie kusi jak stawianie własnej nacji ponad interesem mniejszości. Nic tak nie kusi, jak zrzucanie winy na tych, na których już raz winę zrzucano. Nie ma dnia, żeby gdzieś w Europie nie dochodziło do kolejnych ataków na tle rasistowskim. Swastyka, w połączeniu z hasłami „do gazu” czy „skończycie tak, jak tamci”, to już ani smutny wybryk, ani wyraz skrajnej głupoty, lecz forma manifestowania otwartej nienawiści, wynikającej z braku wiedzy o tym, że historia lubi się powtarzać.

W Stanach Zjednoczonych działa niezliczona ilość organizacji neonazistowskich. Ich działalność jest legalna, tak jak możliwość wykorzystywania symboli neonazistowskich (Pierwsza poprawka do Konstytucji Stanów Zjednoczonych umożliwia pełną wolność słowa, a ograniczenia są tak niejednoznaczne, że właściwie oferują kuszącą wolność dostępu). W Wielkiej Brytanii działa nie jedna, lecz kilka największych na świecie organizacji tego typu. Niemcy nie radzą sobie z falą agresji wśród własnych obywateli, a neonaziści, mimo że ich działalność jest w tym kraju zabroniona, podnoszą głowy i brutalnie manifestują swoją obecność (ujawnienie działalności NSU tylko tę falę pogłębiło). Ale nie ma się co łudzić, że ten problem nie dotyczy i innych krajów... Wszystkie tytuły artykułów prasowych podane w książce są prawdziwe. A to i tak zaledwie kilka z kilkuset, jakie można odnaleźć w samym Internecie. Marsze faszystów, w których biorą udział byli naziści, budzą coraz mniejszy sprzeciw, ba, wzbudzają coraz większe zainteresowanie. Nacjonalizacja poglądów rośnie w siłę. A jeśli dodać do tego, że od 2016 roku możliwe będzie oficjalne publikowanie w Polsce *Mein Kampf* mamy przepis na równię pochyłą...

Powieść, którą napisałam, jest fikcyjna. Podobieństwo do prawdziwych zdarzeń, jest przypadkowe. Nie mogę jednak powiedzieć, że szukanie, zbieranie, sklejanie tego w całość, wzięło się z powietrza. Materiały do napisania *Ani żadnej rzeczy...* zbierałam przez ponad dwa lata. Raporty FBI o możliwej ucieczce Hitlera są powszechnie dostępne, w internetowym serwisie FBI można je odnaleźć bez trudu. O ucieczce większości zbrodniarzy mówi się już jawnie i otwarcie, jako o czymś najnormalniejszym na świecie, jakby po siedemdziesięciu pięciu latach, nie mogło to już dziwić. A jednak, nie wolno nam przejść obok tego obojętnie.

Watykan jako instytucja i państwo budzi moją prywatną odrazę. Im bardziej zgłębiałam fakty i poszlaki na temat historii tej instytucji w okresie drugiej wojny i po niej, a także wzajemnych zależności finansowych z państwami na całym świecie, w tym działalności Banku Watykańskiego, tym bardziej czułam, że powinniśmy żądać od kleru rozliczenia się z przeszłością. Kontrowersyjne działania papieża Piusa XII i wielu innych dostojników kościelnych, muszą zostać rozliczone, a uznawanie czyjejkolwiek świętości, winno zostać odłożone w czasie. Archiwa powinny zostać odtajnione, a wtedy, nic co ukryte, nie byłoby już powodem do zadawania kolejnych pytań przez historyków, naukowców i łowców nazistów, którzy żyją i prowadzą swoją działalność na całym świecie, nie chcąc się ujawniać.

Wszystkie miejsca, legendy, postaci z kart historii, obecne w powieści, mają swoje odpowiedniki w rzeczywistości. Sobótka Nowa, maleńka wieś pod Łodzią, jest magicznym miejscem zapomnianym przez świat. Legendę o tym miejscu opowiedziała mi moja ukochana babcia, jedna z wychowanek mariawickiego sierocińca. Obóz dla młodych Polaków w Łodzi istniał i potrzeba nam więcej pamięci o tej zbrodni, tak samo jak o „*rabunku dzieci*”. Synowie i córki, ofiary ośrodków *Lebensborn*, żyją i w ciszy przeżywają największe dramaty swojego życia. Wielu z nich nie ma pojęcia, że są ofiarami szaleńczej wizji zbrodniarzy. Większość z nich nigdy nie otrzymała pomocy.

Grota *La Sainte Baume* istnieje. Tak samo jak klasztor w *Saint Maximine*, kapliczka w *Plan d'Aups*, Katedra świętego Szczepana Męczennika w Wiedniu, hotel *Sacher* czy budynek w *Sankt Gallen*,

otoczony ulicami w układzie swastyki. *Galeria Faras* w Muzeum Narodowym w Warszawie to jedna z najnowocześniejszych galerii, jakie widziałam w Europie w ostatnim czasie. Gratuluję jej twórcom i zachęcam, aby wybrać się i spojrzeć w oczy Świętej Anny. Jest tak tajemnicza, jak opisałam to na kartach powieści.

System numerologiczny, który opisałam, jest prawdziwy. Nauczył mnie go człowiek, którego spotkałam podczas wyprawy do Australii. Legendy, symbole, opisy malowideł, obrazów, są prawdziwe. Także chrześcijańskie znaki, w tym chryzmon, mają potwierdzenie w podaniach biblijnych.

Obecnie pracuję nad drugą częścią powieści zatytułowaną *Która jego jest*. Dziękuję wszystkim, którzy pomogli mi wytrwać podczas ciężkiej pracy twórczej. Wydawcom, którzy odrzucili moją książkę, także dziękuję. Nic nie motywuje mnie do pracy bardziej, niż przeszkody.

Table of Contents

[Początek i koniec](#)
[Drogi się krzyżują](#)
[Ogień trawi](#)
[Mrok](#)
[W drodze ku prawdzie](#)
[Listy odnalezione](#)
[Hodegetria wskazuje drogę](#)
[Ta, która poczęła](#)
[Po jego śladach](#)
[Oto Człowiek](#)
[Napad na sejf](#)
[Ucieczka](#)
[I stało się wedle słowa](#)
[Wiedeński tort z fatalną niespodzianką](#)
[Najwyższy czas](#)
[Jerozolima utracona](#)
[Grób na skale](#)
[Królewski klasztor](#)
[Siostra porwana!](#)
[Fatalne spotkanie](#)
[Słowo](#)
[Od autorki](#)